

W. S. REYMONT

CHŁOPI



WARSZAWA GEBETHNER I WOLFF

School of Liberal Arts and Sciences
St. Hyacinth Seminary
Granby, Massachusetts

CHŁOP

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

	Rb. k.
Ave Patria. Lili. Burza. Tęsknota. W palarni opium. Sielanka. Los Toros. Ostatnia. Wyd. 3-cie	1 50
Chłopi. Powieść współczesna. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato. po	1 50
W ozd. opr. tom	1 90
Fermenty. Powieść, 2 tomy. Wyd. 3-cie	2 —
Komediantka. Powieść. Wydanie 3-cie	1 50
Marzyciel. Szkic powieściowy. Senne dzieje. W pruskiej szkole.	1 60
O zmierzchu. Z pamiętnika. W jesienną noc. W porębie. Przy robocie. Wenus. Legenda wigilijna. W głębiach. Dwie wiosny.	1 20
Przed świtem. — Pewnego dnia. — Sprawiedliwie	1 20
Rok 1794. Ostatni sejm Rzeczypospolitej. Powieść historyczna	2 50
Spotkanie. Szkice i obrazki	1 50
Wampir. Powieść	1 80
Ziemia obiecana. Powieść, 2 tomy	2 40
Z pamiętnika. Nowele i obrazki	1 20
Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki. Wyd. nowe.	— 50

WŁ. ST. REYMONT



CHŁOPI

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

III

WIOSNA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW ——— G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

PRINTED IN POLAND.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1914

10
7158
R4
C5
1914
v.3
MAIN

I.

Czas był wiosenny o świtanii.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna, zrywać się ano musi nadedniem, by wnetki imać się pługa i do orki się brać.

Poczyñało dzień.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew pośpionych w mącie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiła, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łęgi i pola nizinne. Kokoty zaczęły pisać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze nie widnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy, śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie roztlewające z pod ostyglych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały znagła, wzdęły i ruchały ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola, albo zasie kieby dymy kadzielne, wionęły sinem przedziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz barzej nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnię czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniały się z nocy; to stawy zamigotały pośleptami lustrami, albo strumienia kiej długachne, orosiały przede wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczyły gorzeć, jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze niedojrzanych, i tak się galanto rozwidniało, iż ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzieniegdzie pod zorze, kieby te czarne kamienie z pod wody spienionej i poniektóre już drzewa, co bliższe, srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wyłupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnućte oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał zwolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytała — jeno wiat, jako to dychanie dzieciątka cichuśki, powiał od lasów, aż rosy potrzęsły się z drzew.

Aż z tej omdłej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczających pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wzniesć na Podniesienie Hostyę Przenajświętszą — wystrzelił znagła głos skowronkowy...

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jał swiergotać jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany tlił się w bładem niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały,

Wraż i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie a poranek głościć wszemu stworzeniu czującym.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się z za lasów dalekich,

wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennemi ziemcami i żegnając światłością świat, żywe i umarte, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby znagła padło w proch przed majestatem i zamilkło, przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły, kiej wonne dymy biły z łąk ku rozżłocnemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

W ten czas właśnie, na wzgórzu piaszczystem pod lasem, z pod dworskich stogów łubinowych, stojących wpodłe szerokiej i wyboistej drogi, pokazała się stara Agata, powinowata czy krewniaczka Kłębów.

Powracała ona z żebrów, na któren to chleb Jezusowy była poszła jeszcze w kopania, a teraz-ci z nawrotem do Lipiec ciągnęła, jako ci ptakowie, zawsze wracający o wiosnie do gniazd swoich.

Stare to było, schuchrane, słabe i ledwie dy-chające, iż się widziała jako ta wierzba przydro-

zna, pokrzywiona, spróchniała, co to się już ledwie tli i domiera w piachach; w łachmanach juści była, z kosturem dziadowskim w rękę, z tobołkami na plecach, obwieszona różańcami.

Wylazła z pod brogów o samym wschodzie i, śpiesznie drepząc, podnosiła do słońca twarz szarą i wyschłą, jako te płone ugory zeszłoroczne; jeno jej siwe, zaczerwienione oczy rozbłyśkiwały radością.

Jakże!... po długiej i ciężkiej zimie do swojej wsi rodzonej wracała, to biegła aż truchcikiem, że ino torbeczki wyskakiwały po bokach i dzwoniły różańce, ale iż ją spierało, a zadychliwość raz wraz chwytала się bolących piersi, to musiała przystawać, wolnieć i już szła ciężko, z utrudzeniem, jeno temi głodnemi oczyma latając po świecie i pośmiechując się do tych pól szarych, w zielonawe mgły przysłonionych, do wsi wynurzających się zwolna z mgielnych topieli, do tych nagich jeszcze drzew, stróżujących nad drogami, lebo samotne stójki odbywających po polach, do całego świata!

Słońce się już było podniosło na parę chłopów, że dojrzał choćby i najdalsze kraje pól; wszystko błyszczało różaną rosą, czarne role połyskiwały się w słońcu, wody grały po rowach, skowronkowe głosy dzwoniły w chłodnym powietrzu, gdzie zaś, pod kamionkami tliły się ostatnie płaty śniegów, żółte bazie na poniektórych drzewach trzęsły się kieby te bursztynowe paciorki,

w zaciszach zaś albo i pod nagrzanemi kałużami z pośród rdzawych, zeszłorocznych liści, przedierały się złotawe źdźbła traw młodych, gdzie znów patrzyły żółte oczy kaczeńców, wiaterek też wziął przygarniać leciuchno i roztrząsał wilgotne, rzeźwe zapachy pól, pławiących się leniwie w słońcu, a wszędy było tak wiośniano, rozległe, jasno, chociaż i jeszczech żdziebko szarawo, i taką lubością tchnęło, że już się dusza Agaty wyrывała, by lecieć, jako ten ptak, radością opity, niesie się z krzykiem w cały świat.

— Jezus mój! Jezusiczku kochany! — pojękiwała ledwie, przysiadując nieco i jakby zgarniając ten świat wszystek w roztrzęsione radością i wielce czujące serce.

Hej! zwiesna ci to szła przeciech nieobjętymi polami, skowronkowe pieśni głośiły ją światu, i to słońce święte, i ten wiatер pieszczący, słodki a ciepły, kiej matczyne całunki, i to przytające jeszczech dychanie ziemie tęsknie czekających na pługi i ziarno, i to wrzenie wesela unoszące się wszędy, i to powietrze ciepłe, orzeźwiające i jakoby nabrzmiałe tem wszystkiem, co wnetki się stanie zielenią, kwiatem i kłosem pełnym.

Hej! zwiesna-ci to szła, jakoby ta jasna pani w słonecznem obleczeniu, z jutrzenkową i młodą gębusią, z warkoczami mędrych wód, od słońca płynęła, nad ziemiami się niesła w one kwietniowe poranki, a z rozpostartych rąk świętych puszczała skowronki, by głośiły wesele, a za nią ciągnęły

żórawiane klucze z klangorem radosnym, a sznury dzikich gęsi przepływały przez blade niebo, że boćki ważyły się nad łągami, a jaskółki świegotały przy chatach, i wszystek ród skrzydlaty nadciągał ze śpiewaniem, a kędy tknęła ziemię słoneczna szata, tam podnosiły się drżące trawy, nabrzmiewały lepkie pęki, chlustały zielone pędy i szeleściły listeczki nieśmiałe, i wstawało nowe, bujne, potężne życie, a zwiesna już szła całym światem, od wschodu do zachodu, jako ta wielmożna Boża wysłanniczka łaski i miłosierdzie czyniąca...

Hej! zwiesna-ci to ogarniała przyziemne, pokrzywione chaty, zaglądała pod strzechy miłosierdnemi oczyma, budząc struchlałe, omroczone role serc człowiekowych, że dźwigały się z utrapień i ciemnic, poczynając wiarę na lepszą dołę, na obfitsze zbiory i na tę wytęsknionej szczęśliwości godzinę...

Ziemia się rozdzwaniała życiem, kieby ten dzwon umarły, gdy mu nowe serce uwieszą, serce ze słońca uczynione, że bije górnio, dzwoni, hu-czy radośnie, budzi struchlałe i śpiewa takie rzeczy i sprawy, takie cuda i moce, aże serca biją do wtóru weselnego, aże same łyzy leją się z oczu, aże dusza człowiekowa zmartwychwstaje w nieśmiertelnych mocach i klęczący ze szczęścia ogarnia sobą oną ziemię, ów świat cały, każdą grudkę napęczniałą, każde drzewo, każdy kamień i chmurę każdą, wszystko ano, co uwidzi i co poczuje...

Tak-ci to i czuła Agata, kuszykając zwolna i żrąc spragnionemi oczyma tę ziemię kochaną, tę ziemię świętą, że szła jak pijana.

Aż dopiero, gdy sygnaturka zaświegotała na Lipieckim kościele, kiej ten ptaszek zwołujący na modlitwę, ocknęła stara znagła, padając na kolana.

...iżes swoją świętą przyczyną sprawił, jakom powróciła...

...iżes, Panie, pokazał miłosierdzie nad sierotą...

Mogła to mówić! kiej łzy jako ten deszcz rzęsimy zalały jej serce i spływały po wynędzniałej twarzy, że jeno mamrotała cosik, a tak się trzęsła w sobie, że ani weź naleźć różaniec, ni tych słów pacierza, które się rozsuly po duszy palącą rosą, to porwała się z mocą i poszła, pilnie patrząc po polach i powiadając w głos jakie słowo modlitwy, przypomniane znagła...

Że zaś dzień był już duży i mgły całkiem spadły, Lipce jawiły się przed nią jakby na dłoni, leżały nieco w dole, nad ogromnym stawem, modrzącym się kiej lustro z pod białawej a leciuchnej przysłony, obsiadły wodę kręgiem niskich, szerokich chałup, co jak kumy w sobie wielce podufałe, przysiadły w sadach jeszcze nagich, dymy kajś niekaj rwały się nad strzechami, gdzie zaś szyby przebłyskiwały w słońcu, albo bielily wskroś czarniawych sadów świeżo pobielone ściany.

Każdą chałupę mogła już dojrzeć z osobna. Młyn ano, którego bełkotliwy turkot dochodził coraz żywiej, stał na kraju wsi, przy drodze, którą

szła, a naprzeciw prawie, na drugim końcu, kościół wznosił wysokie, białe mury wśród drzew olbrzymich i grał oknami i złotym krzyżem na bani, a wpodłe niego czerwieniły się dachówki plebanii. Wokół zaś, jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrzone, leżały wsie dalekie, wsie, kieby te szare liszki, przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi kręto powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy, z rzadka porośłe jałowcami, i wązka przędza rzeczki, ciekącej po łyaskliwie i wlewającej się do stawu, między chałupami.

Bliżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały Lipeckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótna, rozciągnięte pod wzgórze i poćwiartowane na działki. Pola wily się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętami miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste, górzyły się kamionki cierniem obrosłe, w złotawem świetle ostro wyrzynały się szare i utyłane kiej ścierki ugory: to płachty zielonawe ozimin, to zeszłoroczne kartofliska czerniały, abo i już latosie podorówki, miejscami zaś, po dołkach, siwiały wody i wlekły się, kiej to szkliwo roztopione; za młynem rozlewały się łąki rudawe, po których brodziły bociany raz wraz poklekujące, i kapuśniska tak jeszcze pod wodą, że jeno grzbiety zagonów przemiękłych łyśniły się kiej piskorze, czajki białobrzusze kołowały nad

niemi, a po rozstajach stróżowały święte drzewa krzyżowe i jensze wyobrażenia Pańskie, zaś nad tym całym światem, zakłęśłym ździebko w miejscu, kędy wieś przywarła, wisiało rozgorzałe, złotawe słońce, pobrzmiewały skowronkowe śpiewania, rozlegały się niekiedy od obór tęskliwe ryki bydła, to gęsi gdziesik pokrzykiwały gęgliwie i leciały rozgłośne wołania ludzkie, a wraz i wiaterek tchnął lubym, ciepłym powiewem, zgarniając wszystkie te głosy, że ziemia stawała niekiedy w takiej cichości a zadumaniu, jakoby w tej świętej chwili rodów i poczynañ.

Jeno na polach mało gdzie dojrzał robotę, tyle tylko, co zaraz pod wsią gmerało się kilka kobiet rozrzucających nawóz, że ostry, przenikliwie w nozdrzach wiercący zapach płynął smugą całą.

— Zaspały próżniaki czy co, dzień taki wybrany, a na rolę mało kto ciągnie... ziemia aż się prosi pług! — mruczała zgorszona.

I aby być bliżej jeszcze zagonów, zlazła z drogi na ścieżkę, ciągnącą się za rowem, gdzie już czerwone rzęsy stokrotek otwierały się do słońca i gęściej zieleniła się trawa.

Juści że tak pusto było na polach, aże dziwił! Przecie dobrze baczyła jako po inne lata, w tę porę to jeno się czerwieniło po zagonach od kiecek i aż się trzęsło od przyśpiewek i wrzasków dzieuszych; rozumiała też, jako przy takiej pogodzie najwyższy już czas do wywożenia gnojów, do

podorówek, do siewów, a dzisiaj co? Jeden, jedyny chłop, którego dojrzała gdziesik w pośrodku pól, siał cosik, szedł pochylony i zawracał rozrzucający w półkole jakieś ziarno.

— Musi być, że groch sieje, kiej tak wcześnie... Dominikowej chłopaki, widzi mi się, bo akuratnie tam ich pola wypadają... A niech wama da-
rzy i plonuje Bóg miłosierny, gospodarze kochane! — szeptała serdecznie.

Ścieżka była ciężka, nierówna, zawalona świeżymi kretowiskami, kamieniem, a miejscami błotna, ale nie zwracała na to uwagi, wpatrując się z lubością i rozczeniem w każdy zagon, w każde półko z osobna.

— Księżę żyto, bujne, sielnie się ruszyło!... Prawda, kiej wędrowałam we świat, orał pod nie rolę parobek, a dobrodziej siedzieli se gdzieś tutaj, baczę dobrze...

I znowu kuszykała, wzdychając ciężko i łzawo wlokąc oczyma.

— Cie, Płoszkowe żyto... musi być późne, albo i wymiękło ździebko.

Nachyliła się z trudem, dotykając drżącymi, starymi palcami wilgotnych ździebeł i głaszcząc je z miłością, jakoby we włosy dziecińskie.

— Borynowa pszenica, sielny kawał! Juści!... bo to nie gospodarz pierwszy na Lipce?... ale cosik przyżółta, musiało ją przemrozić, czy co... ciężką zimę tu przeszła... — medytowała, spostrzegając po przyplaszczonych zagonach i wbitych

w ziemię, obwalanych mułem żdźbłach ozimin, ślady wielkich śniegów i wód roztopowych.

— Wycierpieli się ludziska niemało, nabiedo-
walili — westchnęła, przysłaniając oczy dłonią, bo
naprzeciw, od wsi, szły jakieś chłopaki.

— Juścić co Michał organistów z którymś or-
ganiściakiem. Po wielkanocnym spisie do Woli
idą kiej z tylachnymi koszykami... Juści, że nie
kto drugi.

Pochwaliła Boga, gdy nadeszli, rada wielce za-
gadać z nimi coś niecoś, ale chłopcy odburknęli
pozdrowienie i przeszli prędko rozgadani ze sobą.

— Dyć od tylich skrzatów baczę ich, a nie po-
znali mnie! — Markotność ją przejęła. — Cie!
a skądby i taką dziadówkę pamiętały! Ale Michał
wyrósł galanto, pewnikiem już dobrodziejowi przy-
grywa na organach...

Rozmyślała, wpatrując się znowu w drogę, że
to wyszedł ze wsi Żyd jakiś, pchając przed sobą
sporego cielaka,

— A od kogo to kupione? — zagadnęła.

— Od Kłębowej! — odparł, mocując się z biało-
czerwonym ciołkiem, któren się opierał, zawracał
i pobekiwał żałośnie.

— To ani chybi po granuli... juści... pognąła
się była jeszcze przed żniwami... a może i po si-
wej... Sielny ciołek...

Obejrzała się za nim z gospodarską lubością,
ale już ich nie było na drodze: ciołek wyrwał się
z rąk, skoczył na pole i podniósłszy ogon, rwał

ku wsi, na przełaj, a Żyd z rozwianym chałatem zabiegał mu drogę.

— W ogon go pocałuj, a poproś pięknie, to ci wróci... — szepnęła z kulantnością, przyglądając się gonitwie.

— A i na Kłębowych morgach ni żywej duszy! — zauważyła przytem, ale nie było już czasu na pomyślunki: wieś była już tak blisko, że poczuła zapach dymów i dojrzała po sadach wietrzące się pierzyny, to jeno ogarniała oczyma wieś całą, i najgłębsza, wdzięczna radość zatrzęsła jej sercem, że to Jezus pozwolił dożyć tej zwiesny i powraca ją oto do swoich, powraca do rodzonych.

A przeciech mogła zamrzeć zimą, między obcy mi, chorzała bowiem ciężko, ale Jezus ją powrócił...

Dyć tem ano żywiła duszę przez długą zimę, tem się jeno krzepiła w każdej godzinie i tem się broniła od mrozów, nędzy i śmierci...

Przysiadła pod krzakami, aby się ździebko przygarnąć, nim wejdzie, ale miała to siły, kiej ją tak rozebrała radość, że każda kosteczka trzęsła się z osobna i serce tłukło się boleśnie niby ten ptak duszony?

— Są jeszcze dobre i miłosierne ludzie, są... — szeptała, opatrując troskliwie torbecki? jakże: uciulała sobie tyła, że musi starczyć na pochówek.

Przeciech od dawnych już lat o tem jeno de-

liberowała i w to całą duszę kładła, że skoro śmierci porę Pan Jezus spuści, aby się to mogło stać we wsi swojej, w chałupie, na łóżku zasłanem pierzynami, pod rzędem obrazów, tak, jako umierały gospodynie wszystkie. Całe życie zbierała na chwilę oną świętą i ostatnią.

Miała ci już u Kłębów na górze skrzynię, a w niej pierzynę sporą, poduszki i prześcieradła, i wyspki nowe, a wszystko czyste, nieużywane zgoła, by nie marać, zawsze mieć gotowe, no i że nie było gdzie rozłożyć tej pościeli. Miała to kiej swoją izbę albo i łóżko? Kątem zawždy, na barłogu jakim, to w obórcę, jak się zdarzyło, i kaj ludzie dobre pozwolili przytulić głowę. Nie cisnęła się ta ona nigdy na przód, między możne i władne, nie wyrzekała na dolę, bo wiedząca była dobrze, że wszystko urządzenie na świecie z woli Bożej pochodzi, a nie zmienić go człowiekowi grzesznemu.

— To se jeno tajnie, pocichusku, przepraszając Boga za pychę, o tem jedynie marzyła, by mieć gospodarski pochówek, — o to jeno prosiła lękliwie...

Nie dziwota więc, że skoro się teraz przywlekała do wsi ostatkami sił, czując, że już ten czas ostatni przychodzi na nią, to wzięła sobie przypominać, czy aby czego nie przepomniała.

Ale nie, wszystko miała potrzebne — gromnicę niesła z sobą, co ją ano wyprosiła, stróżując jakiegoś umarlaka, i buteleczkę z wodą święconą

miała, i nowe kropidło kupiła, i obrazik poświęcany Częstochowskiej, jaki musi mieć w rękę w skonania godzinie, i te kilkadziesiąt złotych na pochówek... a może i starczy na mszę świętą przy trumnie, ze światłem i pokropieniem choćby w kruchciel Juści, że i myśleć nie śmiała, by ją ksiądz eksportował na cmentarz.

Gdzieby zaś to mogło być!... Nie każdy gospodarz dostępuje takiego honoru i szczęścia, a przytem i wszystkich pieniędzy na to jednoby nie starczyło!

Westchnęła żałośnie, podnosząc się na nogi.

Dziwnie jednak zasłabła, kłóło ją w piersiach, kaszel męczył, że ledwie się mogła ruchać, odpoczywając co chwila.

— Żeby choć do sianokosów dociągnąć, albo i do żniw pierwszych — marzyła, słodko przywierając oczyma do chałup coraz bliższych.

— A potem już się położę i zamrę ci, Jezu kochany, zamrę... — jakby się tłómaczyła lękliwie z tych grzesznych nadziei.

Ale wraz spadła na nią troska: kto to ją przyjmie do chałuby na ten czas skonania?

— Poszukam se dobrych i czujących ludzi, a może i jaki grosz przyobiecaw, to się łacniej zgodzą... Juści! komu ta niewola kłopotać się cudzimi, a chałupę sobie mierzić.

Aby się to mogło stać u Kłębów, krewniaków, nawet pomyśleć nie śmiała.

— Tylachna dzieci, w chałupie ciasno, a to

i drób teraz się lęgnie, i trza mu miejsca, i nie honor byłby dla takich gospodarzy, by pod ich dachem krewniackie dziadówki pomierały...

Rozmyślała bez żalu, wchodząc na drogę, biegnącą po grobli wyniesionej nieco, by chronić staw od wylewów na niskie łąki a kapuśniska.

Młyn stał pobok grobli, jeno tak nisko, że omączone dachy wystawały nieco nad drogą, trząśł się cały i z głuchym łoskotem pracował.

A z lewa staw świecił się ano, słońce wlekło się złotymi włosami po cichej rozmodrzonej od nieba wodzie, na brzegach obrosłych przychylo-nemi olchami, trzepały się z krzykiem gęsi, na drogach zaś, jeszcze nieco błotnych, dzieci przeganiały stadami, pokrzykując z uciechy.

Lipce ano siedziały z obu stron stawu jak przódzi, jak zawdy chyba od początku świata, całe w sadach rozrosłych a w opłotkach.

Agata wlekła się z trudem, chyżo jeno biegając oczyma, a wszystko widząc. W młynarzowym domu, co stał odsunięty od drogi, a podobien się zdał choćby i do dwora jakiego, przez wywarte okna powiewały białe firanki, a sama młynarzowa siedziała przed progiem w pośrodku piskliwego stada gęsiąt żółciuchnych kiej z wosku, które przygarniała.

Pochwaliła stara Boga i przeszła cicho, rada, że jej nie poczuły psy, wylegające się pod ścianami.

Przeszła most, pod którym woda z hukiem

przewalała się na młyńskie koła; drogi stąd rozchodziły się kiej ręce, ogarniające cały staw.

Kolebała się w sobie przez chwilę, ale chęć obejrzenia wszystkiego przemogła i wzięta się na lewo, dłuższą nieco drogą.

Kuźnia, stojąca pierwsza zaraz z brzegu, była zamknięta i głucha; jakiś przodek od wozu i niecoś zardzewiałych pługów leżało pod ścianami okopconemi, ale kowala ani widu, jeno kowalowa, rozdzielana do koszuli, kopła grządkę w sadzie wzdłuż drogi.

Przystawała teraz przed każdą chałupą, wspierając się o niskie, kamienne płoty i przeglądając ciekawie obejścia, opłotki, wywarte sienie i okna. Psy ujadły na nią niekiedy, ale obwąchawszy i jakby snadź poznając swojaczkę, wracały legać na przyzby, w słońce.

A ona-ci teraz szła wolniuszko, krok za krokiem, ledwie dychając z utrudzenia, a barzej i z uciechy serdecznej.

Sunęła się tak cichuśko jako ten wiaterek, który raz po raz powiewał po stawie i gmerał w rudych baziach olch, a szara była i niewidna kiej te płoty albo ta ziemia miejscami już przesychnąca, albo zaś kieby ten chudy cień, od drzew nagich padający na ziemię, że jakby jej nikto i nie spostrzegał.

A radowała się całym sercem, że wszystko tak znajduje, jako i była zostawiła jesienią.

Śniadania musieli warzyć, bo kurzyło się z ko-

minów, a gdzieniegdzie z wywartych okien buchały zapachy gotowanych ziemniaków.

Choć to i dzieci krzykały tu i owdzie, abo i gęsi stróżujące przy gąsiętach, podnosiły często strwożone gęgoty, a dziwnie cicho i pusto było we wsi.

Słońce się już ano podniosło na pół drogi do południa i siało kieby tem szczerem złotem i jęło się przeglądać w stawie, a nikto się jeszcze nie kwapił w pole, żaden wóz nie turkotał z opłotków, ni poskrzypiały pługi, ciągnięte na rolę.

— Na jarmarek musiały pojechać, abo co? — myślała, baczniej się jeszcze rozglądając po chałupach.

Wójtowe stodoły żółciły się nowem drzewem z pośród sadów bezlistnych, a Gulbasowa chałupa, obok stojąca, miała oberwane poszycie, że łąty dachu widać było kiej te żebra nagie.

— Wiatry zerwały, ale wałkoniowi nie chciało się naprawić! — mruczała.

Wpodle zaś Pryczki siedziały w starej pokrzywionej chałupinie, z powybijanych szyb wyzierały słomiane wiechcie.

A oto i sołtysowa chałupa, szczytem do drogi, na starą modę.

Za nim tuż Płoszków dom, na dwie strony zamieszkany.

Potem Balcerków posiedzenie: poznałaby nie wiem gdzie, bo dom był znaczny, że to dzieuchy

popstrzyły wapnem szare ściany i pofarbowwały ramy okien na niebiesko.

A tam znów, w szerokim, starym sadzie rozsiadły się Boryny, pierwsze gospodarze i bogacze lipeckie. Słońce jeno grało w czystych szybach; ściany jaśniały jakby z nowa pobielone; obejście było obszerne, budynki w rząd stawiane, a proste i tak galante, że niejeden i chałupy takiej nie miał, płoty całe i wszystko w takim porządku, kieby u jakiego Olendra na koloniach a lepiej nie było.

A dalej dom Gołębiów.

I inszych, które wszystkie jako ten pacierz na pamięć wiedziała. Ale wszędy jednako było cicho pusto, jeno w sadach czerwieniły się pościele wietrzne i różny przyodzievek, a jeno gdzieś niegdzie uwijały się porozdziewane do koszul kobiety, przy kopaniu grządek.

W zacisznych miejscach sadów, kapuściane wysadki już puszczały zielone warkocze z ognitych łbów, to zaś pod ścianami one lilije wyrastały z szarej ziemi blademi kłami, rozsady wschodziły pod przykrywą tarniowych gałązek, drzewa stały w nabrzmiąłych, lepkich pąkach, a wszędzie pod płotami burzyły się pokrzywy i chwasty różne i krze agrestowe, obwiane były jasną, młodziuchną zielenią.

A choć to i najprawdziwsza zwiesna siała się prosto z nieba i tętniąca była w każdej grudce

ziemi napęczniałej, a tak jakoś smutnie się widziało w Lipcach, cicho i dziwnie pusto.

— A chłopą to ni na lekarstwo nigdzie. Nic, jeno na sądy poszły, albo na zebranie je zwołały.

Tłómaczyła tak sobie, wchodząc do kościoła, otwartego naroścież.

Po mszy już było, dobrodziej spowiadał w konfesjonale, kilkanaścioro ludzi z dalszych wsi siedziało w ławkach w cichości a skupieniu, że jeno chwilami ciężkie wzdychy rwały się na kościół, albo to jakie słowo pacierza głośniejsze.

Od lampki płonącej, uwieszonej na sznurze przed wielkim ołtarzem, wlekły się pasma dymów niebieskawych ku wysokim oknom, przez które padało słońce; za szybami ćwierkały wróble, fruując niekiedy pod nawami ze żdźbłami w dziobach, a czasem jaskółki wpadały ze świegotem przez wielkie drzwi, pokołowały błędząco w cichościach i chłodach murów, i uciekały chyżo na świat jasny.

Zmówiła jeno krótki pacierz, tak już było jej pilno do Kłębów, ale przed kościołem zaraz spotkała się oko w oko z Jagustynką.

— Jagata! — krzyknęła tamta z wydziwem niemalym.

— Dyc żywie jeszcze, gospodyni! żywie! — Chciała ją w rękę pocałować.

— A powiedali, żeście już nogi wyciągnęli gdziesik w ciepłych krajach... Ale wama ten letki chleb Jezusowy na zdrowie nie poszedł, bo coś

mi na księżą oborę patrzycie... — mówiła, szydl-
wie ją rozglądając.

— Wasza prawda, gospodyni... a tom ledwie
już dowlekła kosteczki... dojdę se już pomaluśku
a wrychle, dojdę...

— Do Kłębów śpieszycie?

— A gdziebym to szła. Krewniaki przeciech...

— Radzi was przyjmą, torbeczki dygujecie
niezgorsze, a jakiś grosz też być musi w supeł-
kach, to juści, że chętnie przypuszczą waju do
krewniactwa.

— Zdrowi-bych są? nie wiecie? — markotne
jej były te przekpinki.

— Zdrowi... jeno Tomek, że słabował ździebko,
to się teraz lekuje w kreminalu.

— Kłab! Tomasz! Nie powiedajcie, bo mnie
nie do śmiechu!

— Rzekłam, a dołożę, że nie sam siedzi, a z do-
brą kompanią, bo z całą wsią... I morgi nie po-
mogą, kiej sąd przyskrzybnie drzwiami a okratuje.

— Jezus Marya Józefie święty! — jęknęła jako
słup stając w zdumieniu.

— Bieźcież rychlej do Tomkowej, to się tam
napasiecie nowinkami barzej drujkami niżli miód.
Hi, hi! świętują se chłopcy aż miło! — zaśmiała
się urągliwie, a złe jej oczy strzeliły nienawiścią.

Agata powlekła się ogłuszona, nie mogąc je-
szcze uwierzyć w słyszane, spotkała kilka znajo-
mych kobiet, które ją przywitały dobrem słowem,
zagadując o tem i owem, ale jakby nie słyszała

pogwary, rozdygotana w sobie strachem coraz zjadliwszym, że już z umysłu przywalniała, bych jeno opóźnić sprawdzenie tych nowin piekących. Długo siedziała pod sztachetami plebanii, bezmyślnie patrząc na księży dom. Na ganku stał bociek na jednej nodze i jakby naglądał psów, baraszkujących po żółtych uliczkach ogrodu, a Jambroży z dziewczką okładali nową darnią boki klombu, którego się już rudział kieby szczotką żelazną, temi młodem chlustami kwiatów przeróżnych.

Dopiero wzmógłszy się na siłach, chyłkiem ruszyła w opłotki Kłębowego domu, stojącego tuż w rząd z plebanią.

Z dygotem juści szła, czepiając się płotów i latając przetrwożonemi oczyma po sadzie i chałupie, siedzącej w głębi, ale jeno krowy pod oknami chlipały głośno z cebratek, sień wywarta była na przestrzał, że dojrzała maciorę z prosiętami, wylegujące się w błocie podwórza, i kury, pilnie grzebiące w gnoju.

Podjąwszy próżną już cebratkę, bo śmielej było jej z czemścić w garści wejść, wsunęła się do wielkiej, mrocznej izby.

— Niech będzie pochwalony! — ledwie wykrztusiła.

— A na wieki! Kto tam? — ozwał się po chwili zajękliwy głos z komory.

— Dyc to ja, Agata! — Jezus, jak ją spierało pod pierśiami!

— Agata! Widzieliście-no, moi ludzie! Agata! —

gadała prędko Kłębowa, ukazując się na progu z pełną zapaską piszczących gąsiąt, stare zaś z sykiem i gęgotem dyrdały za nią. — No to chwała Bogu! A powiadali ludzie, jakoście jeszcze na gody pomarli, nie wiada było ino kaj, że nawet mój zbierał się do kancelaryi na przewiady. Siadajcież... strudzeni pewnikiem jesteście. Gęsi się ano legną...

— Pieknie się wywiedły, kiej ich aż tyle!

— A będzie kopa bez mała, przez pięciu. Chodźcie przed dom, bo trza ich podkarmić i przypilnować, aby stare nie stratowały.

Wybrała je starannie z zapaski na ziemię, iż zaroiły się kiej te żółciuchne pępuszki, a stare jęły radośnie gęgotać a wodzić nad niemi dziobami.

Kłębowa wyniesła na deseczce posiekanego jajka wraz z pokrzywami i kaszą i przykucnęła przy nich, pilnie bacząc, bo stare kuły w drobiazg, tratowały i kradły jedzenie, jak ino mogły, rejwach czyniąc krzykliwy.

— Siodłate wszystkie będą — zauważyła, siadając na przyzbie.

— Juści, a z wielkiego gatunku. Organiścina odmieniła mi jaja, że trzy swoje dawałam za jedno... Dobrze, iżeście już ściągnęli do chałupy... roboty tyle, że niewiada gdzie przódzi pazury zacześcić.

— Zaraz się wezmę do roboty, zaraz... jeno

mocy nieco nabierę.. chorzałam i całkiem się wy-
zbyłam z sił.. ale niechaj ino wydycham... to
zaraz...

I chciała się podnieść, chciała iść... by się
wziąć za robotę jaką, ale chudzina jeno się potoc-
zyła na ścianę i z jękiem padła.

— Do cna, widzę, zwątleliście, nie do roboty
już wama, nie! — rzekła ciszej, rozpatrując jej
twarz siną, obrzękłą i dziwnie pokurczoną postać.

Zakłopotala się tym oglądem i stropiła, że nie
tylko wyreki mieć z niej nie będzie, ale gotów
się jeszcze kłopot nawiązać.

Snać przeczuła to Agata, bo się lękliwie, prze-
praszaćco ozwała:

— Nie bójcie się, nie będę waju zawałała
miejsca, ni cisnęła się do miski, nie, wydychne se
ino i pójdę... chciałam jeno obaczyć wszystkich...
popytać... ale se pójdę... — Łzy cisnęły się do oczu

— Nie wyganiem was przeciech, siedźcie,
a woła wasza będzie iść, to se pójdziecie...

— A kaj to chłopaki? pewnikiem w polu
z Tomkiem? — zapytała wreszcie.

— To nic nie wiecie? Adyc wszystkie w kre-
minale!

Agata jeno ręce spletła w niemym krzyku bo-
leści.

— Powiedziała mi już to słowo Jagustynka,
jeno uwierzyć nie mogłam.

— Najczystsza prawdę wam rzekła, tak ci
jest, tak!

Wyprostowała się na te wspominki, a po wynędzniałej twarzy posypały się ciężkie łzy.

Agata patrzała w nią, jak w obraz, nie śmiejąc już dopytywać.

— Mój Jezu! Sąd ci tu był we wsi ostateczny, kiej ano wzięli wszystkich i do miasta powiedli, ostatnia godzina, powiadam wam, że dziw, jako żywię jeszcze i ten dzień jasny oglądam! A to już jutro będzie całe trzy tygodnie, a mnie się widzi, jakby to wczoraj się stało. Ostał jeno w chałupie Maciek, wiecie, i dzieuszyska, które teraz gnój powieźły w pole, i ja sierota nie-szczęсна!

— A poszły! ścierwy... to własne dzieci traktują, jako te świniel — krzyknęła naraz na gęsi: — Pilusie, pilu, pilu, pilu!

Nawoływała gąsięta, bo całem stadem, z matkami na czele, ruszyły w opłotki.

— Niech się zabawią, gap nikaj nie widać, przypilnuję baczenie.

— Ruchać się nie możecie, a gdzie wam za gąsiętami biegać!...

— Już me ździebko chorość odeszła, skorom jeno w te progi stąpiła.

— To pilnujcie... narządę wama co jeść... a może mleka uwarzyć?

— Bóg wam zapłać, gospodyni, ale sobota to ci wielkopostna, to z mlekiem jeść mi się nie godzi... wrzátku dajcie jaki garnuszek, chleb mam, to sę wdrobię i pojem galanto.

Jakoż Kłębowa wnet jej przyniesła osolonego wrzątku na miseczce, w któren stara wdrobiła chleb i pojadała zwolna, dmuchając w łyżkę, a Kłębowa zaś przysiadła w progu i, oganiając oczyma gąsięta, skubiące pod płotami, znowu powiedała:

— O las poszło. Dziedzic sprzedał go kryjomo przed Lipcami Żydom. Jeli go wnet rąbać! Krzywda była taka i sprawiedliwości znikąd, to i co miały począć? do kogo iść ze skargą? A do tego zawziął się na cały naród, że ni jednego komornika ze wsi do roboty nie zawołał. Zmówili się też i całą wsią poszli swojego bronić, ile ino narodu było. Powiedali, że wszystkich karać nie pokarzą, jeśliby na to przyszło, ale nikt o tem nie pomyślał, bo jakże? za co to mieli karać? przeciech o swoje jeno zabiegali. Poszli do poręby, pobili rębaczów, że po dobrej woli nie ustąpili, pobili dworskich i wszystkich ano z boru wygnali... Na swoim postawili, a po sprawiedliwości, bo póki z lasu nie wydzielą, co jest czyje, ruchać go nikt prawa nie ma. Ale się dużo przystem pomarnowało naszych, starego Borynę przywieźli z rozłupaną głową: Borowy-ci go tak uszlachtował, a tego-ci znowuj Antek Boryniak zakatrupił za ojca.

— Jezus! zakatrupił, na śmierć?!

— Na śmierć, a stary do dzisiaj ano choruje i bez rozumu zgoła leży, juści, on najbardziej ucierpiał, ale i drugie też niemało: Szymek Domi-

nikowej miał przetrącony kulas, Mateusz Gołąb był tak pobity, że go aż przywieźć musieli, Płoszce Stachowi rozwalili łeb, a drugim dostało się też dosyć, że i nie spamiętać co i komu! Nikto się tem zbytnio nie frasował, ni narzekał, bo swoje okazali, wrócili też bujno, ze śpiewami, kiej po tej wojnie wygranej, całą noc w karczynie z uciechy pili, a barzej pobitym gorzałkę do chałup nieśli.

A na trzeci dzień jakoś, w niedzielę, śnieg padał mokry, i zrobiła się taka plucha od samego rana iż trudno było nosa wyścibić na dwór. Zbieraliśmy się właśnie do kościoła iść, kiedy Gulbasowe chłopaki poczęły na wsi krzyczeć: »Strażniki jadą!«

Jakoż może w pacierz przyjechało ich ze trzydziestu, a z niemi urzędniki i cały sąd, rozłożyli się na plebanii. No, że już i nie wypowiem, co się działo, kiej zaczęły sądzić, wypytywać, zapisywać, a naród po kolei brać pod stróżę... Nikto się nie opierał, każdy pewny był swojego, a wszystkie kiej na spowiedzi przyświadczały i prawdę szczerą mówili. Dopiero pod wieczór skończyli, i chcieli zrazu całą wieś, wraz ze wszystkimi kobietami brać, ale podniósł się taki krzyk a ten płacz dzieciński, że chłopcy już się za kółkami oglądali... Dobrodziej musiał cosik przełożyć starszym, że nas poniechali, nawet Kozłowej, silnie wygrażającej wszystkim, nie wzięli, chłopów jeno samych zabrali do kreminalu, Antka zaś Borynowego w postronki przykazali wiązać!

— Jezus! w postronki przykazali wiązać!

— I związali, ale porwał ci je, kiej te nicie nadgnię, aż się przelękły wszystkie, bo wydał się, jakby mu dur do łba przystąpił, albo i zły opętał, a on stanął przed niemi, a w oczy im rzekł:

— Skujcie mię mocno w kajdany i pilnujta, bo wszystkich zakatrupię i sobie co złego zrobię...

Tak się ano zapamiętał, że mu ojca zabili, sam ano ręce podał w żelaza, sam nogi nastawił i tak go powieźli...

— Jezu mój miłościwy! Maryja! — jęczała Agata.

— Widzę zawdy i do samej śmierci nie zabaczę, jak ich brali...

— Wzieni mojego z chłopakami... wzieni Płoszków...

— Wzieni Pryczków...

— Wzieni Gołębiów...

— Wzieni Wachników...

— Wzieni Balcerków...

— Wzieni Sochów...

— ... a tyła jeszczech drugich wzieni, że więcej niżli pięćdziesiąt chłopca popędzili do kreminalu...

Że i rozum ludzki nie poradzi wypowiedzieć, co się tutaj działo... jakie płacze się krwawiły, tych wrzasków lamentliwych... ni tych przekleństw strasznych.

A tu zwiesna nadeszła, śniegi rychło spłynęły, role podeschły, ziemia aż się prosi o obróbkę,

czas na orki, czas na siewy, czas na wszystkie roboty, a robić niema kto!

Wójt jeno ostał, kowal i tych kilku staruchów ledwie się ruchających, a z parobków jeden ino głupawy Jasiek Przewrotny!

A tu i czas przychodzi rodów, że już poniektóre zległy, krowy się też ciela, łągi wszędzie, o chłopach też trza myśleć i podwozić im to pożywienie, to grosz jaki, albo i tę czystą koszulę, a roboty innej tyła, że już i niewiada za co się przódzi brać, samym przeciech nie uradzi, a najemnika dostać nie można po drugich wsiach, boć kuźden sobie przódzi obrobić musi...

— Nie puszczą ich to rychło?

— Bóg ta wie kiedy! Jeździł do urzędu ksiądz, jeździł i wójt, i powiedają, że kiej śledztwa skończą, to ich popuszczają, że to sądy mają być później, ale już trzy niedziele przeszło, a jeszcze ni jeden nie wrócił. Rocho też we czwartek pojechał dowiadywać się.

— Boryna żywie to jeszcze?

— Żywie, jeno ledwie dycha i do rozumu nie przychodzi, jako ten klocek leży... Zwoziła Hanka dochtorów, to znających się, nic nie pomaga...

— Juści, pomogą tam dochtory, gdzie chto na śmierć chory!

Zmilkły, wyczerpane wspominkami. Kłębowa zapatrzyła się wskroś sadu, na daleką topolową drogę, wiodącą do miasta i popłakiwała z cicha, nos ciągiem ucierając...

Potem zaś, krzątając się pilnie kiele narządzenia obiadu, opowiadała zwolna wszystko, co się stało we wsi przez zimę, a czego Agata zgoła nie wiedziała.

Aż stara rozpletła ręce i pochyliła się ku ziemi ze zgrozy i zdumienia, bo te nowinki kiej kamienie spadały na nią i przejmowały duszę taką zgryzotą i bólem, że chlipać cicho poczęła.

— Mój Boże, tam we świecie ciągiem myślałam o Lipcach, ale żeby takie sprawy się działy, to mi nawet i do rozumu nie przychodziło... a tom nawet póki życia długiego i nie słyszała o podobnem! Złe się tutaj osadziło na dobre, czy co?

— Juści, że jakby na to przychodziło!

— A może jeno dopust Boży za złość ludzką i grzechy!

— Pewnie, że nie inaczej. Pan Jezus karze choćby za takie śmiertelne grzechy, jako to Antka z macochą. Nowe zaś przewiny idą, stają się na wszystkich oczach!...

Już Agata bojała się rozpytywać o więcej, tylko podniosła roztrzęsioną rękę i jęła się śpiesznie żegnać, pacierz mamląc gorący!

— Niestety takie padło na cały naród i Boryna też leży bez duszy, a powiedają, — ściszyła głos, obzierając się strachliwie — jako Jagusia już się na dobre z wójtem sprzegła... Nie stało Antka, brakło Mateusza, brakło i drugih parobków, to dobry pierwszy z brzegu, byle jeno

wygodził... O świecie, świecie!... — jęknęła, załamując ręce ze zgrozy.

Stara się już nie ozwała, poczuła się znagła utrudzoną i tak przejętą temi nowinkami, że powlekła się do obórki wypoczywać.

Dopiero o samym zachodzie dojrzeli ją wlekącą się na wieś do znajomków, powróciła zaś kiej już u Kłębów siedzieli przy wieczerzanych miskach.

Łyżka na nią czekała i miejsce, juści nie pierwsze, ale zawsze nie ostatnie, bo przy Kłębowej, jeno że pojadała mało wiele, kiej to dzieciątko przebierne, pogadując z cicha o świecie, to o tych odpustowych miejscach, które była schodziła, aż się nie mało temu nadziwowali.

Zaś kiej już noc zapadła, że nawet i zorze grające po szybach przygasły i wieś do cna ogłuchła, zapalili w izbie światło i jęli się zwolna do snu sposobić, wtedy Agata wyniesła swoje torbeczki pod światło, wyjmując zwolna różne różności, jakie przyniosła.

Otoczyli-ci ją zwartem kołem, tając przydechy i dziw jej nie zjadając rozgorzałemi oczyma.

A ona najpierw po obraziku poświęcanym rozdała każdemu, potem zaś sznury paciorków dziewczuchom, a tak pięknych, że ino grały farbami, wrzask się bez to uczynił w izbie, tak jedna przez drugą cisnęły się do lusterka, przymierzając, cieszyć się sobą i szyję wzdymać kiej te indory napuszone, a to i koziki sielne, prawdziwie misiar-

skie znalazły się la chłopaków, i cała paczka machorki dla Tomasza, w ostatku i la Kłębowej wyjęła fryzkę szeroką, wzburzoną i kolorową nicią obdzierganą, że gospodyni aż wręcz plasnęła z wielkiej kontentności...

I wszyscy radowali się niemało, nie raz i nie dwa oglądając te śliczności i ciesząc oczy podarunkami, a ona rada wielce, z niemałą lubością powiedała, co ile kosztuje i gdzie to kupione.

Długo w noc przesiedzieli, poredzając jeszcze o nieobecnym.

— Aż strach za grdykę łapie, tak cicho na wsi! — zauważyła w końcu Agata, gdy przymilkli i opadło ich głucho, martwe milczenie. — Gdzie to po inne roki, w tym zwieszonym czasie, to aż się wieś trzęsła od wrzasków i śmiechów!...

— Bo jako ten grób otwarty widzi się cała wieś, że jeno kamieniem przywalić i krzyże postawić... że nawet pacierza nie będzie miał kto zmówić, ni na mszę dać... — potwierdziła smutnie Kłębowa.

— Prawda! Pozwolicie, gospodyni, tobym ano na górkę poszła, kości me bolą po drodze i oczy już śpić morzy.

— A śpijcie, gdzie wama do upodobu przylegnąć, miejsca nie brakuje.

Stara wnet pozbierała sakwy i jęła się w sionce skrobać po drabce, gdy Kłębowa zaczęła mówić za nią przez wywarte drzwi:

— Hale! małym nie zabaczyła wama powie-

dzieć, że wzięlim waszą pierzynkę ze skrzyni... Marcycha chorzała w zapusty na krosty... ziąb był taki, przyodziać nie było czem... tośwa se pożyczyli od waju... pierzyna już wywietrzona i choćby jutro a zaniesie się ją na górę...

— Pierzynę... wasza wola... juści, kiej było potrza... juści...

Chyciła ją tak cosik za gardziel, że urwała; dowlekła się poomacku do skrzyni, przykucnęła i podniósłszy wieko, jęła śpiesznie drżącemi rękoma błądzić i obmacywać swoje wiano śmiertelne...

Juści... pierzyny nie było... a nową całkiem ostawiła... w czystem obleczeniu... ni razu nie używaną... dyć ją z tych należnych piórek po pastwiskach uścibała... byle mieć na tę ostatnią skonaną godzinę...

A wzieni ją... wzieni...

Płacz ją taki chycił, żałościwości pełen, że dziw jej serce nie pękło.

I długo pacierz mówiła, łzami go polewając gorzkiemi, długo płakała i boleśnie a cichusko skarżyła się Jezusowi kochanemu na krzywdę swoją...

Noc musiała już być duża, bo ano kury pięć zaczynały na północek, albo i na odmianę.

II.

Nazajutrz była Palmowa Niedziela.

Jeszcze dobrze przed słońcem, ale już o dużym dniu, wyjrzała z Borynowej chałupy Hanka, w wełniak jeno przyodziana i jakąś chuścinę, że to ziąb był na świecie galanty.

Zajrzała aż za opłotki, na drogę czarniawą, rosami opitą, a gdzieniegdzie oszroniałą. Pusto było jeszcze i ni znaku życia, świt jeno skrzył się suchy i przyodziewał zmartwiałe czuby drzew w modre obleczenia, zaś resztki nocy czaiły się strachliwie pod płotami.

Powróciła na ganek i z trudem przyklękawszy, że to leda tydzień spodziewała się rodów, jęła mówić pacierz, błędząc po świecie zaspanemi oczyma.

Dzień zaś roznosił się zwolna białawą pożogą, zorze przecierały się kieby przez sito, brzaskami osypując wschodnią stronę, która podnosiła się coraz wyżej, niby ten złoty baldach nad promieniejącą już, ale jeszcze nie widną monstrancyą.

Że zaś przymrozek był z nocy, to płoty, mostki, dachy i kamienie polśniewały szronem, a drzewa stały kiej chmury przebielone.

Wież jeszcze spała w przyziemnych mrokach utopiona, że jeno poniektóre chałupy bardziej przy drodze wyłupywały się nieco jaśnią bielych ścian, zaś, po omglonej gładzi stawu, wlekły się długachne, czarniawe pasma prądów, jakoby szkliwa tężejące.

Młyn gdziesik hurkotał bez przestanku, a jakaś niewidna rzeczka mrowiła się po kamieniach cichuśkiem, przytajonem bełkotaniem.

Kokoty piałły już na umor i ptaszyny różne zgwarzały się z cicha po sadach, jakoby w tym pacierzu społecznym, kiej Hanka przecknęła, śpij ją ano zmorzył i strudzone, niewywczasowane kości ciągnęły pod pierzynę, ale się nie dała, szronem przetarła oczy i znalazłszy to zagubione słowo pacierza, poszła w podwórze, naglądać chudoby, a budzić śpiące.

Najpierw wywarła drzwi do wieprzka, któren usiłował na przednie kulasy się zwlec, ale, że spaśny był wielce, zwałił się na gruby zad i jeno chrząkającym ryjem wodził za nią, gdy mu żarcie przegarniała, dorzucając niecoś świeżego.

— Portki tak ciężą, że ci i na kulasy nie łącno; jak nic, ma na cztery palce słoniny. — Obmacała mu boki z lubością.

Otworła potem do kur, porzuciwszy przed progiem, na przynętę, świńskiego jedzenia przygar-

ścią, że sfruwały z grzęd skwapliwie, koguty zaś piał wzięły rozgłośnie.

Gęsi, zawarte pobok, przyjęły ją gęganiem i sykami; wygnała precz gęsiory, iż wnetki wojnę uczyniły z kurami, a zaczęła wyciągać z pod matek, siedzących w gniazdach, jaja i przepatrywać je pod światło.

— Leda godzina kluc się będą — myślała, nasłuchując cichego, ledwie odczutego dziobania w jajach.

Rychtyk i Łapa wylazł z budy, kiej szła ku stajni, przeciągnął się a ziewał, nie bacząc na syczące nań gąsiory.

— Hale! próżniaczysko, niby parob noc przesypia, coby stróżował!

Pies pomachał ogonem, szczeknął radośnie, buchnął przez kury, aż się pierze posypało, i dalejże drzeć się do niej, skakać do piersi, a polizywać ręce, że rada nierada, pogłaskała go po łbie.

— Drugi człowiek a tak czujący nie będzie, jako to stworzenie. Miarkuje jucha gospodarza! — Wyprostowała się ździebko, wodząc oczyma po oszroniałych dachach, bo jaskółki, siedzące rzędem na kalenicy, zaświegotały piściwie.

— Pietrek! Dzień ano kiej wół! — zakrzyczała, bijąc pięścią we drzwi stajni, a posłyszawszy mruczenie, i odsuwanie zawory, wywarła drugie zaraz drzwi do obory.

Krowy leżały rzędem przed żłobami.

— Witek! A to śpi pokraka, kiej po weselu!

Chłopak się wraz przebudził, skoczył z pryczy i jął pośpiesznie wciągać portczyny i cosik marmotać strachliwie.

— Przyrzuc krowom siana, by przejadły do udoju, i zaraz przychodź skrobać ziemniaki. A Łysuli nie dawaj, niech ją sama pasie — dodała twardo, bo była to krowa Jagusi.

— Tak ją pasą, aże krowa ryczy i z głodu słomę z pod siebie wyjada.

— A niech zdycha, nie moja strata! — szepnęła zawzięcie.

Witek jeszcze tam cosik mruknął, ale skoro wyszła, gruchnął się wpoprzek barłogu z obertelkiem w garści, byle jeszcze z pacierz zdrzemać.

Hanka zaś poszła jeszcze do stodoły, gdzie na klepisku okryte słomą leżały ziemniaki, przebie-rane do sadzenia, i zajrzała pod szopę, kędy składali wszelki sprzęt gospodarski. Łapa wyskakiwał przed nią, co chwila zbaczając do gęsiarów i wojnę z niemi czyniąc, aż wszystko obejrzawszy bacznie, czy jakiej szkody z nocy niema, jak to czyniła co dnia, polazła do przełazu, wyrzec w pola, na oziminy.

Zaczęła znowu mówić przerwany pacierz.

Słońce też już wstało, wskroś sadów powiała wichura płomieni, że szrony się zaiskrzyły i rosy jęły skapywać z drzew; wiaterek też się poruszył i gmerał cichuśko w gałęziach, skowronki dzwoniły coraz rzęśściej, a we wsi, na drogach, czy-

nił się ruch, słyhać było chlustanie wody przy nabieraniu ze stawu wrótnie kajś niekajś darły się zardzewiałe, to gęsi gdziesik krzyczały, i pies naszczekiwał, abo i głos ludzki rozbrzmiewał w porankowej cichości.

Wieś się budziła później ździebko, że to niedziela była i kaźden rad dłużej wylegiwał pod pierzyną spracowane kości.

Hanka na nic nie baczyła zstępując w siebie, w te różne myśle, jakie ją oprzędły, że pacierz jeno wargami mówiła, daleko od niego duszą i cała we wspomnieniach utopiona.

Podniosła ciche, opite radością oczy na pola szerokie, zawarte ścianą dalekiego lasu, po którym rozlewały się płomienie wschodu, iż z pośród modrawych gąszczów wybłyskiwały bursztynowe, grubachne chojary; zaś wszystkie ziemie jakoby drgały w złotych, budzących brzaskach; ozime zboża, mokrą, zielonawą wełną otulały zagony, a kajś niekaj po brózdach lśniły się poniki wody, kiej te srebrne strużyny, niesły się z pól wilgotne, chłodne przydechy wraz z tą świętą cichością wiośnianą, w jakiej to rośnie wszystko, i na świat się jawi...

Nie za tem jednakże patrzała i nie tego.

Jawiły się ano w niej przypominki bied, głody, krzywdy, Antkowe przeniewierstwa, bóle kiej góźdz raniące, i tych smutków i utrapień tylachna, że aż ją dziw brał, jako to poredziła przemoc i prze-

mogła, i doczekała się, że oto Pan Jezus przemienił wszystko na lepsze...

Przeciech na gospodarce jest znowu, na ziemi.

A kto mocen jest wyrwać ją stąd? Którén poredzi!

Zmogła już tyła, przecierpiała bez te pół roku, że drugi człowiek bez całe życie nie przecierpi, to udźwignie co ta na nią Panu Jezusowi spuścić się spodoba, wydzierży i doczeka się Antkowego ustatkowania i że te ziemie będą ich na wieki.

Trzy niedziele całe, a jej się widzi, jakoby to wczoraj się stało, kiej chłopcy szły na las...

Nie poszła z inszemi, bo ano w jej stanie, ciężko było i nieprzezpiecznie...

Turbowała się jeno o Antka, bo zaraz jej rzekli, jako z narodem się nie złączył i nie poszedł; rozumiała, iż to na złość staremu zrobił, a może i la tego, by się w ten czas gdzie z Jagusią zwieść...

Żarło ją to, ale wypatrywać go przeciech nie poszła.

Aż tu przed samym południem przylatuje Gulbasiak i wrzeszczy:

— Pobilim dworskich! pobilim! — i kiej wściekły pognał dalej.

Zmówiła się z Kłębową i poszły naprzeciw. Dominikowej chłopak nadbiegał i już zdala krzyczy:

— Boryna zabit, Antek zabit, Mateusz i drugi!... — zatrzepał rękoma, cosik zamamrotał i padł,

że trza mu było nożem zęby ozwierać, by wlać wody, tak go ścisnęło z utrudzenia.

A jej wtedy dusza ze strachu zakrzepła na ten lity kamień.

Szczęściem, że nim jeszcze chłopaka docucili, wywalili się z boru na drogę i powiedali, jak było, a może w pacierz, sama już dojrzała przy ojcowym wozie Antka żywego: jako trup był siny, okrwawiony, zgoła nieprzytomny.

Juści, że ją płacz chwycił i boleść ozdierała, ale się przemogła, ile że ją ociec, stary Bylica, odciągnął na bok i cicho powiedział:

— Stary wnet zamrze, Antek o Bożym świecie nie wie, a w Borynowej chałupie nikogój, jeszcze się kowal tam wniesie, i nikto go już nie wygoni!..

Zmiarkowała rychło, że w dyrdy poleciała do chałupy, zabrała dzieci i co było na podorędziu ze szmat, resztę zaś zdała na Weronczyną opiekę i przeniosła się chybikiem na dawne miejsce, po drugiej stronie Borynowej chałupy.

Jeszcze Borynę opatrywał Jambroży, jeszcze ludzie byli się nie rozeszli, jeszcze cała wieś wrzała uciechą, a gdzie jękami pobitych, a ona cichusko się wniesła i osiadła na amen.

A stróżowała pilnie: toć Antkowy też był gront, a stary ledwie zipał i mógł leda pacierz wyciągnąć kulasy.

Wiadomo przecież, iż któren pierwszy dopa-

dnie dziedzictwa i wczepi weń pazury, to i nie-
łacno go oderwać, i prawo za sobą będzie miał.

Co jej tam znaczyły kowalowe krzyki a gro-
źby, któremi jej bronił wstępu, srodze zgniewany,
iż go uprzedziła!

Pytać się to miała kogój o przyzwolenstwo,
chyciła się ziemi, a jak ta suka warowała i bro-
niła swojego, pewna rychłej śmierci starego, i że
Antka wezmą. bo ją był o tem uprzedził Rocho.

To i komu się to miała oddać w opiekę? Kiej
wiadomo, że jak się sam człowiek nie przyłoży,
to mu i Pan Jezus nie dołoży.

Nie płaczem i skamlaniem dochodzi się swego,
a jeno temi kwardemi nieustępliwemi pazurami —
wiedziała ci ona już o tem, wiedziała!

Więc choć i Antka wzieni,*uspokoila się ry-
chło, bo co poredzisz przeciw doli, człowieku?
czem się oprzesz, kruszyno?

Gdzie zaś to był i czas na długie lamenty
i wyrzekania, kiej tylachne gospodarstwo wzięła
na swoją głowę!

Przeciech sama ostała, kiej ten kierz na roz-
drożnem wywieisku, jeno że się nie cofnęła przed
robotą, ni ludzi nie ulękła. A przeciwko niej była
Jagna; byli kowalowie, zawzięci na nią, że niech
Bóg broni; był wójt, któren był swoje zamysły
na Jagnę powziął i bez to sielnie się nią opieko-
wał; był nawet Dobrodziej, rychtowany nasprze-
ciw przez Dominikową.

Tyle że jej nie przemogli, nie dała się nicze-

mu, co dnia głębiej wrastając w ziemię i krzepiej dzierżąc w garściach rządy, iż ledwie po dwóch niedzielach, a już wszystko szło jej wolą, rozumem a mocą.

Ona zaś ni dojadła, ni dospała, ni wypoczęła, harując nikiem ten wół w jarzmie od świtania do nocy późnej.

Jeno, że to niezwyčajna była ni takiej pracy, ni stanowienia o wszystkim swoją głową, a wielce z natury nieśmiała i przez Antka zahukana, to jej tak ciężko nieraz przychodziło, aż ręce opadały.

Ale krzepił ją strach, by z gospodarki nie wysadzili, a i ta zawziętość przeciw Jagnie.

Zresztą z czego ta jej moc szła, to szła, dość, że się nie dała, urastając we wszystkich oczach na niemały podziw i uważanie.

— A to! przódzi się widziała, jako trzech nie zliczy, a teraz ci już za dobrego chłopą stanie — powiedały o niej co najpierwsze we wsi gospodynie, że nawet Płoszkowa i drugie rade przyjaźnielstwa z nią szukały, chętnie wspomagając dobrem słowem i czem jeno mogły.

Juści, że wdzięcznem sercem przyjmowała, nie stowarzyszając się jednak zbyt i nie ciesząc z ich łask, bo niełacno zapominała krzywd niedawnych.

Nie lubiła pleść bele czego, to i nie potra jej było sąsiedzkich ugwarzań, ni tego w opłotkach wystawania la obmowy.

Mało to swoich miała frasunków, bych się jeszcze cudzem turbować!...

Właśnie wspomniało się jej o Jagnie, z którą wiedła zażartą, milczącą i nieustępliwą wojnę, o Jagusi, której samo przypomnienie było jako to żgnięcie w serce, że i teraz poderwała się z miejsca, żegnając się śpiesznie a bijąc w piersi na dokończenie pacierza.

Zeżliła się jeszcze bardziej, iż w chałupie spali, a i w podwórzu było cicho.

Skrzyczała Witka, spędziła z barłogu Pietrka, dostało się przytem i Józce, że słońce na chłopca, a ona się wyleguje.

— Jenó z oka spuścić na ten pacierz, a wszystkie po kątach śpią!

Mamrotała, rozpalając ogień na kominie.

Wywiedła dzieci na ganek i wetknąwszy im po glonku chleba, przywołała Łapy, by się z niemi zabawiał, a sama poszła zajrzeć do Boryny.

Ale na ojcowej stronie było jeszcze całkiem cicho, że ze złością huknęła drzwiami; nie przebudziło to Jagny, stary zaś tak samo leżał, jak go była ostawiła wieczorem: na pasiato-czerwonej pościeli leżała jego sina, obrośla twarz, wychudła i tak zmartwiała, że podobien się stał do onych świątków w drzewie rzezanych; otwarte szeroko oczy patrzyły przed się nieruchomo, nic zgola nie widzące, głowę miał owiazaną szmatami, a rozwiedzione szeroko ręce zwisały martwo, kiej te nadrąbane gałęzie.

Poprawiła mu pościeli, strzepując pierzynę bardziej na nogi, że to gorąco było w izbie, a potem nalewała mu po żdziebku do ust świeżej wody: pił zwolna, aże mu grdyka chodziła, ale się nie poruszył; leżał wciąż, kiej ta kłoda zwalona, jeno w oczach zaświeciło mu cosik, jak kiedy rzeka z pod nocy się przetrze i rozbłyśnie na jedno oczymgnięcie.

Westchnąwszy nad nim żałośnie, trzasnęła znówu trepem w wiaderko, ciskając rozsrożonemi oczyma po śpiącej.

Ale Jagusia i tak nie przecknęła; leżała ano na bok, twarzą na izbę, pierzynę snadź z gorąca zepchnąwszy do pól piersi, że ramiona i szyja leżały nagie, zrumienione i żdziebko ruchające się w cichem dychaniu: przez rozchylone, wiśniowe wargi, lśniły się jej zęby, kiej te paciorki najbielsze, a rozplecione włosy burzyły się po białej poduszce, spływając aż na ziemię, kiej ten len najczystszy, w słońcu wysuszony.

— Zedrzeć ci ino pazurami tę gębusię, a nie wynosiłabyś się urodą nad drugiel — szepnęła Hanka z taką nienawiścią, aż ją w sercu zakłuło i same palce się sprężyły do darcia, ale bezwoli nie przyglądała sobie włosy i zajrzała w lusterko, wiszące na okiennej ramie; cofnęła się jednak prędko, dojrzawszy swoją twarz wynędzniałą, pokrytą żółtymi plamami, i zaczerwienione oczy.

— Niczem się nie umartwi, dobrze się nażre, w cieple się wyśpi, dzieci nie rodzi, to nie ma

być urodna! — pomyślała z taką goryczą, że wychodząc drzwiami trzasnęła, aż szyby zabrzęczały.

Obudziła się wreszcie Jagna. Jenó stary leżał wciąż bez ruchu, wpatrzony przed się.

Leżał już tak całe trzy niedziele, od kielą go z lasu przywieźli. Czasem się jeno jakby budził, Jagny wołał, za ręce ją brał, cosik chciał rzec i znowuj drętwiał, nie przemówiwszy ni słowa jednego.

Już mu i Rocho przywoził z miasta doktora, któren go obejrzał, na papierku cosik przepisał, dziesięć rubli wziął, leki też kosztowały niemało, a rychtyk pomogło tyle, co i te darmowe Dominikowej zamawiania.

Zrozumieli rychło, jako się już nie wylize, i ostawili go w spokojności. Wiadomo jest, że kiej kto na śmierć choruje, to żeby mu już nie wiem jakie leki a doktory zwoził, zamrzeć musi, a ma zaś ozdrowieć, i bez niczyjej pomocy ozdrowieje.

Więc mieli kole niego tyle już jeno starunków, co mu ta często odmieniali na głowie zmoczone szmaty, wody pić podając, albo i żdziebko mleka, bo jeść nie mógł, że mu się to wszystko zwracało.

Miarkowali też ludzie, a najbardziej Jambroży, jako praktyk był wielki, iż jeśli Boryna do roztumu nie przyjdzie, to śmierć będzie miał letką i rychłą. Spodziewali się jej codzień, i nie przy-

chodziła; aż się już mierziło to długie czekanie, boć trza go było pilnować i jaką taką dawać opiekę.

Jagny to było psie prawo doglądać i przy nim dulczyć — cóż kiej nie poredziła i godziny w chałupie wysiedzieć? Stary obmierzył jej do cna, i ciążyła ta ciągła wojna z Hanką, która ją odsuwała od wszystkiego, i pilnowała gorzej złodzieja — to i nie dziwota, że ciągnęło ją na świat, że chciało się jej lecieć na te ugrzane przypołudnia, pomiędzy ludzi, na wolność, to zdawała pilnowanie Jóźce i niesła się niewiada gdzie, iż nie raz dopiero wieczorami wracała...

Józka zaś tyle go jeno doglądała, co przy ludziach: skrzat był to jeszcze głupi a latawiec. Hanka więc i to musiała wziąć na swoją głowę i o chorego dbać, bo chociaż i kowalowie mało dziesięć razy na dzień zaglądali, to jeno po to, by jej pilnować, czy czego z chałupy nie wynosił, a głównie czekali, iż może stary przemówi jeszcze i majątkiem rozporządzi.

Żarli się przytem jako te psy kiele zdychającego barana, i przepierali z warkotem, kto pierwszej chyci kłami za lelita i jaką sztuczkę la siebie wyszarpie; tymczasowie zaś kowal, co ino upatrzył, co mu tylko w pazury wpadło, to porywał, choćby i stary postronek albo kawał deski; z garści trza mu było wyrывать i na każdym kroku pilnować. że dzień nie przeszedł bez kłótni a srogich pomstowań.

Powiadają: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, i prawda, ale kowal umiał wstawać i o północy, lecieć choćby na dziesiątą wieś, jeśli jeno szło o dobry zarobek; chłop był chciwy na grosz i tak zabiegliwy, jak mało któren.

Oto i teraz, ledwie co Jagna z łóżka wylazła i wełniaki na się wdziała, drzwi skrzypnęły, i on się cicho wsunął, prosto idąc do chorego.

— Nie gadał czego? — Zajrzał mu zblizka w oczy.

— Dyc leży, jak leżał! — odburknęła, zbierając włosy pod chustkę.

Bosa jeszcze była, w koszuli, ździebko rozespana i taka urodna, a jakowemś prażącym ciepłem buchająca i lubością, że powiódł po niej zmrużonemi ślepiami.

— Wiecie — przysunął się tuż do niej: — organista wygadał się przede mną, że stary musi mieć sporo gotowego grosza, bo jeszcze przed Godami chciał dać chłopu z Dębicy całe pięćset rubli; o procenta się jeno nie zgodzili. Muszą te pieniądze być schowane gdzie w chałupie... Uważajcie pilnie na Hanke, bo jakby chyciła przed nami, jużby ich ludzkie oko nie zobaczyło... Moglibyście zwolna, kryjomo, przepatrywać wszystkie kąty, jeno by nikto się nie pomiarkował... Słuchacie to?

— Coby zaś nie! — okryła ramiona zapaską, bo jakby ją obmacywał temi złodziejskimi ślepiami.

Przeszedł się kołujący po izbie i niby od niechcienia zaglądał za obrazy, wyszukując przytem pilnie gdzie popadło.

— Macie to klucz od komory? — Łypnął ślepiami na małe, zawarte drzwi.

— A wisi na Pasyjce pod oknem.

— Dłutam mu pożyczył, będzie już z miesiąc, a teraz mi potrzebne, i nikaj go naleźć nie mogę. Myślę, co tam w rupieciach zarzucone...

— Szukajcie sami, ja go wama nie wyślípam.

Odstąpił od drzwi, bo rozległ się w sieni głos Hanki, klucz na miejscu powiesił i za czapkę wziął.

— To jutro poszukam... pilno mi bieżyć do dom... Rocho przyjechał?

— Ja to wiem? Spytajcie Hanki!

Postał jeszcze żdziebko, poskrobał rudych wąsów, a oczy to mu, jak te złodzieje, latały po kątach; zaśmiał się cosik do siebie i poszedł.

Jagna zrzuciła zapaskę i jęła się słania łóżka i drugich uprzętań, rzucając niekiedy przyczajone spojrzenia na męża, i tak zawsze chodziła po izbie, by się nie natknąć na jego oczy, wciąż roz-warte.

Juści, że był jej obmierzły, bojała się go i nie-nawidziła całą mocą za wszystkie krzywdy doznane, a ile razy ją wołał i brał w swoje rozpa-lone i lepkie ręce, zamierała z obrzydzenia i strachu, tak śmiercią wiało od niego i trupem, ale

pomimo wszystkiego, może jeno ona jedna naj-
szczerzej pragnęła, by wyzdrowiał.

Teraz-ci dopiero miarkowała, co straci, skoro
go nie stanie; przy nim gospodynią się czuła,
słuchali jej wszyscy, a drugie kobiety czy dzieu-
chy, rade nierade, uważać ją i ustępować pier-
wszego miejsca musiały — jakże! Borynową prze-
ciech była — Maciej zaś, chociaż w domu był
kąśliwy kiej pies i dobrego słowa nie dał, ale
przed ludźmi wielce dbał o nią i strzegł, by jej
kto nie śmiał nie poszanować.

Nie rozumiała ona tego przódzi, dopiero kiej
Hanka zwała się do chałupy i górę nad nią brać
poczęła, odsuwając od panowania, poczuła swoje
opuszczenie i krzywdy.

Nie o gront jej szło przecież — co jej tam
były majątki?... tyle stała o nie akuratnie, co
o łońskie lato, a chociaż już się wzwyczaiła do
rządów i rada była wielce wynosić się a puszyć
bogactwem i rozpierać na swoim, to i za tem
by nie płakała, bo u matki było jej też niezgo-
rzej — ale jedno ją ano gnębiło boleśnie, że przed
Hanką ustępować musi, przed Antkową kobietą:
to ją przypiekało do żywego, budząc złość i chęć
robienia nasprzeciw.

Juści, że ją i matka podmawiała, kował rych-
tował codziennem podjudzaniem, bo sama z sie-
bie, toby może rychło ustąpiła: tak ją już mier-
ziły te wojny, że nieraz chciała wszystko ciepnać
i przenieść się do matki.

— Ani się waź! siedź, póki nie zamrze! waruj swojego! — nakazywała srogo stara.

To i siedziała, choć cknęło się jej nieopowiedzianie — jakże? całe dni nie było do kogo gęby otworzyć, ni pośmiać się z kim, ni wybiedz do kogo...

A w domu pojękiwał stary, była Hanka zawždy gotowa do kłótni, szła ciągle wojna, że już zgoła było nie do wytrzymania.

U matki też było nie sposób wysiedzieć.

To latała z kądzielą po chałupach — ale mogła to i tam wytrzymać, kiej we wsi były same kobiety, rozkisle, rozplakane, rozwrzeszczane, jako te dni marcowe, a wszędy, jako ta nieustająca litania, wyrzekania, a nikaj żadnego parobka, choćby na lekarstwo!

Że już ni miejsca, ni rady dać sobie nie mogła.

Do tego zaś często, coraz częściej nawiedzały ją wspominki o Antku.

Prawda, jako pod sam koniec, nim go wzięli, wielce ku niemu ochłodziła, i te spotkania już były jeno strachem i męką; na ostatku zaś ukrzywdził ją jeszcze tak bardzo, aż dusza pęczniała żalem na przypominki... ale miała wyjść do kogo, wiedziała, że tam, pod brogiem, o każdym zmierzchu czeka na nią i wypatruje... że jest ktosik, któremu lubo się słuchać... To choć się trzęsła z trwogi, by nie wypatrzyli, choć i on nieraz skrzyczał za długie czekanie, ochotnie biegła, zapominając o ca-

łym świecie, gdy ją przygarnął do siebie krzepko, niby ten smok ognisty, i brał, ni pytając o przyzwolenstwo... Ni w myśli powstało opieranie, kiej ścisnął, aż ją mdliło w dołku, i takim warem przejmował.

Nieraz do północks zasnąć nie mogła, chłodząc rozpaloną całunkami twarz o zimną ścianę, wzburzona do dna i pełna w kościach onych słodkich, prążących ogniem wspominań!

A teraz jest, jak ten kołek, sama, nikt jej nie podpatruje, nikt nad nią prawa nie ma, ale i do nikogo się nie wydziera, nikto już jej tam za przełazem nie czeka, i nikto nie przyniewala...

Że wójt za nią chodzi, podskubuje, słodkie słówka prawi, do płotów przyciska, do karczmy na poczęstunek ciągnie i radby ją dla siebie zniewolił, to ino bez to mu przyzwala, że cknij się jej wielce, i niema z kiem drugim się pośmiać, ale tak mu do Antka, kiej psu do gospodarza!

I przez złość to jeszcze robi la całej wsi i la tamtego.

Sposponował-ci on ją i sponiewierał na ostatku! Jakże — całą noc i cały dzień przesiedział w chałupie, przy starym, nawet spał na jej łóżku, krokiem się prawie z izby nie ruszał, a jej jakby nie dojrzał, choć wciąż stawała przed nim, jak ten pies, skamłając oczyma o zmiłowanie.

Nie spojrział na nią, ojca jeno widział a Hanke i dzieci, psa nawet.

To może i bez to już do cna straciła serce

do niego, i całkiem się w niej przemieniło naprzeciw, bo kiedy go brali w kajdany, wydał się jakimś drugim, obcym zgoła i tak obojętnym, że nie potrafiła go żałować, a nawet ze skrytą radością przyglądała się Hance, jak ta włosy rwała, łbem tłukąc o ścianę i wyjąc niby suka za topionemi szczeniętami.

Cieszyła się mściwie z jej udręki, odwracając z odrazą oczy od jego twarzy strasznej, jakoby wpół obłąkanej.

Tak się wtenczas obcym stał dla niej, że nawet nie umiałaby go sobie teraz przypomnieć, jak człowieka raz jeden widzianego.

Ale temci lepiej baczyła tamtego Antka, tamtego z dni miłowań i szatów, z dni schadzek i przytulań, całunków i uniesień... tamtego, ku któremu teraz, w niespane często noce wydzierала się jej dusza i rozprężone udręką serce krzyczało żalem i tęsknicą nieopowiedzianą.

Do tamtego... z tamtych dni szczęścia rwała się Jagusina dusza, ani wiedząc, kędy jest, i żywie-li on gdzie we świecie szerokim...

Ano i teraz snuł się jej przez pamięć jako ten sen luby, z którym się ciężko rozstawać, kiedy znowu rozległ się wrzaskliwy głos Hanki,

— Kiedy pies odarty, tak się wydiera i dunduje! — szepnęła rozbudzona z przypominków.

Słońce już bokiem zaglądało, rozczzerwieniając mroczną izbę, ptaki radośnie ćwierkały w sadzie, podnosiło się ciepło, bo z dachów, kiedy

szklanemi paciorkami spływał przymrozek, a przez wywarte okno, wraz z wietrzykiem porannym buchał krzyk gęsi, trzepiących się w stawie.

Krzątała się po izbie kiej szczygieł, z cichą przyspiewką, boć to niedziela była i czas nadchodził szykowania się do kościoła z palmami, już owe pędy łozy czerwonej, pokryte srebrzystymi kotkami, stały w dzbanku od wczoraj, pomdlałe nieco, że to im wody zapomniała nalać. Poczęła je właśnie troskliwie cucić, gdy Witek wrzasnął przez drzwi:

— Gospodyni kazali, byście swoją krowę napaśli, aż z głodu ryczy!

— Powiedz, że wara jej do krowy mojej! — odkrzyknęła w cały głos, nasłuchując, co tamta wyszczekuje na odzew.

— A pyskuj, póki ci gęba nie ustanie: nie dowiedziesz me dzisiaj do złości!

I jęła najspokojniej wybierać ze skrzyni ubiory i, rozkładając je po łóżku, rozpatrując, w jakieby się przyodziać do kościoła, naraz, kiej ta chmura padnie na słońce, iż się wszystek świat przyciemni, tak-ci i w niej dziwnie pomrocząło. Pocóż się to przybierać będzie i stroić? dla kogo?

La tych babskich ślepiów, zazdrośnie taksujących każdą jej wstążkę i potem za to obnoszących ją na ozorach?

Odbiegła strojów z niechęcią i, siadłszy w oknie, czesała jasne, bujne włosy, smutnie spozierając na wieś, w słońcu już całą i w topliwych rosach

połyskującą; domy kajś niekaj przebielały się ze sadów, i słupy niebieskich dymów buchały w górę, zaś na drodze po drugiej stronie stawu, całkiem przysłonionej drzewami, przechodziły niekiedy kobiety, bo widziała czerwień wełniaków, odbitą we wodzie i jak się przesuwwały wskroś mdlejących już cieniów drzew nadbrzeżnych; potem gęsi przepływały białemi sznurami, że się wydawało, jakoby płynęły wskroś modrej topieli nieba odbitego, ostawiając za sobą te czarniawe, półkoliste kręgi, kiej węże cicho pełznące; to chybotliwe jaskółki przewijały się niziutko, łyskając białemi brzuchami, a gdziesik znowu, u wodopojów, krowy porykiwały lub pies naszcze kiwał.

Zagubiła wnet pamięć tych rzeczy, topiąc oczy w górze, wysoko, gdzie na mokrem niebie pały się stada chmur, białym, wełnistym barankom podobne, bo gdziesik z pod nich, w wysokościach, ciągnęło jakieś niedojrzane ptactwo, że jeno krzyk długi a jękliwy rozsypywał się nad ziemią rzewliwie, aż ją od tych głosów sparło cosik pod piersiami, a nagła, z dawna już czająca się tęsknica ścisnęła serce, że wodziła przygasłemi oczyma po rozruchanych drzewach, po wodzie, kaj i owe chmury zdały się płynąć zanurzone w niebieskościach, po wszystkim świecie, nic jeno nie rozpoznając z poza wezbranej tęskności, że łzy ważne pociekły po zblakłych policzkach, kieby te paciorki lśniące rozerwanego różańca, i suły się wolno

jedna za drugą i gdziesik, na samo dno duszy spływały.

Mogła to zmiarkować, co się jej stało?

Jeno czuła, iż ją cosik rozpiera, podrywa i ponosi, że oto poszłaby na kraj świata, gdzie oczy poniesą, gdzie jeno powiedzie ta tęskność niezmierzona. I płakała tak bezwolnie i prawie bezboleśnie, jako to drzewo, obciążone kwiatem w wiosniane poranki, kieć słońce przygrzeje a wiatry zakolebią, rosi obficie, wpiera się w ziemię, nabrzmiewa sokami rodnymi, a kwietne gałęzie ku niebu podaje...

— Witek! a poproś pięknie tej dziedziczki na śniadanie! — wrzasnęła znowu Hanka.

Jagna, kieby przecknęła, otarła łzy, doczesła włosów i poszła śpiesznie.

W Hanczynej izbie już wszyscy siedzieli przy śniadaniu. Z michy kurzyły się ziemniaki, właśnie je była Józka omaszczała śmietaną przesmażoną z cebulą, gdy reszta już bodła łychami, wlepiając łakome ślepie w jadło.

Hanka wzięła pierwsze miejsce w pośrodku przed ławą, na której jedli, Pietrek siedział wkońcu, a pobok niego przykucał na ziemi Witek, Józka zaś pojadła stojący, pilnując dokładania, a dzieci siedziały pod kominem przy niezgorszej miseczce, oganiając się łyżkami przed Łapą, któren kiedy niekiedy pojadał razem z niemi.

Jagna miała swoje miejsce od drzwi, naprzeciwko Pietrka.

Jedli z wolna spozierając niekiedy z pod łbów. Darma Jóźka trzepała trzy po trzy i Pietrek rzucił jakie słowo, a wkońcu i Hanka zagadywała, tknięta jej zapłakanemi, smutnemi oczyma, Jagusia ni pary z gęby nie puściła.

— Witek, a któren ci takiego guza nabił? — pytała Hanka.

— Zwaliłem się o żłób! — Rozczerwienił się kiej rak i potarł bolące miejsce, porozumiewawczo spoglądając na Józkę.

— Przyniosłeś to już gałązek z palmami?

— Zaraz polecę, ino zjem — tłómaczył się, śpiesznie dojadając.

Jagna położyła łyżkę i wyszła.

— Znowuj bąk ją jakiś ukąsił! — szepnęła Jóźka, dolewając barszczu Pietrkowi.

— Nie kaźden umie trajkotać tak ciągiem, jak ty. Doiła to już krowę?

— Zabrała szkopek, to pewnie poszła do obory.

— Hale, Józia, trza dla siwuli makuchu ugotować.

— Już siarę odpuszcza, próbowałam dzisiaj.

— Odpuszcza, to leda dzień się ocieli...

— Ciołka będzie miała! — rzekł Witek, podnosząc się od jadła.

— Głupi! — szepnął pogardliwie Pietrek, popuszczając zdziebko obertelek, że to był niezgorzej podjadł, i zapaliwszy od główki papierosa, wyszedł razem z chłopakiem.

Kobiety w milczeniu wzięły się do roboty. Józka zmywała naczynia, a Hanka słała łóżka.

— Pójdziecie do kościoła z palmami?

— Idź z Witkiem, Pietrek też może, niech jeno konie obrzędzi; ja ostanę, przypilnuję ojca, i może Rocho wróci akuratnie i co nowego przyniesie od Antka...

— Nie powiedzieć to Jagustynce, żeby jutro przyszła do ziemniaków? co?

— Juści, same nie wydołamy, a na gwałt trza je przebierać.

— A i gnój jużby rozrzucać!

— Pietrek, jutro na południe ma skończyć wywózkę, to od obiadu weźmie się z Witkiem do rozrzucania; co czasu zbędzie, to i ty pomożesz...

Wrzask gęsi podniósł się przed oknami, wpadł zadyszany Witek.

— Że to nawet gęsiom spokoju nie dajesz!

— Szczypać me chciały, tom się ino obraniał!

Rzucił na skrzynię cały pęk wilgotnych jeszcze od rosy złotakowych różeg, osypanych bażkami. Józka jęła je układać, związując czerwoną wełną.

— Bociek to kujnął cię w czoło? — spytała go pocichu.

— Juści, że nie kto drugi, nie wydam me ino... — Obejrzał się na gospodynię, wybierającą ze skrzyni świąteczne szmaty. — A to ci powiem, jak było... Wypatrzyłem, że na noc przed gankiem ostaje... wiodkradłem się późną nocą, kiej już wszyscy na

plebanii spali... i jużem go brał... a choć me kuj-
nął... byłbym spencerkiem go okręcił i wyniósł...
kiej psy me zwietrzyły... znają me przeciech, a tak
docierały zapowietrzone, że musiałem uciekać, je-
szcze mi nogawice ozdarły... ale nie daruję...

— A jak się ksiądz dowie, żeś mu wziął boćka?

— A kto mu to powie?... A odbierę mu,
bo mój.

— A kaj go schowasz, by ci nie odebrali?

— Już ja taki schowek umyśliłem, że i stra-
żniki nie zwąchają... A potem, kiej przepomną,
sprowadzę go do chałupy i powiem, com se no-
wego znęcił i obłaskawił — rozpozna to kto, Jó-
zia? Ino me nie wydaj, to ci jakich ptaszków
przyniosę, albo i młodego zajączka.

— Chłopak to jestem, bym się ptaszkami ba-
wiła? Głupi, przebierz się zaraz, to razem pójdziem
do kościoła.

— Józia, dasz mi ponieść palmę? co?

— Zachciało mu się!... dyć ino kobiety mogą
nieść do poświęcania.

— Przed kościołem ci oddam, ino przez wieś...

Prosił tak gorąco, aż przyobiegała, zwracając
się prędko do wchodzącej właśnie Nastki Gołę-
bianki, już wyszykowanej do kościoła i z palmami
w ręku.

— Nie miałaś czego o Mateuszu? — zagadnęła
Hanka po przywitaniu.

— Tyle jeno, co wójt wczoraj przywiózł: jako
zdrowszy.

— Wójt akuratnie tyle wie co nic, albo i wymyśli czego nie było.

— To samo pono i dobrodziejowi mówił.

— A o Antku to i słowa rzec nie umiał.

— Pono Mateusz siedzi z drugimi, Antek zaś osobno.

— I... tak jeno szczeka, żeby się miał z czem do chałup zamawiać...

— Był to z tem i u was!

— Co dnia zachodzi, ale do Jagusi; ma z nią jakieś sprawy, to się schodzą i przed ludźmi uredzają w opłotkach.

Powiedziała ciszej, z naciskiem, wyglądając oknem, bo w sam raz Jagna schodziła z ganku, wystrojona sielnie, z książką w ręku i z palmami. Długo patrzyła za nią.

— Spóźniła się, dzieuchy: ludzie już całą drogą walą.

— Nie przedzwaniiali jeszcze.

Ale wraz i dzwony się ozwały hukliwie, nawołując w dom Pański, i bimbały wolno, długo i rozgłośnie.

Że w jaki pacierz, a wszyscy poszli z chałupy do kościoła.

Hanka ostała sama, nastawiła obiad, przyogarnęła się nieco i, zabrawszy dzieci, siadła z niemi na ganku, by je wycesać i przeiskać, że to w tygodniu nie starczyło nigdy czasu.

Słońce podniosło się już dość wysoko, i ludzie zewsząd zbierali się do kościoła, co trocha wysy-

pując się z opłotków, że po drogach, niby te maki, czerwieniały się kobiece przyodziewy i brzmiały pogwary z krzykami dzieci, zabawiających się ciskaniem kamieni po wodzie i za ptakami; niekiedy wozy turkotały, pełne ludzi z drugiej wsi, to chłopcy jakies, snadź obce, przechodziły, pochwalając Boga, aż zwolna wszyscy przeszli, i opustoszałe drogi pomilkły.

Hanka, wykawszy dzieci do czysta, zaprowadziła je na słomę przed doły, by się same zabawiały, zajrzała do parkocących garnków i wróciła na dawne miejsce, modląc się półgłosem na koronce, że to na książce nie umiała.

Dzień już się podnosił ku południowi, cichość zgoła świąteczna ogarniała wieś, że nikaj głosów żadnych nie było, tyle jeno, co te wróble ćwierkania i świegoły jaskółek, lepiących gniazda pod okapami. Czas był ciepły, pierwsza wiosna ledwie co trąciła ziemię i tknęła drzew; niebo wisało młode, przemodrzzone i dziwnie łyskliwe; sady stały bez ruchu, ku słońcu podając gałęzie, nabite spęczniałymi pąkami, zaś olchy, staw brzeżące, niby w cichuśkim dychaniu poruchywały żółtymi baziami, a pędy topól rdzawe, lepkie i pachnące, a jakoby miodem ciekące, otwierały się na światło, niby te dzioby piskłące...

Pod chałupami dogrzewało galanto, że już muchy wylażyły na ogrzane ściany, a czasem i pszczoła się pokazywała, z brzękiem padając na stokrotki, patrzące z pod płotów, albo się pilnie nosiła po

krzacz, co niby zielone płomienie buchały młodem listkami.

Ale z pól i od borów, zawiewał jeszcze ostry, wilgotny wiatr.

Msza już musiała być w połowie, bo w ciem i jakoby wrzącem wiosną powietrzu, prężyły się głosy śpiewów dalekich, organowe grania, i czasem, jako ten deszcz rzęsy, rozsypywały się w mdlejące dźwięki dzwonków.

Czas snuł się wolno i cicho, bo kiej słońce stanęło najwyżej, to nawet ptaki zamilkły, jeno że wrony, czające się złodziejsko za gąsiętami, przewijały się nisko nad stawem, krzyk niecąc gąsiorów; bociek też raz jeden zaklekotał gdziesik i przeleciał blisko, że ino jego cień wielgachny poniosł się po ziemi.

Hanka modliła się żarliwie, bacząc na dzieci, a i do starego zaglądając niekiedy.

Ale cóż, leżał jak zawsze, bez ruchu i przed się zapałtrzony.

Domierał se tak zwolna, dochodził swojego czasu po ździebku, z dnia na dzień, jako to zboże kłosne, w słońcu pod ostry sierp dojrzewające... Nie rozpoznawał nikogo, bo nawet wtedy, kiej Jagny wołał i za ręce ją brał, w inszą stronę patrzył; Hance się jeno wydawało, co na jej głos poruchuje wargami, a oczy mu chodzą, jakby chciał cosik rzec...

I tak było wciąż bez przemiany, aż płacz chwycił patrzących.

Mój Jezu, ktoby się był tego spodziewał! Taki gospodarz, taki mądrała, taki bogacz, że trudno znaleźć drugiego, a teraz ci leży niby to drzewo piorunem rozłupane, gałązków zielonych jeszcze pełne, a już śmierci na pastwę wydane...

Nie pomarł przeciech i nie żywie, jeno wszystek już w rękach boskiego miłosierdzia.

O dolo człowiekova, dolo nieustępliwa!

O boskich przeznaczeń mocy, która się jawisz, kiej się nikto nie spodzieje, czy w dzień biały, czy też li w noc ciemną, a jednako kruszynę ludzką miecierz w gorzkiej śmierci strony!...

Dumała nad nim żałośnie, poglądając ku niebu, westchnęła raz i drugi, skończyła koronkę i wziąć się musiała do południowych udojów, bo wzdychy wzdychami, a robota, pierwsza przed wszystkim.

Kiej wróciła z pełnemi szkopkami, już wszyscy byli w chałupie. Jóźka powiedała, o czem ksiądz mówił z ambony i kto był w kościele; gwarno stało się w izbie i na ganku, że to kilka rówieśnic z nią przyszło, i społecznie łykali te kotki poświęcane, chroniące pono od bólów gardzieli.

Śmiechu było niemało, że to niejedna przełknąć nie mogła i zakrztusiła się, aż wodą popijając, albo ją musiano pięścią grdykać w plecy, by łącniej przeszło, co Witek z wielką uciechą robił.

Jagna jeno nie wróciła na obiad; widzieli ją idącą z matką i kowalami. A ledwie co wstali od misek, kiej wszedł Rocho. Rzucili się witać ra-

dośnie, bo blizkim im się stał, niby ten dziaduś rodzony, a on się witał cicho, każdemu coś rzekł i w głowę całował, ale gdy mu podano jeść, nie jadł: strudzony był srodze i troskliwie obzierał się po izbie. Hanka warowała jego oczu, a nie śmiejąc pytać.

— Widziałem się z Antkiem! — rzekł cicho, nie patrząc na nikogo.

Zerwała się ze skrzyni; strach ją przejął i za serce ścisnął, że słowa nie mogła wykrztusić.

— Zdrowy całkiem i dobrej myśli. Choć strażnik nas pilnował, rozmawiałem z nim dobrą godzinę.

— W tych żelazach siedzi? — wykrztusiła strachliwie.

— Cóż znowu!... zwyczajnie, jak i drudzy!... nie jest mu tam tak źle, nie bójcie się.

— Bo Kozioł rozповідаł, jako tam biją i do ściany przykuwają.

— Może tak i bywa gdzieindziej... za co inszego... ale Antka nie tknęli, powiadał.

Splotła ręce z radości, a uśmiech, kiej słońce, przemknął po niej.

— A na odchodnem zapowiedział, byście, na nic nie bacząc, wieprzka zabili jeszcze przed świętami, bo i on chce święconego zażyć.

— Głodzą go tam chudziaka, głodzą! — jęknęła zawodliwie.

— Kiej ociec mówili, że jak się podpasie, to przedadzą — zauważyła Jóźka.

— Mówili, ale kiej Antek przykazuje zabić, to jego teraz wola pierwsza po ojcowej — podniosła ostry, nieustępliwy głos.

— I jeszcze mówili, abyście na roli kazali robić wszystko, co potrzeba, na nic się nie oglądając. Powiedziałem, jako tu sobie zmyślnie poczynacie.

— Rzekł to co na to? powiedział?

Radość ją warem oblała.

— To mi powiedział, że jak zechcecie, poredzicie wszystkiemu...

— A poredzę, poredzę! — szepnęła z mocą, i oczy jej rozbłysły nieustępliwą wolą.

— Cóż tu u was nowego?

— A nic, jak było... Puszczą go to rychło? — zapytała z dygotem trwogi.

— Może zaraz po świętach, może żdziebko później, jak śledztwo skończą... A to się przewlecze, że to wieś cała, tyle ludzi... — odpowiadał wymijająco, nie patrząc jej w oczy.

— Pytał się to o chałupę, o dzieci, o... mnie..., o wszystkich?... — zaczęła trwożnie.

— Pytał, juści, kolejno powiadałem.

— I... o wszystkich we wsi?...

Strasznie się jej wiedzieć chciało, zali o Jagnę też pytał, cóż, kiej nie śmiała zagadać otwarcie, a ubocznie zaś, tak, by nie miarkując niczego, sam się wygadał, długo się biedząc, nie potrafiła, że i sposobny czas przeszedł, bo się już roznieśli po wsi o jego powrocie, i wkrótce, je-

szcze przed nieszporemami, zaczęły się schodzić kobiety, ciekawe wielce posłyszeć nieco o swoich.

Wyszedł do nich przed dom i, siedząc na przyźbie, rozповідаł, co się był o każdym zosobna wywiedział, i choć nic złego nie mówił, a to babskie ciche chlipanie jęło się wzmaczać w gromadzie, gdzie zaś i płacz głośny, a gdzie i słowo żałośliwe się wyrwało...

A potem zaś na wieś poszedł, wstępując do każdej prawie chałupy, a widział się jako ten świętek z ową białą brodą i wzniesionemi oczyma, któren wszędy niósł te słowa pociechy, a kaj wstąpił, to jakby jasnością napełniały się izby, a w sercach zakwitały nadzieje i dufność krzepiła chwiejne, ale i łzy rzęsiściej płynęły, i odnowione wspomnienia ciężiej przygniatały, i żałośliwość tę - skliwiej wstawiała...

Bo prawdę była rzekła wczoraj Kłębowa do Agaty, iż wieś stała się podobna do grobu otwartego; prawda, bo niby po zarazie widziało się w Lipcach, kiej to większą część narodu wywiezą pod mogiłki, albo zaś i wtedy, kiej to wojna przetratuje a chłopów wybije, że jeno po chałupach opustoszałych ostają babie lamenty, dziecińskie płacze, wyrzekania, i te wzdychy, i ta żywa a silnie boląca pamięć krzywd.

Że już i nie wypowiedzieć, co się w umęczonych duszach działo!

Trzecia niedziela się kończyła, a Lipce jeszcze się nie uspokajały, naprzeciw zaś, bo ciągiem

wzrastało poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, to i nie dziewota, jako o każdym świtanu, kiej przecknęli jeno ze śpiku, w każde przypołudnie i na odwieczeru każdym — w chałupach, czy na dworze, gdzie się jeno naród kupił, nieustannie i lamentliwie, niby ten pacierz dziadowski, rozlegały się wyrzekania, i żądza odemsty pełniła się w sercach, kiej to dyabelskie, złe zielsko, że same pięści się zaciskały i krwawe, zawzięte słowa rwały się piorunami.

To juści, że Rochowe słowa, kiej ten kijaszek, jakim niebacznie rozgrzebią przytający ogień, iż płomień znowu siłą wybucha, to jedno sprawiły, co we wszystkich wszystkich pamięć krzywd wywlekły przed oczy, iż nawet mało kto poszedł na nieszpory, zbierali się jeno po opłotkach, po drogach stowarzyszali, to do karczmy szli, poredzając, płacząc a pomstując...

Jedna Hanka spokojniejszą się uczuła i tak rada mężowej pochwały, tak nią skrzepiona na duszy i pełna nadziei, żadna roboty i pokazania, że poradzi wszystkiemu, iż nie sposób tego wypowiedzieć.

Skoro się rozeszły kobiety, wraz też przyszła kowalowa posiedzieć przy chorym, Hanka zaś z Józką udały się do chlewu wieprzka oglądać.

Wypuściły go na podwórze, ale że świntuch był spasiony, to uwalił się zaraz w gnojówce i ani chciał się ruszyć.

— Nie dawaj mu już dzisiaj jeść, niech się oczyści.

— Akuratnie i zapomniałam dać mu po poledniu...

— To i dobrze na ten raz, trzaby go jutro sprawić. Wołałaś Jagustynki?

— Przyjść obiecała jeszcze dzisiaj, na odwieczeru...

— Odziej się i bieżyj do Jambroża, niech jutro choćby i po mszy, a przychodzi ze statkami oporządzić wieprzka.

— Będzie to mógł, kiej dobrodziej zapowiadał, co jutro dwóch księży przyjedzie słuchać spowiedzi?

— Czas znajdzie!... wie, że gorzałki żałować nie będę, a on jeno poradzi galanto szlachtować i mięso sprawić. Jagustynka też pomoże.

— Tobym raniusko jechała do miasta po sól i przyprawę...

— Zachciało ci się przewietrzyć!... nie potrzeba: wszystkiego dostanie u Jankła, sama tam zaraz pójde i przyniesę.

— Jóźka! — krzyknęła jeszcze za nią: — a gdzie to Pietrek z Witkiem?

— Pewnikiem poszli na wieś, bo Pietrek wziął skrzypice.

— Spotkasz ich, to przypędź, niechby z szopy koryto przynieśli przed chałupę, trza jebędzie rankiem wyparzyć.

Józka rada, że mogła się wyrwać na wieś, pognała do Nastki, by wspólnie poszukać Jambroża.

Ale Hanka nie wybrała się do karczmy, zaraz bowiem przywłókł się jej ociec, stary Bylica, więc dała mu podjeść nieco, opowiadając radośnie, co był Rocho przywiózł od Antka, i nie skończyła wszystkiego, kiej wpadła z krzykiem Magda:

— Chodźcie prędzej, ojcu cosik jest!

Jakoż Boryna siedział na kraju łóżka, rozglądając się po izbie. Hanka przypadła ku niemu trzymać, aby nie zleciał, a on wodził oczyma po niej, wlepiając je naraz we drzwi, którymi właśnie kował wchodził niespodzianie.

— Hanka!

Powiedział wyraźnie i mocno, aż struchlała w sobie.

— Dyc jestem. Nie ruchajcie się ino, doktor wzbrania — szeptała zestrachana.

— Co tam na świecie?

Głos miał rozbity, obcy jakiś.

— Zwiesna idzie, ciepło... — jąkała.

— Wstali to?... czas w pole...

Nie wiedzieli, co rzec, spoglądając na siebie; ino Magda ryknęła płaczem.

— Swojego bronić! nie dajta się, chłopcy!

Krzyczał, ale słowa mu się rwały, jął się trząść i gibać w Hanczynych ręk, że kowalowie chcieli ją wyręczyć; nie popuściła jednak, mimo, że już mdlały jej ramiona i grzbiet. Patrzali w niego z trwogą, czekając co powie.

— Jęczmiona-by siać pierwsze... Do mnie, chłopcy!... ratunku!... — krzyknął naraz strasznie, wyprężył się i padł w tył, oczy mu się zwały, zarzęział.

— Umiera!... Jezus!... umiera!... — wrzeszczała Hanka, targając nim z całej mocy.

A Magda wnet zapaloną gromnicę wtykała mu w bezwładną rękę.

— Księdza, prędzej, Michał!...

Ale nim kowal wyszedł, Boryna otworzył oczy, puszczając z rąk gromnicę, że się potrzaskała w kawałki.

— Już mu przeszło, szuka czegoś...

Szeptał, nachylając się nad nim, ale stary odepchnął go dość silnie i zawołał zupełnie przytomnie:

— Hanka, wypraw tych ludzi.

Magda z płaczem rzuciła się do niego, ale snadź jej nie poznał.

— Nie chcę... nie potra... wypędź... — powtarzał uporczywie.

— Choć do sieni ustąpcie, nie sprzeciwiajcie się... — błagała.

— Wyjdź, Magda, ja się z tego miejsca nie ruszę — wycedził nieustępliwie kowal, miarkując, że stary chce coś tajnego Hance powiedzieć.

Dosłyszał to stary, i uniósłszy się, tak groźnie spojrzał, wskazując mu ręką drzwi, że się wynió sł, kiej ten pies kopnięty, z przekleństwem skoczył do płaczącej na ganku Magdy, ale znagła przy-

cichł, rozejrzał się i wpadł do sadu, i przebrawszy się chyłkiem pod szczytowe okno, przywarł pod niem nasłuchiwać, bo jak raz tam dotykały głowy łóżka, że przez szyby można było posłyszeć coś niecoś.

— Siądź przy mnie...

Rozkazał stary po jego wyjściu.

Juści że przysiadła na brzeżku, ledwie płacz powstrzymując.

— W komorze znajdziesz nieco grosza... schowaj, by ci go nie wydarli...

— Gdzie?

Trzęsła się już ze wzruszenia.

— We zbożu...

Mówił wyraźnie, odpoczywając po każdym słowie, a ona, tłumiąc strach jakiś, cała była w jego oczach, świecących dziwnie.

— Antka broń... pół gospodarki sprzedaj, a nie daj go... nie daj... twoje...

Nie skończył już, posiniał i zwałił się na pościel, oczy mu przygasły i zasnuły się mgłą, bełkotał jeszcze cosik i jakby próbował się podnieść.

Hanka zakrzyczała ze strachu, przybiegli wnet kowalowie, cucili, wodą zlewali, ale już nie oprzytomniał, i jak przódzi leżał drętwy, nieruchomy, z otwartymi oczyma, daleki od tego, co się przy nim działo.

Długi czas przesiedzieli przy nim, kobiety płały cicho, a nikt nie rzekł i słowa; zmierzch już zapadał, izba pograżała się w cieniach, kiej

wyszli społem na dzień dogasający, że już jeno w stawie tliły się resztki zórz zachodnich.

— Co wama powiedział? — zagadnął ostro przestępując jej drogę.

— Słyszeliście.

— Ale co później mówił?

— Co i przódzi, przy was...

— Hanka, nie doprowadzajcie me do złości, bo będzie źle...

— Tyle się waszych gróźb bojam, co tego psa...

— I wtykał wam cosik w garście... — dorzucił podstępnie.

— A co, to jutro za stodołą znajdziecie... — szydziła urągliwie.

Rzucił się ku niej, i możeby doszło do czego gorszego, żeby nie Jagustynka, która nadeszła na ten czas i po swojemu zaraz rzekła:

— Tak se zgodliwie, po przyjacielsku poradzacie, że się po całej wsi roznosi...

Sklął ją co wlażło i poniósł się na wieś.

Noc wkrótce zapadła ciemna, chmurzyska przysłoniły niebo, że ni jeden gwiazdny migot się nie przedzierał, wstawał wiatr i miewał zwolna drzewinami, iż poszumiwały głucho i smutnie: szło znowu na jakąś odmianę.

W Hanczynej izbie było jasno i dość gwarno, ogień trząsał na kominie, wieczera się dogotowywała, kilka starszych kobiet z Jagustynką na czele pogadywały różności, Józka zaś z Nastką

i z Jaśkiem Przewrotnym siedziały na ganku, bo Pietrek wyciągał na skrzypicach taką nutę żalonną, aż się im na płacz zbierało; jeno Hanka nie mogła usiedzieć na miejscu, wciąż rozmyślając nad Borynowemi słowami, a co trocha zaglądając na drugą stronę...

Ale cóż?... nie sposób teraz było w komorze szukać: Jagna siedziała w izbie, układając świąteczne szmaty we skrzyni.

— Pietrek, a przestań, przecież to już prawie wielki poniedziałek, a ten dudli a dudli, grzech!

Zgromiła, tak roztrzęsiona w sobie, że jej się płakać chciało. Juści że przestał i wszyscy przyszli do izby.

— O tym dziedzicowym bracie, głupim Jacku, mówimy! — objaśniała któraś.

Nie mogła jednak wyrozumieć, o czym mówią, gdyż psy zaczęły coś głośno szczekać w opłotkach, aż znowu wyrzała, podszczuwając jeszcze. Łapa rzucił się zajadle w sad...

— Huzia go, Łapa!... Weź go Burek!... Huzia!...

Ale psy zmiłkły nagle, i powróciwszy skamlały radośnie.

I nie jeden raz tego wieczoru było tak samo, że wstało w niej jakieś strachliwe podejrzenie.

— Pietrek, a zawrzyj wszystko na moc, bo musi być, ktosik to penetruje, a swój, że psy nie chcą docierać.

Rozeszli się wnet wszyscy, i wkrótce śpik ogarnął cały dom, jeno Hanka poszła jeszcze spra-

wdzić, czy drzwi pozawierane, a potem długo stoją pod ścianą, trwożnie nasłuchując...

— We zbożu... to juści w którejś z beczek...
By ino me kto nie ubiegł...

Zimny pot strachu ją oblał, i serce gwałtownie zakolało.

Prawie że nie spała tej nocy.

III.

— Józia, rozpal na kominie i co jest garnków zbierz, nalej wodą i przystaw do ognia, ja polecę do Żyda po przyprawę.

— A śpieszcie, bo Jambroża ino patrzeć.

— Nie bój się, równo z dniem nie przykuszyka, kościół musi pierwszej obrządzić.

— Hale, przedzwoni i wnet się zjawi, bo Rocho mają go zastąpić.

— Zdążę jeszcze, a krzyknij-no na chłopaków, by rychlej wyskrobali koryto i przywlekli je na ganek. Jagustynka przyjdzie, to niechby pomyła cebrzyki, beczki też trza wynieść z komory i zatoczyć do stawu, niech odmiękną; jeno nie zabacz kamieni nakłască, by ich woda nie wzięła. Dzieci nie budź, niech se śpią robaki, przestroniej będzie... — nakazywała ostro Hanka i przyokrywszy się zapaską na głowę, wysunęła się śpiesznie na wczesny i galanto rozkisły poranek.

Dzień, co się był dopiero stał, chmurny, mokry i przykrym ziąbem przejęty; siwe mgły dy-

miły z przemiękłej ziemi, opadając drobnym i zimnym dżdżem, oślizgłe drogi siwiły się opite wodą, a poczerwiałe chałupy ledwie co były widne w szarudze, a przemiękłe drzewiny, skurczone, jawiły się kajś niekaj dygotliwym cieniem, kieby z tych skłaczonych, szklistych mgieł uczynione, i nagładały w staw ledwie siniejący, że jeno z pod skotnionych przysłon grażył się drżący, cichy bulgot kropel bijących nieustannie w wodę, a wszędy szła plucha, że świata bożego ledwie dojrzał, i pusto było jeszcze.

Dopiero kiej sygnaturka jęła pojękiwajaco przedzwaniać, zaczerwieniły się gdzie niegdzie przyodziewy kobiet przebierających się suchszemi miejscami do kościoła.

Hanka przyśpieszała, rachując, że może się z Jambrożym spotka już na skrócie przed kościołem, ale nie wyszedł jeszcze, jeno jak co dnia o tej porze kręcił się przed stawem ślepy koń księdzowy, ciągnąc na płozach beczkę, przystawał wciąż i utykał na wybojach, jeno węchem zmierzając ku wodzie, bo parob był właśnie przykucał od pluchy w opłotkach i kurzył papierosa.

I wraz też przed plebanię zajeżdżała bryczka w spaśne kasztanki, z której wysiadał tłusty i czerwony ksiądz z Łaznowa.

— Spowiedzi słuchał będzie, a to i dobrodzieja ze Słupi jeno co patrzeć.

Pomyślała, obzierając się napróżno za Jambrożym, że wnet ruszyła pobok kościoła, drogą ba-

rzej jeszcze błotną, bo obsadzoną rzędami wielgachnych topoli, ale tak potopionych w szarudze, że jakby za szybą zapoconą majaczyły ruchającymi się cieniami; minęła karcznię i wzięła się na prawo roztaplaną, polną dróżką.

Miarkowała, iż zdąży jeszcze odwiedzić ojca i z siostrą pogwarzy, z którą się już była całkiem pojednała od czasu przeprowadzki do Boryny.

Siedzieli wszyscy w chałupie.

— Bo to Józka pytlowała wczoraj, że ociec słabują — zaczęła wstępnie.

— I... by nie pomagał, to się wyleguje pod kożuchem, i stęka, i chorobą się wymawia — odparła chmurnie Weronka.

— Ziąb tu u ciebie, że jaże po łystach liże.

Wzdrygnęła się, bo jakoż chałupa przeciekała kiej przetak i maziste błocko pokrywało podłogę.

— A bo to jest czem palić! Któż to przynieś suszu? Mam to siły bieżyć do lasu tyli świat i dygować na plecach, kiej tyle inszej roboty, że niewiada za co pierwszej ręce zaczepić! Uradzę to sama wszystkiemu!

Westchnęły obie na swoje sieroctwo i opuszczenie.

— Kiej Stacho był, to się zdało, że nic w chałupie nie stoi, a skoro go brakło, to widno dopiero co chłop znaczy. Nie jedziesz do miasta?

— Juści, że chciałabym najprędzej, ale Rocho się dowiedział, co dopiero we święta będą do nich

puszczali, to w niedzielę się zbierę i powiezę chudziakowi niecoś święconego.

— Ponieślabym i ja mojemu nie jedno, ale cóż mogą? tę skibkę chleba?

— Nie frasuj się, narządę więcej, by ła obu starczyło, i razem powieziemy.

— Bóg ci zapłać za dobrość, w porę to choćby odrobkiem odpłacę.

— Ze szczerego serca dawam, nie za odrodek. Kumałam ci się niezgorzej z biedą i wiem, jak ta suka gryzie, pamiętam... — szepnęła żałośnie.

— Człowiek całe życie przyjacielstwo z nią trzyma, że chyba do grobu przed nią uciecze. Miałam niecoś zapasnego grosza; myślałam: na zwiesnę kupię jakiego prosiaka, podkarmię i na kopania przyrośłoby kilka złotych. Stachowim dać musiała kilkanaście złotych, tu grosz, tam dwa, i kiej ta woda wyciekło wszystko, a nowego się nie złoży. Tyleśmy się dorobili, że z gromadą trzymał...

— Nie powiadaj bele czego, po dobrej woli poszedł z drugiem, swojego się dobijać, i wy tam jaką morgę lasu mieć będziecie...

— Będzie!... nim słońce wzejdzie, oczy rosa wyje: któren pieniądz ma, temu duda gra, a ty biedaku handluj głodem i ciesz się, że jeść kiedyś będziesz!...

— Braknie ci to czego? — spytała nieśmiało.

— A cóż to mam? Tyle, co Żyd, albo młynarz na borg dadzał — zawołała, rozwodząc ręce z rozpaczą.

— Nie poredzę ci, żebym i z duszy chciała: nie na swoim jestem i sama oganiać się muszę kiej od psów i pilnować, by mnie nie wyciepnęli z chałupy... że już nieraz i rozum odchodzi z turbacyi!

Wspomniała się jej noc dzisiejsza.

— Za to Jagusię o nic głowa nie zaboli: nie taka głupia, używa se do woli...

— Jakże?

Podniosła się, niespokojnemi oczyma ogarniając siostrę.

— Nic wielkiego, jeno to, że się nażyje dobrego po grdykę; stroi się, po kumach spaceruje i święto se robi co dnia. Wczoraj, na ten przykład, widzieli ją z wójtem w karczmie, w alkierzu siedzieli, a Żyd ledwie nadążył donosić półkwatarki... Nie taka głupia, bych starego żałowała... — dorzuciła przekąśliwie.

— Wszystko swój koniec ma! — szepnęła ponuro Hanka, naciągając zapaskę na głowę.

— Ale co się nauczywa, tego jej nikto nie odbierze: mądra jucha...

— Łacno o rozum temu, któren się na nic nie ogląda! Hale, wieprzka dzisiaj szlachtujemy, zajrzyj na odwieczerzu, pomożesz... — przerwała te gorzkie wywody Hanka i, wyszła.

Zajrzała do ojca na drugą stronę, do dawnej swojej izby: stary ledwie był widny w barłogu, jeno postękiwał zcicha.

— Ociec, co to wama jest?

Przykucnęła przy nim.

— Nic córuchno, nic, tyle, że me frybra trzęsie i w dołku okrutnie ściska...

— A bo tu ziąb i wilgoć, kiej na dworze. Wstańcie i przyjdźcie do nas, dzieci przypilnujcie, bo wieprzka bijemy. Jeść się wama nie chce?

— Jeść!... juści zdziebko... bo to zapomniały mi wczoraj dać... jakże... i sami jeno ziemniaki ze solą... a to Stacho w kryminale... Przyjdę, Hanuś... przyjdę... — pojękiwał radośnie, gramoląc się z barłogu.

Hanka zaś, pełna myśli o Jagnie, które ją bodły, kiej te noże ostre, poleciała śpiesznie do karczmy, czynić zakupy.

Juści, że już teraz Żyd nie żądał z góry pieniędzy, a jeno skwapliwie odważał i odmierzał, czego zechciała, jeszczech podsuwając pod oczy coraz to nowe la zachęty.

— Niech Jankiel daje, co mówię!... nie dzieckom, wiem, po co przyszłam i czego mi potrza! — zgromiła go wyniośle, nie wdając się w rozmowę.

Żyd się jeno uśmiechał, bo i tak nabrała za kilkanaście złotych, jako że gorzałki wzięła więcej, aby już i na święta starczyło, a przytem chleba pytlowego, parę rządków bułek, śledzi coś z mendeł, a nawet w końcu dobrała małą buteleczkę araku, że ledwie mogła udźwignąć tobół.

— Jagna może używać, a ja to pies? haruję przeciek kiej wół!

Myślała tak, wracając do domu, ale żał się jej

zrobiło wydatku zbędnego, iż gdyby nie wstyd, byłaby arak odniosła Żydowi.

W chałupie już zastała niemały rwetes przygotowań. Jambroży nagrzewał się przed kominem, wiodąc swoim zwyczajem przekpinki z Jagustynką, tego zajęta wyparzaniem statków, aż para zapełniła całą izbę.

— Czekałem na was, bych przedzwonić pałą po łbie świętuchowi!

— Żeście to pośpieszyli tak rychło!

— Rocho me zastępuje w zakrystyi, Walek księży zakalikuje organiście, a Magda kościół podmiecie. Narychtowałem wszystko, by ino wama zawodu nie zrobić! Księża dopiero po śniadaniu wezmą się do spowiedzi! Ale też ziąb dzisiaj, jaże kości truchleją! — wykrzyknął żałośnie.

— Zęby w ogniu suszą i na ziąb narzekają! — zdziwiła się Józka.

— Głupia: na wnątrzu zimno, jaże mi ten drewniany kulas stergnął.

— Zaraz naszykuję wama rozgrzywkę. Józia, namocz duchem śledzie.

— Dajcie, jakie są, jeno sporo gorzałką zalać to gałanto sól wyciągnie.

— A wy zawdy po swojemu, bych o północy w kieliszki zadzwonili, wstaniecie, radzi na pijatykę — zauważyła złośliwie Jagustynka.

— Prawda wasza, babciu, ale widzi mi się, że wama cosik ozór skiełczał i radzibyście go też

w gorzałce pomoczyć, co? — śmiał się, zacierając ręce.

— Jeszczebys me, stary zbuku, nie przepił.

— Ludzi coś mało ciągnie do kościoła — przerwała im Hanka, wielce nierada tym przymówkom do gorzałki.

— Bo wczas, jeszcze się zlecą, w dyrdy bieżć będą, wytrząchać grzechy.

— I polenić się, co nowego posłyszeć i świeżych grzechów nabrać...

— Od wczoraj już się dzieuchy szykowały — pisała skądś Józia.

— Juści, bo im przed swoim dobrodziejem wstyd — dogadywała stara.

— Babciu, wam byłby już czas się na pokutę w kruchcie i te paciorki prząść, a nie ogaadywać drugich!

— Poczekam, byś siadł w podłe, kuternogo!

— Mam czas, pierwaj waju pięknie przedzwo-nię i łopatą oklepię...

— Nie tykajcie me, bom zła! — warknęła cicho.

— Kijaszkciem się zastawię i nie ugryzecie. a ząbków szkoda, ile że ostatnie...

Jagustynka cisnęła się ze złością, ale nie od rzekła, bo i właśnie Hanka nalewała kieliszek, przepijając do nich, a Józka podała śledzia, którego otrząskał o drewno nogi, ze skóry obłupił, na wąglikach przypiekl i ze smakiem zjadł.

— Dosyć zabawy! do roboty, ludzie! — za-

wołał naraz, zrzucając kożuch, zakasał rękawy, poostrzył jeszcze na osełce noża, wziął z kąta tęgą pałę od rozcierania ziemniaków la świń i ruszył żwawo na dwór.

Wszyscy też poszli za nim w podwórze, on zaś z Pietrkiem wywodził z chlewu opierającego się silnie wieprzka.

— Niekę na krew, a prędko! krzyknął.

Przynieśli wnet, wieprzek czochał się o węgiel i pokwikiwał zcicha.

Stali kołem, w milczeniu patrząc w jego białe boki i tłusty, obwisły brzuch, a moknąc galanto, bo deszcz mżył coraz gęstszy i mgły zwały się na sad, Łapa jeno naszczekiwał, obiegając dokoła. Jakieś kobiety przystawały w opłotkach i kilkoro dzieci wieszało się na płotach, ciekawie naglądając.

Jambroż się przeżegnał, pałę nieco wziął za się i jał zachodzić wieprzkowi z boku. Naraz przystanął, rękę odwiódł, przechylił się bokiem tak mocno, jaże mu guzik pod szyją puścił u koszuli, naprężył się i kiej nie huknie w wieprzkowy łeb między uszy, aż świńtuch z kwikiem padł na przednie nogi, a potem kiej mu nie poprawi już obu rękoma, że zwał się na bok, wierzgając kulasami, wtedy mu w mig przysiadł na brzuchu, nożem błysnął, i aż po osadę wbił w serce.

Podstawili niecki, krew chlusnęła, kiej z sikawki, aż na ścianę chlewa, i jęła z bulgotem spływać, parując, niby wrzątek.

— Pódzi, Łapa! widzisz go: juchy mu się chce, post przeciek! — ozwał się wreszcie, odganiając psa i dysząc ciężko. Zmęczył się był nieco.

— W ganku oparzycie?

— Do izby wniesę koryto, przecież trza go uwiesić do rozbierania.

— W izbie ciasno, myślałam.

— Macie drugą stronę, ojcową, tam dużo miejsca, staremu to nie przeszkodzi... ino prędzej bo nim ostygnie, łacniej mu szerść puścić — rozkazywał, obdzierając mu tymczasem ze grzbietu szczecinę, co dłuższą.

A w parę pacierzy wieprzek już oparzony, obrany ze szczeciny, wymyty, wisiał w Borynowej izbie, rozpięty na orczyku, przywiązany do belki.

Jagny nie było: poszła zaraz zrana do kościoła, ani się spodziewając, co ma nastąpić; jeno stary jak zwykle na łóżku leżał wpatrzony gdziesik nieprzytomnemi oczyma.

Zrazu sprawiali się cicho, często obzierając się na chorego, ale że się nie poruchiwał nawet, zabaczyli wnet o nim, mocno zajęci wieprzkiem, którego nie zawiódł przewidywań, bo słoninę na grzbiecie miał grubą dobrze na sześć palców i sielne sadło.

— Zaśpiewalim mu, przewieźlim, czas go już gorzałką skropić! — wołał Jambroży, myjąc ręce nad korytem.

— Chodźcie na śniadanie, znajdzie się czem przepić.

Juści, że nim się zabrał do ziemniaków z barszczem, wypił z niezgorszą przylewką, ale przy jadle siedział krótko, wnet się zabierając do roboty i wszystkich poganiając, zwłaszcza Jagustynkę, z którą pospolnie robił, że to zarówno się znała na soleniu i przyprawie mięsa.

Hanka też pomagała, co ino mogła, Jóźka zaś radą czepiała się bele czego, by ino przy wieprzku ostawać i w chałupie.

— Pomagaj gnój nakładać, niech prędko wywożą, bo widzi mi się, że dzisiaj nie skończą próżniaki! — krzyczała na nią.

Z żalem juści niemałym leciała w podwórze, całą złość wywierając na chłopaków, że ciągiem słyhać było jej jazgoty — bo i jakże!... wyganiała ją, kiej w chałupie czyniło się coraz gwarniej, bo co trocha wpadała jaka kuma, zamawiając się bele czem, po sąsiedzku, a ujrawszy wiążącego wieprzka, rozwodziła ręce i dalejże w głos wydziwiać, że taki wielgachny, taki spaśny, jakiego nie miał i młynarz, albo organista.

Hanka była tem wielce rozradowana, puszyła się sielnie, że szlachtuje świniaka, i choć było jej nieco żal gorzałki, trudno, skoro musiała, jak to było we zwyczaju u gospodarzy przy takim święcie: częstowała, chleb z solą podając na przegryzkę, i rada słuchając tych słówek przypochlebnych i ugwarzając się niemało, bo to ledwie je-

dna za próg, już drugie w sieniach trepy z błota obijały, wstępując niby po drodze do kościoła i na te krótkie Zdrowaś — że kiej na odpust waliły, a dzieci się też sporo plątało po kątach i do okien zaglądając, aż je nieraz Jóźka musiała rozganiać.

Bo to i we wsi czynił się ruch nadspodziewanie, coraz więcej ludzi człapało po drogach, to wozy z drugich wsi raz po raz turkotały, że nad stawem, kieby w procesyi, wciąż się czerwieniły babskie przyodziewy, naród bowiem ciągnął do spowiedzi, nie bacząc na złe drogi, ni na dzień płaksiwy, przykry a tak zmienny, iż co kilka pacierzów padał deszcz, to ciepły wiater przewalał się po sadach, albo zaś nawet sypały śnieżne krupy grube, kiej pęczak, a przyszedł i taki czas, że słońce przedarło się z chmur i kieby złotem posuło świat — jak to zresztą zwyczajnie bywa na pierwszą zwiesnę, kiej czas podobien się czyni w matyjaśności do dziewczki poniektórej, której to posobnie i śmiech, i płacz, i wesele, i żaloscie biją do głowy, a sama nie miarkuje, co się z nią wyprawia.

Juści, że ta u Hanki nikto na pogodę nie baczył, i robota a pogwary szły, jaże się rozlegało Jambroży się zwijał, poganiał drugich, przepkinki wedle zwyczaju wiódł, ale że musiał co parę pacierzy do kościoła zaglądać, czy tam wszystko sprawnie idzie, to na ziąb narzekał i o rozgrzewkę wołał:

— Pousadzałem dobrodziejów, narodem ich obwaliłem, że do południa się nie ruszą.

— Hale, Łaznowski proboszcz długo nie strzyma: powiadali, że mu gospodyni ciągiem porcelenę podawać musil

— Babciu, pilnujcie nosa, poniechajcie księży! Nie lubił tego.

— A o tym że Słupi też powiadają, że zawdy przy spowiedzi flaszuchnę z pachnącem w garści trzyma i nos se przytyka, bo mu ano narod śmierdzi, że po każdym wyspowiadanym złe powietrze chustką rozgania i wykadza...

— Zawrzyjcie gębę: wara wam od księży! — wybuchnął ześlony.

— Rocho są w kościele? — podjęła śpiesznie Hanka, również wielce nierada pyskowaniom Jagustynki.

— Siedzą od samego rana, do Mszy służył i co potrza obrządza.

— A kajże to Michał?

— Poszedł z organiściakiem do Rzepek, po spisie.

— Gęsią orze, piaskiem sieje i niezgorzej im się dzieje! — westchnął Jambroży.

— Jeszczeby! już najmniej jak za każdą duszę zapisaną jajko dostają...

— A za kartki do spowiedzi osobno przeciek bierze po trzy grosze z duszy. Co dnia widzę, jakie torby dygują z różnościami. Samych jajów

sprzedała organiścina w zeszłym tygodniu coś dwadzieścia i dwie kopy — rzekła Jagustynka.

— Kiej nastał, to pono piechty przyszedł z jednym węzełkiem, a terazby go i we cztery dworskie wozy nie wywiózł.

— Organista z górą dwadzieścia roków w Lipcach siedzi, parafia duża, pracuje, zabiega, grosza szczędzi, to się i dorobił — tłómaczył Jambroży.

— Dorobił się! Drze z narodu, jak ino może, a nim co komu robi dobrze, w garście cudze patrzy, po trzydzieści złotych od pochowku bierze za to, co ta pobeczy po łacińsku i na organach poprzebiera.

— Zawdy uczony jest we swoim i nieraz dobrze musi się nagłować!

— Juści, że nauczny, kaj cieni beknać, a kaj grubiej, i jak wycyganiać.

— Jenszyby przepił, a ten syna na księdza kieruje.

— To i honor będzie miał niemały i profit! — dogadywała stara zajadle.

Przerwali w najlepszym miejscu, gdyż Jaguś wpadła, stając na raz w progu kiej wryta.

— Dziwujesz się wieprzkowi? — zaśmiała się Jagustynka.

— Nie mogliście to po swojej stronie szlachtować! Izbę mi całkiem zapaskudzą — wykrztusiła, w ponsach cała stając.

— Masz czas, to se wymyjesz! — odrzekła zimno, z naciskiem, Hanka.

Jaguś cisnęła się naprzód kieby do kłótni, ale dała spokój, zakręciła się jeno po izbie, wzięła różańce z pasyjki, a przyokrywszy rozbabrane łóżko jakąś chuściną, wyszła bez słowa, choć wargi trzęsły się jej ze złości utajonej.

— Pomoglibyście, tyle roboty! — powiedziała jej w sieniach Józka.

Wywarła na nią gębę w takiej złości, że nawet słów nie można było rozeznaczyć, i poleciała jak wściekła. Witek za nią wyjrzał i mówił, jako prościutko do kowala się poniesła.

— A niech se idzie: poskarży się ździebko, to jej ulży!

— Wojować wama znowuj przyjdzie! — zauważyła ciszej Jagustynka.

— Moiście, dyc jeno wojną żyję! — odparła spokojnie, choć trwożna była, boć rozumiała, że musi tu lada chwila przylecieć kowal, i bez srogiej kłótni się nie obędzie.

— Ino ich patrzeć! — szepnęła ze współczuciem Jagustynka.

— Nie bójcie się, wytrzymam, nie ustraszą me — ozwała się z uśmiechem.

Jagustynka aż głową pokiwała z podziwu nad nią, spoglądając porozumiewawczo na Jambroża, którego właśnie składał robotę.

— Zajrzę do kościoła, południe przedzwonie i zaraz na obiad wrócę! rzekł.

Jakoż wrócił rychło, opowiadając, że już księża przy stole siedzą, że młynarz przysłał ryb całą

wiecierz, i że po obiedzie będą jeszcze spowiadali, gdyż siła narodu czeka.

Po prędkim i krótkim obiedzie, jeno tego zakropionym, bo Jambroż wyrzekał żałośliwie, jako gorzałka za słaba do tak przesłoniałych śledzi, wzięli się znowu do roboty.

Właśnie był Jambroży ćwiertował wieprza i obrzynał mięsiwo na kielbasy, a Jagustynka, rozłożwszy połcie na stole, uczynionym ze drzwi, narzynała słoninę, troskliwie ją przesalując, gdy wleciał kowal.

Widno mu było z twarzy, że ledwie się hamował.

— Nie widziałem, żeście aż tylego wieprzka sobie kupili! — zaczął z przekąsem.

— A kupiłam i szlachtuję, widzicie!

Strach ją żdziebko przejął.

— Sielny wieprzak, daliście ze trzydzieści rubli. Oglądał go pilnie.

— A słoninę to ma grubą, że szukać! — zaśmiała się stara, podsuwając mu pod oczy polec.

— I... nie całe trzydzieści dałam, nie całe! — odpowiedziała z prześmiechem Hanku.

— Borynowy wieprzek! — wybuchnął naraz, nie mogąc już powstrzymać złości.

— Jaki to zmyślny: nawet po ogonie rozpozna czyj! — szydziła stara.

— Niby jakim prawem żeście zarżnęli — zakrzyczał wzburzony.

— Nie wykrzykujcie, bo tu nie karczma, a ta-

kiem prawem, że Antek przez Rocha przykazał go zarznąć.

— Cóż tu Antek ma do rządzenia? jego to?

— A juści, że jego!

Skrzepla już w sobie, nabrała mocy do walki.

— Do wszystkich należy!... drogo wy za niego zapłacicie!

— Nie przed tobą bedziem zdawać sprawę!

— Ino przed kim! Do sądu pójdzie skarga.

— Cichocie, przywrzycie pysk, bo chory tu ano leży, a jego to wszystko...

— Ale wy będziecie jedli.

— Pewnie, że wama nie dam i powąchać.

— Pół świni dacie i piekła wam robić nie będę — szepnął łagodniej.

— I jednego kulasa przez mus nie dostaniecie.

— To po dobroci dacie tę oto ćwierć i połeć słoniny.

— Antek każe wam dać, to dam, ale bez jego przykazu ni kosteczki.

— Wściekła się babal... Antków to wieprzak czy co? — złość go znów ponosiła.

— Ojcowy to jakby było Antkowy, bo skoro ociec chorzy, to on tu rządzi za niego i jego głową wszystko stoi. A potem będzie, jak Pan Jezus da...

— W kreminalu niech se rządzi, jak mu pozwolą... Smakuje mu gospodarka, powloką go w kajdanach na Sybir i tam se będzie gospodarkował! — wykrzyknął spieniony.

— Wara ci od niego!... może i powleką... jeno, że i tak nie ogryziesz tych zagonów, byś latego i gorszym jeszcze Judaszem stał się la narodu! — mówiła groźnie, roztrzęsiona nagłym strachem o męża.

Kowalowi aż kulasy zadygotały i ręce jęły drżeć i trzepać się po odzieniu, taką chęć poczuł za gardziel ją chycić, powlec po izbie i skopać, ale się jeszcze zdzierżył: ludzie byli — jeno ciskał w nią rozsrożonemi ślepiami, słowa nie mogąc wykrztusić. Ale ona się nie ulękła, biorąc nóż do krajania mięsa i bystro a urągliwie patrząc w niego, aż przysiadł na skrzyni, papierosa skręcał i czerwonemi ślepiami izbę oblatywał, rozważając cosik w sobie i kalkulując, bo wstał rychło i rzekł dobrotliwie:

— Chodźcieno na drugą stronę, rzeknę coś waju na zgodę.

Otarłszy ręce poszła, pozostawiając wywarte na oścież drzwi.

— Nie chcę się z wami prawować ni kłócić — zaczął, zapalając papierosa.

— Bo nic ze mną nie zwojujecie!

Uspokoila się znowu.

— Mówił co jeszcze ociec wczoraj?

Łagodny już był, uśmiechał się do niej.

— Ni... leżał cicho, jako i dzisiaj leży...

Podejrzliwa czujność w niej wstała.

— Wieprzak fraszki, małe ptaszki, zarzynajcie go sobie i zjedźcie, wasza wola... nie moja strata

Człowiek nieraz plecie, czego potem żałuje. Nie pamiętajcie com rzekł! O ważniejszą sprawę idzie... Wiecie, powiadają na wsi, jako otec mają mieć sporo gotowego grosza gdzieś w chałupie schowanego... — Przerwał, wwiercając się oczyma w jej twarz. — Oplaciłoby się poszukać, broń Boże śmierci, to jeszcze się kaj zapodzieją, albo kto obcy złapie.

— A powie to kaj schował!

Głęboką nieprzenikliwość miała w oczach.

— Wamby wyśpiewał, byście go ino mądrze za język pociągnęli.

— Niech ino mu rozum przyjdzie, popróbuję wypytać...

— Byście mądrą byli i język za zębami trzymali, to o tem, gdyby się pieniądze znalazły, mozem ino na spółkę wiedzieć. Znalazłby się większy grosz, toby było łącniej i Antka wykupić z krenału... a poco drugie wiedzieć mają?... Jagna ma dosyć zapisu... i możnaby też na proces mieć, by jej te morgi wyprawować... A Grzeli mało to posyłali do wojska! — szeptał, nachylając się do niej.

— Prawdę mówicie... juści... — jąkała, strzegąc się, by z czem się nie wyrwać.

— Rachuję, że musiał kaj w chałupie schować... jak uważacie?

— Wiem to, kiej mi o tem ni słówkiem nie zatrącił?...

— O zbożu wam cosik wczoraj prawił... nie baczycie to? — podsuwał.

— Juści, że o siewach wspominał.

— I o beczkach cosik powiadał — przypominał, nie spuszczać z niej oczu.

— Jakże! boć w beczkach stoi zboże do siewu! — zawołała, niby nie rozumiejąc.

Zaklął z cicha, ale się teraz utwierdzał coraz bardziej, że ona coś wie; wyczytał to z jej twarzy zamkniętej i z oczu zbyt przyczajonych i trwoźnych.

— A com waju zawierzył, nie rozpowiadajcie...

— Pleciuch to jestem, któremu pilno z nowinkami po kumach?...

— Dyć przestrzegam ino... Ale pilnujcie dobrze, bo skoro już raz staremu zaświtało we łbie, to może mu się leda pacierz całkiem rozwidnić...

— No... niechby przyszło do tego co rychlej!...

Obrzucił ją lepkiemi ślepiami raz i drugi, poskubał wąsów i wyszedł, odprowadzany jej oczyma pełnemi przytajonej szydliwości.

— Judasz, ścierwo, zbój!

Buchnęła nienawiścią, postępując za nim parę kroków; boć to nie po raz pierwszy ciska jej w oczy groźby i strachania, że Antka na Sybir pošłą i do taczek przykują.

Juści, że nie całkiem wierzyła, rozumiejąc, iż głównie przez złość pyskuje, aby ją przetrwożyć i bez to łacniej z chałupy wygrzyźć.

Ale mimo tego, żarła ją trwoga o niego nie-

mała. Przewiadywała się też nieraz i kaj jeno mogła, co go może za kara spotkać, miarkując ze smutkiem, iż całkiem na sucho ujść mu nie ujdzie.

— Po prawdzie, że ojca rodzonego bronił, ale borowego zakatrupił, to juści pokarać go muszą, jakże...

Mówili co rozważniejsi, że się nijakiej prawdy dobić nie mogła, bo kuźden inszą wywodził. Adwokat w mieście, do którego ją ksiądz z listem posłał, powiedział, jako może być różnie: i całkiem źle, i niezgorzej, trza jeno pieniędzy na sprawę nie skąpić i cierpliwie czekać. We wsi zaś najbarzej ją trwożyli, że to kowal podmawiał swoje wymysły i wszystkich podrychtowywał.

Nie dziwota też, że i teraz jego słowa kamieniami padły na duszę. Nogi pod nią truchlały przy robocie, mówić nie mogła, tak ją strach zatykał, a do tego zaś i Magda po jego odejściu przyleciała i siadła przy chorym, oganiając go niby od much, których nie było, a śledząc wszystko baczniemi ślepiami.

Ale snadź jej to wrychle obmierzło, gdyż się w robocie pomagać ofiarowywała.

— Nie trudź się, uredzim sami, mało się to w chałupie naharujesz!

Odradzała Hanka takim głosem, że Magda dała spokój, pogadywała jeno niekiedy a lękliwie, że to już z samego przyrodzenia nieśmiała była i milcząca.

A jakoś na samem odwieczrze zjawiała się znowu Jaguś, ale wespół z matką.

Witały się kieby w najlepszej zgodzie żyły i tak przyjacielsko a przychlibnie, aż to Hankę tknęło, i chociaż odpłacała im tem samem, nie żałując dobrych słów, ni nawet gorzałki, miała się jednak na baczności. Ale Dominikowa odsunęła kieliszek.

— Wielki tydzień! Gdzieżbym to gorzałkę piła!

— Nie w karczmie i przy okazji toć nie grzech! — usprawiedliwiała Hanka.

— Człowiek chętnie se folguje i rad zawsze sposobnością wymawia...

— Przepijcie gospodyni do mnie, ja to nie organista! — wykrzyknął Jambroz.

— Niech ino szkło brzęknie, to was zarno grzysi ponoszą — mruknęła Dominikowa, zabierając się do opatrzenia głowy chorego.

— Cie... komu sygnaturka sprawia, że bije się pięścią pokutnie, a drugiemu zaś flaszkowy po-brzęk to czyni, że wpodłe za kieliszkiem maca...

— Leży se ten chudziaczek, leży, i o bożym świecie nie wiel — zawołała żałośnie nad Boryną.

— I jadł kielbasy nie będzie i gorzałki nie posmakuje! — ciągnęła tym samym sposobem, a wielce szydlowie Jagustynka.

— Wama ino prześmiechy na pamięci! — zestrofowała ją gniewnie.

— A cóż to? płakaniem biedy se odejmę. Tyla mojego, co się pośmieję.

— Kto sieje zło, niech se smutki zbiera i pokutę odprawuje!...

— Niedarmo powiadają, że Jambroz, choć przy kościele służy, a gotów się by i z grzychem pokumać, bych jeno sobie pofolgować i użyć! — rzekła wyniośle Dominikowa, obrzucając go srogiemi oczyma.

— Przeciwić się dobremu i ze złem kumać potrafi, któren jeno nie baczy, jaką potem weźmie zapłatę — dodała ciszej, jakby głożąc.

Milczenie padło na izbę. Jambroz zakreślił się gniewnie, ale zdzierzał w sobie ostrą odpowiedź, boć wiedział, że i tak każde jego słowo znał będzie dobrodziej najpóźniej jutro po mszy; niedarmo Dominikowa przesiadywała ciągiem w kościele... A i reszta zwarzyła się też pod jej sowiemi ślepiami; nawet nieustępliwa Jagustynka przymilkła trwożnie.

Jakże, cała wieś się jej bojała; już pono nie jeden poczuł na sobie moc jej złych ślepiów, nie jednego już pokręciło albo rozchorzał, gdy nań urok rzuciła.

Pracowali w cichości z pochylonemi trwożnie twarzami, że jeno jej biała gęba, sucha i poradlona, kieby z blichowanego wosku, nosiła się po izbie. Nie odzywała się również, zabierając się z Jagną do pomagania tak ostro, że Hanka wzbrowić nie śmiała.

Że zaś Jambroza odwołał księży parobek do

kościół, ostały jeno same, pilnie układając mięso i połcie w cebrzyki a beczkę.

— Po tej stronie w komorze będzie chłodniej la mięsa, mniej się w izbie pali... — zarządziła stara, wraz zataczając statki z Jagusią.

Tak się to prędko stało, że nim się Hanka mogła sprzeciwić, nim pomiarkowała, już one powtażały do komory, więc srodze rozeźlona zaczęła śpiesznie przenosić na swoją stronę, co ino pozostało, przywołując Józkę i Pietrka do pomocy.

O samym zmierzchu, gdy już zapalili światło, zabrali się pośpiesznie do robienia kiełbas, kiszek i onych grubaśnych salcesonów. Hanka siekała mięso z jakąś ponurą wściekłością, tak była jeszcze wzburzona.

— Nie zostawię w tamtej komorze, żeby zechłała albo wyniesła! Niedoczekanie twoje! To ci fortelnica! — szepnęła wreszcie przez zęby.

— Rano, po cichuśku, jak pójdzie do kościoła, przenieść wszystko do swojej komory i będzie po krzyku. Nie odbije wam przeciech! — radziła Jagustynka, szprycując mięso w długachne flaki, że się skręcały po stole, kiej te węże czerwone a tłuste i co trochu rozwieszała je na żerdce nad kominem.

— Niech spróbuje! Zmówiły się i z tem przyleciały!

Nie mogła się uspokoić.

— Nim Jambroż wróci, kiełbasy będą gotowe... — zagadywała stara.

Ale Hanka zmiłkła, zajęta pracą, a głównie rozmyślaniem, jakby odebrać poście owe i szynki.

Ogień trzaskał na kominie i tak się galantobuzowało, że w całej izbie było czerwono, w garach parkotały gotujące się różności, z których czyniono kisзки, a dzieci cosik trwoźnie gaworzyły nad nieckami z krwią.

— Laboga, jaże me mdli od tych smaków! — westchnął Witek, pociągając nosem.

— Nie wywączuj, bo możesz co oberwać! Krowy ano pój, siano zakładaj i sieczkę na noc zasypuj... Późno już! Kiedy to obrządzisz?..

— Pietrek zaraz przyjdzie, sam przeciek nie uredzę...

— A kajże to poszedł?

— Nie wiecie?... pomaga sprzątać na drugiej stronie!...

— Co? Pietrek! ruszaj bydło obrządzać!

Krzyknęła naraz Hanka w sień z taką mocą, że Pietrek w ten mig poleciał w podwórze.

— A przyłóż kulasów i sama se izbę wyporzadź!... widzisz ją!... dziedziczka jakaś, rączków se szczędzi, parobkiem się wyręcza! — wołała rozłoszczona do ostatka, wywalając jednocześnie na stół z garnka dymiącą się wątrobę i dutki, gdy jakiś wóz zaturkotał i dzwonek zajęczał na dworze.

— A to ksiądz z Panem Jezusem jedzie do kogoś!... — objaśniał Bylica, akuratnie wchodząc do izby.

— Któżby zachorzał? nie słyhać było!...

— Za wójtową chałupę pojechali! — krzyknął przez okno zadyszany Witek.

— Ani chybi do któregoś z komorników...

— A może do waszych, do Pryczków, tam ano siedzą...

— Hale! zdrowe były: takim ścierwom nic się złego nie stanie — szepnęła Jagustynka, ale chociaż w niezgodzie żyła z dziećmi, a w ciągłych procesach, zadrżała:

— Przewiem się nieco i zaraz przyletę...

Wybiegła śpiesznie.

Ale kawał wieczoru się przewlekło i Jambroży zdążył z nawrotem, a ona nie powróciła; właśnie był stary powiadał, iż księdza wzywali do Agaty, Kłębowej krewniaczki, co to w sobotę z żebrów przyciągnęła.

— Jakże? nie u Kłębów to siedzi?

— U Kozłów, czy ta u Pryczków pono się przytuliła na skonanie.

Tyle jeno o tem przerzekli, zajęci wielce robotą jeszcze i bez to opóźnianą, że Józka, a to i sama Hanka, ciągiem odbiegały roboty, by lecieć w podwórze do wieczornych obrządków.

Wieczór się ciągnął zwolna i przykrzył się wielce a dłużył, że to i ciemnica zwała się na świat, iż pięści nie dojrzał, deszcz zaciął ziębiący, wiatер ciepał się raz po raz o ściany i trątał sady, że drzewiny z szumem tłukły się w ciemnościach, a niekiedy buchał w komin, aż głośnie wyskakiwały na izbę.

7*

Prawie przed samą północą skończyli, a Jagustynka jeszcze nie wróciła.

»Plucha i błocko, to się jej nie chciało po omacku utykać!« — myślała Hanka, wyzierając na dwór przed spaniem.

Juści, czas był taki, że psa żalby na świat go-
nić, wiejba aż dachy trzeszczały, chmurzyska opite
deszczem, bure i napęczniałe przewalały się po
zmętniałem niebie, a nikaj w wysokościach ni je-
dnej gwiazdy, ni też ogniowego migotu w chału-
pach, zgoła przepadłych w nocy. Wieś już dawno
spała, wiatер jeno hulał po polach i barował się
z drzewami, a wody stawu przegarniał ze świstem.

Zaraz poszli spać, już nie czekając.

Jagustynka zaś, dopiero nazajutrz rano się zja-
wiła, ale mroczna kiej ten dzień przebłocony,
wiejny i zimny; ugrzała jeno w chałupie ręce
i zaraz poszła do stodoły, przebierać ziemniaki,
już tam z dołów na kupę zwalone.

Robiła prawie w pojedynkę, bo Jóźka odbie-
gała często nakładać gnój, któren od świtania wy-
woził śpiesznie Pietrek, niemało już dzisiaj skrzy-
czany od Hanki, że to wczoraj się lenił i nie zdą-
żył; poganiał też tego, na Witka hukał, konie ba-
tem prażył i jeździł, aż błoto się otwierało.

— Wałkoń jucha, na bydlątkach tera się od-
bija! — rzekła stara, ciskając na gęsi, bo się przy-
wiedły całem stadem na klepisko i nuż szczypać
ziemniaki a przykry gęgot czynić. Zagadnęła po-
tem do niej Jóźka: nie odezwała się, siedząc kiej

ten mruk i pilnie kryjąc pod nasuniętą na czoło zapaskę oczy zaczerwienione jakoś.

Hanka zrazu jeno raz jeden zajrzała do nich, czatując w izbie na wyjście Jagny, by wtedy zabrać mięso do swojej komory i spenetrować zarazem beczki ze zbożem, ale jakby na złość, Jagna ni krokiem nie ruszała się z chałupy, że już nie mogąc wstrzymać zaglądała do chorego, to zamówiwszy się o coś, wlaźła do komory.

— Czegoj szukacie? dyć wiem, gdzie co jest, to wama pokażę! — wołała Jagna, idąc za nią, że trzeba było wychodzić, ledwie co wraziwszy ręce we zboże, a pieniądze mogły być głębiej, na spodzie...

Zrozumiała też rychło, że tamta jej stróżuje, więc po niewoli dała spokój, odkładając swoje zamysły na sposobniejszą porę.

»Trza się wziąć do szykowania podarunków« — pomyślała, żałośnie przyglądając się kielbasom, rozwieszonym na drążku; we zwyczaju bowiem było u Borynów i co pierwszych gospodarzy, iż któren świnie zaszlachtował, ten zaraz nazajutrz rozsyłał w podarunku najbliższemu krewniakom, albo z którymi przyjaciółstwo trzymał, po kielbasie, lebo czego inszego po kawale.

— Juści, łącno nie jest, ale dać musisz, powiedziałyby co żałujesz... — rzekł naraz Bylica, utrafiając w sam raz w żałośliwe strapienia.

Więc chocia serce ścisnął żal, jęła rychtować na talerzach i miseczkach z ciężkiem westchnie-

niem, zmieniając nie po raz jeden zbyt krótkie kawałki na dłuższe, to przydając niektórym po kawale kiszek, to znowu odbierając, aż w końcu zmęczona i rozboleła, przywołała Jóźki.

— Przyodziej się pięknie i rozniesiesz po ludziach...

— Jezus, tylachna wszystkiego!...

— Cóż poredzić, kiej trzeba! Sam Maciek stłoczy, ale sam nie wyskoczy! Te dłuższe nieśstryjnie najpierw: zbójem na mnie patrzy, pyskuje, ale niema rady; to ci z miseczkom wójtom: łajdus on, ale z Maciejem żyli w przyjacielstwie i może być w czym pomocny; cała kiszka, kiełbasa i kawał boczkua la Magdy, la kowali: niech nie szczekają, że sami zjadamy ojcowego świniaka; juści, całkiem im tem pyska nie zatka, ale przyczepkę będą miały mniejszą... Pryczkowej tę tu kiełbasę: harda, wynośliwa, pyskata, ale z przyjacielstwem szła pierwsza... Kłębowej ten ostatni...

— Dominikowej to nie ślecie?

— Później się da, po południu... juści, że trzeba... z taką to jak z tem łajnem: nie porusz i jeszcze zdala obchodzi. Noś posobnie, ino nie zagaduj się tam z dzieuchami, bo robota czeka.

— Dajcie i Nastce, one takie biedne, nawet na sól nie mają... — prosiła cicho.

— Niech przyjdzie, to dam niecoś. Ociec, la Weronki zabierzecie, miała wczoraj zajrzeć...

— Młynarzowa ją przed wieczorem wezwała

sprzątać pokoje, bo pewnikiem goście do nich zwalą na święta.

I długo jeszcze jąkał nowinki, ale Hanka, wyprawiwszy Józkę, przyodziła się nieco cieplej i pobiegła pomagać Jagustynce, a poganiać chłopaków.

— Czekalim na was z kolacją — zaczęła, zdziwiona milczeniem starej.

— I... najadłam się tam patrzeniem, jaże me jeszcze dzisiaj w dołku gniecie...

— To Agata pono zachorzała?

— Juści, u Kozłów se dochodzi sierota.

— Jakże, nie u Kłębów leży?

— Krewniakiem przyznają, któremu niczego nie potrza, albo i z pełną garścią przychodzi; na inszych, choćby rodzonych, piesków się ano spuszcza...

— Co wy też! przeciek jej nie wygnały!

— Hale, przywlekła się do nich w sobotę i zaraz w nocy zachorzała... Powiedają, że Kłębowa wziena jej pierzynę i prawie nagą we świat puściła...

— Kłębowa! Nie może być, taka pocziwa kobieta, cheba plotki pletą.

— Swojego nie mówię, ino co mi w uszy wlało...

— I u Kozłowej leży! A któżby się spodział, że taka litościwa!

— Za pieniądze to i ksiądz litościwy. Kozłowa wzięła od Agaty dwadzieścia złotych go-

towego grosza i za to mają ją przetrzymać u siebie do śmierci, bo stara liczy, że lada dzień zamrze. Ale pochówek osobno, a stara se nie dzisiaj to jutro dojdzie, niedługo jej czekać... nie...

Zmilkła naraz, usiłując napróżno powstrzymać chlipanie.

— Cóż to wama, chorzyście? — pytała Hanka ze współczuciem.

— Tyle się już ludzkiej biedy najadłam, że me w końcu do cna rozebrało. Człowiek nie kamień, broni się przed sobą, choćby tą złością na cały świat, ale się nie obroni: przyjdzie taka pora, co już nie zdierży więcej i w ten piasek dusza mu się rozsypie żalosny.

Zaniesła się płaczem i długo się trząsała, nos głośno wycierając, aż znowu ją mówić boleśnie, że te jej słowa, kiej łzy gorzkie i palące, kapąły na Hanczyną duszę.

— I niema końca tej ludzkiej marnacyi. Siadłam przy Agacie, kiej już ksiądz odjechał, aż tu przylatuje Filipka z za wody, z krzykiem, że jej najstarsza kończy... Poleciałam juści... Jezus, w chałupie żywy mróz siedzi... Okna wiechciami pozatykane... jedno łóżko w chałupie, a reszta w barłogu, kiej psy, się gnieździ... nie pomarła dzieucha, ino ją tak z głodu sparło... ziemniaków już brakło, pierzynę już przedali... każdą kwartę kaszy wymodlają u Młynarza, nikt nie chce zborgować i pożyczyć do nowego... bo i kto?... Poratunku niema, Filip przecież w kreminalu z drugimi...

Ledwie wyszła od nich, powieda Grzegorzowa, że Florka, Pryczkowa, zległa i pomocy potrzebuje... Łajdusy to i krzywdziciele moi, choć dzieci rodzone... zaszłam, nie czas krzywdy pamiętać... No, i tam niezgorzej bieda kły szczerzy; drobiazgu pełno, Florka chora, grosza jednego w zapasie niema i pomocy znikąd... grontu przeciek nie ugryzie... jeść niema kto uwarzyć, pole odłogiem stoi, choć zwiesna idzie... bo Adam jak drugie w kreminalu... Chłopaka urodziła zdrowego kiej krzemień, żeby się jeno odchowwał, bo Florka wyszła kiej szczapa i tej kropli mleka w piersiach niema, a krowa dopiero na ociehleniu... I wszędzie tak źle, a u komorników to już trudno wypowiedzieć... Ni komu robić, ni gdzie zarobić; ni grosza ni poratunku znikąd... Mógłby już to Jezus sprawić, by choć lebką śmiercią pomarły, nie męczyłby się naród co najbiedniejszy.

— A komuż się to we wsi przelewa? wszędzie bieda i ten skrzybyt serdeczny.

— Hale, i gospodarze turbacye niemałe mają... jeden się frasuje czymby lepszem kichy nadział, a inszy komuby na większy precent pieniądz rozpozyczył... ale żaden się nie poturbuje o biedotę, chciaby ta pode płotem zdychała... Mój Boże, w jednej wsi siedzą, przez miedzę, a nikomu to śpiku nie psuje... Juści, kaźden Jezusowi ostawia starunek o biedotę i na zrządzenie boskie zwała wszystko, a sam rad przy pełnej misce brzuchowi folguje i choćby ciepłym kożuchem uszy od-

gradza, by ino skamłania biedujących nie posłyszeć...

— Cóż poredzić? któryż to ma tylachna, by wszystkiej biedzie zaradził?

— Kto nie ma chęci, ten wie jak wykręci! Nie do was piję, nie na swoim siedzicie i dobrze wiem, jak wam ciężko, ale są takie, coby mogły pomódz, są: a Młynarz, a ksiądz, a organista, a drugie...

— By im kto podsunął o tem, to możeby się zlitowały... — tłumaczyła.

— Kto ma czujną duszę, ten sam dosłyszcy wołanie cierpiących, nie potrze mu o tem z ambony krzykiwać! Moiście wy, dobrze one wiedzą, co się z narodem biednym dzieje, boć tą biedą ludzką się ano pasą i na niej tłuscieją... Młynarzowi to żniwo teraz, chociaż do przednówka daleko: procesyami ludzie ciągną po mąkę i kaszę, za ostatni grosz, na bóróg za odrobek albo dobry precent, a choćby pierzynę Żydowi sprzedać, a jeść trza kupić...

— Prawda, darmo nikto nie da...

Przypomniła sobie własne, niedawne nędze i westchnęła ciężko.

— Przesiedziałam do późna przy Florce, kobiet się też naschodziło i powiadały co się we wsi dzieje, powiadały...

— W imię Ojca i Syna! — krzyknęła naraz Hanka, zrywając się na równe nogi, bo wiatr tak

ano trzasnął wrótniami, że dziw się nie rozleciały Wywarła je z trudem, mocno podparłszy kołkami..

— Wieje sielnie, jeno ciepły jakiś, by deszczu nie sprowadził.

— Już i tak wóz się w polu po sękle zarzyna.

— Parę dni dobrego słońca i wnet przeschnie, zwiesna przeciech.

— Żeby choć zacząć sadzić przed świętami!

Przegadywały niekiedy, pilnie zajęte, aż i całkiem przycichły, jeno pacanie przebieranych ziemniaków słyszać było, że to drobne rzucały na jedną kupę, a nadbutwiały na drugą.

— Będzie czem podpaść maciorę i la krów też starczy na picie...

Ale Hanka jakby nie słyszała, przemyśliwając wciąż, jakby się do tych ojcowych pieniędzy dobrać najsprawniej, że tylko niekiedy spoglądała przez wrótnie na świat, na drzewiny rozciapane i szamocące się z wichurą. Postrzępione, sine chmurzyska przewalały się po niebie, kiej roztrzęsione snopy, a wiatr jeszcze się wciąż wzmagął i tak jakości podwiewał z dołu, iż poszycia na chałupie jeżyły się niby szczotka. Ziab przytem ciągnął wilgotny i srodze przejęty nawozem, którego wybierali z gnojowiska. W podwórzu zaś było prawie pusto, jeno niekiedy przebiegały rozczapierzone kury, poganiane przez wiatr, gęsi siedziały w zaciszu pod płotem na gąsietach, cicho piukających, a co parę pacierzy podjeżdżał ostro

Pietrek z pustym wozem, zakręcał dookoła, stawał rychtyk naprost klepiska, zabijał ręce, koniom podrzucał kłak siana i nakładłszy wespół z Witkiem gnoju, podpierał wóz na wybojach i ruszał w pole.

Czasami znów Jóźka wpadała z krzykiem, zaczerwieniona, zdyszana, przejęta tem roznoszeniem kielbas, i trajkotała.

— Zaniesłam wójtom, teraz poletę do stryjecznych... W chałupie siedzieli, izby już białą na święta, tak dziękowali, tak dziękowali...

Rozповідаła szeroko, choć nikto jej za język nie ciągał, i znowu leciała na wieś, niosąc ostrożnie w chustkę białą owiązane miseczki z podarunkami.

— Trajkot dzieucha, ale zmyślna — zauważyła Jagustynka.

— Juści co zmyślna wielce, jeno że do psich figlów i gdzieby się zabawić...

— Cóż chcecie?... skrzat to jeszcze, dzieciuch...

— Witek, obcz-no kto tam wszedł do chałupy! — zawołała naraz Hanka.

— Kował poszli dopiero co!

Tknięta jakimś złem przeczuciem, pobiegła prosto na ojcowską stronę; chory leżał jak zwyczajnie w znak, Jagna cosik szyła pod oknem, w izbie nie było więcej nikogo.

— A kajże się to Michał podział?...

— Muszą być gdziesik, szukają klucza od wo-

zów, którego byli kiejś pożyczili Maciejowi — objaśniała, nie podnosząc oczu.

Hanka zajrzała do sieni, nie było go; zajrzała na swoją stronę: jeno Bylica siedział z dziećmi przy kominie i wystrugiwał im wiatraczki; nawet w podwórzu szukała; nikaj ni znaku po nim, więc już prosto rzuciła się do komory, choć drzwi były przywarte.

Jakoż kował stał tam przy beczce z rękoma po łokcie we zbożu i pilnie w niem grzebał.

— W jęczmieniu toby klucz chowali? co? — wyrzuciła zdyszana, ledwie zipiąc ze wzburzenia i stając groźnie naprzeciw.

— Patrzę, czy nie śpleśniały, czy aby zda się do siewu... — jękał zaskoczony niespodzianie.

— Nie wasza sprawa!... Pocioście tu wleźli? — krzyknęła.

Wyjął niechętnie ręce i ledwie hamując wściekłość, zamruczał:

— A wy pilnujecie me, kiej złodzieja...

— Niby to wiem, pocóżeście tu przyszli, co? Hale, do cudzej komory włożył będzie i penetrował po beczkach, kłódki może będziecie ukrecać, do skrzyń otwierać... co? — wrzeszczała coraz głośniej.

— Nie powiadałem wama wczoraj, czego nam szukać potrza...

Wysilał się na spokój.

— Przede mną cyganiliście, jedno by mi pia-

skiem oczy zasypać, a robicie drugie. Przejrzałam już wasze Judaszowe zamysły, przejrzałam...

— Hanka, stul pysk, bo ci go przymknę! — zaryczał złowrogo.

— Spróbuj, zbóju jeden! tknij me choć palcem, a takiego wrzasku narobię, że pół wsi się zbiegnie i obaczy, coś ty za ptaszek! — groziła.

Rozejrzał się dobrze po ścianach i ustąpił wreszcie klnąc siarczyście.

Popatrzeni sobie w oczy zblizka i z taką mocą, że bych mogli, na śmierćby się przebodli temi rozgorzałami ślepiami.

Hanka aż wodę piła, długo nie mogąc się opamiętać po tem wzburzeniu.

»Trza je naleźć i schować przezpiecznie, bo niechby ich dopadł, ukradnie« — rozmyślała, wracając do stodoły, ale naraz zawróciła z pół drogi.

— Siedzisz w chałupie, stróżujesz, a obcych do komory puszczasz! — krzyknęła z góry na Jagnę, otwierając drzwi.

— Michał nie obcy; ma takie prawo, jak i wy! — wcale się nie ulękła jej krzyku.

— Szczekasz kiej ten pies, zmówiłaś się z nim dobrze, ale bacz, że niech jeno co z chałupy zginię, to jak Bóg w niebie, do sądu podam i ciebie wskażę, żeś pomagała... Zapamiętaj to sobie!... — wrzeszczała rozszncona.

Jagna skoczyła z miejsca, chwytając w garść co było na podorędziu.

— Bić się chcesz! bij! popróbuj ino, to ci te

cacaną gębusię tak sprawię, aż się czerwona oblejesz i rodzona matka cię nie pozna!...

Dunderowała, zajadle krzykając nad nią, co tylko ślina i złość na język stoczyła.

I nie wiada zgoła, na czemby się to skończyło, bo już pazury rozczapierzały, drąc się coraz bliżej siebie, gdyby nie Rocho, którego akuratnie w samą porę nadszedł, że Hanka przywstydzona jego patrzeniem, ochłonęła nieco i zmiłkła, zatrzasnąwszy jeno za sobą drzwi z całej złości.

Jagna zaś ostała na izbie, ruchać się nie mogąc z przerażenia; wargi jej latały, niby we febrze i serce kołatało, łzy posypały się kiej groch. Aż w końcu oprzytomniała; rzucając w kąt maglownicę, ścisną w garści, buchnęła się na łóżko, w boleściwym, nieutulonym płaczu roztrzęsiona.

Hanka tymczasem opowiadała Rochowi o co im poszło.

Słuchał cierpliwie jazgotliwych i szlochem przepłatanych powiadań, a nie mogąc z nich wiele wymiarkować, przerwał ostro i jął ją surowo grozić, odsunął nawet podawane jedzenie i wielce różgniewany po czapkę sięgał.

— Już mi we świat iść przyjdzie i nigdy Lipiec na oczy nie oglądać, kiejście tacy. Złemu to wszystko na pociechę, albo Żydowinom, co się ze swarliwości a głupoty chrześcijańskiego narodu prześmiewają! Jezus mój miłosierny, to mało bied, mało chorób, mało głodowań, to się jeszcze w pojedynkę za łby biorą i złością dokładają.

Zadyszał się tą przemową, Hankę zaś przejęła taka żalność i strach, by w gniewie nie odszedł, że pocałowała go w rękę, przepraszając z całego serca...

— Byście wiedzieli, co z nią już wytrzymać ciężko, na złość wszystko robi, a na moją szkodę. Przecież z krzywdą naszą tu siedzi... jakże, tyłachna gruntu ma zapisane... A nie wiecie to jaka jest?... co to wyprawiała z parobkami... jaka... (— nie, nie potrafiła wypomnieć o Antku —)... a teraz już się pono z wójtem zmawia... — dodała ciszej. — To juści, że skoro ją dojrzę, to się jaże we mnie gotuje ze złości, iż prostobym nożem pchnęła...

— Pomstę oślawcie Bogu! ona też człowiek i krzywdy czuje, a za swoje grzechy ciężko odpowie. Powiadam wam: nie krzywdźcie jej!

— To ja ją krzywdzę?

Zdumiała się wielce, nie mogąc wymiarkować, w czym się Jagnie krzywda dzieje.

Rocho przegryzał chleb, wodząc za nią oczyma, a cosik medytując, wreszcie pogładził dziecińskie głowy, tulące mu się do kolan i zabierał się do wyjścia.

— Zajrzę do was którego dnia wieczorem, a teraz wama jeno rzeknę: Poniechajcie jej, róbcie swoje, a resztę Pan Jezus sprawi...

Pochwalił Boga i poszedł na wieś.

IV.

Rocho włókł się wolno drogą nad stawem, raz, że wiatr tak w niego siepał, iż ledwie się na nogach utrzymał, a po drugie, jako strapiony był wielce tem wszystkim, co się we wsi działo, to jeno raz po raz wznosił rozpalone oczy na chałupy, przemyślał ważne i wzdychał żałośnie. Tak źle się bowiem działo w Lipcach, że już zgola gorzej nie mogło.

Zaś nie to było najgorsze, że niejednym głodem przymierał, że choroby się krzewiły, że się kłócili barzej i za łby brali, że nawet śmierć wybierała swoje gości, niżli po inne roki — takusieńko było i łoni, i drzewiej; do tego się już był naród wezwyczał, rozumiejąc dobrze, jako inaczej być nie będzie... Złe i o wiele gorsze było całkiem co inszego — oto, że ziemia stojała odłogiem, bo nie miał w niej kto robić...

Zwiesna już szła całym światem wraz z tem ptactwem, ciągnącem do łońskich gniazd, na wyżnich miejscach podsychały role, wody opadły,

i ziemia się prawie prosiła o pługi, o nawozy i o to ziarno święte...

A któż miał iść w pole, kiej wszystkie robotne ręce były w kreminalu!... Przeciech prawie same kobiety ostały we wsi, a nie ich to moc, ni głowa poredzić wszystkiemu.

A tu na niejedną przychodziła pora rodów, jak to na zwiesnę zwyczajnie, a tu krowy się cieleły, drób się lągl, maciory się prosiły, w ogródkach też czas był zasiewać i wysadki sadzić, ziemniaki trza było przebierać z dołów przed sadzeniem, wodę z pól spuszczać, gnój wybierać i wywozić — to choć urób kulasy po łokcie, a bez chłopca nie wydolisz... A tu jeszcze trza obrządzać inwentarz, rznąć sieczkę, poić, drwa rąbać, lebo i z lasu wieść, a tylachna inszej, codziennej roboty, choćby na ten przykład z dziećskami, których było wszędzie, kiej maku, że Jezus! gnatów już nie czuły, krzyże im ano drętwiały na odwieczery z utrudzenia, a i połowy nie było zrobione — bo kaj to jeszcze te ze wszystkich najpierwsze — polne roboty?...

A ziemia czekała; wygrzewało ją młode słońce, suszyły wiatry, przejmowały nawskroś te ciepłe i płodne deszcze, stężały owe mgliste i nagrzone noce zwiesnowe — że trawy już puszczały zieloną szczotką, oziminy podnosiły się w chyżym roście, skowronki przedzwaniały nad zagonami, boćki brodziły po łągach, kwiaty też kajś niekaj buchały z moczarów ku niebu połyskliwemu, ku niebu, co

się codnia, niby ta płachta jasna i obtulna, podnosiła coraz wyżej, że już coraz dalej sięgały tęskliwe oczy, aż po owe wręby wsi i borów, nie-dojrzanych w zimowych mrokach; cały świat przecykał z martwego śpiku i prężył się a przysstrajał do zwiesnowych godów wesela i radości...

Zaś wszędy po sąsiedztwach, kaj jeno okiem dosięgnąć, robili tak pilno, że całe dni deszcz był, czy pogoda, rozlegały się wesole przyspiewy i kukanie, po polach błyskały pługi, ruchali się ludzie, konie rżały i wozy turkotały wesoło, a jeno lipeckie role stały puste, ciche, zgoła obumarłe i jako ten smętarz żalosne...

A kieby na dobitkę jeszcze te ciężkie strapienia o uwięzionych...

Mało jeśli co dnia nie ciągnęło do miasta po kilkoro ludzi z węzełkami, a i z tym płonym skamłaniem, bych wypuścili niewinowatych.

Hale! będzie ta kto miał miłosierdzie nad pokrzywdzonym narodem, jeśli on sam sobie sprawiedliwości nie wydrze!...

Źle się działo, tak źle, że nawet obce ludzie, z drugich wsi, zaczęli już miarkować, jako krzywdą Lipiec jest krzywdą wszystkiego narodu chłopskiego. Jakże, jeno mała mała szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać, bych i jemu na taki sam koniec nie przyszło.

Więc i nie dziwota, jako drugie wsie, choć ta przódzi koty dały z Lipcami o granice i różne szkody sąsiedzkie, albo i z czystej zazdrości, że

to Lipczaki wynosiły się hardo nad wszystkie, a wieś swoją uważały za najpierwszą, teraz poniechali sporów, otrząchając z siebie zawziętość, bo często chłop jakiś z Rudek, to z Wólki, to z Dębicy, a nawet i z Rzepeckiej szlachty nie jeden, przebierał się do Lipiec na kryjome prze-wiady.

Zaś w niedzielę po sumie, albo jak wczoraj przy zjeździe do spowiedzi, rozpytywali się pilnie o uwięzionych, srożąc przytem twarze, siarczyście klnąc, a zarówno z Lipeckimi pięście zaciskając na krzywdzicieli, i wielce się litując nad dolą po krzywdzonego narodu.

Właśnie był teraz nad tem Rocho medytował, postanawiając zarazem jakieś przedsięwzięcie ważne, gdyż jeszcze barzej zwolnił kroku, często przystawał, chroniąc się od wiatru za grubsze drzewa i jakby nic dokoła nie widzący, we świat poglądał daleki...

A widniej się jakoś zrobiło i cieplej, jeno ten uprzykrzony wiatер wzmagał się z godziny na godzinę, że jeden szum niósł się całym światem, i już co cieńsze drzewiny pokładały się z jękiem, trzepiąc gałęziami po stawie, snopki ano wyrывał z dachów, i co kruchsze gałęzie odzierał, a wiał już teraz górą i z taką mocą, że wszystko się ru-chało: i sady, i płoty, i chałupy, i pojedyn-cze drzewa, aż się zdało jako z niem w jedną stronę lecą, a nawet to blade słońce, co się z poza rozwałonych chmur wysupłało, wydało się również

uciekającym po niebie, zawlekanem kieby piaskami rozwianemi, zaś nad kościołem jakieś stado ptaków z rozczapierzonemi skrzydłami, nie mogąc się uporać z pędem, dały się nieść wicherze i ze strachliwym krzykiem rozbijały się o wieżę i rozchwane drzewa.

Ale wiater, choć był przykry i nieco szkoldiwy, sielnie też przesuszał role, bo już od rana galanto zbielewały zagony, a drogi ociekały z wody...

Rocho długo stał w medytacji onej, o Bożym świecie zapomniawszy, aż poruszył się znagła, doszły go bowiem z wichurą jakieś swarliwe głosy.

Rozejrzał się bystro: po drugiej stronie stawu, przed sołtysową chałupą, w opłotkach, czerwieniła się kupa kobiet z jakimiś ludźmi w pośrodku...

Pośpieszył tam z ciekawością, coby się stało, nie wiedząc.

Ale dojrawszy zdala strażników z wójtem, skrzył w najbliższe opłotki, a stamtąd jął się ostrożnie przebierać sadami ku gromadzie, nie lubił jakoś leżeć w oczy urzędowi.

Gwar zaś był coraz wrzaskliwszy, kobiet wciąż przybywało, dzieci też całą hurmą zbiegały ze wszystkich stron, cisnąc się do starszych, a poszturchując między sobą, aż ciasno się uczyniło w opłotkach, i wywalili się na drogę, nie bacząc na błoto, ni na rozkolebane drzewa, siekące gałęziami. Jazgotali cosik spólnie, to jakieś osobne

głosy się wydzierały, ale coby, nie mógł wymiarować, bo wiatер porywał słowa. Dojrzał jeno przez drzewa, że Płoszkowa rej wiodła: gruba spaśna, z rozczerwienioną gębą, wykrzykiwała cosik najgłośniej i tak zajadle podjeżdżała pięściami pod wójtowy nos, że się ten cofał, a reszta przytwierdzała jej wrzaskiem, kiej to ślado indorów rozwścieczonych. Kobusowa zaś uwijała się po bokach próżno chcąc się przedrzeć do strażników, nad którymi co chwila trzęsły się zaciśnięte pięście, a gdzie niegdzie już i kij, albo utytłana miełica..

Wójt cosik tłómaczył, drapiąc się frasobliwie po głowie, a powstrzymując na sobie babski napór, że strażnicy wysunęli się ostrożnie z kupy nad staw i poszli ku młynowi; wójt ruszył za nimi, odszczekując się niekiedy, a grożąc chłopakom, bo zaczęli frygać za nim błotem.

— Czego chcieli? — pytał Rocho, wchodząc między kobiety.

— Czego! aby wieś dała dwadzieścia wozów i ludzi do szarwarku, by w ten mig jechali naprawiać drogę w lesie... — objaśniała go Płoszkowa.

— Jakiś większy urząd ma przejeżdżać tamtędy, i bez to przykazują zawozić wyrwy...

— Powiedzielim, że wozów, ni koni nie damy.

— Któż to pojedzie?

— Niech pierwaj puszczą naszych chłopów, to im drogę narządzą.

— Dziedzicaby zaprzęgly!

— Sameby się wzięły do roboty, a nie penetrowały po chałupach!

— Ścierwy, ukrzywdzicie! — wołała jedna przez drugą, a coraz głośniej.

— Jeno dojrzałam strażników, zaraz mnie co-sik niedobrego tknęło...

— Przeciek z wójtem już od rana naradzały się w karczmie.

— Nachlały się gorzałki i dalej-że chodzić po chałupach, a ludzi pędzić do roboty...

— Wójt dobrze wie, powinien był w urzędzie przełożyć, jak jest w Lipcach — ozwał się Rocho, próżno chcąc przekrzyczeć wzburzone głosy.

— Hale, dobrze on z niemi trzyma!

— I pierwszy na wszystko naprowadza.

— A o to jeno stoi, z czego ma profit — zakrzyczały znowu.

— Namawiał, aby dać tamtym po mędlu jajek z chałupy, albo po kurze, to poniechają i drugie wsie do szarwarku wygonią.

— Tych kamienibym dała!

— Kijaszkciem przyłożyła!

— Cichocie, kobiety, by was nie skarali za ubliżenie urzędowi!

— Niech karzą, niech wezmą do kozy, do oczu stanę choćby największemu urzędowi i wypowiem wszystko, w jakim to ukrzywdzeniu żyjemy!...

— Wójtaby się bojała!... Figura zapowie-

trzona!... Tyle mi znaczy, co ta kukła do strachania wróblili!... Nie pamięta o tem, że chłopcy go wybrały, to i one mogą z tego urzędu zesadzić!... — wrzeszczała Płoszkowa.

— Karaćby jeszcze mieli!... A nie płacim to podatków, nie dajem chłopaków w rekruty, nie robim, co ino każą!... Mało im jeszcze, że nam chłopów pobrali!...

— A niech się zjawia, wnet jakaś bieda pada na kogoś.

— Psa mi ano we żniwa w polu ustrzelili!...

— Mnie zaś do sądu podali, że się sadze zapaliły!...

— A mnie to nie, żem tu łoni len suszyła za stodołą?

— A jak to sprawy Gulbasiaka, że kamieniem na nich puścił!...

Krzyczały wspólnie, ciżbiąc się do Rocha, aż uszy zatykał od wrzasku.

— Adyc przyciszcie się! Gadaniem nic nie porodzi! Cichocie!... — wołał.

— To idźcie do wójta i przedstawcie, albo wszystkie tam pociągniem z mietłami!... — darła się zawzięcie Kobusowa.

— Pójdę, ino już się rozejdźcie!... Przecież tyle roboty ma każda w chałupie... już ja przedstawię dobrzel!... — prosił gorąco, bojąc się powrotu strażników.

Że zaś w tę porę przedzwonili południe na

kościół, to się zaczęły zwolna rozchodzić, rajcując głośno i przystając przed chałupami.

Rocho zaś prędko wszedł do sołtysowego domu, gdzie był teraz mieszkał, nauczał bowiem dzieci w pustej izbie Sikorów, na drugim końcu wsi, za karczmą. Sołtysa nie było doma, podatki powiózł do powiatu.

Opowiedziała mu zaraz Sochowa, spokojnie, po porządku jak to było.

— Bych jeno z tych wrzasków nie wyszło co złego!... — zauważyła wkońcu.

— Wójtowa winą. Strażniki robią, co im przykazali, on zaś wie, jako we wsi ostały same prawie kobiety, że w polu nie ma kto robić, a nie dopiero na szarwarki jeździć. Pójdę do niego, niech załagodzi sprawę, by sztrafów nie kazali płacić!...

— To wszystko patrzy, jakby się na Lipcach mściły za las!... — powiedziała.

— Któżby?... dziedzic?!... Moiście wy! a cóż on ma do urzędów?...

— Zawždy pan z panem łącniej się zmówi, w przyjacielstwie żyją, a mścić się na Lipcach zapowiadał!...

— Boże! że to i dnia spokojnego niema!... Cięgiem coś nowego!...

— Bych ino gorsze już nie przyszło!... — westchnęła, składając ręce, jak do pacierza.

— Zleciały się, kiej sroki, a pyskowały, że niech Bóg bronil!...

— Jakże, ten się drapie, kogo swędzi!..

— Wrzaskiem nie poradzi, jeno nową biedę można sprowadzić!..

Rozdrażniony był i zestrachany, by znowu na wieś co złego nie padło.

— Wracacie to do dzieci?

Podniósł się był z ławy.

— Rozpuściłem swoją szkołę: święta; a po drugie, że muszą w chałupach pomagać: tyle wszędzie roboty!..

— Byłam rano za najemnikami na Woli, po trzy złote obiecywałam od orki, jeśćbym dała, i ni jednego nie namówiłam. Każden swoje przódzi obrabia: gdzie mu to dbać o kogo! Obiecują przyjść za niedzielę, abo i dwie!..

— Jezul że to człowiek ma ino te dwie i słabe ręce!.. — westchnął ciężko.

— Pomagacie wy i tak narodowi, pomagacie!.. Kiejby nie wasz rozum i to serce dobre, to już nie wiada, coby się z nami wszystkiemi stało!..

— Bym to mógł, co chcę, nie byłoby biedy na świecie! nie!

Rozwiódł ręce w onej niemocy ciężkiej i wyszedł śpiesznie do wójta. Jeno że tam nierychło doszedł, wstępując po chałupach.

Wieś się już uspokoiła nieco; jeszcze tam kajś, w poniektórych opłotkach, pyskowały co najzawziętsze, ale większość rozeszła się szykować wa-

rzę obiednią, a po drogach jeno wiatery hulał, jak przódzi, i drzewinami miotał.

Ale wnetki po przypołudniu, mimo wichury uprzykrzonej, zaroilo się wszędy od ludzi, że w obejściach, po ogrodach, przed chałupami, w sieniach i izbach zawrzało, kiej w ulach od roboty i nieustających jazgotów babich — boć to przeciech ino same kobiety się zwijały a dziewczyniska, zaś trafił się chłopak, to jeszcze taki z koszulą w zębach, a najwyżej do pasionki przydatny, gdyż co starsze wraz z ojcami siedziały.

Zwijali się żwawo, jeszczek popędzając do pośpiechu, że to wczoraj z powodu zjazdu księży do spowiedzi, dziadoskie świętko se zrobili, przesiadując prawie dzień cały w kościele, a dzisiaj znowu zabałamucili przez strażników.

A tu i święta nadchodziły, wielki wtorek już był na karku, toć i roboty przybyło, i różnych turbacyi niemało — to kiele chałup trza było porządki czynić, to dzieci obszyć, siebie też ździebko obrządzić, do młyna wieść, o święconem pomyśleć, i tyle jeszcze inszych różności, że już w każdej chałupie głowiły się ciężko gospodynie, jak tu wszystkiemu zaradzić, a przepatrywały pilnie komory, coby karczmarzowi sprzedać, albo do miasta wywieźć na ten grosz potrzebny. Nawet już kilka kobiet pojechało zaraz po obiedzie, wioząc cosik pod słomą na przedanie.

— By was tam gdzie drzewo nie przywaliło! — ostrzegał Rocho Gulbasową, przejeżdżającą

właśnie taką mizerną koniną, że ledwie szła pod wiatr.

I skręcił zaraz do jej chałupy, dojrawszy, że dziewczyny, wylepiające szpary, nie mogą sięgnąć nad okna. Pomógł im w tem i jeszcze wapno w szafli rozrobił do bielienia ścian, i galanty pendzel wyrychtował ze słomy.

I połażł dalej.

U Wachników gnój wywoziły na pobliskie pole, ale tak sprawnie im to szło, że połowa wytrząchała się z desek po drodze, a dzieuchy we dwie konia za uzdę ciągnęły, bo słuchać pono nie chciał. Wszedł tam Rocho, gnój na wozie oklepał jak się należało, i konia batem złoł, iż ciągnął posłusznie, kiej dziecko...

U Balcerków znowu, Marysia, ta, co po Jagnie Borynowej za najgładszą była we wsi uważana, siała groch tuż za płotem w czarną i sielnie znawożoną ziemię; jeno, że się ruchała, kiej mucha w smole, okręcona na głowie w chustkę i w ojcowej kapocie do ziemi, by jej kiecki nie rozwiewało.

— Nie śpiesz się tak, jeszcze wydolisz!... — zaśmiał się, wchodząc na zagon.

— Jakże... kto groch sieje w wielki wtorek — za garniec zbierze worek! — odrzyknęła.

— Nim dosiejesz, już ci pierwszy wzejdzie! Ale za gęsto, Maryś, za gęsto... niechby wyrósł, to zwije się w kołtuny i położy!

Pokazywał, jak siać z wiatrem, bo głupia, nie zmiarkowała się, siejąc, jak popadło.

— A Wawrzon Socha mi powiedział, jakoś do wszystkiego sposobna! — rzekł od niechcenia, idąc wpodłe brózdą pełną błota.

— Mówiliście to z nim?... — wykrzyknęła, przystając nagle, by tchu złapać.

Zczerwieniała się strasznie, ale bojała pytać.

Rocho się jeno uśmiechnął, ale odchodząc, powiedział:

— We święta mu powiem, jak się to sielnie przypinasz do roboty!...

Zaś u Płoszków stryjecznych Stacha, dwóch chłopaków podorywało tuż przy drodze kartofli-sko: jeden poganiał, drugi niby to orał, a skrzaty były oba, ledwie nosem ogona końskiego sięgające i przez żadnej mocy, to jużci, że pług im chodził kiej chłop napity, a koń co trocha do stajni zawracał, prały go też wciąż na spółkę i klęły, swarząc się między sobą.

— Poredzim, Rochu, poredzim, ino bez te ścierwy kamienie pług wyskakuje, a i kobyła ciągnie do źródka... — tłómaczył się z płaczem starszy, kiej mu Rocho odebrał pług i rznał skibę załoźną, przyuczając zarazem trzymania kobyły.

— Teraz już całe staję podorzem do nocki!... — wykrzykiwał zuchowato, rozglądając się strachliwie, czy kto nie dojrzał Rochowej pomocy, a gdy stary poszedł, przysiadł wnet na pługu od wiatru, jak to ociec robili, i zakurzył papierosa.

A Rocho szedł dalej po chałupach, miarkując, gdzie może być w czym pomocny.

Przyciszał kłótnie, spory łagodził, doredzał, a gdzie było potrza, i w robocie, choćby najcięższej, pomagał, bo jak u Kłębów drew narąbał, widząc, że Kłębowa nie mogła poradzić sękatemu pniakowi, a Paczesiowej wody przyniósł ze stawu; gdzie znowu rozswawolone dzieci do posłuchu napędzał...

A zauważył, że się kajś zbytńio smucą i wyrzekają — żarty stroił ucieszne i te prześmiechy... Z dzieuchami też rad o panowych sprawach radził i chłopaków wspominał; z kobietami pogadywał o dzieciach, o kłopotach, o sąsiadkach i o tem wszyćkiem, w czym jeno babi gatunek pociechę najduje — byle jeno naród ku lepszym myślóm podprowadzić...

A że człowiek, był mądry, pobożny, we świecie niemało bywały, to wiedział zaraz z pierwszego spojrzenia, co rzec i komu, jaką przypowiastką wyrwać duszę smutkowi, komu był potrzebny śmiech, komu wspólny pacierz, albo to twarde, mądre słowo, lub i pogroza...

Taki zaś dobry był i społecznie czujący, że choć i nieproszony, a niejedną nockę przesiedział przy chorych, krzepiąc swoją dobrością nieboraków, że go już nawet więcej uważali, niżli dobrodzieja...

Aż wkońcu to się już narodowi począł widzieć

jako ten świątek Pański, po zagrodach roznoszący Boże zmiłowanie a pociechy.

Hale! mógł to zaradzić biedzie wszystkim? mógł to przeprzeć dolę i przekarmić głodne, uzdrowić chore, albo wystarczyć swojemi za brakujące ręce?...

Nad moc jednego człowieka się trudził, pomagając i broniąc narodu — jeno że la wszystkim wsi było to jedną okruszyną, tem, jakoby kto w spiekocie wargi spragnione rosą odwilżał, pić nie podając!...

Jakże! wieś przecież była ogromna, samych chałup stało ponad pięćdziesiąt, i ziemi do obróbki leżał szmat wielgachny, i lewentarza do obrządków, a i gąb do przeżywienia czekało co niemiara.

A zaś to wszystko, od czasu wzięcia chłopów, trzymało się więcej Boską Opatrznością, niżli ludzkiemi zacięgami, więc i nie dziwota, że z dniem każdym więcej się mnożyło bied, potrzeb, skamlań i turbacyi...

Rocho dobrze to wszystko czuł i wiedział; ale dopiero dzisiaj, chodząc od chałupy do chałupy, dojrzał, jaki to upadek wszędy się wkłada...

Mało bowiem, że pola leżały odłogiem, że nikt nie orał, nie siał, nie sadził, boć co tam w roli paprali, za dziecińską zabawę starczyło — ale już ruina i opuszczenie widać było na każdym kroku: płoty się ano waliły miejscami, gdzie zaś przez odarte dachy krokwie i łaty wylażyły, to

oberwane wrótnie zwisały, kiej przetrącone skrzydła, trzepiąc o ściany, a niejedna chałupa się wypinała, daremnie prosząc podpory.

A wszędy wody gniły pod chałupami, błoto po kolana i nieporządki pod ścianami, że przejść było niełatwo, a na każdym kroku taka marnacyja, że aż za serce ścisnęło; toć często krowy porykiwały z głodu i konie prosto w gnój obrażały, bo nie było komu oczyścić.

I tak się działo ze wszystkim, że nawet cielaki, utyłane w błocie kiej świnie, łążyły samopas po drogach, statki gospodarskie niszczały na deszczu, pługi rdza zajadała, w półkoszkach wylęgiwały maciory, a co się zaś pochyliło, co oberwało, co nadłamane padło — już tak ostać ostawało, bo któż to miał co podjąć? któż naprawiać? kto złemu zaradzić i gorszemu zapobiedz?... Kobiety?...

Ależ tym chudzinom ledwie już sił i czasu starczyło na to, co najpilniejsze! Juści, niechby chłopcy wrócili, a w mig byłoby inaczej...

Czekali też na ich powrót, jak na zmiłowanie Pańskie, czekali z dnia na dzień, krzepiąc się tą nadzieją...

Ale chłopcy nie powracali i ni sposobu było się dowiedzieć, kiej ich puszcza. Więc tymczasowie jeno zły miał uciechę i profit z tej marnacyi narodu, z tych kłyżnień, swarów a bitek, z tego umęczenia serc w biedzie a żałościach...

Już siwy zmierzch zasiewał świat, kiej Rocho

wyszedł z ostatniej za kościołem chałupy, od Gołębiów, i powlókł się do wójta na drugi koniec wsi...

Wiatr wciąż hurkotał, ciskając się coraz barzej, a tak miećąc drzewinami, że nie było przepiecznie iść, bo raz poraz leciały na drogę odłamane gałęzie.

Stary też, zgarbiony, przemykał pod samymi płotami, ledwie widny w tej dziwnej szarości zmierzchu, kieby ze startego na proch szkła uczynionego.

— Jeśli do wójta idziecie: we młynie pono; w chałupie go niema! — Jagustynka zjawiała się przed nim niespodziewanie.

Zawrócił ku młynowi bez słowa, nie cierpiał bowiem tego plecucha.

Dopędziła go wnet i drepcąc pobok, zaszeptała prawie w same uszy:

— Zajrzyjcie do moich Pryczków, aby i do Filipki... zajrzyjcie!...

— Bym co pomógł, to zajrzę...

— Tak skamlały, abyście do nich zajrzeli... przyjdźcie!... — gorąco prosiła.

— Dobrze, jeno przódzi muszę z wójtem pomówić.

— Bóg zapłać!

Pocałowała go w rękę roztrzęsionemi war-gami.

— A wam co?

Zdumiał się, bo zawsze byli z sobą jakby we wojnie.

— Coby zaś, jeno na każdego przychodzi taki czas, że jako ten pies zgoniony a bezpański, rad, kiej go pocziwa ręka pogłaszcze... — szepnęła łożawa, ale nim nalazł dla niej to dobre słowo, odeszła śpiesznie.

A on i we młynie wójta nie nalazł; ze strażnikami pono do miasta pojechał — powiedział młynarczyk, zapraszając na odpocznienie do swojej izdebki, gdzie już dosyć siedziało lipeckich bab i chłopów z drugich wsi, oczekujących na swoją kolej mielenia. Byłby tam Rocho chętnie posiedział dłużej, ale Tereska, żołnierka, siedząca z inszemi, przysiadła wnet do niego i jęła nieśmiało a cichuśko wypytywać o Mateusza Gołębia.

— Byliście u chłopów, toście i jego musieli widzieć... a zdrowy? a dobrej myśli? a kiej go puszcza?... — przycierała, w oczy mu nie spoglądając.

— A jak się ma wasz we wojsku? zdrowy? rychło wraca?... — spytał wkońcu również cicho uderzając ją srogimi oczyma.

Zczerwieniła się i uciekła na młyn.

Pokiwał głową nad jej zaślepieniem i poszedł, chcąc cosik przełożyć a ostrzedz przed grzechem, ale na młynicy, choć się paliły lampki, w tym roztrzęsionym kurzu mącznym i mroku, nie mógł jej odnaleźć: schowała się przed nim. Młyn zaś

tak turkotał, wody z takim krzykiem nieustannym waliły na koła, a wiatr, kieby temi największemi worami rypał raz po razie we ściany i dachy, że wszystko było w takim dygocie i roztrzęsieniu, jakby leda mgnienie rozlecieć się miało, aż Rocho dał spokój szukaniu i zaraz poszedł do tych nieboraczek.

Tymczasem noc się już stała zupełna; wskroś rozkolebanych drzew trzęsły się gdzieniegdzie zapalone światła, jako te ślepie wilcze, ale na świecie było dziwnie jasno, że dojrzał chałupy pokryte w sadach, a nawet pól mogły sięgnąć oczy, niebo zaś wisało wysokie i ciemne, granatowe, prawie czyste, bo ino kajś niekaj jakby śniegiem przyprószone, i gwiazdy się coraz rzęsiściej wysypywały, tylko wiatr nie ścichał, a na-przeciw, mocy jeszcze nabierał większej i całym światem już się przewalał.

I wiał tak bez mała całą noc, że mało kto poredził oczy zmrużyć choćby na pacierz, gdyż chałupy srodze przewiewał, drzewa chlastały po ścianach i szyby gnietyły, a tak we ściany rypał i tłukł, kieby temi barami, iż myśleli nieraz, co całą wieś wyrwie i po świecie roztrzęsie.

Uspokoilo się dopiero nad ranem, ale ino co kokoty przepiały na świtanie, i pomordowany naród zasnął, grzmoty jęły huczeć i przewalać się nad światem, a łyskawice zamigotały krwawemi postronkami, potem zaś deszcz spadł ulewny. Nawet powiadali, że pioruny gdziesik biły nad borami.

Ale dobrym już rankiem całkiem się uspokoiło, deszcz przestał i ciepło prosto buchało z pól, a ptaki jęły świegotać radośnie, a choć słońce się nie pokazało, jednak miejscami rozrywały się niskie, białawe chmury i niebo galanto modrzało. Mówili, że na pogodę idzie.

Zaś we wsi lament powstał i krzyki, bo się pokazało tyle szkód po wichurze, że i nie zliczyć: na drogach leżały pokotem połamane drzewa, kawały dachów, płoty, iż nie można było przejechać.

U Płosków zważyło chlewy i wszystkie gęsi przygnietło. I tak w każdej chałupie pokazała się jakaś szkoda, że wszystkie opłotki zaroily się kobietami, a biadania i płacze sypały się jako ten deszcz rzęsy.

Właśnie i Hanka wyszła na świat, by obejrzeć gospodarstwo i sprawdzić szkody, gdy na podwórzu wpadła Sikorzyna.

— A to nie wiecie?... Stachom rozwalilo chałupę!... cud Boski, że ich nie pozabijało! — wrzeszczała już zdaleka.

— Jezus Marya!...

Zmartwiała z przerażenia.

— Przyleciałam po was, bo oni tam prosto przez rozum, płaczą ino...

Hanka, chwyciwszy jeno zapaskę na głowę, w dyrdy pobiegła, ludzie zaś, rychło zwiedziawszy się o nieszczęściu, gęsto ciągnęli za nią.

Jakoż prawda się okazała: z chałupy Stacho-

wej zostały tylko ściany, ino barzej jeszcze po-
gięte i w ziemię wbite; dachu nie było całkiem,
tyle, ce jakieś nadłamane krokwie chwiały się nad
szczytem; komin też się zwałił, że ostał z niego
niewielki osztych, kiej ten ząb wypróchniały ster-
czący; ziemię dokoła zaścielały potargane snopki
a rupiecie potrzaskane.

Weronka zaś siedziała pod ścianą na kupie
zwalonych rzeczy i, ogarniając rękoma rozplakane
dzieci, ryczała w głos.

Przypadła do niej Hanka, ludzie też kołem
otoczyli, pocieszając, ale nie słyszała nic i nie wi-
działa, zanosząc się coraz cięższem szlochaniem.

— O sieroty my biedne, sieroty nieszczęśli-
we!... — jęczała boleśnie, że niejednej łzy się pu-
szczały z żalu.

— I gdzie się podziejem nieszczęśliwe? kaj
głowy przytulim? kaj pójdziem?!... — krzyczała
bez pamięci, przytulając dzieci.

A stary Bylica, skurczony i siny, kiej trup,
obchodził wciąż rumowiska i kury zganiał do kupy,
to krowie, uwiązanej do trześni, kłak siana pod-
rzucał, albo przykucał pod ścianą, gwizdał na psa
i patrzył na ludzi, kiej ten głupi...

Myśleli, że rozum do cna stracił.

Naraz poruszyli się wszyscy, rozstępując a chy-
ląc pokornie do ziemi, bo proboszcz ano nadszedł
niespodziewanie.

— Ambroży dopiero co powiedział mi o tem
nieszczęściu. Gdzież Stachowa?

Odstonili ją, w bok się odsuwając, ale ona nie dojrzała przez płacz.

— Weronka, dyć sam dobrodziej przyszli! — szepnęła jej Hanka.

Zerwała się wtedy, a spostrzegłszy księdza przed sobą, rymnęła mu do nóg, wybuchając płaczem jeszcze jękliwszym i barzej zawodzącym.

— Uspokójcie się, nie płaczcie!... cóż poradzić?... wola Boża... no, mówię: wola Boża! — powtórzył, ale tak wzruszony, że sam ukradkiem łzy ocierał.

— Na żebyry przyjdzie nam iść, na żebyry, w cały świat!

— No, nie krzyczcie, dobrzy ludzie nie pozwolą wam zginąć, i Pan Bóg was w czym innem zapomoże. Nie potłukło was? co?

— Bóg jeszcze łaskaw!

— Cud się stał prawdziwy.

— Mogło co do jednego wydusić, jak te gąski Płoszkowej.

— Że i żywa noga mogła nie wyjść! — powiadały jedna przez drugą.

— A w inwentarzu macie jaką stratę? co? W inwentarzu mówię!

— Bóg jakoś ustrzegł, w sieni było wszystko, a ona w całości ostała.

Ksiądz zażywał tabakę, rozglądając łzawemi oczyma tę kupę rumowisk, która jeno ostała z chałupy, boć dach się zwałił do cna i razem z sufitem runął do środka, że przez wygniecione szyby,

widać było tylko kupy połamanego drzewa i przegniłej słomy z poszycia.

— Macie szczęście, bo mogło wszystkich przysgnieść... no, no!

— A niechby przygniotło, niechby nas wszystkich zabiło, to jużbym na ten upadek nie patrzała, to jużbym tego biedowania i marnacyi nie dożyła... O Jezu mój, Jezu! Bez niczegoostałam z temi sierotami... A kaj się teraz podzięję? co pocznę? — zaryczała znowu, drąc się za włosy rozpacznie.

Ksiądz rozłożył bezradnie ręce, przestępując z nogi na nogę.

— Suszej będzie! — szepnęła któraś nieśmiało, podsuwając mu kawał deski, bo w błocie po kostki stojał, przestąpił na nią i, zażywając tabaki, rozmyślał coby tu powiedzieć na pocieszenie.

Hanka zajęła się gorliwie siostrą i ojcem, a reszta ciżbiła się przy dobrodzieju, wlepiając w niego oczy.

Ze wsi nadchodziło coraz więcej kobiet i dzieci, że ino błocko chlupało pod trepami, a przyciszone, trwożliwe głosy poszemrywały w zwiększającej się kupie, to płacz dzieciński, albo Weronczyne, słabnące już szlochanie, zaś na twarzach, ledwie widnych z pod nasuniętych na czoło zapasek, żal się taił i leżała troska chmurna, jako to niebo, wiszące nad głowami, a nie po jednym policzku łzy skapywały gorące...

Ale w sobie byli wszyscy spokojni, z pod-

daniem się znosząc ten dopust Boży. Jakże? gdyby tak kuźden człowiek jeszcze cudze biedy brał w serce, tobych mu na swoje mocy nie starczyło, a przytem: odrobi to, kiej się już złe stanie? zapobieży?...

Ksiądz naraz przystanął do Weronki i rzekł:

— A najpierw to panu Bogu powinniście podziękować za ocalenie...

— Juści, prawda, i choćby prosię przedam, a na mszę zaniesę...

— Nie potrzeba, schowajcie pieniądze na pilniejsze potrzeby, ja i tak zaraz po świętach Mszę odprowadzę na waszą intencję.

Ucałowała mu gorąco ręce i za nogi obłapiła w serdecznem dziękczynieniu za dobrość i miłosierdzie, on zaś przeżegnał ją, błogosławiący, i za głowę ścisnął, a dzieci tulące mu się z piskiem do kolan, przytulił pocziwie i kiej ten najlepszy ociec popieszczał...

— Tylko dufności nie traćcie, a wszystko się na dobre obróci. Jakże to było?

— Jak? Poszlim spać zaruteńko z wieczora, bo gazu nie było w lampce, a i drew brakowało na opał. Wiało juści sielnie, aż chałupa trzeszczała, ale się nic nie bojałam, bo nie takie wichry przetrzymała. Nie spałam zrazu, tak cugi przez izbę wiały, ale musiałam potem zadrzemać. Aż tu naraz kiej nie huknie, kiej się nie zatrząsie, kiej cosik nie rypnie w ściany! Jezus!... myślałam, że wszystek świat się przewala. Skoczyłam

z łóżka i ledwie com dzieci zgarnęła w naręcze, a tu już wszystko trzeszczy, łamie się na głowę leci... ledwie co do sieni zdążyła, i chałupa się za mną zapadła... Jeszczem i myśli nie zebrała, kiej i komin obalił się z hukiem... Na dworze zaś tak wiało, że na nogach trudno było uстояć, i wiatro roznosił poszycie. A tu noc, do wsi kawał drogi, wszyscy śpią, i ani sposób, by krzyki posłyszeli... Do dołu ziemniaczanego wciągnęłam się z dziećmi, i tak do świtania przesiedzielim.

— Opatrzność Boska czuwała nad wami. Czy-
jaż to krowa przy trześni?

— A dyć moja to, moja żywicielka jedyna!

— Mleczna będzie, grzbiet jak belka, kłęby
wysokie... Cielna?

— Leda dzień powinna się ocielić.

— Przyprowadźcie ją do mojej obory, zmieści
się, do trawy może tam postać... Ale gdzie się
wy podziejecie?... mówię: gdzie?...

Naraz pies jakiś zaczął szczekać i na ludzi
rzucać się zajadle, a kiej go odegnali, w progu
usiadł i przeraźliwie zawył.

— Wściekł się, czy co? czyj to? — pytał
ksiądz, chroniąc się ździebko za baby.

— Dyć to kruczek, nasz... juści, żal mu szkody...
czujący piesek... — jękał Bylica, idąc go
przyciszać.

A ksiądz pochwalił Boga na pożegnanie, skinał
na Sikorzynę, by szła za nim, i wyciągnąwszy

obie ręce do kobiet, ciskających się je całować, odchodził zwolna.

Widzieli, że długo z nią na drodze o czemś rozprawiał.

Naród zaś babski, ugwarzywszy się żdziebko i naużalawszy nad pokrzywdzoną, jął się rozchodzić dość śpiesznie, przypominając sobie znągła o śniadaniach i pilnych robotach.

Przy rumowisku ostała jeno sama rodzina, i właśnie medytowali, jakby tu co niebądź wydobyc z zawalonej izby, gdy powróciła zadyszana Sikorzyna.

— A to do mnie się przenieście, na drugą stronę, kaj Rocho dzieci nauczał... Juści komina braknie, ale wstawicie cyganek i waju wystarczy... — rzekła prędko.

— Moiście, a czemu to wama za komorne zapłacę!

— Niech was o to głowa nie boli. Znajdziecie jaki grosz, zapłacicie, a nie, to przy robocie jakiej pomożecie, albo prosto i za Bóg zapłacić siedzicie. Pustką przecież ta izba stoi! Z duszy serca proszę, a ksiądz ten papierek wama przysyła na pierwsze wspomnienie!

Rozwinęła jej przed oczyma trzy ruble.

— Niech mu Bóg da zdrowie! — wykrzyknęła Weronka, całując ten papierek.

— Poczciwy, że drugiego nie naleźć! — dodała Hanka.

— Krowie na księżej oborze też będzie niezgorzej! juści... — stary powiedział.

I zaraz zaczęły się przenosiny.

Chałupa Sikorów stała tuż przy dróżce, na skrócie do wsi, może o jakie dwa stajania od Stachów, zaraz też jęli tam przenosić pozostałą chudobę i co się jeno poradziło na prędcę wydostać z pod rumowisk ze statków i pościeli. Hanka aż parobka swojego przyzwała do pomocy, a wkońcu i Rocho nadszedł, rażno zabierając się do pomagania, że nim przedzwonili południe, Weronka już była osiedlona na nowem pomieszkaniu.

— Komornica teraz jestem, dziadówka prawie! Cztery kąty i piec piąty, ani obrazu nawet, ni jednej całej miski! — wyrzekała gorzko, rozglądając się.

— Obraz ci jaki przyniesę, a i statków co ino najdę zbędnych. Stacho wróć i chałupę przy ludzkiej pomocy rychło podźwigną, że nie ostanieś tak długo... — uspokajała ją Hanka pocziwie. — A kaj to ociec?

Chciała go zabrać do siebie.

Stary ostał przy rumowiskach, w progu ano siedział, opatrując bok pieskowi.

— Zbierajcie się ze mną, u Weronki na nowem ciasno, a u nas przeciech znajdzie się la was kąt jakiś.

— Nie póde, Hanuś... juści... ostanę... urodziłech się tutaj, to i zamrę.

Co się go naprosiła, co mu się naprzekładała, nie chciał i nie.

— W sieni se legowisko wyszykuję... juści... a jeśli każesz... to do waju jeść przyjdę... dzieci ci za to przypilnuję... juści... Pieska ino zabierz, bok mu skaleczyło... juści... stróżować ci będzie... czujny wielce.

— Zwałą się ściany i jeszcze was przygniecie! — prosiła, przekładając.

— I... dłużej przetrzymają niżli człowiek nie-jeden... Pieska weź...

Nie nalegała już więcej, skoro nie chciał. Po prawdzie, i u niej było ciasno, a ze starym nowy kłopot-by był.

Przykazała Pietrkowi wziąć Kruczka na postronek i do chałupy prowadzić.

— Stanie za Burka, któren gdziesik uciekł. Niezgóła dopiero! — krzyknęła niecierpliwie, gdyż Pietrek nie mógł dać rady psu.

— Głupi... gryzł tu będzie... tam zreć co dnia dostaniesz... juści, a w cieple się wyleżysz... Krucek! — napominał go stary, pomagając brać na sznurek.

— Pobiegła przodem, bych jeszcze na odchodem zajrzeć do siostry.

Zdziwiła się, zastawszy w izbie kilka kobiet i Weronkę, znowuj rozpłakaną.

— A czem to sobie u was zasłużyłam na tyle dobrości? czem? — biadoliła.

— Niewiele mozem, wszędy bieda, ale co przy-

nieślim, bierzcie, bo ze szczerego serca dajem — przemówiła Kłębowa, wtykając jej w garść spory węzełek.

— Takie nieszczęście was spotkało!

— Nie z kamienia przeciech naród i kuźden z biedą się zna.

— I przez chłopą jesteście, jak drugie.

— To w taką porę waju ciężej niżli inszym.

— I barzej was Pan Jezus doświadcza... — powiadały wraz, składając przed nią węzełki, bo ano społecznie się zmówiły i naniesły jej, co ino która mogła: to grochu, to krup jęczmiennych, to mąki...

— Ludzie kochane, gospodynie, matki rodzone! — szlochała rzewliwie, obłapiając się z niemi tak gorąco, aż się wszystkie popłakały.

— Są jeszcze dobre na świecie, są!... — myślała Hanka z rozczuleniem.

A tu i organiścina wtaczała się we drzwi, bochen chleba dźwigając pod pachą i kawał słoniny w papierze.

Hanka, nie czekając już na jej przemowę, że to południe akuratnie przedzwaniiali, śpiesznie poleciała do chałupy.

Jasno było na świecie, słońce się nie pokazywało, ale mimo to, dzień posiewał dziwnie przesłonecznioną widność; niebo wisiało wysoko, niby ta modrawa płachta, zrzadka jeno pozarzucana białemi chustami strzępiastych chmur, dołem zaś role rozlewały się w roztocz nieobjętą, widną kiej

na dłoni, pozieleniałą miejscami, a gdzie płową od rżysk i ugorów, strugami wód łyskającą, jakby temi szymbami.

Skowronki wyśpiewywały rozgłośnie, a z pól, od borów, z niebieskawych dali, całym światem, płynęło rzeźwe, wiośniane powietrze, przejęte ciepłą wilgocią i miodnym zapachem topolowych pąków.

A po drogach wsi roilo się od ludzi: ścigali w opłotki gałęzie i drzewa, przez wichurę wyłamane.

W powietrzu zaś było tak cicho, że drzewiny, jakby obwiane jeno puchem pierwszej zieleni pąków, ledwie się poruchiwały.

Nieprzeliczona chmara wróbli kotłowała się przy kościele, że czarno było, jakby od sadzy, na klonach i lipach rozłożystych, aż wrzask i ogłuszający świergot rozchodził się na całą wieś.

Zaś nad wygładzonym, lśniącym stawem krzyczały gęsiory, stróżujące gęsiąt, i klepały ostro kijanki, gdyż prano w wielu naraz miejscach.

A wszędy był rajwach, pośpieszna robota, przekrzyki między chałupami, chmary dzieciaków i czerwieniejących po sadach kobiet.

Sienie i izby stały na przestrzał wywarte, po płotach suszyli przeprane dopiero co szmaty, wietrzyli po sadach pościele, ściany bielono tu i owdzie, psy wojnę czyniły ze świniami, bobrującemi po rowach, a kajś znowu krowy wynosiły rogate łby z za ogrodzeń, porykując tęskliwie.

Nie jeden też wóz wyjechał do miasteczka po świąteczne zakupy. A zaraz z południa nadjechał długim wasągiem stary handlarz Judka ze swoją Żydowicą i bachorem.

Jeździli od chałupy do chałupy, przeprowadzani przez pieski, sielnie docierające, a mało skąd Judka wychodził z pustemi rękoma, bo nie był okpis, jak karczmarz, albo i drugie, płacił niezgorzej, a nawet, jak komu na przednowku było potrza, to na niewielki procent wygodził. Mądry był Żyd, znał wszystkich we wsi i wiedział, jak do kogo przemówić, to i raz po raz ciągał na wóz ciołaka, albo zboża jakiego ćwiartkę wynosił, a Żydowica osobno na swoją rękę handlowała, znosząc jajka, koguty, to jakąś wypierzoną kokoszkę, albo i tego płótna półsztuczek, że to głównie na zamianę wycyganiała za owe fryzki, a wstążki, a tasiemki, a szpilki, i cały ów kram do przystrajania, na któren babski gatunek zawždy łakomy, a co w wielgachnem pudle nosiła z sobą, kusząc niem co łakomsze...

Zajeżdżały właśnie przed Borynów dom, gdy Jóźka przypadła z piskiem:

— Hanuś, kupcie czerwonej tasiemki!... a i tej brezylii do jajek potrza farbowania... nici też zabrakło! — prosiła skamląco Hanki.

— Jutro pojedziesz do miasta, to nakupisz co potrzeba.

— A nawet w mieście taniej i tak nie ocyganiają! — upewniała, rada też jeździć, że już bez

nakazu wyleciała do handlarzy, krzycząc, iż niczego im nie potrza, i nic nie przedadzą.

— A spędź kury, by się jaka do żydowskiego woza nie zaprzęgała! — krzyknęła za nią Hanka, wyglądając przed dom.

Tereska żołnierka skręcała właśnie w opłotki, jakby uciekając przed Żydowicą, która za nią cośik wykrzykiwała.

Wpadła do izby, słowa nie mogąc przemówić a jękając się jeno i czerwieniąc okrutnie, a tak jakoś strapiona, że aż łzy zasiwiły się u jej rzęs długich.

— Co to wam Teresko? — spytała wielce rozciekawiona.

— Abo te oszukańce dają mi tylko piętnaście złotych, a wełniak całkiem nowy! Tak mi potrza pieniędzy, że dziw się nie skręcę...

— Pokażcie... a drogi? — łakoma była na przyodziewę.

— Choćby ze trzydzieści złotych! Wełniak nowiuški, ma całe siedm łokci i pół piędzi, samej czystej wełny wyszło na niego więcej niżli cztery funty... farbierzowi też płaciłam.

Rozwinęła go na izbie, że zabłysnął i zamigotał kiej tęcza i grał farbami, aż oczy trza było mrużyć.

— Śliczności, nie wełniak! Wielka szkoda, ale cóż?... sama potrzebuję grosza na święta. Nie możecie to poczekać do przewodów?

— Hale, kiej mi choćby w tej godzinie potrzeba!

Zwijąła prędko welniak, odwracając twarz, jakby zawstydzona.

— Może wójtowa kupi... łatwiej u nich o grosz.

Wzięła go raz jeszcze oglądać, a do boku przymierzać, i z westchnieniem żalu oddała.

— Swojemu chcesz posłać pieniędzy do wojska?

— Juści... pisał... skamle, że mu bieda... Ostajcie z Bogiem!

I prawie pędem wybiegła z chałupy, a Jagustynka, rozcierająca w cebratce ziemniaki la maciory, zaczęła się śmiać na całe gardło.

— Przyparliście ją, że dziw kiecki nie zgubiła z pośpiechu! Pieniędzy jej potrza la Mateusza, nie la chłopą.

— To one się tak znają! — zdumiała się wielce.

— Ciel jakbyście w lesie siedzieli...

— Skądże to mam wiedzieć?

— A dyć Tereska co tydzień lata do Mateusza i jak pies dni całe waruje pod kryminałem, a zanosi mu co ino może.

— Bójcie się Boga!... nie ma to swojego chłopą?

— Wiadomo, ale tamten we wojsku, daleko, i nie wiada czy wróci, a kobiecie samej się cni, Mateusz zaś był blisko, na poderędziu, i chłop kiej smok. Cóż to ma sobie żałować?!...

Hance przyszedł na myśl Antek z Jagną. Głęboko się zamedytowała.

— A jak Mateusza wzieni, skompaniła się z jego siostrą, z Nastką, nawet siedzi w ich chałupie, i razem już do miasta latają. Nastka niby to do brata, a głównie bych Szymkowi Dominikowej się przypominać...

— Że to wy wiecie o wszystkim! no, no!

— Na oczach głupie szyćko robią, to przejrzyć łącno. Wełniak sprzedaje ostatni, by Mateuszowi święta sprawić! — szydziła złośliwie.

— No, no, co się to nie wyrabia z ludźmi!... I mnieby trza jechać do Antka.

— Tyli świat drogi, w waszym stanie, jeszcze się pochorujecie... Nie może to Józka, albo kto drugi? — Ledwie się wstrzymała, by Jagny nie wymienić..

— Sama pójdę, da Bóg, że mi się nic nie stanie. Rocho mówili, że we święta będą puszczali do niego, pojedę... Ale, trzaby już te bocзки poprzekładać na drugą stronę.

— Trzeci dzień słonieją, juści że nie zawadzi; zaraz tam pójdę.

I poszła, ale jeszcze rychlej wróciła zmieszana jakoś, oznajmiając, że mięsa z połowę brakuje.

Porwała się do komory Hanka, poleciała za nią Józka, i stanęły wystraszone nad cebrażykiem, deliberując, kaj się mogło podziąć.

— To nie psia robota: wyraźnie znać odkrojenie nożem... złodziej obcy też nie przyszedł po parę funtów... To Jagusina sprawka!... — zawyrokowała Hanka, rzucając się zajądło do izby, ale

Jagny nie było, jeno stary leżał jak zawždy z wytrzeszczonemi ślepiami.

Dopiero Józce się przypomniało, jako Jaguś, wychodząc rano z domu, cosik kryła pod zapaską, ale myślała, iż to jakiś stroik, któren sobie szykowała na święta, wespół z Balcerkówną.

— Do matki wyniesła... Komu smakuje, nie pyta czyje...

Ale na te słowa Jagustynki, Hanka zakrzyczała w złości:

— Józka! wołaj Pietrka!... trza tę resztę przenieść do mojej komory.

W mig też przenieśli; chciała przy tej okazji beczki ze zbożem przetoczyć na swoją stronę, by w nich swobodnie przeszukać, ale poniechała: za wiele ich było, i mogliby o tem donieść kowalowi.

I już całe popołudnie jak pies warowała na Jagnę, i gdy ta nadeszła o zmierzchu, wsiadła zaraz na nią z góry o mięso.

— A zjadłam!... tak moje, jak i wasze, to urznęłam kawał i zjadłam! — odpowiedziała hardo, i mimo że już prawie cały wieczór Hanka nie dawała jej spokoju, dunderując zawzięcie, nie odezwała się więcej ani słowa, jakby z rozmysłem drażniąc. Nawet przyszła na kolacyę, jakby nigdy nic, i z uśmiechem w oczy jej poglądała.

Hanka dziw się nie wściekła ze złości, że to jej przemódz nie poredziła.

Przez to już cały wieczór dopiekała wszyst-

kim o bele co, spać nawet wcześniej wyganiając, że to jutro Wielki Czwartek, i trza się będzie brać do porządków.

I sama też legła rychlej niżli zazwyczaj, ale długo w noc nie zasnęła i, posłyszawszy zajadłe naszczekiwanie piesków, wyrzała na dwór.

U Jagny jeszcze się świeciło.

— Późno, gazu szkoda, za darmo go nie dają! — warknęła w sieni.

— Palcie i wy choćby całą noc! — odpowiedziała jej przez drzwi.

Tak się znowu zeżliła, że dopiero po pierwszych kurach zadrzemała.

A wczesnym rankiem, na samem świtaniu, Jóźka, choć śpioch był największy, pierwsza się zerwała z łóżka, przypominając jazdę po zakupy i biegnąc budzić chłopaków, żeby konie szykowali, a nawet potem hardo się postawiła, kiedy Hanka przykazała Pietrkowi założyć do wozu gniadą.

— Ja w deskach i ślepą kobyłą nie pojedę! — wrzeszczała z płaczem. — Cóżem to dziadówka, by mnie w gnojnicach wozili? Wiedzą przeciek w mieście, czyjam córka! Ociecby nigdy na to nie pozwolili...

Narobiła tyle piekła, że postawiła na swoim i wyjechała bryką i parą koni, z parobkiem na przednim siedzeniu, jak to gospodynie zazwyczaj jeździły.

— A czerwonego kup, a złocistego, i jakie

ino będą papiery! — wołał za nią Witek z ogródka, gdzie już równo ze świtaniem rozbijał na zagonikach pecyny i spulchniał ziemię, gdyż Hanka jeszcze dzisiaj zamierzała tam posiać rozsade. A gdy gospodyni dłużej się nie pokazywała z chałupy, leciał na drogę i z drugimi chłopakami grzechotał pod płotami, że to od rana dzwony umilkły, jak to było we zwyczaju w kuźden Wielki Czwartek.

Pogoda się ustalała podobna wczorajszej; smutniej jeno było jakoś na świecie i jakby ciszej. W nocy przyszedł ziąb, to rano podnosił się osiwiały rosami, przemglony a chłodny, że już na dużym dniu, a jeszcze świegotały jaskółki, na dachach pokulone, i rozgłośniej krzyczały gęsi, wypędzone nad staw, ale wieś, skoro jeno rozedniało, wstała odrazu na równe nogi.

Jeszcze do śniadań było daleko, a już powstał rwetes i krętanina, dzieci zaś, wypędzane z chałup, by nie przeszkadzały, nosiły się po drogach, grzechocąc a klekotając w kołatki.

Nawet mało która poszła na mszę, odprawiając się dzisiaj bez grania i dzwonienia.

Szła już bowiem ostatnia pora, bych się zabierać do porządków świątecznych, a głównie do wypieku chlebów i zaczyniania na płacki a owe wymyślne kukielki, to też prawie w każdej chałupie okna i drzwi stały szczelnie poprzywierane, by ciast nie zaziębić, buzowały się ognie, a z kominów były dymy w pochmurzone niebo.

Po oborach zaś ryczały inwentarze, żłoby ogryzając z głodu, świnie pyskały w ogródkach, drób się wałęsał po drogach, a dzieci robiły co chciały, za łby się wodząc i po drzewach łażąc za wronami gwiazdami, gdyż nie było komu przeszkodzić, bo wszystkie kobiety tak się zajęły rozczynianiem i toczeniem bochenków, otulaniem w pierzyny dzieć i niecek z ciastem, wsadzaniem do pieców, że jakby o całym świecie zapomniały, tem się jedynie frasując, by zakalec nie wlaźł do placka, albo się nie spaliły.

A wszędzie szło to samo: u młynarza, u organistów, na plebanii, u gospodarzy czy komorników, bo żeby najbiedniejszy i choćby na bór albo za tę ostatnią ćwiartkę, a musiał sobie narządzić jakie takie święcone, żebych chociaż raz w rok, na Wielkanoc, podjeść se dowoli mięsiwa i onych smakowitych różności.

Że zaś nie wszędzie mieli szabaśniki do wypieku, to w sadach między chałupami gęsto krążyły dzieuchy z naręczami szczap, a niekiedy, ukazywały się nad stawem kobiety umączone, rozbrajane i, kieby na procesyi owe feretrony, ostrożnie dźwigające węgłachne stolnice i niecki pełne placków, ponakrywanych poduszkami.

Nawet w kościele szła robota: parobek księży zwoził z lasu świerczaki, a organista współ z Rochem i Jambrożym jął przystrajać grób Pana Jezusowy.

A nazajutrz, w piątek, robota się jeszcze wzmo-

gła tak bardzo, że nawet mało kto dojrzał organistowego Jasia, któren z klas na święta przyjechał i spacerował po wsi, w okna jeno zaglądając, gdyż ani sposobu zajrzeć było do kogo, ni z kim pogadać.

Jakże, ani wleźć do której chałupy, bo wszędzie przejścia i nawet sady stały zavalone szafami, łózkami a sprzętem przeróżnym, że to izby bielili dzisiaj na gwałt, szorowali podłogi, a przed domami myli do czysta obrazy, powystawiane pod ścianą.

Wszędy zaś taki gwałt panował i krętanina, że w dyrdy biegali, poganiając się jeszcze do pośpiechu i wrzawę czyniąc coraz większą, dzieci nawet pędząc do zgartywania błota w obejściach i wysypywania żółtym piaskiem opłotków,

A że wedle starego obyczaju, od piątku rana aż do niedzieli nie godziło się jeść cieplej warzy, więc głodowali ździebko na chwałę Pańską, poprzestając na suchym chlebie i ziemniakach pieczonych.

Juści, iż przez te dni takusieńko kaj indziej działało się i u Borynów, tyle jeno różnie, że więcej było rąk i z groszem skrzybot mniejszy, to i rychlej pokończyli przygotowania.

W piątek, już o samym zmierzchu, Hanka współ z Pietrkiem skończyła bielenie izb i chałupy, więc zaczęła się śpiesznie myć i przyogarniać do kościoła, bo już szły drugie kobiety na złożenie do grobu Ciała Jezusowego.

Na kominie huczał duży ogień, i w grapie, którą dwojgu ciężko było podjąć, gotowała się cała świńska noga, naprędce wczoraj przywędzona, w mniejszym zaś saganie kiełbasy parkotały, że po izbie chodziły takie wierzące w nozdrzach smaki, aż Witek, strugający cosik wpośród dzieci, raz po raz nosem pociągał i wzdychał.

A pod kominem, w samym świetle ognia, siedziały zgodnie Jagna z Józką, zajęte pilnie kraszeniem jajek, a każda swoje z osobna chroniła i kryjomo, aby się barzej wysadzić. Jagusia najpierw myła swoje w ciepłej wodzie i wytarte do sucha dopiero znaczyła w różności roztopionym woskiem, a potem wpuszczała we wrzątek bełkocący we trzech garnuszkach, w których je kolejno zanurzała. Żmudna była robota, bo wosk miejscami nie chciał trzymać, albo jajka w rękach się gnieły lub pękały przy gotowaniu, ale w końcu naczyniły ich przeszło pół kopy i nuż dopiero okazywać sobie i przechwalać się pięknie kraszonymi!

Kaj się ta było Józce mierzyć z Jagusią! Pokazywała swoje, w piórkach żytnich i cebulowych gotowane, żółciuchne, białemi figlasami ukraszone i tak galante, jak mało któraby potrafiła, ale ujrzawszy Jagusine, gębę ozwarła z podziwu, i markotność ją chyliła. Jakże, to aż mieniło się w oczach, czerwone były, żółte, fijołkowe i jak lnowe kwiatuszki niebieskie, a widać było na nich takie rzeczy, że prosto nie do uwierzenia: koguty pie-

jące na płocie; gąski na drugim syczały na maciory, uwalone w błocie; gdzie znów stado gołębi białych nad polami czerwonymi, a na inszych wzory takie i cudenka, kiej na szybach, gdy zamróż je lodem potrząsie.

Dziwowali się temu, oglądając raz po raz, a kiej Hanka powróciła z Jagustynką z kościoła, też wzięła patrzeć, ale nic nie rzekła, jeno stara, przejrzawszy wszystkie, szepnęła w zdumieniu:

— Skąd się to bierze u ciebie?... no, no...

— Skąd?... a samo tak z głowy pod palce przychodzi!

Uradowana była!

— Dobrodziejowi-by parę zanieść!

— Świącił jutro będzie, to mu podam, może weźmie...

— Takie śliczności, że dobrodziej nie widzieli!... zdziwiają się wielce! — mruknęła urągliwie Hanka, gdy Jagna poszła na swoją stronę, bo już późno było.

Na wsi też długo w noc siedzieli tego wieczora.

Chmurno było na świecie i ciemno, choć spokojnie; młyn jeno turkotał zawzięcie, a po chałupach prawie do północkska świeciło się w oknach, że kładły się światła na drogi, a kajś niekaj aż na stawie się trzęsły wraz z wodą: majstrowali ano świąteczne przyodziewy i kończyli jeszcze roboty.

Sobota zaś przyszła całkiem ciepła i mgłami

rzadkimi otulona, ale tak jakoś weselnie było na świecie, że naród chociaż po ciężkiej pracy wczorajszej, żwawo się podnosił do nowych utrudzeń i turbacyi.

A przed kościołem wnet się zatrzęsło od przekrzyków i biegów, bo jak to było we zwyczaju odwiecznym, w każdą wielką sobotę, zebrali się zaraz rankiem, chować żur i grzebać śledzia, jako tych najgorszych trapieli przez wielki post. Nie było parobków ni starszych, to zmówiły się na to same chłopaki, jeno z Jaśkiem Przewrotnym na czele, porwali gdziesik wielki garnek z żurem, do którego jeszcze dołożyli różnych paskudności.

Witek dał się namówić i poniosł garnek na plecach w siatce od serów, drugi zaś chłopak włókł pobok na postronku śledzia, wystruganego z drzewa. Żur ze śledziem szły w parze, przodem, a za nimi całą hurmą reszta, grzechocąc, kołatając a wrzeszcząc, co ino gardzieli starczyło. Jasiek wiódł wszystkich, bo chociaż głupawy był i niemrawa, ale do psich figlów głowę miał i sprawność. Obeszli w procesyi cały staw i koło kościoła skręcali już na topolową drogę, kaj się to miał odbyć pochówek, gdy w tem Jasiek walnął łopatą w garnek, że rozleciał się w kawałki, a żur z onemi różnościami polał się po Witku.

Uciecha zapanowała, że aż przysiadali na drodze, ale Witek się zeźlił i prosto z gołemi rę-

koma rzucił się na Jaśka, pobił się i z drugimi; aż wyrwawszy się, poleciał z rykiem do chałupy.

Dołożyła mu jeszcze Hanka od siebie za zniszczony całkiem spencerek i w las pognąła po borowinowe gałązki i wąsy zajęcze.

Jeszcze się z niego ześmiał Pietrek, a i Józka nie pożałowała, pilnie wysypując szerokie opłotki, aż do drogi, piaskiem, przywiezionym z pod cmentarza, bo tam był najzółciejszy; wysypała też cały zajazd przed gankiem i ścieżkę pod okapem, że jakby opasała chałupę w żółtą wstęgę.

A w Borynowej izbie już się wzięli szykować święcone.

Izba była wymyta i piaskiem wysypana, okna czyste i ściany a obrazy omiecione z pajęczyn, Jagusine zaś łóżko pięknie chustką przykryte.

Hanka z Jagusią i Dominikową, choć nie mówiły prawie z sobą, ustawiły pod szczytówem oknem, wpodłe Borynowego łóżka duży stół, nakryty cieniuską, białą płachtą, której wręby oblepiła Jagusia szerokim pasem czerwonych wystrzyganek. Na środku, z kraja od okna postavili wysoką pasyjkę, przybraną papierowymi kwiatami, a przed nią, na wywróconej donicy baranka z masła, tak zmyślnie przez Jagnę uczynionego, że kiej żywy się widział: oczy miał ze ziarn różańcowych wlepione, a ogon, uszy, kopytka i chorągiewkę z czerwonej, postrzępionej wełny. Dopiero zaś

pierwszem kołem legły chleby pytlowe i kołacze pszenne, z masłem zagniatane i na mleku, po nich następowały placki żółciuchne, a rodzynkami kieby temi gwoździami gęsto ponabijane; były i mniejsze, Józine i dzieci, były i takie specyały z serem, i drugie jajeczne cukrem posypane i tym maczkiem słodziuskim, a na ostatku postawili wielką miche ze zwojem kielbas, ubranych jajkami obłupanemi, a na brytwance całą świńską nogę i galanty karwas głowizny, wszystko zaś poubierane jajkami kraszonymi, czekając jeszcze na Witka, by ponatykać zielonej borowiny i temi zajęczemi wąsami opleść stół cały.

A tyle co skończyły, sąsiadki jęły zwolna znosić swoje na miskach, niecułkach a donicach i ustawiać je na ławie pobok stołu, gdyż ino w kilku chałupach co przedniejszych gospodarzy, zbierać się ze święconem ksiądz nakazywał, że mu to czasu brakowało chodzić po wszystkich.

Lipce miał najbliżej, to święcił na ostatku, nie raz już o samym zmierzchu.

Porozchodziły się bez dłuższej pogwary, by zdążyć jeszcze do kościoła na uroczystość po święcenia ognia i wody, zalewając przedtem ogniska w chałupach, by je znowu rozniecić tym młodym, poświęconym ogniem.

Poleciała na to i Józka, zabrawszy dzieci z sobą.

Ale siedzieli dość długo, bo dopiero w samo południe powracały kobiety, ostrożnie przysłaniając i chroniąc świece zapalone w kościele.

Józka przyniosła wody całą flaszkę i ogień, którym zaraz Hanka rozpałała drwa przygotowane i pierwsza też wody święconej popiła, dając kolejnie wszystkim — od chorób gardzieli pono strzegła — a potem skropiła nią inwentarz i drzewiny rodne w sadzie, że to się przyczyniało do urodzajów i dawało bydłatom letkie łągi.

A później, widząc, że ni Jagna, ni kowalowa nie pomyślały o starym, umyła go w ciepłej wodzie, przyczesła jego skołtunione włosy i przewlekła mu koszule i pościele, Boryna dozwalał z sobą robić wszystko, nie poruszywszy się ani razu; leżał jak zawsze wpatrzony przed siebie i martwy jak zawsze...

Zaraz z południa zrobiło się na wsi jakby święto, jeszcze tu i owdzie doganiali grubszej roboty, ale już głównie zajęli się przyodziewkiem świątecznym, czesaniem, myciem i szorowaniem dzieci, że nie z jednej chałupy wydzierały się krzyki obronne.

I wypatrywali niecierpliwie księdza, którego przyjechał ze dworów dopiero przed zmrokiem i zaraz zjawił się na wsi, w komżę ubrany.

Michał organistowy niósł za nim miednik z wodą święconą i kropidło.

Hanka wyszła go przyjmować aż na drogę.

Śpieszył się, wpadł prędko do chałupy, odmówił modlitwę, pokropił dary Boże i zajrzał w siną, obrosłą twarz Borynową.

— Bez zmiany? co?

— A juści, rana się prawie zagoiła, a im nic nie lepiej.

Zażył tabaki, powlókł oczyma po kupiących się przy progu i w sieniach.

— Gdzie to ten chłopiec, który mi sprzedał bociana?

Józka wypchnęła z pod komina na środek zawstydzonego Witka.

— Naści dziesiątkę, udał ci się: tak kury goni z ogrodu, że ni jedna nie zostaje!... A jutro które do mężów idą?

— Z pół wsi się wybiera!

— To dobrze, byle tylko zgodnie i cicho, a na rezurekcyę przychodzić, o dziesiątej zaczę, mówię: o dziesiątej! A śpijcie w kościele, to Ambrożemu każę wyprowadzić! — dodał groźnie, wychodząc powoli.

Ruszyli z nim całą gromadą, odprowadzając do młynarzów.

A Witek, pokazując Jóźce miedzianą dziesiątkę, szepnął ze złością:

— Niedługo będzie mój bociek księżę kury płoszył, nie!...

Rozbiegli się we dwie strony, bo gospodyni wracała na ganek.

Ściemniało się zwolna, zmierzch cichuśko sypał się na ziemię, zatapiając sady, domy i pola okólne w modrawym, ledwie przejrzanym mącie, białały kajś niekaj ściany z przypadłych do ziemi chałup i trzęsły się wskroś sadów zapalone świa-

tła, górą zaś, na niebie jasnem, wyrzynał się blady sierp młodego miesiąca.

Świąteczną cichością osnuła się wieś, i mrokiem, w kościele wyniesionym nad chałupami, zagorzały wszystkie okna i z otwartych wielkich drzwi biła szeroka smuga światłości.

Wkrótce zaturkotały pierwsze wozy, zajeżdżając przed cmentarz, i ludzie z dalszych wsi nadchodząc poczęli gromadami, z chałup lipeckich też raz po raz wychodzono do kościoła, bo często z wywieranych drzwi padała w noc struga światła, topiąc się w omroczonym stawie, i tupoty a przyciszone pogwary mrowiły się w ciepłym i omglonym powietrzu. Pozdrawiali się na drogach, nie dojrawszy w nocy, i niby tą rzeką, wzbierając a zwolna a bezustannie, ciągnęli na rezurekcyę.

U Borynów, na gospodarstwie, do pilnowania ostawały ino psy, stary Bylica i Witek, któren pilnie majstrował wespół z Maćkiem Kłębowym kogutka, co to z nim mieli pójść po dyngusie.

Hanka wyprawiła najpierw Józkę z dziećmi i parobka; sama później miała nadejść. Ubrana już była, ale ociągała się z wyjściem, jakby na coś oczekując, że wciąż wystawała w ganku i stróżowała na drodze. Dopiero gdy Jagna poszła z kowalową i dosłyszała kowala idącego z wójtem ku kościołowi, wróciła do izby, przykazując cosik pocichu staremu. Staął na straży w opłótkach, a ona wsunęła się na palcach do ojcowej

komory... Po dobrej półgodzinie wyszła stamtąd, coś pilnie zapinając stanik; oczy jej gorzały i ręce się trzęsły.

Nagadała czego nikto nie pojął i poszła na rezurekcyę.

V.

Na drogach było pusto i ciemno, w chałupach gasły światła i przechodzili już ostatni ludzie, jeno na kościelnym placu stały gęstwą wozy z wyłożonemi końmi, że tylko tupoty a parskania roznosiły się w mroku, a pod dzwonnica czerniały dworskie powozy.

Hanka jeszcze raz w kruchcie cosik pomajdrowała kiele stanika i, spuściwszy chustę na plecy, jęła się ostro przepychać do przednich ławek.

Kościół już był jakby nabity, ściżbiony naród klębił się i wrzał, niby woda, z poszumem pacierzy, wzdychań, kaszlów a pozdrawiań, i kołysał się od ściany do ściany, aż się od tego naporu kolebały chorągwie w ławki pozatykane, i te świerczaki, któremi umaili ołtarze i ściany wszystkie.

Ledwie co się przepchała do swojego miejsca, kiej proboszcz wyszedł z nabożeństwem, i wraz też jęły się z gęstwy rwać głośne wzdychy, i te ręce szeroko rozwodzone. Klękali kornie, cisnąc się coraz barzej, że wnet cały naród był na kola-

nach, ramię przy ramieniu, dusza przy duszy, jako to pole nasadzone głowami, że ino w tym rozkołysanym ździebko, człowieczym łanie, oczy się mrowiły, połyskliwie kiej motyle, niesąc się ku ołtarzowi wielkiemu, na figurę Jezusa zmartwychwstałego, któren stał nagi, skrwawiony, ranami pokryty, i w płaszcz czerwony jeno przyodziany z chorągiewką w rękę.

Cichość zagnała objęła kościół, jakby tego zwiesnowego przypołudnia, kiej to słońce przypieczę pola, wiatер ustanie i przygięte zboża se kłosami gwarzą, a jeno gdziesik, wysoko, pod niebem miodrem, skowronkowe pieśni słodko podzwaniają...

Rozmadlali się zwolna, że wargi się wszędy trzęsły i pacierze ze wzdychaniami szemrały ciachuśko a rzęsiście, kiej ten deszczyk, trzepiący po liściach; głowy pochylały się coraz niżej, czasem jęk wyrwał się skądciś, to czyjeś rozmodlone ręce wychynęły prosząco ku ołtarzowi, albo i płacz zakwilił pisklęcy, żaloszny, z tej ciżby, co jak krze przyziemne tuliła się trwożnie w cieniach naw wyniosłych i mrocznych, niby bór odwieczny, bo chociaż na ołtarzach gorzały światła, gęsty mrok zalegał kościół, że to oknami, a głównie przez wielkie drzwi wywarte, noc się cisnęła czarna i zagładał bładę sierp księżyca z za chmur.

Jeno Hanka nie mogła się przyłożyć do pacierza, trzęsła się w sobie, tak zalękniona, jakby to jeszcze tam była, w komorze ojcowej.

Dreszcz ją przejmował, czuła na rękach sypkie

zimno zboża i raz poraz ścisnęła ramiona, aby poczuć między piersiami wtulony węzełek.

Tak ją roztrzęsała radość i strach jakiś zarazem, że często, różaniec wysuwał się z palców, zapominała słów modlitwy, wodząc rozpalonemi oczyma po ludziach, a nie dostrzegając nikogo, choć pobok siedziała Jóźka, Jaguś z matką i drugie.

W ławkach stojących z boku ołtarza, modliły się na książkach dziedziczki z Rudki, z Modlicy, i dziedzicówny z Wólki, a dziedzice stały we drzwiach zakrystyi, poredzając cosik, na stopniach ołtarza, stała z daleka młynarzowa i organiścina, sielnie wystrojone. Zasię przed kratą, tam, kaj było miejsce la najpierwszych gospodarzy lipeckich, które zawždy stróżę trzymali w czas nabożeństwa, baldach nosili nad dobrodziejem i pod ręce go wiedli na procesyach, klęczały teraz gęstą ławą chłopcy z drugich wsi, że ledwie było można dojrzeć między nimi wójta, sołtysa i ten czerwony łeb kowalowy.

Nie jedne kobiece oczy się tam niesły, wypatrząc tęskliwie swoich... ale nadarmo: były tam chłopcy z Dębicy, z Woli, z Rzepek, z całej parafii, jeno lipeckich nie dojrzał, jeno tych najpierwszych dzisiaj nie stało. Zatrzepotały się też dusze kobiece, kiej ptaki spłoszone, że niejedna głowa z płaczem do ziemi przywarła, nie jeden jęk żałosny rwał się z gęstwy, a bolesne przypominki sieroctwa żywym ogniem zapiekły.

Jakże, największe święta w całym roku, Wiel-

kanoc, i tyła obcego narodu się zebrało, a na wszystkich twarzach, choć ździebko przychudłych z postu, radość się rozlewa, puszą się ano, paradują strojami, rozpierają w kościele, kieby dzie-dzice, toczą hardo oczyma, zajmują pierwsze miej-sca, a tamte, lipeckie mizeraki, cóż teraz czynią, co? W ciemnicach ano o głodzie i chłodzie krzywdę gorzką gryzą, i żalem się pasą, i tęsknicą...

La wszystkiego stworzenia dzień radości na-staje, jeno nie dla nich... chudziaków pokrzywdzo-nych... Wszystkie społem do chałup powrócą ra-dośnie zażywać świąt, odpoczynku, jadła, zwie-snowego słońca, przyjacielskich ugwarzeń, jak Pan Bóg przykazał, jeno nie te opuszczone lipeckie sieroty...

Same, rozbolełe, chyłkiem rozejdą się do pu-stych domów i ze łzami przegryzać będą ten pla-cek świąteczny, a z tęsknicą i turbacyami społem do snów legną...

Jezus mój, Jezu! rwały się żalne, przyduszone skowyty dokoła Hanki, aż przecknęła, dojrzawszy naraz znajome twarze i oczy łzami przeszkłone... Nawet Jaguś zwiesiła głowę nad książką i na białe karty lała ciężkimi łzami, aż ją matka szturcha-niem przywodziła do opamiętania, hale! poredziła się utulić, kiej właśnie Antek jawił się w pamięci tak żywo, że, jak wtedy w Boże Narodzenie, sły-szała głos jego gorący, i zdało się jej, iż wpodłe klęczy, cisnąc głowę do jej kolan... to żal ją ści-

snął za serce i same łzy się polały z nagłej tęskności...

Szcześnie, co dobrodziej w tę porę rozpoczął kazanie i rumor się czynił na kościele, gdyż powstawali z klęczek, cisnąć się jeszcze barzej ku ambonie i zadzierając głowy w górę, ku księdzu, któren o Męce Pańskiej powiadał i o tem, jak go to paskudne Żydowiny ukrzyżowały, że to świat przyszedł zbawić, że sprawiedliwość chciał dawać pokrzywdzonym, że za biedotą się upominał. Tak rzewliwie owe krzywdy Pańskie na oczy przywodził, jaże się gorąco robiło, i niejedna pięść chłopska zwierała się na odemstę. a babi naród w głos szlochał, czyniąc sprawę wedle nosów.

Długo nauczał, wykładając wszystko dokumentnie, jaże kajś niekaj oczy kleiły się śpikiem, a po kątach już na dobre drzemali, ale pod koniec zwrócił się prosto do narodu i wychylony z ambony, jął sielnie wytrząchać pięściami a krzyczeć, jako co dnia, co godzina i na każdym miejscu Jezus umęczon jest przez grzechy nasze, zabity przez złościę, bezbożności a nieposłuszeństwo prawom Boskim, jako każdy człowiek krzyżuje Go w sobie, nie pomnając na Jego rany ni krew świętą, wylaną dla naszego zbawienia!

Ryknął-ci na to cały naród, i płacze, szlochania, kiej wichur roznieśli się jękiem wstrząsającym po kościele, aż przestał mówić. Dopiero kiej przycichli, zaczął znowu, ale już radośnie i krzepiąco, o Zmartwychwstaniu Pańskim powiadać.

O onej zwieśnię, jaką Pan w dobroci swojej czyni co rok człowiekowi grzesznemu i czynić będzie aż do owej pory, kiej Jezus powróci znowu na świat, by sądzić żywe i pomarłe, by harde poniżać, grzeszne w ogień piekielny na wiek wieków spychać, a sprawiedliwe po prawice swojej sadzać w chwale wiekuistej! Jako przyjdzie ten czas, iże wszelka niesprawiedliwość ustanie, wszelka krzywda weźmie zapłatę, a płakania cierpiących ustaną i zło panować nie będzie...

I tak gorąco to mówił, tak poczcziwie, że każde słowo, kiej słodkość, lało się w serca i kieby słońce rozpalało w duszach, że dziwna błogość przejmowała wszystkich, jeno lipeckie ludzie zatrzęśły się z żalu, i przypomnienia krzywd tak boleśnie ścisnęły dusze, jaże ryknęli wraz z płaczem, krzykiem, szlochaniem i walili się krzyżem na podłogę, tym jękiem żalnym, tym skrzypotem serdecznym wołając o zmiłowanie i poratunek!...

Zakotłowało się w kościele, płacz się podniósł powszechny i krzyki, ale wnet pomiarkowali drudzy i jęli podnosić lipeckie kobiety, usadzać je a krzepić dobrymi słowy, a dobrodziej poczcziwy, ocierając łzy rękawem, wołał, że Pan Jezus doświadcza tych, których miłuje, iż chociaż zawinili, kara rychło się skończy, bych jeno dufali w miłosierdzie Pańskie, a lada dzień powrócą wszystkie chłopy...

Uspokoiłi się po tych słowach, ulżyło im galanto, i dufność wstąpiła w serca.

A gdy wnet potem ksiądz zaintonował u ołtarza pieśń Zmartwychwstania, kiej organy wtórem huknęły z całej mocy, kiej dzwony zaśpiewały na cały świat, a dobrodziej z Przenajświętszym Sakramentem jał zstępować ku narodowi, w sinym obłoku kadzideł i dzwonnej wrzawie, pieśń buchnęła ze wszystkich gardzieli, zakolebała się cizba, palący wicher uniesienia osuszył łzy i porwał dusze, iż naraz, społem, kiej ten bór człowieczy, rozchwiany i śpiewający jednym, ogromnym głosem, ruszył procesyą za proboszczem, któren monstrancyę dzierżył przed sobą, że jakoby słońce złociste, słońce promieniejące rozgorzało nad głowami, płynąc zwolna skroś gęstwy nieprzeliczonej, wskroś światła jarzących, w kadzielnym dymach ledwie dojrzane, śpiewaniami opowite i przez oczy wszystkiego narodu i przez serca wszystkie z miłością niesione...

Obchodzili kościół we środku a wolniuśko, noga za nogą, cisnąć się w strasznej ciasnocie i śpiewając z całej mocy, a organy wciąż grały, a dzwony bezustannie biły..

Alleluja! Alleluja! Alleluja! Huczał kościół, aż mury się trzęsły, śpiewały serca wszystkie i gardziele, a te głosy płomienne i ogniem nabrzmiałe, niby żar-ptaki, rwały się z krzykiem wesela ogromnym, kołowały pod sklepieniami, kiejby poślepłe w upale, i w noc wiośnianią płynęły, na słońca się gdziesik niesły, we wszystek świat, kaj jeno uniesieniem dusze człowiecze sięgają...

Prawie przed północiem skończyło się nabożeństwo, i ludzie jęli się śpieszno na świat wywalać. Tylko Hanka została jeszcze, bo się tak rozmodliła gorąco, tak ją ano słowa księże przejęły otuchą, a te śpiewy radosne, nabożeństwo i pamięć tego, czego to dzisiaj dopięła, tak ją ukrzepiły, iż całą radość składała pod Jezusowe nogi, zapomniawszy w pacierzu o całym świecie. Dopiero Jambroży brząkaniem kluczków przyniewolił ją do wyjścia z pustego już kościoła.

Że nawet i ten strach o Antka, któren od tyla czasu żył w niej i skowyczał za leda powodem, jakby w niej pomarł nagle, tak bardzo poczuła się spokojna i dufna w sobie.

Rozglądała się za swojemi, posuwając się wolno ku domowi, gdyż wozy toczyły się nieprzerwanym łańcuchem, i ludzie szli całemi kupami bokiem drogi, ledwie dojrzaney, bo księżyc już zaszedł i ciemno było na świecie, bure chmurzyska ciągnęły górą, co trocha przesłaniając te granatowe pola nieba, kaj się jarzyły gwiazdy dalekie.

Noc szła ciepła cicha, i od ros obfitych wilgotnawa, z pól pociągał mięciuchny wiaterek, przejęty surowizną ziemic i mokradeł, a po drogach roznosiły się miodne zapachy topoli i brzoźek. Ludzie mrowili się w cieniach wsi, że ino kajś niekaj zamajaczyły głowy na jaśni powietrza nie przysłoniętego; wszędy rozlegały się kroki a głosy, pieski też zajadlej docierały z opłotków, a po chałupach tu i owdzie rozbłyskiwały światła.

Hanka, opatrzywszy po drodze stajnie i obory poszła do chałupy. Już się tam kładli spać.

— Niech jeno wróci a gospodarzy, to ni słówkiem mu przypomnę przeszłe. — Postanawiała, rozdziewając się do snu. — A jeżeli znowuj się z nią sprzęgnie? — pomyślała naraz, dosłyszawszy Jagusię, wracającą na swoją stronę.

Legła w pościel, nasłuchując czas jakiś. Na wsi było cicho, jeno z dróg dalekich trzęsły się ostatnie turkoty wozów i głosy zamierające w pustych oddalach.

— Bogaby nie było, ni sprawiedliwości na świecie! — szepnęła groźnie, ale zbrakło jej sił do rozmyślań, bo śpik ją zaraz z miejsca zmorzył.

.

Nazajutrz bardzo późno obudziły się Lipce.

Dzień się już rozwierał, kiej to modre oko, jeszcze bielmem śpiku zasnutę ale już widne do cna i połyskujące, a wieś spała w najlepsze.

Nie kwapili się zrywać z barłogów, choć dzień ci to szedł Pańskiego Zmartwychwstania. Słońce wyniosło się zarno od wschodu i zagrało w stawach a rosach, i płynęło po bładem wysokiem niebie, jakby śpiewając wszemu światu ciepłem a światłością Alleluja!

Niesło się ogromne i promienne wskroś mgieł przyziemnych, wskroś sadów, i chałup, i pól, że ptaki zaśpiewały radośnie, wody dzwoniły weselnym bełkotem, bory zaszumiały, wiatery powiał, zatrzęsły się młode liście, a ziemia zadrgała, że

gęste runie zbóż zakolebały się cichusko i rosy kiej łzy posypały się na ziemię.

Hej! wesoły dzień nastał! Chrystus nam zmartwychwstał! Alleluja!

Zmartwychwstał On, umęczon i lutą złością zabił! Powstał-ci znowu w żywe, z ciemności, z mrozów, z pluch się wyniósł Najmilszy! Śmierci srogiej się wydarł, zmógł niezmężone ku człowiekowemu szczęściu, i oto w ten czas wiośniany, w tę porę rodną, unosi się nad ziemią, w tem słońcu przenajświętszem utajony, i rozsiewa wokół wesele, budzi omdlałe, ożywia martwe, wznosi przygięte, jałowe zapładnia.

Alleluja! Alleluja! Alleluja!...

Tem ci to świat wszystek się rozlegał onego dnia pańskiego.

Jeno w Lipcach było ciszej i smutniej niżli po inne roki w tę porę.

Zaspali galanto, bo już o dużym dniu, kiej słońce wciągało się nad sady, dopiero ruch się czynił po chałupach, skrzypiały wierzeje i rozczochrane głowy wyglądały rozziwiane na świat Boży, któren stał w słońcu, skowronkowemi świergotami dzwoniący i młodą zielenią przytrząśnięty.

I u Borynów zaspali. Jedna Hanka, co się ździebko poraniła, by obudzić Pietrka do szykowania konia i bryki, sama zaś zajęła się przygotowaniem święconego. Jóźka tymczasem z niemałym piskiem pucowała dzieci, sama się też we świąteczne szmaty przyodziewając, a pod studnią na podwórzu, Pie-

trek z Witkiem domywali się do czysta; tylko stary Bylica zabawiał się z pieskiem na ganku, często nosem pociągając, czy już krają kielbasy.

Wedle zwyczaju, nie rozpalono ognia w kominie, kontentując się zimnem święconem. Właśnie je była Hanka przynosiła z ojcowej izby, rozdzielając po talerzach, że każdemu porówno wypadało po kawale kielbasy, szynki, sera, chleba, jajek i placzka słodkiego.

Dopiero kiej się i sama ogarnęła, zwołała wszystkich do jada i nawet poszła po Jagusię; przyszła ci zaraz sielnie zestrojona i tak piękna, że kiejby zorza się widziała, a modre oczy niby gwiazdy jarzyły się z pod lnowych, gładko przyczesanych włosów. Ale wszyscy zarówno byli w szmatach świątecznych, że ino grały w oczach wełniaki i gorsety, a i Witek, choć boso, w nowym był spencerku ze świecącemi guzikami, co je był uprosił od Pietrka, któren dzisiaj wystąpił w całkiem nowej przyodziewie: w granatowym żupanie i portkach pasiatych żółto-zielonych, wygolił się do czysta, włosy obciął jak długie, równo nad czołem i koszulę na czerwoną wstążkę zawiązał, że skoro wszedł, zdumieli się przemianą, a Józka jaże w ręce zaklaskała:

— Pietrek ci to? a toby cię rodzona nie poznali!

— Burkową skórę zrzucił i parobek kiej świeca... — zauważył Bylica.

Prześmiechnął się ino parob, tocząc oczyma

za Jagusią, a robiąc grdyką, gdyż Hanka, przeżegnawszy się, przepijała gorzałką do każdego i nie woliła zasiadać do stołu. Zajęli ławki, że nawet Witek, choć nieśmiało, przysiadł na kraju.

I pojadali zwolna, w cichości smakując święconego, że to bez tyle tygodni niezgorzej się wypościli. Kiełbasy czujne były, czosnkiem dobrze przyprawione, gdyż po izbie roznieśli się zapachy, jaże psy się wierciły między ludźmi, skamlając żałośnie.

Nikto się nie ozwał, póki pierwszego głodu nie zapchali, tęgo pracując, że ino w onej uroczystej cichości spożywania, glamania się rozchodziły, przysapki a bulgoty gorzałki, bo Hanka nie żałowała nikomu, sama jeszcze przyniewalając do picia.

— Rychło to pojedziem? — ozwał się pierwszy Piętrek.

— Zaraz choćby, po śniadaniu.

— Jagustynka chciała się z wami zabrać do miasta — wtrąciła Józka.

— Przyjdzie na czas, to pojedzie; czekać nie będę.

— Obroków to wziąć?

— Na jeden popas, wieczorem wrócimy.

I znowuj jedli, aż niejednemu ślepie wyłaziły z onej lubości, twarze czerwieniały i sytność rozpierała serca gorącem i głęboką radością. Wolniuszko pojedali, nadziewając się z rozmysłem, by jak najwięcej zmieścić i jak najdłużej czuć w gębie smakowitości. Dopiero kiej Hanka się podnie-

sła, wzięli się też dźwigać od mich z dobrą już wagą w kałdunach, a Pietrek z Witkiem, czego byli nie dojedli, do stajni ponieśli z sobą.

— Szykujże zaraz konie! — zarządziła Hanka i, przyręchtowawszy la męża toboł święconego, co go ledwie unieśla, odziewać się jęła do drogi.

Już ano konie czekały przed chałupą, kiej wpadła zadyszana Jagustynka.

— Mało co nie czekałam na waju!...

— Toście już po święconem? — westchnęła żałośnie, pociągając nosem.

— Znajdzie się jeszcze la was, siadajcie, przegryziecie co niebądź...

Juści, nie potrza było wygłodzonej biedoty przyniewalać, przypięła się do jadła, kiej wilk, i zmiatała co ino było na podorędziu.

— Pan Jezus wiedział, na co świńtucha stworzył! — szepnęła podjadłszy nieco. — Jeno to dziwna, że choć mu za życia w błocie legać pozwalają, to po śmierci radzi go w gorzałce moczą! — prześmiewała po swojemu.

— Pijcie na zdrowie a prędko, bo czas nagli.

I może w pacierz pojechały. Hanka już z bryki nakazywała Jóźce, by nie zapominała o ojcu, tak, że dziewczyna zaraz nadrobiła różności na talerz i ponieśla. Nie ozwał się na jej zagadywania, ni nawet spojrzal na nią, ale co mu wetknęła w zęby, zjadł chciwie, patrząc wciąż martwym wzrokiem, jak zawdy. Możeby nawet i więcej pojadł, ale Jóźce się przykrzyło i poleciała na dwór patrzeć,

jak prawie z każdej chałupy wyjeżdżały lub wychodziły kobiety z tobołkami, że kilkanaście wozów toczyło się do miasta, i nad rowami ciągnęły rzędem kobiety czerwono przyodziane z węzełkami na plecach.

A kiej się rozwiały ostatnie turkoty, padła na wieś dziwnie smutna cichość i pustka; dzień się powlókł wolno, głuche milczenie zaległo drogi, ni gwarów zwyczajnych w taką porę, ni śpiewań, ni ludzi, tyle jeno, co tam nieco dzieci uwijało się nad stawem, śmigając kamieniami na gęsi.

Słońce szło w górę, jasnością zalewając świat, ciepło się podnosiło, że już muchy brzęczały po szybach, jaskółki zapamiętałe chlustały wskroś przejrzystego powietrza, staw mienił się w ogniach, drzewa zaś kiejby spławione w zieleni, polśniewały świeżyzną, rozlewając miodne zapachy; z pól ogromnych, opłyniętych niebieskością, bił niekiedy chłodnawy, ziemią przejęty ciąg i skowronkowe śpiewania; wszystek świat tchnął zwiesnową, cichą lubością, a od wsi, ledwie widnych w dalekościach, słoneczną pożogą przemglonych, niesły się czasami jędrne krzykania i huki pistoletowych strzelań!

Jeno w Lipcach było pusto i żałobnie, kiejby po pogrzebie, tyle co wypuszczone do picia bydło łąziło kiej chciało, cochając się o drzewa i porykując ku polom zieleniejącym. Pustką zarówno stojąły opłotki, jak i sienie powywierane, jeno miejscami na słonecznej stronie wygrzewali się pod białemi ścianami, gdzie zaś dziewczyny cesały się

w oknach otwartych, a staruchy rozsiadłe na progach przeiskiwały dzieci.

I tak oto przechodziły godziny cichości sennej i smutnej, niekiedy wiaterek zatrząsał drzewinami, że poszumiały cichuśko, ważąc się ku chatom i lękliwie jakby poglądając w puste izby, to wróble stado z wrzaskiem przenosiło się z sadu na drogę, albo zaszarpały się krótkie krzyki dzieci, odganiających wrony od kurczątów.

Mój Jezu, nie tak było przódzi w ten dzień, nie tak!...

Słońce się już wspinało ku południowi, nad kominy, kiedy Rocho przylazł do Borynów, zajrzał do chorego, pogadał z dziećmi i zasiadł w ganku na słońcu. Poczytywał cosik na książce i bacznie wodził oczyma po drogach. A wkrótce nadeszła kowalowa z dziećmi, i odwiedziwszy ojca przysiadła na przyźbie.

— Wasz w domu? — zapytał Rocho po długiej chwili.

— Gdzie zaś!... do miasta zabrał się z wójtem.

— Cała wieś tam dzisiaj.

— Juści, pocieszają się nieco święconem, chudziaki.

— Wyście to z matką nie pojechali? — pytał Jagny wychodzącej.

— A cóż tam po mnie! — wyszła w opłotki, spoglądając tęsknie na pola.

— Nowy wełniak ma dzisiaj! — szepnęła z westchnieniem Magda.

— Po matuli, nie poznajecie go to, co? A i koralale wszystkie zawiesiła i bursztyny te wielgachne też po matusi! — pouczała ją Józka żałośnie. — Jenó chustkę na głowie ma swojã...

— Prawda tylachna szmat ostało po nieboszczkach, to nama ich tknąć nie pozwoli, a jej wszystko oddał i paradyje se teraz...

— Hale, jeszcze kiejś wyrzekała przed Nastką, co są zleżałe i śmierdzą...

— Żeby jej tak zapachnęło to łajno dyabelskie!

— Niech jenó ociec ozdrowieją, zarńo upomnę się o koralale, pięć sznurków ostało długich kiej bicze i jak groch największy!

Magda się już nie odezwała; westchnãwszy ciężko, zaczęła iskać najmłodsze dziecko. Józka się też zaraz poniesła na wieś, Witek pod stajnią majstrował jeszcze cosik kiele kogutka, dzieci zaś baraszkowały razem z pieskami przed gankiem, pod okiem Bylicy, któren czuwał nad nimi kiej kokosz, a Rocho jakby ździebko zadrzemał.

— Skończyliście polne roboty?

— Tyle jenó, że ziemniaki wsadzone i groch posiany.

— U drugich i tyla nie zrobione!

— Zdążą jeszcze; powiedali co puszczą chłopów na przewody.

— Któż to taki wiedzący powiadał?

— A różni mówili w kościele! Kozłowa zbiera się iść prosić dziedzica...

— Głupia, dziedzic to ich więzi, czy co?

— Bych się wstawił, to możeby puścili...

— Wstawiał się już nieraz i nie pomogło...

— Żeby ino chciał, ale nie chce przez złość la Lipiec, mój powiada... — urwała nagle, pochylając zmieszaną twarz nad dziecińską głową, trzymaną między kolanami, że Rocho napróżno czekał jakiegoś słowa.

— Kiedyż się tam Kozłowa wybiera? — pytał ciekawie.

— A zaraz po południu iść mają...

— Tyle wskórają, co się przelecą i powietrza innego zachwyca.

Nie odrzekła, gdyż w opłotki skręcał z drogi pan Jacek, dziedziców brat, o którym powiadali, że głupawy był nieco, bo zawždy ze skrzypkami się nosił, na rozstajach pod figurami grywał i tylko z chłopami przestawał. Szedł przygięty, ze skrzypicą pod pachą, z fajeczką w zębach, chudy, wysoki, z żółtą bródką i rozbieganemi oczyma. Rocho wyszedł naprzeciw. Musieli się znać, bo poszli razem nad staw i długo tam siedzieli na kamieniach, cosik cicho poredzając, że już dawno przedzwonili południe, kiej się rozeszli. Rocho wrócił na ganek, ale był jakiś osowiały i markotno patrzył.

— Schuchrało się panisko, że ledwiem go poznał! — ozwał się Bylica.

— Znaliście go? — ściszył głos, oglądając się na kowalową.

— Jakżeby.... Niemało dokazywał za młodu, niemało... Kąt-ci był la dzieuch... we Woli nie jednej nie przepuścił... dobrze baczę, w jakie to cuganty jeździł... jak se używał... baczę... — pojękiwał stary.

— Wziął za to ciężką pokutę, ciężką!... Toście i najstarsi we wsi, co?

— Jambroży musi być starszy, bo jak ino baczę, on zawdy był stary.

— Sam rozpowiada co śmierć o nim zapomniała! — wtrąciła kowalowa.

— Kóstucha ta o nikim nie zabaczy, jeno tego ostawia se, by lepiej skruszał, bo kwardy, juści... wycygania się jak może... juści... — jękał cicho.

Zamilkli na długo.

— Baczę, kiej to w Lipcach wszystkiego piętnastu gospodarzy siedziało — zaczął znowu Bylica, wyciągając nieśmiało palce ku tabace Rochowej.

— A teraz siedzi czterdziestu! — podsunął mu tabakierkę.

— I nowe już czekają na działę, urodzi rok, czy nie, a naród zawsze jednako plonuje, juści... a ziemi nie przybywa... jeszcze nieco lat, a zbraknie la wszystkich... — Kichał rzęsiście.

— A bo to już dzisiaj we wsi nie ciasno! — rzekła kowalowa.

— Prawda, a kiej się chłopaki pożenią, to już la ich dzieci nie ostanie i po morgu, juści...

— To we świat iść muszą! — zauważył Rocho.

— Z czem to pójdą? z gołemi pazurami ten wiatier zagrabiąć?

— A Niemcy ano na Słupi wykupiły dziedzica i teraz się stawiają... po dwie włóki na osadę — mówił Rocho dość smutnie.

— Juści... powiadali o tem.. hale Niemcy naród inszy, uczony i zasobny, handlują wespół z Żydami, a krzywdą ludzką se pomagają.. a niechby tak po chłopsku z gołemi palicami chytały się ziemie, toby i trzech siewów nie przetrzymały... i co do jednego wykupiły... W Lipcach ciasno, duszą się ludzie, a tamten ma tylachna pola, że ugorem prawie leży... — wskazał dworskie ziemie za młynem, wzgórzem pod las biegnące, kaj czerniały łubinowe stogi.

— Na podlesiu?

— Rychtyk przyległe do naszych, w sam raz do wykupna, ze trzydzieści gospodarstw tamby wymierzył, juści... ze trzydzieści... ale bo to dzie dzic przeda, kiej mu pieniędzy nie potra?... bogacz taki...

— Hale! bogacz a kręci się za groszem kiej piskorz za błotem, że już od chłopów pożycz a i kaj ino może. Żydy go przyduszają o swoje, co na las dały, podatki winien, dworskim nie płaci, jeszczek ordynaryi na Nowy Rok należnej nie dostały, wszędzie winien, a skąd to weźmie oddać, kiej boru zabronił urząd ciąć, póki się z chłopami nie ugodzi? Nie wysiedzi on długo na Woli, nie! Powiadali co się już za kupcami ogląda... — roz-

gadała się niespodzianie kowalowa, ale kiej Rocho chciał ją więcej pociągnąć za język, zacięła się jakoś i zbywszy go bele czem, dzieci zwołała i do dom poszła.

— Sporo musi wiedzieć od swojego, jeno się boja popuścić... Juści że przyległe ziemie rodne, łąki dwukosne, juści... — rozmyślał głośno stary, wpatrzony w podlaskie pola, kaj widać było za stogami dachy zabudowań folwarcznych, jeno że Rocho nie słuchał, bo dojrawszy Kozłową, stojącą nad stawem z kobietami, poszedł do nich prędko.

— Hi... hi... zmogły dziedzica... Mój Jezu, a pożyłyby się chłopcy niegorzej... Juści... druga wieś-by stanęła, rąk nie zbraknie ni głodnych na ziemi... juści... — rozmarzał się Bylica, dyrdając za dziećmi, bo jaże na drogę się wytoczyły.

Na nieszpory zaczęli dzwonić.

Słońce się już przetaczało ku borom i drzewa poczęły kłaść długie cienie na drogi i staw, a przedwieczorna cichość tak przywalała świat, że słyszać było dalekie jeszcze dudnienie wozów, krzyki ptactwa na ogorzeliskach i ciche, przejmujące granie organów w kościele.

Że zaś powracali już niektóre z miasta, zaklekotały od trepów wszystkie mostki, tak biegli nowin posłuchać.

Zaś po niesporach, o samym zachodzie, dobrodziej pojechał drogą do Wólki. Jambroży powiedział, że do dworu na bal, a zaraz po jego wyjeździe,

organisty z całym domem walili w goście do młynarzów; Jasio wiódł matkę sielnie zestrojoną i wesoło pozdrawiał dzieuchy, wyzierające z opłotków.

Zmierzch się roztrząsał cichy po ziemiach, słońce zaszło, i zorze się rozlewały coraz szerzej, że z pół nieba stanęło w krwawych ogniach, kieby tem żarzewiem przysypane, wody się krwawo zatliły i szyby rozgorzały, od miasta zaś coraz więcej nadjeżdżało wozów, i coraz rozgłośniej wrzały krzyki przed domami.

Hanki jeno nie było widać, ale mimo to przed chałupą gwarno było i wesoło; dzieuch rówiesnych naszło się do Józki, że kiej te szczygły świergotliwe obsiadły przyźbę i ganek, zabawiając się prześmiechami z Jaśkiem przewrotnym, któren przyleciał za Nastusią, choć go ta już całkiem odpędzała od siebie, na kogo innego rachując. Józka ugaszczala je, jak ino mogła, plackiem jajecznym a kiełbasą.

Nastusia rej wiedła jako najstarsza i że to najbardziej się przekpiwała z chłopaka, co to był niezgół, a siarczystego parobka chciał udawać, stał właśnie przed wszystkimi, w pasiastych portkach, w nowym spencerku i w kapelusie na bakier, ujął się pod boki, a ze śmiechem powiadał:

— Musita o mnie stoic, bo sam jeden parobek we wsi!

— Nie bój się: za krowami dyrdać ma kto jeszcze!

— Pokraka jedna, do skrobania ziemniaków sposobny!

— Dzieciom nosy obcierać! — wrzeszczały jedna przez drugą, rozgłośnym śmiechem wybuchając, ale Jasiek się nie stropił, strzyknął śliną przez zęby i rzekł:

— O takie głupie skrzaty nie stoję!... Gęsi wama paść jeszcze!

— Sam łoni za krowim ogonem tańcował, a tera parobka udaje...

— I co dnia portki gubił, tak przed bykiem uciekał.

— Ożeń się z Magdą od Jankła, ta ci pasuje w sam raz.

— Żydowskie bachory niańczy, to i tobie nos będzie umiała ucierać.

— Albo z Jagatą, to ją na odpusty poprowadzisz — rzucały w niego szydliwie.

— A jakbym do której z wódką posłał, toby się do Częstochowy ochfiarowała i wszystkie piątki suszyła z radości! — odpowiedział.

— A pozwoli ci to matka, kiejś w chałupie potrzebny do mycia garnków i macania kur — zawołała Nastka.

— Bo się ozgniewam i pójde do Marysi Balcerkówny!

— Idź: już tam Marysia czeka na cię z pomietłem, albo czemś gorszem...

A niech cię jeno dojrzy, to zaraz pieski spuszcza.

— I nie zgub czego po drodze! — śmiała się Nastuś, pociągając go żdziebko za portki, bo miał wszystką przyodzież kiejby na wyrost.

— Po dziadku dodziera buciarów.

— Kamiziele ma ze wsypy, co ją to świnię podarły.

Leciały słowa kiej grad wraz ze śmiechem; śmiał się zarówno i skoczył, by Nastkę wpół ująć, ale mu któraś podstawiała nogę, że runął jak długi pod ścianę, nie mogąc powstać, bo go wciąż popychały.

— Dajta mu spokój, jakże... — przyciszała Józka, pomagając mu wstać, bo choć niedojda, gospodarskim był synem i jej powinowatym przez matkę.

A potem zabawiali się w ślepą babkę.

Jaśka na nią obrały i, zawiązawszy mu oczy, ustawiły go wprost ganku, rozbiegając się naraz z krzykiem na wsze strony, kiej wróble. Pogonił za niemi z rozczapierzonemi rękoma, natykając się co trocha na płoty i ściany; kierował się za śmiechami, ale nie łącno którą przychwycił, bo śmigały kole niego kiej jaskółki, potracając w przełocie, że zatętniało przed chałupą, jakby kto stado żrebaków przeganiał po grudzi, a piski, wrzawa, śmiechy się zatrzęsły, aż na całą wieś się rozlegało.

Mrok już gęstniał, zorze się dopalały i zabawa trwała w najlepsze, kiej naraz w podwórzu buchnął wrzask kurzy.

Józka poleciała tam w te pędy.

Witek stał pod szopą, chowając coś za siebie, a Gulbasiak przywarował za pługami, że mu ino łeb się biał.

— Nic, Józia... nic... — szeptał pomieszany.

— Kureńście dusili... pióra jeszcze ano lecą...

— Inom kogutowi trochę z ogona wyrwał, bo mi potrzała mojego ptaka. Ale nie nasz kogut, nie, Józia! Gulbasiak skądś przyniósł... swojego...

— Pokaż! rozkazała surowo.

Cisnął jej pod nogi napół żywego ptaka, całkiem oskubanego z piór.

— Pewnie, że nie nasz! — rzekła, nie mogąc rozpoznać. — Ale pokaż swojego cudaka.

Wyniósł na jaśnie już całkiem gotowego kogutka: z drzewa był wystrugany i oblepiony ciastem, w które powtykano piórek, że kiej żywy się widział, bo i łeb z dzióbem miał prawdziwego, na patyk nadziany.

Na desce se stał czerwono ukraszonej, a tak zmyślnie przyręchtowanej do maluskiego wozika, że skoro Witek zaruchał długim dyszelkiem, kogut jął tańcować i skrzydła rozkładać, do tego zaś zapiął Gulbasiak, jaże się kury z grzęd odezwały.

— Jezu, a tom póki życia takiego cudaka nie uwidziała! — przykucnęła pobok.

— Dobry jest, co? Utrafiłem, Józia, co? — szeptał z dumą.

— Sameś to wystroił? ze swojej głowy?

Dziw ją rozpierał.

— A sami! Jędrek mi jeno koguta żywego przyniósł... a sam, Józia...

— Moście wy, a to kiej żywy się rucha, choć z drewna. Pokaż go dzieucho!... dopiero to będą wydziwiać!... Pokaż, Witek!

— Ni, jutro pójdziemy po dyngusie, to obaczą. Jeszcze sztachetków brak kiele niego, żeby nie sfrunął.

— To opatrz krowy i do izby przychodź robić, widniej ci będzie...

— Przyjdę, jeno jeszczech na wsi cosik sprawię...

Wróciła przed dom, ale dziewczyny już skończyły zabawę i zaczęły się rozchodzić, bo noc się robiła, światła zapalali po domach, gwiazdy się też kajś niekaj pokazywały, a chłód wieczorny zaciągał z pól.

Już wszystkie kobiety powróciły z miasta, a Hanka nie nadjeżdżała.

Józka narządziła sutą wieczerzę: barszcz na kielbasie i ziemniaki tłusto omaszczone. Zaczęła ją podawać na ławę, gdyż Rocho czekał, dzieci jeść skamlały, a Jagna raz po raz zaglądała do izby, kiej Witek wsunął się cichuśko i zaraz przykucnął przed dymiącemi michami. Dziwnie był czerwony, mało jadł i łyżką po zębach dzwonił, tak mu się ręce trzęsły, a nie dojadłszy do końca, poleciał.

Złapała go Józka w podwórzu, przed chlewem, jak nabierał w połę świńskiego żarcia z cebratki, a ostro nastawała: co mu się stało?

Wykręcał się jak mógł, wycyganiał, ale w końcu prawdę powiedział:

— A to odebrałem dobrodziejowi swojego boćka!

— Jezus, Marya! a nie dojrzał cię kto?

— Nie, dobrodziej pojechali, psy poszły zreć, a bociek w ganku stał! Maciuś to wypatrzył i przyleciał powiedzieć! Kapotą Pietrkową go przydusiłem, by me nie kujnął i ponieśm do schowka! Ino pary z gęby nie puść, moja złociuśka! Za parę niedziel przywiedę go do chałupy, obaczysz jak paradował na ganku będzie, a nikto go przeciech nie rozpozna. Nie wydaj me ino!

— Hale! kiej cię to z czem wydałam? Dziw mi jeno, żeś to się ważył, Jezu!

— Swoje odebrałem. Pedziałem, co nie daruję i odebrałem... Potom go pewnie łaskawił, żeby drugie uciechę miały, juści!... — szepnął i poleciał gdzieś w pole.

Niezadługo się jawił z nawrotem i zasiadł przed kominem wraz z dziećmi do wykończania kogutka.

A w izbie zrobiło się jakoś sennie i smutno. Jaguś poszła na swoją stronę, zaś Rocho siedział przed domem razem z Bylicą, któryen już Żydy woził, tak go śpik morzył.

— Idźcie do dom, bo tam na was czeka pan Jacek! — szepnął mu Rocho.

— Na mnie czeka... pan Jacek... dyć lecę.. na

mnie?... no... no — jękał zdumiony, całkiem wytrzęsawszy i poszedł.

A Rocho na przyźbie ostał, pacierz szeptał, wpatrzony w noc, w owe nieprzejrane dalekości nieba, kaj się aż trzęsło od gwiezdnych migotów, dołem zaś, nad ziemią, wynosił się już srodze rogaty miesiąc i bódł ciemności.

W chałupach światła gasły posobnie, kiej oczy snem zwierane; milczenie, przejęte cichuśkiem dygotaniem listeczków i głuchym, dalekim bełkotem rzeczki, rozlewało się dokoła. Tylko jeszcze u młynarzów gorzały okna i zabawiali się do późna.

W izbie Borynów już przycichło, spać wszyscy legli, gasząc światło, że ino koło garnków z wieczszą ustawionych w kominie, żarzyły się węgle, a świerszcz poskrzypiał gdzieś w kącie, ale Rocho wciąż siedział na dworze, oczekując na Hanke, że dopiero koło samego półnoka zadudniły kopyta na moście koło młyna i wkrótce wtoczyła się bryka.

Hanka była dziwnie smutna i milcząca, że dopiero kiej zjadła wieczerzę i parobek poszedł do stajni, odważył się pytać:

— Widzieliście męża?

— Całe popołudnie z nim przesiedziałam! Zdrowy jest i dobrej myśli... kazał was pozdrowić... I drugich chłopów też widziałam... mają ich puścić, jeno nikto nie wie kiedy... U tego, co ma na sądach Antka bronić, też byłam...

Nie mówiła tego, co jej kamieniem zaciężyło

na sercu, a jeno takie różności drugie, Antka się nie tyczące, aż rozplakała się nagle i choć przysłoniła twarz rękoma, łzy pociekły przez palce.

— Przyjdę rano... odpocznijcie sobie: strząśliście się mocno... by wam nie zaszkodziło.

— A niechbym już raz zdechła i więcej nie cierpiała! — wybuchnęła.

Pokiwał głową i wyniósł się bez słowa, jeno przed chałupą pieski cosik rozszczekane gniewnie przyciszał, do budy zapędzając.

Ale Hanka, choć się zarno do dzieci przyłożyła, usnąć nie mogła mimo utrudzenia. Jakże!... toć Antek ją przyjął kiej tego psa uprzykrzonego... Świecone ze smakiem jadł, te kilkanaście złotych wziął, nie pytając skąd miała i nawet się nie użalił nad jej umęczeniem daleką drogą!...

Opowiadała mu, co i jak się robi w gospodarce — nie pochwalił, a naprzeciw niejednemu ze złością przyganiał... O całą wieś rozpytywał, a o dzieciach ni wspomniał... Szła ku niemu z tem sercem wiernem i kochającym, utęskniona wielce łask jego; żoną mu przeciech ślubną była i matką jego dzieci, to jej nawet nie przyhołubił, nie pocałował, nie zatroskał się o jej zdrowie... Kiej obcy się widział i kiej na obcą sobie spoglądał, niebardzo słuchając jej rozpowiadań, że już w końcu i mówić nie mogła, żal ją dusił, łzy zalewały, to jeszcze krzyknął, by mu z bekami nie przyjeżdżała! Jezus kochany, dziw, że trupem nie padła... To za tę ciężką służbę kole jego dobra,

za pracę nad siły, za te cierpienia wszystkie — nic w zapłacie: ni jednego słowa łaski, ni jednego słowa pociechy!

— Jezu, wejrzyj miłościwie, wspomóż, bo nie zdzierzę! — jęczała, cisnąc głowę w poduszki, bych dzieci nie rozbudzić, a każda kostka w niej z osobna się trzęsła płakaniem, żalością, poniżeniem i strasznem poczuciem krzywdy!

Nie mogła sobie popuścić duszy tam przy nim, ni potem z powrotem przy ludziach, więc teraz dopiero oddawała się rozpacz, teraz pozwalała męce rozdzierać serce i łzom gorzkim płynąć.

.

Zaś nazajutrz, w świąteczny poniedziałek, dzień się podnosił jeszcze jaśniejszy, barzej jeno skąpany w rosach i modrawych omgleniach, ale i barzej rozświetlony i jakiś zgoła weselszy. Ptaki śpiewały rozgłośniej, a ciepły wiatер przeganiał po drzewinach, że szemrały jakby pacierzem cichuśkim; ludzie zrywali się raźniej, wywierając drzwi a okna, na świat Boży lecieli spojrzeć, na sady przytrząśnięte zielenią, na te nieobjęte ziemie, zwiesną oprzędzone, całe rosami skrzące, w słońcu radosnem utopione, na pola, kaj już ożyminy wiatrem kolebane, niby płowe, pomarszczone wody ku chałupom spływały.

Myli się przed domami, przekrzyki się niesły wskroś sadów, kajś już dym walił z komina, ko nie rżały po stajniach, skrzypiały wierzeje, wodę czerpali ze stawu, bydło szło do picia, krzyczały

gęsi, a kiej dzwony uderzyły i ogromne, niebosiężne głosy jęły huczeć i rozlewać się na wieś, na pola, na bory dalekie, wzmogły się jeszcze krzyki, a serca żywiej i weselej zabiły.

Chłopaki już latały z sikawkami, sprawiając sobie śmigus, albo przyczajone za drzewami nad stawem, lały nietylko przechodzących, ale każdego, kto ino na próg wyjrzał, że już nawet ściany były pomoczone i kałuże siwiły się pod domami.

Zawrzały wszystkie drogi i obejścia, wrzaski, śmiechy, przegony narastały coraz barzej, bo i dzieuchy gziły się niezgorzej, lejąc się między sobą i ganiając po sadach, że zaś ich dużo było i dorosłych, to wnet dały radę chłopakom, rozganiając ich na wszystkie strony, a tak się rozswawolili, że nawet Jaśka Przewrotnego, któren się z sikawką od gaszenia pożarów zaczynał na Nastkę, dopadły Balcerkówny, wodą zlały i jeszcze do stawu zepchnęły na pośmiewisko...

Ale ozgniewany za despekt, iż to dzieuchy górę nad nim wzięły, przyzwał w pomoc Pietrka Borynowego i tak się zmyślnie zasadzili na Nastkę, aż ją dostali w pazury i pod studnię zawlekli, a tak srodze spławili, jaże w niebogłosy wrzeszczała... Zaś potem, dobrawszy jeszcze Witka, Gulbasiaka i co starszych, chycili Marysię Balcerkównę i taką jej kąpiel sprawili, aż matka z kijem leciała na pomoc; przyparli też gdziesik Jagnę i tego utytłali, nawet Jóźce nie przepuszczając

choć się prosiła i z bekiem leciała na skargę do Hanki.

— Skarży się a rada, oczy się jej skrzą do figlów!

— A i mnie zapowietrzone do żywej skóry dojęły! — użała stę wesoło Jagustynka, wpadając do chałupy.

— Niby te obwiesie komu przepuszczają! — biadoliła Józka, przewłócząc się w suche szmaty, ale mimo strachu wyszła potem na ganek, bo aż dudniało na drogach od przeganiań i wieś się trzęsła wrzaskami: chłopaki dziw nie oszalały z uciechy, chodzili całą hurmą, zaganiając kto się natatoczył pod sikawki, aż sołtys musiał rozganiać swawolników, bo nie sposób się było pokazać z chałupy.

— Wama cosik niezdrowo po wczorajszym? — szepnęła Jagustynka, susząc plecy przed kominem.

— Juści, trzęsie się we mnie i ciągiem me kopie, mgli me przytem...

— Połóżcie się. Trzaby się wam napić maciorkowego naparu! Strzęśliście się wczoraj! — zafrasowała się bardzo, ale że zapachnęła kiszka przysmażona, siadła wraz z drugimi do śniadania, łakomie wyparując większego kawałka.

— Pojedzcie i wy, gospodyni: głodzeniem zdrowiu nie pomoże...

— Kiej mi się mierzi mięso; arbaty se zgotuję.

— Na przepłókanie flaków niezgorsze, ale by-

ście się gorzałki przegotowanej z tłustością i korzeniami napili, rychlejby pomogło...

— Juści, zmarłaka-by postawiły takie leki!... — zaśmiał się Pietrek, któren wziął miejsce kole Jagusi, w oczy jej zaglądał, podając usługliwie, na co jeno spojrzała i ciągiem ją zagadując, ale że go zbywała bele czem, jął rozpytywać Jagustynkę o Mateusza, o Stacha Płoszkę i drugih.

— Jakże, widziałam wszystkich, spólnie se siedzą, a pokoje mają dworskie zgoła, wysokie, widne, z podłogą, jeno że z tą żelazną pajęczyną w oknach, bych się im na spacer nie zachciało. A przekarmiają ich też niezgorzej. Grochówkę im przynieśli w południe; spróbowałam: kieby na starym bucie zgotowana i smarowidłem od woza omaszczona; na drugie zaś prażonych jagieł im postawili!... no, Łapa-by kulas na nie podniósł, a nie powąchał nawet. Za swoje się żywią, któren zaś nie ma grosza, pacierzem se to jadło doprawia — opowiadała urągliwie.

— Rychło zaczną puszczać?

— Powiedały, że już na przewody niektóre wróć! — szepnęła ciszej, obzierając się trwożnie na Hankę, a Jagnę jakby coś podrzuciło z miesca, że uciekła z izby, jeść nie skończywszy, stara zaś o Kozłowej zaczęła mówić.

— Późno wróciły i z niczem, przetrzęsły się jeno po kiełbasach i dworowi się napatrzyły! Powiedają, że czemś innem pachnie niżli chałupą!... Dziedzic im powiedział, co nikomu poradzić nie

może, bo to sprawa komisarza i urzędu, a kiejby nawet mógł, teżby się nie wstawił za żadnym Lipczakiem, boć przez nich sam jest szkodny najbarzej! Wiecie, że to las mu sprzedawać wzbrownili, a kupce go teraz po sądach włóczą. Kłął pono siarczyście i krzyczał, że kiej on przez chłopów ma iść z torbami, to niech całą wieś zaraza wytraci!... Kozłowa już z tem od rana po chałupach lata i pomstą odgraża.

— Głupia, co mu ta robi pogrozą!

— Moiście, a bo to wiada, kiej kto komu miętkie miejsce wymaca, że i najlichszy... — urwała, porywając się podtrzymać Hanke, lecącą na ścianę.

— Laboga! By to prędzej nie przyszło przed czasem — szeptała wystraszona, ciągnąc ją do łóżka, bo jej w rękę zemgląła, pot kroplisty wystąpił na jej twarz, żółtymi plamami okrytą. Leżała ledwie dychając, stara zaś octem wycierała jej skronie i dopiero kiej chrzanu pod nos nakładła, Hanka oprzytomniała, otwierając oczy, zgudka ją jeno chyliła.

Rozeszli się do obrzędów gospodarskich, Witek tylko ostał i, upatrzwszy sposobną porę, jął prosić gospodyni, aby go puściła z kogutkiem.

— A idź, przyodziewy jeno nie zciarachaj i sprawuj się dobrze! Psy uwiąż, by za wami na drugie wsie nie poleciały! Kiedyż pójdzieta?

— A zarno po kościele.

Jagustynka wraziła głowę przez okno i zapytała:

— Kaj to psy, Witek? Wyniesłam im jeść, wołam i ni jednego!

— Prawda, dyć i w oborze rano nie byli! Łapa! Burek! na tu! — nawoływał, wybiegając przed dom, ale się nie odezwały.

— Musiały na wieś polecieć, bo suka Kłębów się goni... — objaśnił.

Nikomu do głowy nie przyszło myśleć, kaj się psy podziały — zwyczajna przeciech rzecz. Dopiero po jakimś czasie Jóźka posłyszała gdzieś w podwórzu jakby głuche skamlenie, a nic tam nie nalazłszy, pobiegła w sad, myśląc, że to Witek się rozprawia z jakimś psem obcym. Zdziwiła się, nie dojrzawszy nikogo: sad był pusty i to skomlenie ucichło; ale powracając, natknęła się na Burka: leżał nieżywy pod szczytową ścianą — łeb miał rozwalony.

Narobiła takiego wrzasku, że się wszyscy zlecieli.

— Burek zabity! Złodzieje pewnie!

Trwoga powiała nad niemi.

— A dyć nie co insze, w imię Ojca i Syna! — krzyknęła Jagustynka, dojrzawszy naraz kupę ziemi wywalonej i dół wielki pod przyciesiami.

— Podkopali się do ojcowej komory!

— Jama, że konia-by przewlókł!

— A zboża pełno w dole!

— Jezu, a może tam jeszcze są zbóje! — zakrzyczała Józka.

Rzucili się na Borynową stronę, Jagusi już nie było, stary ino leżał twarzą do izby, w komorze zaś, zawdy mrocznej, widno było, światło buchało dziurą, że łącno dojrzeli jako wszystko było pomieszane, kiej groch z kapustą, zboże powysypywane zalegało ziemię razem ze szmatami pościąganiem z drągów; nawet motki przędzy i wełna leżały potargane i zwichlone. Nie sposób było na razie zmiarkować czego brakowało.

Ale Hanka odrazu pomiarkowała, że to kowalowa być musi robota; gorąc ją przejął na myśl, iż kiejby się jeden dzień opóźniła, nalazłby pieniądze i zabrał.. Nachyliła się nad dołem, kryjąc przed ludźmi kuntentność, a sprawdzając cosik sobie za stanikiem.

— Czy aby nie brak czego w oborze? — rzekła, niby tknięta podejrzeniem.

Na szczęście, nic nigdzie nie brakowało.

— Dobrze były drzwi pozawierane! — ozwał się Pietrek i skoczył naraz do ziemniaczanego dołu, odwalił z wejścia ocipkę wielgachną i wyciągnął stamtąd Łapę skowyczącego.

— Juści, że złodzieje go tam wrzucili, ale to dziwne, pies zły i dał się...

— I nikto w nocy nie słyszał szczekania!

Dali znać o sprawie sołtysowi, rozniosło się też migiem po wsi, że w dyrdy lecieli oglądać, wyrzekać a deliberować. Sad zappełnił się ludźmi,

cisnęli się kiej do konfesyonału, kuźden głowę wtykał do dołu, powiadał swoje i Burka pilnie oglądał.

Zjawił się i Rocho, a uspokoivszy rozplakaną i wrzeszczącą Józkę, która każdemu z osobna opowiadała jak to było, poszedł do Hanki, leżącej znowu na łóżku, ale jakoś dziwnie spokojnej...

— Złąłem się, byście tego zbytnio do serca nie wzięli! — zaczął.

— I... niczego chwała Bogu nie wziął... zapóźnił się... — przyciszyła głos.

— Miarkujecie kto?...

— Dałabym głowę, że kował.

— To chyba na cosik upatrzonego polował?

— Juści... jeno, że mu się wypsnęło, do waju tylko mówię...

— Juści, za rękę trzaby złapać, albo świadków mieć... No, na co się to człowiek waży la grosza!...

— Nawet przed Antkiem się nie wygadajcie, moi drodzy! — prosiła.

— Wiecie, żem nie skory do zwierzeń, a łaćniej przecież zabić człowieka, niżli go urodzić. Znałem go, że krętacz, ale o taką rzeczby nie posądził.

— Jego stać na najgorsze, znam ja go dobrze...

Wójt nadszedł z sołtysem i wzięli oglądać szczegółowo, wypytując się Józki o wszystko.

— Żeby Kozioł nie siedział, myślałbym, co to jego sprawka... — szepnął wójt.

— Cichoście, Pietrze, bo Kozłowa ku nam zmierza — trącił go sołtys.

— Spłoszyli się że nic pono nie unieśli.

— Pewnie, strażnikom trzaby dać znać... nowa robota, dyabli nadali, że człowiek świąt nawet zażyć spokojnie nie może...

Sołtys naraz się schylił i podniósł żelazny, okrwawiony pręt.

— Temci zakatrupili Burka!

Żelazo przechodziło z rąk do rąk.

— Pręt, z jakiego zęby do bron kuja.

— Mogli ukraść choćby i z kuźni Michałowej.

— Kuźnia już od piątku zawarta.

— Kowala trza wypytać, czy mu nie zginęło.

— Tak mogli ukraść, jak mogli przynieść z sobą, wójt to wama mówi, a kowala w chałupie niema, co zaś robić, moja to sprawa z sołtysem! — podniósł głos, krzycząc, by się nie tłoczyli po próżnicy i do dom szli.

Nikto się go nie ulęknął, jeno że czas się było zabierać do kościoła, to wnet się porozchodzili, bo już i ludzie z drugich wsi nad płotami ciągnęli gęsiego i wozy coraz częściej dudniały na moście.

A kiej się do cna wyludniło, wsunął się do sadu Bylica i nuże dopiero oglądać swojego pie-ska, cucić go a przemawiać do niego cichusko.

Dom też opustoszał, do kościoła poszli, Hanka

jeno w łóżku ostała, pacierze se przepowiadając, a myśląc o Antku, że zaś cicho się zrobiło, bo stary dzieci powiódł na drogę, zasnęła kwardo.

Już ano stanęło przypołudnie, galancie przegrzane i tak cichuśkie, jaże śpiewy narodu rozchodziły się z kościoła i brzęczały po szybach, już i przedzwonili na Podniesienie, a ona ciągiem spała. Zbudził ją dopiero turkot wozów, pędzących po wybojach, bo jak to było we zwyczaju w drugie święto Wielkanocy, po sumie, ścigali się, któren pierwiej dopadnie swojej chałupy, że ino migaly przez drzewa bryki, zapchane ludźmi i konie, prane batami. Ścigali się tak siarczyście, że chałupa się trzęsła i wrzawa turkotów i śmiechów wichrem przeleciała.

Chciała się podnieść, obaczyć, ale domowi wracali i Jagustynka, krzątając się kiele obiadu, jęła opowiadać, jak zważyło się tylachna narodu, co i połowa nie miała miejsca w kościele, że wszystkie dwory zjechały, a po sumie dobrodziej zwoływał gospodarzy do zakrystyi i cosik z nimi uradzał, Jóźka zaś znowuj rozpowiadała o dziedziczkach, jak to były wystrojone.

— Wiecie, a to panienki z Woli to ci takie kupry dźwigają na zadzie, jakby te indory, kiej se ogony rozczapierzone postawią.

— Sianem se te miejsca wypychają, lebo gałganami — pojaśniała stara.

— A w pasie wcięte kiej osy, batembych je

poprzecinał, że ani poznać, kaj te brzuchy dziewają... Z blizkam wypatrywała.

— Kaj? a pod gorsety wpychają. Powiadała mi jedna dwórka, co za pokojową była w Modlickim dworze, jak to poniektóre dziedziczki się głodzą i pasami na noc ściągają, by ino nie pogrubieć. Taka moda dworska, aby każda pani cieniuską się wydawała, niby tyczka, na zadzie jeno wydęta.

— We wsi inaczej, boć z chudych przekpiwają się parobki.

— Zaśby nie! dzieucha musi być kiej lepa, rozrosła wszędzie taka, co to jak się człek do niej przyprze, to jakby do pieca gorącego... — powiedział Pietrek, wpatrzony w Jagusię, wystawiającą garnki z komina.

— Widzisz go, pokrakę, wypróżnował się, podjadł se mięsem i jakie mu to już smaki na oźór przychodzą! — zgromiła go Jagustynka.

— Jak taka się przy robocie rucha, to dziw się jej wełniak nie rozpęknie...

Chciał jeszcze cosik trefnego dodać, ale Dominikowa przyszła opatrywać Hanke i wygonili go z izby.

Obiad też zaraz podawali na ganku, gdyż ciepło było i słonecznie. Młoda zieleń polśniewała, trzając się cichusko na gałązkach i gmerząc kiej motyle, ptasie świągoty roznosiły się ze sadów.

Dominikowa zakazała Hance ruszać się z pościeli, a że zaraz po obiedzie nadeszła Weronka

z dziećmi, do łóżka przystawili ławę i Józka nanieśli święconego i flachę gorzałki z miodem, bo Hanuś, choć z trudem nieco, ale godnie, po gospodarsku, podejmowała siostrę i sąsiadki, które wedle zwyczaju jeły posobnie przychodzić w goście, użalać się nad nią, gorzałki pociągać, słodkim plackiem wolniuśko się delectować i różności sąsiedzkie rozpowiadać, głównie zaś o tym podkopie pod komorę trajkotać.

Zasie domowi przed chałupą się wygrzewali, poredzając z ludźmi, jacy wciąż do sadu szli, a srodze medytowali nad jamą jeszcze nie zawaloną, gdyż wójt wzbronił do czasu przyjazdu piasarza i strażników.

Właśnie Jagustynka była rozpowiadała o tem, nie wiada już dzisiaj po raz który, kiej z podwórzą wywalili się chłopaki z kogutkiem. Witek ich wiódł, wystrojony sielnie, w butach nawet i kaszkiecie Borynowym, srodze na bakier nadzianym, a pobok w kupie szedł Maciuś Kłębów, Gulbasiak, Jędrek, Kuba, Grzeli z krzywą gębą syn i drugie. Kije mieli w rękach i torbeczki przez plecy, Witek zaś tulił pod pachą skrzypice Pietrkowe.

Wywiedli się na drogę z paradą i najpierwej ruszyli do dobrodzieja, bo tak po inne roki parobki poczynają. Śmiało weszli do ogrodu, przed plebanie, ustawili się w rząd, wysuwając przed się kogutka. Witek zagrał na skrzypicy, Gulbasiak jął kręcić cudakiem i pisać, a wszyscy, rypiąc kijami i nogami do wtóru, wraz zaśpiewali piskliwie:

Przyszliśmy tu po dyngusie!
Zaśpiewamy o Jezusie,
O Jezusie, o Maryje —
Dajcie nam co, gospodyniel...

I długo śpiewali, a coraz śmielej i rozgłośniej, aż wyszedł dobrodziej i po dziesiątku im rozdał, kogutka pochwalił i z łaską ich odpuścił...

Witek jaże spotniał ze strachu, czy o boćka nie zagada, snadź go jednak wśród drugich nie rozpoznał, ale na pokoje odszedł, przysyłając jeszcze przez dziewczynę słodzińskiego placka, że huknęli mu śpiewką na podziękę i do organistów pociągnęli.

Potem zaś, już chałupy nawiedzali wraz z całą chmarą dzieci rozwrzeszczanych i tak się cisnących, że musieli obraniać kogutka przed naporem, gdyż każde piórek chciało tykać i kijaszkiem zaruchać.

Witek ich prowadził, rej wiodąc i na wszystko mając czujne oko, nogą znać dawał, by zaczynać, a smykiem rządził, kaj nutę wyciągać cieniušką, a kiej grubą; jemu też oddawali gościńce. A z taką paradą się wodzili i tak szumnie, jaże na całą wieś roznosiły się śpiewania i przygrywki skrzypicy, a ludzie wielce się dziwowali, że to skrzaty ledwie odrosłe od ziemi, a poczynają sobie niby parobki.

Pod zachód się już miało, poczerwieniałe ździebko słońce przetaczało się nad bory, a po niebie modrem rozwłóczyły się białe chmurki kiej

te nieprzeliczone stado gęsi, wiatery się też ruchał kajs górą, chwiejąc czubami ordzawiałych topoli, a we wsi czyniło się coraz rojniej i gwarliwiej: starsi poredzeli przed chałupami, zasiedając progi, dzieuchy gziły się nad stawem, lub ujawszy się wpół, chodziły kolebiąco, piesneczki zawodząc, iż kiej kwiaty makowe lebo nasturcyi, roily się między drzewinami, we wodzie się odbijając niby w lustrze, dzieci latały z dyngusiarzami, zaś jeszcze insi w pola szli miedzami.

Na nieszpór już przedzwaniiali, kiej gruba Płoszkowa, odwiedziwszy przódzi Borynę, wchodziła do Hanki.

— Byłam u chorego. Jezu, a to leży jak leżał... Zagadywałam: ani spojrział na mnie. Słońce mu świeci na łóżko, to je palicami zagrabia, jakby w garście chciał ująć, i kiej to małuśkie dzieciątko w niem grzebie! Prosto płakać, co się to z człowieka zrobiło! — rozповідаła, siadając przy łóżku, ale przepiła jak i drugie, sięgając do placka. — Jada to teraz, bo widzi mi się potłuścił?

— Już niezgorzej, że może mu ku zdrowiu idzie!...

— Chłopaki poszły z kogutkiem do Wolii — zatrajkotała Józka, wpadając, ale dojrzawszy Płoszkową, wyniesła się przed dom do Jagusi.

— Józka, bydło czas obrządzać! — zawołała.

— Pewnie, komu święta to święta, a brzuch zawdy o głodzie pamięta! Byli z kogutkiem i u mnie...

sprawny ten wasz Witek! i ze ślepiów mu dobrze patrzy.

— Juści, co do figlów pierwszy, do roboty jeno go trza kijem napędzać!

— Moiście, a dyc ze służbą wszędy jednaka bieda! Młynarzowa się przede mną uskarżała na swoje dziewczki, że pół roku utrzymać nie może.

— Prędko się tam dorabiają dzieciaków... Świeży chleb pomaga!

— Chleb jak chleb, ale to czeladnik sprawi, to synek, ten z klas, do domu zajrzy, a powiadają że i sam młynarz żadnej nie przepuści... to i trudno dziewczki dotrzymać do roku. Co prawda, to i służba hardziej... Mój ano chłopak do pasionki że to chłopaków w domu brak, za psa me uważa i każe se mleka na podwieczorek podawać! Słyszane to rzeczy!

— Parobka mam, to mi nie nowina czego im się zachciewa, ale godzić się na wszystko muszę, bo pójdzie se we świat w największą robotę, i cóż pocznę przez niego w tylim gospodarstwie!

— Żeby go wama tylko nie odmówiła która — rzekła ciszej.

— Wiecie to co? — zatrwożyła się nie mało.

— Doszło me cosik z boku... może cyganią, to nie rozpowiadam. Hale, gadu, gadu, a z czem to ja przyszłam? — Obiecały się przyjść niektóre, ugwarzym się sieroty, przyjdźcie i wy... jakże

Borynowejby nie było, kiej co najpierwsze się zbierą-

Przypochlebiała, ale Hanka wymówiła się słabością, po prawdzie, bo już poczuła się ździebko napitą.

Płoszkowa, wielce markotna odmową, Jagnę poszła zapraszać.

Ale i Jagusia się wymawiała, że to już kajś indziej z matką się obiecały...

— Poszlibyście, Jagna, ckni się wama za chłopami, a do Płoszkowej ani chybi co Jambroży zajrzy, albo któren z dziadków, i zawzdy chocia portkami zaleci... — szepnęła Jagustynka z pod chałupy.

— A wy to po swojemu, tem słowem kieby nożem żgacie...

— Wesół mi, tom rada kuźdemu czego mu potrzał — szydziła.

Jaguś ciepnęła się ze złości i na drogę wyszła, bezradnie wodząc oczyma po świecie i ledwie płacz wstrzymując. Juści, że się jej strasznie cknęło!

Cóż, że święta czuć było wszędzie, że ludzie się roili, że śmiechy i krzyki trzęsły się nad wsią, że nawet po szarych polach czerwieniały kobiety i piesneczki kajś niekaj dzwoniły?... — jej było smutnie i tak ckno czegoś, że już wytrzymać nie mogła. Od samego rana tak ją cosik rozpierało i ponosiło, że po znajomych latała, po drogach, w pole wychodziła, i nawet coś ze trzy razy się

przeoblóczyła, na darmo wszystko, nie pomogło: rwało ją coraz barzej, by gdziesik lecieć, coś robić, szukać czegoś...

Że i teraz się poniesła aż na topolową drogę i szła zapatrzona w czerwoną, ogromną kulę słońca, spadającego nad bory, szła przez te progi cieniów i lśnień, które zachód rzucał przez drzewa.

Chłód mroków ją owionął, a ciche, nagrzone dychanie pól przejmowało nawskroś lubym dygotem; od wsi goniły słabnące gwary, a skądciś zawiewał zawodliwy głos skrzypicy i czepiał się serca, kiejby ta złotemi rosami brzęcząca pajęczyna, jaże rozsnuła się w cichuśkim trzepocie topoli, w mrokach, co już pełzały brózdami i czały się w krzaczach tarnin.

Szła przed siebie, ani wiedząc co ją niesie i dokąd.

Wzdychała głęboko, czasami ręce rozwodząc, czasami przystając bezradnie i tocząc rozpalonemi oczyma, jakby zaczepki dla udręczonej duszy szukała, ale szła dalej, przędąc myśli wiotkie i nikłe, jako te świetliste nici na wodzie, że nie uchycisz, bo zmacą się i przepadną od cienia ręki. Patrzała w słońce, nie widząc niczego, topole, co rzędami pochylały się nad nią, zdały się jej jako zamglone przypomnienia... Siebie jeno mocno czuła i to, że ją rozpiera, aże do bólu, do krzyku, do płaczu, że ją ponosi gdziesik, iż czepiłaby się tych ptaków, lecących pod zachód, i na kraj świata pofrunęła. Wzbierała w niej jakaś moc paląca i tak

rzewliwa, że łyzy przysłaniały oczy, i ognie się po niej rozlewały; rwała lepkie, pachnące pędy topoli, chłodząc niemi rozpalone usta i oczy...

Czasem przysiadła pod drzewem i skulona, wsparwszy twarz na pięściach, zapadała w siebie bez pamięci, cisnąc się jeno do pnia i prężąc... i ledwie dysząc...

Jakby i w niej wiosna zaśpiewała swoją pieśń upalną, że burzyło się w niej i cosik poczynąło, jako w tych ziemiach rodnych, ugorem leżących, poczyną się o wiośnie, jako w tych drzewinach, opitych mocą rostu, śpiewa, i jako wszędy się rozpręża, kiej pierwsze słońce przygrzeje...

Dygotała w sobie, paliły ją oczy, zaś omdlałe nogi stulały się bezwolnie i ledwie ją niesły. Płakać się jej chciało, śpiewać, tarzać po runiach zbóż mięciuchnych i chłodnemi rosami operlonych, to brała ją szalona chęć skoczyć w ciernie, przedzierać się wskroś szarpiących gąszczów i poczuć dziki, luby ból przepierań i szamotań.

Zawróciła naraz z powrotem i, dosłyszawszy głosy skrzypicy, pobiegła ku nim. Hej, tak zakręciły się w niej, taką zawrotną lubością przejęły, że w tany-by się puściła, w ścisk karczmy rozhukanej, w tumult, w pijatykę nawet, że choćby w samo zatracenie, hej!...

Drózką od cmętacza, do topolowej, całą w czerwonych ogniach zachodu, szedł ktosik z książką w rękę i pod białemi brzózkami przystawał.

Jasio to był, organistów syn.

Z za drzewa chciała popatrzeć na niego, ale ją dojrzał.

I uciec nie poredziła, nogi jakby się ziemi czepiły, i oczu nie mogła oderwać od niego; zbliżał się z uśmiechem, zęby mu grały w czerwonych wargach, smukły był, rosły i białe na gębie.

— Jakbyście mnie Jaguś nie poznali?

Aż ją w dołku ścisnęło od tego głosu.

— Cobym ta nie poznała!... jeno pan Jaś taki tera galanty, taki inszy...

— Pewnie, lata idą... Byliście u kogo na Budach?

— Tak sobie ino chodziłam, święto przeciek. Nabożna? — tknęła nieśmiało książki.

— Nie, o krajach dalekich i o morzach!

— Jezu! o morzach! A te obraziki też nie święte?

— Zobaczcie! — podsunął jej pod oczy książkę i pokazywał.

Stali ramię w ramię, bezwolnie wpierając się w siebie biodrami, a tykając głowami nisko przychylonemi. Pojaśniał ją niekiedy, wtedy podnosiła na niego oczy podziwu pełne, nie śmiejąc dychać ze wzruszenia, a cisnąć się coraz barzej, bych lepiej dojrzeć, gdyż słońce opuściło się już za bory.

Naraz wstrząsnął się cały i odsunął żdziebko.

— Mroczeje, czas do domu! -- szepnął cicho.

— A to pódźmy!

Szli w milczeniu, nakryci prawie cieniami drzew. Słońce zaszło, modrawe mroki trzęsły się na pola, zórz dzisiaj nie było, jeno przez grubachne pnie topoli widniał na niebie złocisty rozlew, świat przygasał.

— I to wszystko prawda, co tam pokazane? — przystanęła.

— Wszystko, Jaguś, wszystko.

— Jezu, takie wody wielgachne, takie światy, że uwierzyć trudno.

— Są, Jaguś, są! — szeptał coraz ciszej, zaglądając jej w oczy z tak blizka, że wstrzymała oddech, dreszcz ją przeszedł i podała się pierśmi naprzód, czekała iż ją obejmie i do pnia przyprze, jaże ramiona się jej ozwały, i gotowa się była dać, ale Jasio odsunął się śpiesznie.

— Muszę iść prędzej, dobranoc Jagusi! — i poleciał.

Z dobry pacierz przestojąca, nim się poredziła ruszyć z miejsca.

— Urzekł me, czy co! — myślała, wlekąc się ociężale, mąt jakiś miała w głowie, ciągotki ją rozbierały.

Wieczór się robił, światła błyskały tu i owdzie a z karczmy roznosiło się granie i przytłumione rozmowy.

Zajrzała przez okno do izby rozświetlonej: pan Jacek stał w pośrodku i rznął na skrzypkach, zaś przed szynkwasem kolebał się Jambroży, krzy

kliwie cosik rozповідаł komornicom, często po kieliszek sięgając.

Naraz, ktosik ją wpół krzepko ujął, że krzyknęła, kurcząc się i wydzierając.

— Przydybałem cię i nie puszczę... napijem się żdziebko... pódzi... — szeptał wójt, nie zwalnając z pazurów, i pociągnął ją bocznymi drzwiami do alkierza.

Nikto nie dojrzał, bo już prawie ciemno było na świecie, i mało kto przechodził drogą.

Wieś już przycichała, milkły gwary i pustoszały opłotki, naród rozchodził się po chałupach, dobiegały święta i dni słodkich wczasowań, powszednie jutro stało za progiem i w mrokach ostre kły szczyrzyło, że niejedną duszę lęk ścisnęła i turbacyste obsiadały nanowo...

Posmutniała wieś i przygłuchła, jakby do ziemi barzej przywierając i tuląc się w sady oniemiałe, jeszcze tam kajś niekaj siedzieli na przyźbach, dojadając święcone i zcicha gwarząc, gdzie zaś spać się rychlej wybierali, pieśni pobożne przyspiewując.

Tylko u Płoszkowej rojno było i gwarno: zeszyły były sąsiadki, a obsiadłszy ławy, poredzały godnie między sobą. Wójtowa na pierwszym miejscu siedziała, zaś pobok pękata, wyszczekana Balcerkowa swojego dowodziła; była i chuda Sikorzyna, była i jazgocząca ciągiem Borynowa, stryjeczna chorego, była i kowalowa z najmłodszym

przy piersi, ugwarzająca się z pobożną cichą sołtysową i drugie były, co najpierwsze we wsi.

Siedziały napuszone i odęte, kiej kwoki w barłogu, a wszystkie we świątecznych sutych wełniakach, w chustkach, Lipecką modą do pół pleców opuszczonych, w czepcach kiej koła bieluchne a rzęsiście skarbowane nad czołami, we fryzkach po uszy nastroszonych, na które tyle korali nawiesiły, ile która miała. Zabawiały się galanto, gęby zwolna czerwieniały i kumentność rozpierała, poprawiały pilnie wełniaków, by się nie przygnieśli i już jęły do się przysiądać coraz bliżej a ci-sej poredzać, biorąc się wzajem na ozory.

A kiej kowal się jawił, powiedział co prosto z miasta wraca, na dobre się rozweseliły. Chłop był wyszczekany jak mało któren, że zaś był już zdziebko napity, to jął wycyganiać takie rzeczy do śmiechu, jaże za boki się brały; izba się zatrzęsła, on zaś śmiał się nagłośniej, jaże ten jego rechot słyszać było u Borynów.

Długo se używali, bo coś trzy razy Płoszkowa po gorzałkę posyłała do Żyda,

Zaś u Borynów jeszcze siedzieli przed chałupą. Hanka wstała i otulona w kożuch, gdyż ziało wziął po zachodzie, była z drugiem.

Półki dnia starczyło, Rocho im czytał z książki, że nieraz Hanka, rozglądając się, przykazywała cicho Jóźce:

— Wyrzyj-no na drogę...

Ale nikogoj nie było i czytał, póki wieczór

nie zamroczył ziemi, a potem powiadał jeszcze różności, gdyż srodze się rozciekawili. Noc ich okrywała, iż ledwie się znaczyli na białej ścianie chałupy; wieczór się stawał ciemny i chłodny, gwiazdy nie wzeszły, głucha cichość ogarniała świat, jeno co woda bełkotała kajściś i psy warczały.

Zbili się w kupę, że Nastuś z Józką, Weronka z dziećmi, Jagustynka, Kłębowa i Pietrek prawie u nóg Rochowych przysiedli, a Hanka nieco z boku na kamieniu.

Rozповідаł o całym polskim narodzie historye różne, to przypowieście święte, to cudeńka takie o świecie, że ktoby je ta pojął i zapamiętał!

Zasłuchali się, nie ważąc odsapnąć, ni poruszyć się z miejsc i całą duszą pijąc te słowa miodne, jak wyschła ziemia pije dżdże rosiste i ciepłe.

On zaś, prawie nie widny la oczu, uroczystym, cichym głosem powiadał:

— »Po zimie zwiesna przychodzi każdemu, któren jej czeka w pracy, modlitwie a gotowości«.

— »Dufajcie, bo pokrzywdzone zawždy górę wezmą«.

— »Ochfiarną krwią i trudem trza posiewać człowieczą szczęśliwość, a któren posiał, wszędzie mu i czas żniwny miał będzie«.

— »Ale kto jeno o chleb powszedni zabiegę, do stołu Pańskiego nie siądzie«.

— »Kto ino wyrzeka na złe, nie czyniąc do bra, ten gorsze zło rodzi«.

Długo powiadał, a tak mądrze, że nie spa pamiętać, i coraz ciszej a rzewliwiej, że zaś go noc całkiem okryła, to się zdawało, jakoby ten głos święty z ziemi wychodził, albo że to głos pomarłych pokoleń Borynowych, co w noc tę Zmartwychwstania Bóg je na świat odpuścił i prawią teraz ze zmurszałych ścian, z drzew pochyłonych, z gęstej nocy, ku przestrodze a opamiętaniu rodzonych.

Dusze się wszystkie ważyły na tych słowach, bijących w serca jak dzwon i niesły się w omroczone utęsknienia, w niepojęte dziwy marzeń.

Nikto nie dosłyszał nawet, że psy zaczęły w całej wsi ujadać, ktoś krzyczał na drogach i zadudniały bieganiny.

— Podlesie się pali! — zawrzeszczał jakiś głos przez sad.

Wybiegli na drogę.

Prawda była: dworskie budynki na Podlesiu stały w ogniu, płomienie kiej czerwone krze wybuchały z ciemności.

— A słowo ciałem się stało! — szepnęła Jagustynka, Kozłową wspominając.

— Kara Boska przychodzi.

— Za naszą krzywdę! — krzyżowały się w ciemnościach głosy.

Drzwi chałup trzaskały, ludzie w dyrdy a na pół odziani wpadali na drogi, a coraz większą kupą cisnęli się na most przed młynem, skąd widać było najlepiej, że może w jakiś pacierz cała wieś już się stłoczyła.

Pożar zaś urastał co chwila, folwark stał na wzgórzu pod lasem, więc chociaż o parę wiorst od Lipiec, widać było jak na dłoni wzmaganie się ognia. Na czarnej ścianie lasu roily się ogniste jęczory i wybuchały krwawe, skłębione chmury. Nie było wiatru i ogień wynosił się coraz wyżej, budynki płonęły kiej smolne szczapy, czarne dymy waliły słupami, a krwawy, zwichrzony brzask rozlewał się w ciemnościach rzeką ognistą i chwiał się już nad borem.

Przeraźliwe ryki rozdarły powietrze.

— Wołownia się pali, nie uratują wiele, bo jedno drzwi.

— Stogi się teraz zajmują!

— Już stodoły w ogniu! — wołali strwożeni.

Ksiądz nadbiegł, kował, sołtys, a w końcu i wójt zkądciś się zjawił, ale choć pijany, że ledwie się trzymał na nogach, zaczął wrzeszczeć i wyganiać ludzi, bych na pomoc lecieli dworowi.

Ale nikt się z tem nie śpieszył, a jeno zły pomruk zerwał się w ciżbie:

— Niechaj chłopów puszczą, to polecą ratować!

I nie pomogły klątwy ni groźby, ani nawet

proboszczowe płaksiwe błagania: naród stał nieporuszony i w ogień ponuro patrzył.

— Psiekrwie paroby dworskie! — zakrzyczała Kõbusowa, pięścią groząc.

Że tylko wójt wraz ze sołtysem i kowalem pojechali do ognia i to z gołemi rękoma, gdyż ani bosaków, ni wiader, nie pozwolili zabierać z chałup:

— Kijami tego, któren ruszy! Na stracenie ścierwę! — zawrzeszczały jak jedna.

A cała wieś się już zebrała, do najmłodszych, co je rozkrzyczane na rękę przyhuśtywali i kłębili się wielką, ponurą ciżbą, że mało kto się odzywał, a i to szeptem, paśli jeno chciwe oczy i wzdychali, bo w każdym sercu krzewiły się przytężone srogo radości, że to za lipeckie krzywdy Pan Bóg dziedzica ogniem pokarał.

Do późna w noc się paliło, a nikt do dom nie poszedł: czekali cierpliwie końca, że to już jedno morze ognia przewalało się nad folwarkiem i biło spiętrzonemi falami w niebo, zapalone snopki z dachów i gonty roznosiły się krwawym deszczem, a od czerwonych łun, co jak ogniste płachty wiewały w ciemnościach, zrumieniały się czuby drzew i dachy młynicy, zaś staw jakby kto potrząsł bladeń żarzewiem.

Turkoty wozów, krzyki ludzi, ryki, straszna groza zniszczenia biły z pożaru, a wieś wciąż stała, jakby ten żywy mur w ziemię wrosły, a pasący oczy i dusze odemstają...

Zaś od karczmy rozlegał się ochrypły głos
pijanego Jambroża:

»Da Maryś moja, Maryś!
Da dobre piwo warzysz!«

VI.

Na taką dziwną wieść Hanka aż się uniesła z pościeli, że Jagustynka przychwyciła ją jeszcze w porę i do poduszek przygnietła.

— Dyc się nie ruchajcie, nie pali się nikaj!

— Bo taką rzecz powiedzieli, jakby im we łbie zamroczyło; przemyjcie sobie ciemię święconą wodą, to wama dur przejdzie.

— Nie, Hanuś, rozum swój mam i prawdę rzekłem, jako pan Jacek, od wczoraj siedzi wraz ze mną... juści... — jękał Bylica, przyginając się do kichania po tęgiem zażyciu.

— Widać już do cna ogłupiał! Obaczcie czy nie wracają, dziecko mi zagłodzą.

— Od kościoła nikogój jeszcze nie widno! — objaśniła po chwili Jagustynka, znowu zabierając się do uprzątnięcia izby, posypując ją piaskiem.

Stary kichał zawzięcie raz po razie, że aż na ławie przysiadł.

— Trąbicie, kiej w mieście na rynku!

— Bo krzepka tabaka, pana Jackowa, całą paczkę mi dał... całą...

Rano jeszcze było, oknem zazierało jasne i ciepłe słońce, drzewa się w sadzie chwiały od wiatru, zaś przez wywarte drzwi do sieni cisnęły się pogięte gęsie szyje i czerwone, syczące dzioby, a całe stado utapłanych w błocie i piszczących gąsiąt skrabalo się na próg wysoki. Naraz pies gdziesik zawarczał, że gęsi podniosły krzyk, a kwoki siedzące na jajach, gdakać poczęły strachliwie i sfruwać z gniazd.

— Adyc chociaż do sadu wypędzcie może się trawą zabawią.

— Wypędzę, Hanuś, i od gap przypilnuję...

Wnet przycichło w izbie, jeno szum drzew dochodził ze dworu i kolebały się zdziebko światy wiszące u czarnego pułapu.

— Co tam chłopaki robią? — zapytała Hanka po długiej chwili.

— Pietrek orze ziemniaczysko pod górką, a Witek we wałacha bronuje zagony pod len na świńskim dołku.

— Mokro tam jeszcze?

— Juści, trepy całkiem więzną, ale po zbronowaniu rychlej przeschnie.

Nim się też ziemia wygrzeje do siewu, może już wstanę...

— O sobie teraz pamiętajcie, a roboty wama nikto nie ukradnie!

— Wydojone to krowy?

— Samam doiła, bo Jaguś pod oborą szkopki ustawiła i gdziesik poszła.

— Nosi się ciągiem po wsi, jak ten pies, że żadnej pomocy, ni wyręki. Hale, powiedzcie Kóbusowej, że zagony pod kapustę dam, i Pietrek gnój od niej wywiezie i zaorze, ale po cztery dni odrobku z jednego! Przy sadzeniu ziemniaków odrobiłaby połowę, a resztę we żniwo.

— Kozłowa też chciałaby zagon pod len na odrobek.

— Tyla odrobi, co pies napłacze. Niech se kaj indziej szuka, dosyć się łoni naszczekała przed całą wsią na ojca, że ją ukrzywdził.

— Jak wam do upodoby, wasz gront to i wasza wola! Filipka tu wczoraj podczas waszych rodów zachodziła, o ziemniaki.

— Za pieniądze chciała?

— Odrobiłaby; tam grosza w chałupie nie poświęci, głodem przymierają.

— Z pół korczyka do jedzenia zaraz niech weźmie, a potrza jej więcej to dopiero po sadzeniu, boć niewiada wiele ostanie. Przyjdzie Józka, to odmierzy, choć robotnica z Filipki, no!... zbywa jeno...

— A z czego to nabierze mocy? Nie doje nie dośpi, a co rok rodzi.

— Marnacya, mój Jezu, żniwa jeszcze za górami, a przednówek za progiem.

— Za progiem! W chałupach już siedzia za brzuchy ściska, że ledwie zipią.

— Wypuściliście to maciorę?

— Legła pod ścianą, ale prosiaki śliczne, okrągłuchne, kiej te bułeczki.

Bylica stanął we drzwiach i zająkał:

— Gęsi pod jangrestami ostawiłem. A to przyszedł, niby pan Jacek we święto i powiada: »Wprowadzę się do ciebie, Bylica, na komorne i dobrze zapłacę«... Myślałem: przekpiwa se z chłopą, jako u panów zwyczajnie, i rzekę: »Grosza mi potrzeba i pokoje wolne mam!« Zaśmiał się, dał mi paczkę peterburki, chałupę obejrzał i mówi: »Wy możecie tu wysiedzieć, to i ja poradzę, a chałupę zwolna wyporządzim, że za dwór starczy!«

— Cie, taki szlachcic, dziedziców brat! — dziwiła się stara.

— Zrobił se legowisko pobok mojego i siedzi. Wychodziłem, to na progu papierosa kurzył, i wróble ziarnem przynęcał.

— A cóż to jadł będzie?

— Garnuszki ze sobą sprowadził i arbatę cięgiem warzy a popija...

— Nadarmo tego nie robi, cosik w tem być musi, że taki pan...

— A jest, że do cna ogłupiał! Człowiek każdy zawdy zabiega i turbuje się o lepsze, a taki pan chciałby mieć gorzej? Nic inszego jeno rozum stracił — mówiła Hanka, unosząc głowę, gdyż w opłotkach rozległy się głosy.

Wracali już z kościoła od chrztu. Przodem Józka niesła dziecko w poduszce, chustą przykrytej pod stróżą Dominikowej a za niemi walili wójt z Płoszkową, w kumy proszeni, z tyłu zaś kuszykał Jambroży, nie mogąc nadążyć.

Ale nim próg przestąpili, Dominikowa odebrała dziecko i przeżegnawszy się, jęła z niem, wedle starego obyczaju, obchodzić cały dom, na węglach jeno przystając i przy każdym z osobna mówiąc:

— Na wschodzie — tu wieje...

— Na północy — tu ziębi...

— Na zachodzie — tu ciemno...

— Na południu — tu grzeje...

— A wszędy strzeż się złego, duszo ludzka, i jeno w Bogu miej nadzieję.

— Niby nabożna, a taka guślarka z Dominikowej! — śmiał się wójt.

— Pacierz pomaga, ale i zamawianie nie zaszkodzi, wiadomo! — szepnęła Płoszkowa.

Szumno weszli do izby. Stara rozpowiła dzieciątko, i jak je Pan Bóg stworzył, nagusienkie i kiej rak czerwone, matce do rąk podała.

— Prawego chrześcijanina, któremu Rocho na imię przy chrzcie świętym dano, przynosim wam, matko. Niech się zdrowo chowa na pociechę!

— I niechaj z tuzin Rochów wywiedzie! Tęgi parobek: krzyczał, że nie trza go było szczypać przy chrzcie, a sól wypluwał, jaże śmiech brał...

— Bo idzie z rodu, któren się gorzałki nie wyprysięgał — ozwał się Jambroży.

Chłopak piszczął i majdał kulasami na pierzy nie, Dominikowa przetarla mu wódką oczy, usta i czoło, i dopiero go Hance przystawiła do piersi. Przypiął się kiej smok i ścichnął.

Hanka dziękowała serdecznie kumom, całując się ze wszystkimi, a przepraszając, że chrzciny nie takie, jak być powinny Borynowego dziecka.

— Urodzicie za rok czwartego, poprawim sobie wtedy i odbijem! — żartował wójt, ocierając wąsy, bo już kieliszek szedł ku niemu.

— Chrzciny bez ojca, to jakby grzech bez odpuszczenia — ozwał się niebacznie Jambroży.

Rozplakała się na to Hanka, aż kobiety jęły do niej przepijać na pocieszenie i w ramiona brać, że utuliwszy żalście, zapraszała, bych się do jądra brali, gdyż jajecznicą na kielbasie już pachnęła z michy.

Jagustynka czyniła przyjęcie, bo Jóźka przypiewywała dzieciątku, usypiając je w dużej niecce, że to u starej kołyski biegunów brakowało.

Długo skrzybotały łyżki, a nikto słowa nie wypuścił.

Że zaś dzieci do sieni się naszło, i coraz to głowiny do izby wtykały, wójt rzucił im przygarść karmelków, iż z piskiem a bijatyką wytoczyły się przed dom.

— Nawet Jambroż zapomniał języka w gębie! — zaczęła Jagustynka.

Bo se pocichu miarkuje, że chłopakowi gospodarzę trza szykować i dzieuchę.

— Gront — ojcowy to kłopot, a dzieucha — kumów.

— Nie zbraknie tego nasienia, nie! Proszą się z niem i by kto wziął dopłacają.

— Musi być co wójtowej ckni się do małego; widziałam, jak wietrzyła na płocie przyodziewę po woich nieborakach!

— Pono na jesień wójt obiecują sprawić chrzciny!

— Przy takim urzędzie, a o czym potraza nie zapominają!

— A bo smutno w chałupie bez dziecińskich wrzasków! — rzekł poważnie.

— Prawda, że i utrapień z niemi niemało, ale i wyręka jest i pociecha..

— Specyały! I na złocie straci kto je przepłaci! — mruknęła Jagustynka.

— Pewnie, że bywają i złe, za nic mające ojców, kwarde, ale jaka mać taka nać, to się zbiera co się zasiało! — westchnęła Dominikowa.

Rozsrożyła się Jagustynka, czując, że to jej przymawia.

— Łacno wam prześmiewać z drugich, że macie takich dobrych chłopaków, co to i oprzędą, i wydoją, i garnki pomyją, jak najsprawniejsze dzieuchy.

— Bo w poczcliwości chowane i w posłuszeństwie.

— Prawda, same nawet pysków nastawiają do bicia! Wypisz, wymaluj — podobne do swojego ojca! Juści jaka mać taka nać, prawdęście rzekli; a że pamiętam, coście za młodu z chłopakami wyprawiali, to mi nie dziwota, co Jagusia do was się całkiem udała, bo takusieńka jako i wy: niechby kołek, bele w czapie na bakier, zechciał... nie od-

mówi z pocziwości — syczała jej nad uchem aż tamta pobladła chyląc głowę coraz niżej.

Jagna właśnie się przechodziła, zawołała jej Hanka, wódką częstując: wypila i, nie patrząc na nikogo, na swoją stronę poszła.

Wójt schmurniał, napróżno oczekując, że powróci.

Rozmowy jakoś nie szły, nasłuchiwał i chodził oczyma kryjomo za nią, gdy znowu się ukazała i na podwórze przeszła.

I kobietom odechciało się pogwary; stare jeno się żarły rozwścieklonemi ślepiami, zaś Płoszkowa poredzała z cicha z Hanką. Jeden Jambroży nie przepuszczał flaszczki i, choć nikto nie słuchał, plótł cosik i wycyganiał niestworzone rzeczy.

Wójt się naraz podniósł i niby za dom się wyniósł, a chyłkiem, przez sad na podwórze poszedł. Jagusia siedziała na progu obory, dając pić po palcu srokatemu ciołkowi.

Obejrzał się trwożnie i, pchając jej za gors karmelki, szepnął:

— Naści, Jaguś, przyjdź o zmierzchu do alkierza, to dam ci cosik lepszego.

I nie czekając odpowiedzi, do izby śpiesznie powracał.

— Ho! ho, ciołek wam się zdarzył, dobrze go przedacie — mówił rozpinając kapot.

— Na chowanie pójdzie, bo to z dworskiego ratunku.

— Profit będzie pewny, ile że młynarzowy

byk już do niczego. Ucieszy się Antek z takiego przychówku.

— Mój Jezu! kiej on go obaczy? kiej?

— Niezaślugo, ja to wama powiadam, to wierzcie.

— Dyc wszystkich z dnia na dzień czekają.

— Mówię, że leda dzień się zjawia, cosik się ta przeciek z urzędu wie...

— A najgorsze, co pola nie chcą czekać.

— Jak się w porę nie obsieje, to straszno myśleć o jesieni!

Wóz jakiś zaturkotał. Jóźka, wyjrzawszy za nim, powiedziała:

— Proboszcz z Rochem przejechali!

— Ksiądz po wino do mszy się wybierał — objaśniał Jambroży.

— Że to Rocha wziął na probanta, nie Dominikową! — drwiła stara.

Nie zdążyła się odciąć Dominikowa, bo kowal wszedł i wójt podniósł się do niego z kieliszkiem.

— Spóźniłeś się, Michał, to gońże nas teraz!

— Prędko was, kumie, zgonię, bo tu już po was leca...

Co jeno domówił, wpadł zadyszany sołtys.

— A chodźcie, Pietrze, pisarz ze strażnikami na was czekają.

— Psiachmać, że to ni pacierza spokojności! Hale cóż, urząd pierwszy...

— Odprawcie ich prędko i powracajcie.

— Abo to chwaci czasu, o pożar na Podlesiu i o wasz podkop będą penetrowali...

Wybiegł wraz z sołtysem, a Hanka, wpierając oczy w kowala, rzekła:

— Przyjdą opisywać, to im rozpowiecie wszystko, Michale.

Skubał wąsy i wbił ślepie w dzieciaka, niby się to mu przypatrując.

— Cóż to im powiem?... tyła, co i Józka porzuci!

— Dzieuchy przeciek do urzędników nie wysła, nie przystoi, a powiecie, że ile wiadomo z komory niczego nie wynieśli, czy zaś co inszego nie zginęło, to już... Bogu jednemu wiadomo... i... — strzepnęła pierzynę, pokaszlując, by nie pokazać mu twarzy szydliwej, ale on się jeno ciepłał i wyszedł.

— Świędlerz jucha! — prześmiechnęła się leciuchno.

— Że krótkie były, to się jeszcze urwały! — narzekał Jambroż, po czapkę sięgając.

— Józka, urznij im kiełbasy niech se chrzciny w domu przedłużą.

— Gęś to jestem, bym suchą kiełbasę ćkał?

— Podlejcie se gorzałką, byście nie wyrzekali.

— Mądre ludzie powiadają: rachuj kaszę, kiej ją sypiesz do garnka, paliców przy robocie nie oglądaj, ale kieliszków przy poczęstunku nie licz...

— Kaj grzysi przydzwaniają, tam pijak do mszy służy!

Przegadywali, nie szczędząc gorzałki, ale nie wyszły i dwa pacierze, kiej sołtys ją oblatywał chałupy i wołać, by się wszyscy schodzili do wójta przed pisarza i strażników.

Ozgniewało to Płoszkową, że ujawszy się pod boki, pysk na niego wywarła:

— A mam gdzieśik... za pazuchą... wójtowe przykazy! Nasza to sprawa? prosiłim ich? czas mamy la strażników, co? Nie psy jesteśmy, co na leda gwizd do nogi się zlatują! Potrzeba im czego, niech przyjdą i pytają! Jedna droga! Nie pójdziemy! — zawrzeszczała, wybiegając na drogę do gromadki wylękłych kobiet, zbierających się nad stawem.

— Do roboty, kumy, w pola, kto ma sprawę do gospodyń, powinien wiedzieć kaj nas szukać. Hale, niedoczekanie ich, byśmy na bele przykaz rzucały wszystko i szły wystawać pod drzwiami, kiej psy, trąby jedne! — krzyczała, srodze zapeziona.

Gospodynią była po Borynach pierwszą, to posłuchały jej, rozlatując się kiej spłoszone kokoszki, że zaś już większość w polach robiła od rana, pusto się zrobiło na wsi, dzieci jeno kajś niekaj bawiły się nad stawem i staruchy wygrzewały pod słońce.

Juści, że pisarz się zeżlił i sielnie skłął sołtysa, ale rad nierad musiał poleźć w pola. Długo uganiiali się po zagonach, rozpytując ludzi, czy kto czego nie wie o pożarze na Podlesiu. Rychtyk to

samo powiedali, co i on wiedział, bo ktoby się to wydał z tem przed strażnikami, co la siebie taił?

Czas jeno stracili do południa, nałazili się po wertepach i zabłócili po pasy, gdyż role były jeszcze miejscami przepadziste, a nadarmo.

Tak byli tem rozgniewani, że skoro przyszli do Boryny opisywać ów podkop, starszy kłął na czym świat stoi, a natknąwszy się w ganku na Bylicę, z pięściami do niego skoczył i krzyczał:

— Ty, mordo sobacza, czemu to nie pilnujesz, że ci się złodzieje podkopują, co! — i już od maci jął mu wywodzić.

— A pilnuj sobie, od tegoś postanowiony, ja nie twój parobek, słyszysz! — odciął z miejsca stary, do żywego dotknięty.

Aż pisarz ryknął, by pysk stulił, kiej z osobą urzędową mówi, bo do kozy pójdzie za hardość, ale stary się rozwścieklił na dobre. Prostował się hardo i groźny, miotający oczyma, zachrypiał:

— A tyś co za osoba? Gromadzie służysz, gromada ci płaci, to rób coć masz przez wójta nakazane, a wara ci od gospodarzy! Widzisz go, łachmytek jeden, pisarek jakiś! Odpasł się na naszym chlebie i będzie tu ludźmi pomiatał... i na ciebie się znajdzie większy urząd i kara...

Wójt z sołtysem rzucili się go przyciszać, bo srożył się coraz barzej i już kole siebie za czemś twardem macał drżącemi rękoma.

— A zapisz me do strafu, zapłacę i jeszcze ci na gorzałkę dołożę, jak mi się spodoba! — wołał

Nie zwracali na niego uwagi, opisując wszystko podrobno i rozpytuując domowych o podkop, a stary mruczał cosik do siebie, obchodził dom, zazierał po kątach, psa nawet kopnął, nie mogąc się uspokoić.

Po skończeniu chcieli co przegryźć, ale Hanka kazała powiedzieć, że mleka i chleba zbrakło akuratnie, są jeno ziemniaki od śniadania.

Ponieśli się do karczmy, w żywe kamienie Lipce wyklinając.

— Dobrześ zrobiła, Hanuś, nic ci nie zrobią. Jezu, to nawet nieboszczyk dziedzic, choć miał prawo, a tak me nigdy nie sponiewierał, nigdy...

Długo nie mógł zapomnieć obrazy.

Zaraz po południu któraś wstąpiła, powiedając, że jeszcze w karczmie siedzą i sołtys polecał sprowadzić Kozłową.

— Szukaj wiatru w polu! — zaśmiała się Jagustynka.

— Pewnie po susz do lasu poleciała!

— We Warsiawie siedzi od wczoraj, po dzieci pojechała do szpitala, ma dwoje przywieźć na odchowanie, niby z tych podrzutków...

— By je głodem zamorzyć, jak to było z tamtemi, dwa roki temu.

— Może to i lepiej la chudziaków: nie będą się całe życie tyrały kiej psy...

— I bękart człowiecze nasienie... już ona ciężko przed Bogiem odpowie.

— Przeciek z rozmysłu nie głodzi, sama nie

często naje się do syta, to skąd i la dzieci weźmie...

— Płacą na utrzymanie, nie z dobrości je przytula! — rzekła Hanka surowo.

— Pięćdziesiąt złotych na cały rok od sztuki, niewielka to obrada...

— Niewielka, bo przepija z miejsca, a potem dzieciśka z głodu mrą.

— Dyc nie wszystkie: a nie wychował się to wasz Witek, a i ten drugi, co to jest w Modlicy u gospodarza!

— Abo Witka ociec wzięli takim skrzatem, co jeszcze koszulę w zębach nosił i w chałupie się odgryzł. Tak samo było i z tamtym.

— Bronię to Kozłowej?... powiadam ino, jak się mi widzi. Musi kobieta szukać jakiego zarobku, bo do garnka nie ma co wstawić.

— Juści, Kozła niema, to niema kto ukraść.

— A z Jagatą się jej nie udało: stara miasto umrzeć, pozdrowiała galanto i wyniesła się od niej. Wyżala się teraz po wsi, że Kozłowa co dnia jej wymawiała, iż ze śmiercią zwłóczy, by ją poszkodować.

— Wróci pewnie do Kłębów: gdzież jej szukać schronienia?

— Nie wróci: rozżaliła się na krewniaków. Kłębowa nie rada ją puściła od siebie, boć to i pościel stara ma i grosz pewnie spory, ale nie chciała ostać; przeniesła skrzynie do sołtyski i upatruje se, u kogoby mogła pomrzeć spokojnie.

— Pożyje jeszcze, a w każdej chałupie teraz się przyda, choćby gęsi popaść, albo za krowami wyrzeć. Kąj się to znowu Jagna zadziała?

— Pewnikiem u organistów panience fryzki wyszywa.

— Pora na zabawę, jakby w chałupie brakowało roboty!

— Dyc od samych świąt przesiaduje tam cięgiem — skarżyła Józka.

— Zrobię z nią porządek, że mnie popamięta... Pokażcie mi dziecko.

Wzięła je do siebie i skoro posprzątały po obiedzie, rozeгнаła wszystkich do roboty. Sama jeno w izbie ostała, nasłuchując niekiedy za dziećmi, bawiącemi się przed domem pod okiem Bylicy, a po drugiej stronie Boryna leżał jak zawdy samotnie, patrzył w słońce, co się przez okno kładło na izbę smugą rozedrganą i gmerał w niej palcami, a cosik do siebie gwarzył z cicha, jak to dzieciątko sobie ostawione.

Na wsi też pustką wiało, bo czas się zrobił wybrany i kto jeno mógł się ruchać, wychodził w pola, do roboty.

Od samych świąt pogoda się już ustaliła, że codzień było cieplej i jaśniej.

Dni już szły długachne, rankami omglone, szarawe i cicho nagrzone w południa, a zorzami o zachodzie rozpalone, prawej zwiesny dni.

Poniektóre wlekły się cichuśko, kiej te strumienia w słońcu roziskrzzone, chłodnawe jak one

i jak one przejrzyste i ździebko pluszczące o brzegi, puste i sinawe, a jeno kajs niekaj żółte od mleczów, to stokrótkami rozbielone, albo rozzieleniałe wierzbowemi pędami.

Przychodziły i ciepłe całkiem, nagrzane, wilgotnawe, przesiane słońcem, pachnące świeżyzną i tak przejęte rostem, tak zwiesną nabrzmiałe, tak mocą opite, że z wieczora, kiej ptasie głosy przycichły i wieś legła, to zdawało się czuć w ziemi parcie korzeni i wynoszenie się ździebeł i jakby słyszał cichuśkie szmery otwierających się pąkowi, pęd rostów i głosy stworzeń, wydających się na świat Boży...

Szły zaś i drugie, do tamtych zgola niepodobne.

Bez słońca, przemglone, szaro-modrawe, nizkie, chmurzyskami brzuchatemi przywalone a parne, ciężkie i bijące do głowy kiej gorzałka, iż ludzie czuli się jakby pijani; drzewiny kurczyły się w dygocie, a wszelkie stworzenie, rozpierane jakąś lubością, darło się gdziesik i ponosiło nie wiadają i po co, że ino krzyczeć się chciało, przeciągać, albo tułać, choćby i po tych trawach mokrych, jako te psy ogłupiałe czyniły.

To przychodziły już od samego świtania zadeszczone, jakby zgrzebnem przedziwem obmotane, że świata nie dojrzał, ni dróg, ni chat skulonych pod przemokłemi sadami. Deszcz padał wolno, ciągle, bezustannie, równiśkie drżące nici szare, jakby się odwijaly z jakiegoś wrzeciona

niedojrzanego, wiążąc niebo z ziemią, że ino przygięto się wszystko cierpliwie i mokło, nasłuchując rzęsistego trzepotu i bulgotów strug, co się białemi kłakami staczały z pól czarniawych.

Zwyczajnie to było, jak każdego roku na pierwszą zwiesnę, nikto się też nad niemi nie zastanawiał, nie pora była na deliberowanie, świt bowiem wyganiał naród do roboty, a późny mrok dopiero spędzał, że ledwie czasu starczyło, by pojeść i nieco wytchnąć.

Lipce też przez to całe dni stały pustką, pod strażą tylko staruch, psów i tych sadów coraz gęściej przysłaniających chałupy; czasem się jeno dziad jakiś przewlókł, odprowadzany psiami jazgotami, albo wóz do młyna i znowu drogi leżały puste, a oniemiałe chałupy przezierwały wskroś sadów przepalonymi szybkami na pola szerokie, na pola nieobjęte, co jakby morzem ziem wieś całą okrężały, na pola, co niby matka rodzona tuliła na podołku dziecińcy swoje i przy piersi wezbranej trzymała w żywiącem objęciu.

Juści, co dnie to szły robotne, ciepłe, deszczami przekrapiane, raz nawet śnieg pierzasty jął walić, że przysiwiał pola, jeno co na krótko, bo go wnet słońce do cna zeżarło — to i nie dziwota, że na wsi przycichały swary, kłótnie a sprawy wszelkie, bo robota zaprzęgała w twarde jarzma i do ziemi wszystkie łby przycięła.

Że już co rano, jeno świt rosisty otwarł siwe ślepie, a pierwsze skowronki zaśpiewały, wieś zry-

wała się na równe nogi, rejwach się podnosił, trzaskanie wrótni, płacze dzieci, krzyki gęsi, wypędzanych nad rowy i wnet wyprowadzali konie, chłopaki pługi wiodły, ziemniaki wynosili na wozy i rozchodzili się tak prędko w pola, że w pacierz albo dwa, cicho już było na wsi a pusto. Nawet na Mszę prawie nikt nie wstępował, że często granie organów huczało w pustym kościele, rozlewając się na pola co bliższe, a dopiero na głos sygnaturki klękali po rolach do rannych pacierzy.

Wychodzili wszyscy do roboty, a prawie tego znać nie było na ziemiach; dopiero przyjrząwszy się baczniej, to tam kajś niekaj dopatrzył pługi, konie przygięte w pracy, gdzie wóz na miedzy i kobiety, co jak liszki czerwone gmerały się wśród pól ogromnych, pod niebem jasnym i wysokiem.

A wokół od Rudki, od Woli, od Modlicy, od wszystkich wsi widnych czubami sadów i białemi ścianami w niebieskawem powietrzu, roztrzęsały się gwarliwe, pełne krzykań i śpiewów odgłosy robót. Kaj jeno okiem sięgnął za kopce graniczne, wszędy dojrzał chłopów siejących, pługi w orce, ludzi przy sadzeniu ziemniaków, zaś po piaszczystych rolach już kurz się podnosił za bronami.

Jeno lipeckie ziemie leżały w odrętwiałej ciichości, smutne, ogłuchłe, jako te nieplodne wywieiska, albo drzewiny schnące wśród lasu młodego. Bo i w opuszczeniu sierocem leżały, mój Boże, odłogiem prawie, gdyż te kobiece ręce nie

znaczyły i za dziesięciu chłopów, choć się wieś cała trudziła w pocie od świtu do nocy.

Cóż to mogły same poradzić? Zwijały się jeno kole ziemniaków a lnów, a po reszcie pół kuropatki skrzykiwały się coraz głośniej, to zajacek często kicał, a tak wolno, że mogli zrachować ile razy zabielił podogoniem z ozimin; wrony łąziły stadami po ugorujących zagonach, leniwie wyciągających się w słońcu, napróżno czekając ręki ludzkiej.

Cóż to naród miał z tego, że dni przychodziły wybrane i cudne, że wynosiły się rankami jakby we srebrze skąpane złote monstrancye, że zielone były, pachnące ziołami, nagrzane i śpiewające ptasiemi głosami, że każdy rów złocił się od mleczków, każda miedza mieniła się kiej wstęgą, szyta w stokrocie, a łągi kiej tym puchem zróżowionym kwiatami były potrząśnięte, że każda drzewina tryskała wezbraną zielenią, a wszystek świat wzbierał taką zwiesną, aż ziemia zdawała się kipieć i bulgotać od tego wrzątku zwiesnowego!

A cóż z tego, kiej pola niezaorane, nieobsiane, nieobrobione leżały, niby paroby zdrowe i krzepkie, przeciągające się jeno na słońcu, a całe tygodnie trawiać na niczem, zasie na tłustych, rodnym ziemiach, miasto zbóż, ognichy się pleniły, osty strzelały w górę, lebiody trzęsły się po dołkach, rudziały szczawie, perze kłuły się gęsto po podorówkach jesiennych, a na rżyskach wynosiły

się smukłe dziewanny i łopiany, kiej te kumy pod-
ufałe zasiadały szeroko, że co ino tliło się w przy-
tajeniu i strachem do tela żyło, kielkowało teraz
weselnie, szło chyżym rostem, pchało się z brózd
na zagony i panoszyło się bujnie po rolach.

Aż lęk jakiś przewiewał po tych polach opu-
szczonych.

Że zdawało się, jakby bory, chylące się nizko
nad ugorami, gwarzyły zdumione, że strumienie
lęklawiej wiły się skroś pustek, a tarniny już ob-
walone białymi pąkami, grusze po miedzach, prze-
lotne ptactwo, to jakiś wędrownik z obcych stron
i nawet te krzyże i figury, stróżujące nad dro-
gami, wszystko się rozgląda w zdumieniu i pyta
dni jasnych i tych odłogów pustych:

»A kaj się to podziały gospodarze? kaj to te
śpiewy, te bujne radoście, kaj?...

Jeno ten płacz kobiecy im powiadał, co się
w Lipcach stało.

I tak schodził dzień po dniu bez żadnej prze-
miany na lepsze; naprzeciw, gdyż co dnia prawie
mniej kobiet wychodziło w pole, że to w chału-
pach zaległej robocie ledwie poradził.

Tylko u Borynów szło wszystko jak zwyczaj-
nie, wolniej jeno niżli po inne lata i ździebko go-
rzej, że to Pietrek dopiero się przyuczał do po-
lowych robót, ale zawdy szło jakoś, boć i rąk
pomocnych nie brakło.

Hanka, choć jeszcze z łóżka, rządziła wszyst-
kiem tak zmyślnie i kwardo, że nawet Jaguś mu-

siała z drugimi stawać do roboty i o wszelkiej rzeczy równą pamięć miała: o lewentarzu, o chorym, kaj orać i co gdzie siał, o dzieciach, gdyż Bylica już od chrzcin nie przychodził, zachorzał pono. Juści że całe dni leżała w samotności, tyle jeno ludzi widując, co w obiad i wieczorem, albo Dominikową, zaglądającą do niej raz w dzień; żadna z sąsiadek nie pokazywała się, nawet Magda, a o Rochu to jakby słuch zaginął: jak pojechał wtenczas z proboszczem, tak i nie powrócił. Strasznie mierzilo się jej to leżenie, więc aby rychlej ozdrowieć i sił nabrać, nie żałowała sobie tłustego jadła, ni jajków, ni mięsa, nawet przykazała zarznąć na rosół kokoszkę, nie nieśną po prawdzie, ale zawdy wartałą ze dwa złote.

To też tak prędko zmogła chorobę, że już w Przewody wstała, postanawiając iść na wywód do kościoła; odradzały jej kobiety, ale się uparła i zaraz po sumie poszła z Płoszkową.

Chwiała się jeszcze na nogach i często wspierała na kumie.

— Jaże mi się w głowie kołuje, tak zwiesną pachnie.

— Dzień, dwa i wzwyczaicie się.

— Tydzień dopiero, a zmiany na świecie za cały miesiąc.

— Na bystrym koniu zwiesna jedzie, że nie przegoni.

— Zielono też, mój Jezu, zielono!

Juści, sady wisiały nad ziemią, kiej ta chmura

zieloności, że ino kominy z niej białły i dachy się wynosiły. Po gąszczach ptastwo świergotało zapamiętałe, dołem zaś od pól ciepły wiatер po- ciągał, aż się burzyły chwasty pod płotami, a staw marszczył się i pręgował.

— Tęgie paki wzbierają na wiśniach, ino pa- trzeć kwiatu.

— By mróz nie zwarzył, to owocu będzie ga- lanto.

— Powiadają, że kiedy chleb nie zrodzi, sad dogodzi!

— Ma się na to w Lipcach, idzie po temul... — westchnęła smutnie, spoglądając łzawo na nieob- siane pola.

Prędko się uwinęły z wywodem, bo dzieciak się rozkrzyczał, a i Hanka poczuła się tak utru- dzoną, że zaraz po powrocie do izby, przyległa nieco na pościeli, ale nie odzipnęła jeszcze, kiej Witek z krzykiem wleciał:

— Gospodyni, a to Cygany do wsi idą!

— Masz dyable kaftan, tego jeszcze brako- wało. Zawołaj Pietrka i drzwi pozamykać, bych czego nie porwały.

Przed dom wyszła zatrwożona wielce.

Jakoż wkrótce rozleciała się po wsi cała banda Cyganek, obdartych, rozmamłanych, czarnych kiej sagany, z dziećmi na plecach, a uprzykrzonych, że niech Bóg broni; łążyły, żebrząc, wróżyć chciały i do izb gwałtem się cisnęły. Z dziesięć ich było, a narobiły wrzasku na całą wieś.

— Jóźka, spędź gęsi i kury w podwórze, dzieci przywiedź do chałupy, jeszcze ukradną! — siadła w ganku pilnować, a dojrzawszy jakąś Cyganicę, zmierzającą w opłotki, poszczuła ją psem, Łapa się rozsrożył i nie puścił, że czarownica pogroziła kijem i cosik na nią mamrotała.

— Hale, gdzieś mam twoje przekleństwa, złodziejko!

— Nie urzekłaby, gdybyście ją puścili — szepnęła Jagna z przekąsem.

— Ale-by co ukradła. Takiej nie upilnuje, choćby jej na ręce patrzył, a chcecie wróżenia, to gońcie se za niemi.

Snadź trafiła w przytające chęci, bo Jagna poniesła się na wieś i całe to niedzielne popołudnie łąziła za Cygankami. Nie poredziła wyzbyć się jakiejś głuchej obawy, ni przewyciężyć ciekawości wróżby, że po sto razy zawracała do chałupy i niesła się znowu za niemi, aż dopiero na zmierzchu, kiedy Cyganichy pociągnęły ku lasowi, dojrzawszy, że jedna wstąpiła do karczmy, wsunęła się za nią i z wielkim strachem, żegnając się raz po raz, kazała sobie wróżyć, nie bacząc na ludzi przy szynkwasię stojących.

Wieczorem, po kolacyi, zeszły się do Jóźki na ganek dziewczyny i rajcowały o Cyganach, opowiadając, co której wywróżyły: że Marysi Balcerkównie wesele przepowiedziały na kopaniu, Nastce wielgi majątek i chłopa, Ulisi Sochównie, że ją

zwiedzie kawaler, tej pękatej Weronce Bartkowej chorobę, zasie Teresce żołnierce...

— Pewnikiem bękarta! — zawarczała Jagu-
stynka, siedząca z boku.

Nie zważali na nią, bo właśnie Pietrek się przysiadł i jął im prawić różności, jak to Cygany swojego króla mają, którego cały we srebrnych guzach chodzi, a taki ma posłuch, że kiejby przykazał ła śmiechu tylko powiesić się któremu, a w inig to robią.

— Złodziejski król, mocarz taki a psami go szczują — szepnął Witek.

— Pieskie nasienie, pogany zatracone! — mru-
knęła stara i przysunawszy się rozpowiadała, jak to cygany dzieci kradną po wsiach.

— I żeby czarne były, to je kąpią we wywa-
rze z olszyny, że i rodzona matka potem nie roz-
pozna, zaś cegłą ścierają jaże do kości te miejsca,
kaj przy chrzcie oleje święte kładli na nie i pro-
sto w dyablęta przemieniają.

— A pono takie czary i zamawiania potrafią,
jaże strach mówić! — pisnęła któraś.

— Prawda, niechby cię ochuchała, a jużby ci
wąsy wyrosły na łokieć.

— Prześmiewacie!... Opowiadają, że chłopu ze
Słupskiej parafii, co ich pono wyszczuł psami, to
Cyganicha jeno mignęła jakimś lusterkiem przed
ślepiami, a zaraz całkiem zaniewidział.

— I podobno ludzi w co chcą przemieniają,
nawet we zwierzaki.

— Kto się spije, ten się sam najlepiej we świętę przemienia.

— Hale, a ten gospodarz z Modlicy, co to łoni na odpuszcie beł, nie łąził to na czworakach, nie szczekał?...

— Zły go opętał, przeciek dobrodziej wypędzali z niego dyabła.

— Jezu, że to są na świecie takie sprawy, jaże skóra cierpnie!..

— Bo złe wszędy się czai, jak ten wilk kiele owiec.

Trwoga wionęła przez serca, że skupiły się barzej, a Witek, rozdygotany strachem, cicho szepnął:

— A u nas też cosik straszy...

— Nie plec głupi bele czego! — powstała na niego Jagustynka.

— Śmiałym to, kiej chodzi cosik po stajni, obroków przysypuje, konie rzą... i za bróg chodzi, bo widziałem, jak Łapa tam leciał, warczał, kręcił ogonem i łąsił się, a nikogoj nie było... To pewnikiem Kubowa dusza przychodzi... — dodał ciszzej, oglądając się na wszystkie strony.

— Kubowa dusza! — szepnęła Józka, żegnając się raz po raz.

Zatrzęsły się wszystkie, mróz przeszedł kości, a kiej drzwi jakieś skrzypnęły, zerwały się z krzykiem. To Hanka stanęła w progu.

— Pietrek, a kaj te Cygany stoją?

— Mówili w kościele, że siedzą w lesie za Borynowym krzyżem.

— Trza stróżować w nocy, bych czego nie wyprowadzili.

— W bliskości pono nie kradną.

— Jak się im uda, dwa roki temu też tam stali, a Sosze maciorę wzięli... Nie trza się na to spuszczać! — ostrzegąła Hanka — i kiej się dziewczyny rozeszły, pilnowała chłopaków, by za sobą dobrze pozamykali oborę i stajnię, zaś powracając, zajrzała na ojcową stronę, czy już jest Jagusia.

— Skocz-no, Jóźka, po Jagnę, niech przychodzi do chałupy, nie ostawię dzisiaj drzwi na całą noc wywartych.

Ale Jóźka rychło oznajmiła, że u Dominikowej ciemno i na wsi już prawie wszędzie śpią.

— Nie puszczę latawca, niech se do rana posiedzi na dworze! — wygrażała, zasuwając drzwi.

Musiąło też być już bardzo późno, kiej posłyszawszy targanie drzwiami, zwlekła się otwierać i aż się cofnęła, tak od Jagny buchnęło gorzałką. Niegorzej musiała być napita, gdyż długo macała za klamką i słyhać było z izby potykanie o sprzęty i to, że jak stała buchnęła się na łóżko.

— Cie! że i na odpusście galanciejby się nie uraczyła, no, no!...

Ale już ta noc nie miała przejść spokojnie, gdyż na samem świtanu zatrząśł się na wsi taki

wrzask i lament, że kto jeszcze spał, w koszuli śpiesznie wybiegał na drogę, myśląc, iż się kajali...

To Balcerkowa z córkami darła się w niebogłosy, że jej konia wyprowadzili złodzieje.

W mig cała wieś się zleciała przed chałupę, a one rozmamłane, opowiadały nieprzytomnie pośród płaczów i lamentów, jako Marysia poszła o świcie przysypać obroku, a tu drzwi wywarte, stajnia pusta i konia przy żłobie niema.

— Ratuj Jezu miłościwy! ratujcie ludzie, ratujcie! — ryczała stara, drąc się za łeb i tłukąc się o płoty, kiej ten ptak spętany.

Przyleciał sołtys, po wójta też posłali, ale go w domu nie było, zjawił się dopiero w parę pacierzy, jeno że się ledwie na nogach utrzymał: napity był, rozespany i zgoła nieprzytomny, bo jął cosik mamrotać i ludzi rozganiał, aż go sołtys musiał usunąć z oczu.

Ale i tak mało kto zważał na niego w tem ciężkiem strapieniu, co jak kamienie przywaliło wszystkie dusze; słuchali wciąż opowiadań, drepząc ze stajni na drogę i z nawrotem, nie wiedząc, co począć, bezradni i do cna wystraszeni, aż któraś rzuciła w głos:

— To cygańska robota!

— Prawda, w lesie stoją! penetrowały wczoraj!

— Nie kto drugi ukradł, nie! — zerwały się burzliwe głosy.

— Lecieć do nich i odebrać, a sprać złodzie-
jów! — wrzasnęła Gulbasowa.

— Na śmierć zakatrupić za taką krzywdę!

Wrzask buchnął ogromny ku wschodzącemu
właśnie słońcu, kołki zaczęły rwać z płotów, trzą-
chać pięściami, kręcić się w kółko, to gdziesik
już naprzód wybiegać z krzykiem, kiej nowa
sprawa się wydała.

Sołtyska z płaczem przybiegła, że i im wóz
ukradli z podwórza.

Ośłupieli, jak kieby piorun trzasnął gdziesik
z bliskości, że długi czas jeno wzdychali, rozwo-
dząc ręce i spoglądając na sie ze zgrozą.

— Konia z wozem ukradły, no, tego jeszcze
we wsi nie bywało.

— Jakaś kara spada na Lipce.

— I co tydzień gorzej!

— Przódzi bez całe roki tylachna się nie zda-
rzało, co teraz przez miesiąc.

— A na czym się to jeszcze skończy, na
czem! — poszeptywały trwożnie.

Naraz rzucili się za sołtysem do Balcerkowego
sadu, kaj widne były końskie ślady znaczne po
rosie i na świeżej ziemi, aż do sołtysowej sto-
doły; tam konia wprzęgli do wozu złodzieje i ko-
łując po rolach wyjechali koło młynarza na drogę,
biegnącą do Woli.

Pół wsi poszło, rozpatrując w cichości ślady,
które dopiero pod stogami spalonemi, przy skre-

cie na Podlasie urwały się znagła, że nie sposób ich było odszukać.

Ale ta kradzież tak sturbowala wszystkich, że choć dzień był bardzo cudny, mało kto wziął się do roboty: łazili powarzeni, łamali ręce, użalając się nad Balcerkową, przejmując się coraz większym strachem o swój dobytek.

Zaś Balcerkowa siedziała przed stajnią, jakby przy tym katafalku, zapuchła z płaczu i ledwie już zipiąc, wybuchała niekiedy wśród jęków:

— O mój kasztan jedyny, moje konisko kochane, mój parobku najlepszy! A to mu dopiero na dziesiąty rok szło, samam go od źrebięcia wychowała, jak to dzieciątko rodzone, dyć w tym samym roku się uląkł, co i mój Stacho! A cóż my teraz sieroty poczniemy bez ciebie, co?

Zawodziła tak żałośliwie, iż co miętsi płakali z nią razem, rozżalając się nad stratą, gdyż bez konia to jak przez ręk, zwłaszcza teraz na zwiesnę i kiej chłopów nie było.

Juści, co sąsiadki obsiadły ją, z całego serca pocieszając, a pospólnie wspominały kasztana, chwając go niemało.

— Piękny był koń, krzepki jeszcze, kiej dziecko łagodny.

— Skopał mi chłopaka, kumo, ale po prawdzie wałach był przedni.

— Prawda, grudę miał w kulasach i zdziebko ślepiął, ale zawdy czterdzieści papierków daliby za niego.

— A figłował kiej pies, nie ściągał to pierzyn z płotów? co?

— Szukać takiego drugiego, szukać! — wy-
rzeżały bolejąco, niby nad jakimś umarlakiem,
a Balcerkowa co spojrzała na złób, to ją nowy
ryk wstrząsał i nowe żałości chwytaly za gar-
dziel i ta pusta stajnia kiej świeży grób, budziła
pamięć straty nieodżałowanej i krzywdy. Uspo-
koila się dopiero, kiej powiedzieli, jako sołtys
wziął Pietrka od Hanki, księżego Walka, Młynar-
czyka i pojechali szukać u Cyganów.

— Hale, szukaj wiatru w polu: kto ukradnie,
schowa ładnie.

Dobrze już było pod wieczór, kiej powrócili,
rozповідаjąc, że ani śladu nikaj, jakby kamień
rzucił we wodę.

Wójt też się pokazał we wsi i choć już mrok
zapadał, zabrał sołtysa na brykę i pojechał donieść
strażnikom i kancelaryi, a Balcerkowa z Marysią
poszły na sąsiednie wsie szukać na swoją rękę.

Ale wróciły z niczem, dowiedziały się jeno, że
po inszych wsiach również mnożyły się kradzieże.
Bez to na ludzi padło jeszcze cięższe udręczenie,
bo strach o dobytek, jaże wójt ustanowił stróże
i w braku parobków po dwie kobiety wespół ze
starszemi chłopcami miały co noc obchodzić wieś
i pilnować, a oprócz tego i w każdej chałupie
z osobna czuwali, wszystkie zaś dziewczki poszły
spać do stajni i obór.

Jednako i to nie pomogło, a trwoga jeszcze

barzej urosła, gdyż, mimo tych stróżowań, zaraz pierwszej nocy Filipce z za wody złodzieje wyprowadzili maciorę na oprosieniu.

Prosto nie opowiedzieć, co się z tą chudziaczką wyrabiało: tak rozpaczała, że i po dziecku nie porodziłaby ciężej, boć to był jej dobytek jedyny, za którego rachowała się przeżywić do żniw; ryczała też, tłukąc się o ściany, jaże strach było patrzeć. Nawet do dobrodzieja poleciała z lamentami, że litując się nad nią, dał jej całego rubla i obiecał prosiaka z tych, co się dopiero miały ulądz na żniwa.

A naród już nie wiedział co począć i jak zapobiedz kradzieżom. Dzień nastał iście pogrzebowy, że zaś i pogoda się przemieniła, deszczyk siepał od rana i szare ciężkie niebo przygniatało świat wszystkim, to smutek ogarniał duszę, ludzie chodzili w utrapieniu, wdychający i żalni, ze strachem myśląc o nocy najbliższej.

Jakby na szczęście, przed samym wieczorem zjawił się Rocho i biegając po chałupach, roznosił nowinę tak dziwną, że zgoła nie do uwierzenia. Oto rozповідаł radośnie, jako we czwartek, pojutrze, zjadą się całą hurmą sąsiedzi pomagac Lipcom w polnych robotach.

Nie mogli zrazu uwierzyć, ale kiej i Dobrodziej, wyszedłszy na wieś, potwierdzał najuroczyściej — radość buchnęła po ludziach, że już o zmierzchu, kiej deszcz przestał, a ino kałuże poczerwieniały od zórz, przeciekających z pod

oparów, zaroili się drogi, rozbrzmiewając weselnemi krzykami. Zagotowało się po chałupach od gwarów, biegali po sąsiadach rozważać i dziwować się tej nowinie, zapominając całkiem o kradzieżach i tak się ciesząc serdecznie tą pomocą niespodzianą, że nawet mało kto pilnował tej nocy.

Nazajutrz, jeno się świt przetaił chyła tyła, cała wieś stanęła na nogi; wyprzątali chałupy, brali się do pieczenia chlebów, rychtowali wozy, krajali ziemniaki do sadzenia, szli w pola rozrzucać nawóz, leżący na kupach — a w której chałupie turbowano się wedle jadła i napitku la tych gości niespodzianych, rozumiano bowiem jako trza wystąpić godnie, po gospodarsku, iż bez to nie jedna kura i gąska, ostawiona na przedanie, dały gardło i niemało znowu nabrali na bór w karczmie i we młynie, że jak przed wielkiem świętem uczyniło się w Lipcach.

A Rocho, może najbardziej radosny i wzruszony, cały dzień uwijał się po wsi, popędzając jeszcze tu i owdzie do przygotowań, a tak był jaśniejący i na podziw rozmowny, że kiej zajrzał do Borynów, Hanka, która znowu leżała, czując się chorą, rzekła cicho:

— Oczy się wam świecą kiej w chorobie...

— Zdrowym, jeno radosny, jak nigdy w życiu. Miarkujcie: tyła chłopów się zwali na całe dwa dni do Lipiec, że najpilniejsze roboty obrobiją. Jakże się nie radować?

— Dziwno mi jeno, że tak za darmo, przez

zapłaty, za jedno Bóg zapłać chcą robić... tego jeszcze nie bywało...

— A za Bóg zapłać przyjadą pomagać, jak prawe Polaki a chrześcijany powinny! Juści, co tak nie bywało, ale i bez to złe panoszy się we świecie. Przemieni się jeszcze na lepsze, zobaczycie! Naród przyjdzie do rozumu, pomiarkuje, że niema się na kogo inszego oglądać, że nikto mu nie pomoże, jeno on sam sobie, wspierając jeden drugiego w potrzebie! A rozrośnie się wtenczas po wszystkie ziemie, kiej ten bór niezmierzony i nieprzyjacioły jego zczeszna niby śniegi! Obaczycie, przyjdzie taka pora! — wołał, promieniejąc, a ręce wyciągał gdziesik, jakby chciał kochaniem objąć wszystek naród i wiązać go miłością w jeden pęk nieprzełamany...

Ale uciekł zaraz, gdyż zaczęła wypytywać: kto sprawił taki cud, że przyjadą z pomocą? Chodził po wsi, gdyż do późnej nocy świeciło się po chałupach, że to dzieuchy prawie świąteczne obleczenia szykowały, spodziewając się, iż coś parobków jutro przyjedzie.

A nazajutrz, ledwie świt pobielił dachy, wieś już była gotowa, z kominów się kurzyło, dziewczyny kiej oparzone latały między chałupami, chłopaki zaś skrabali się po drabinach na kalenice, patrząc na drogi. Świąteczna cisza padła na wieś. Dzień przyszedł chmurny, bez słońca, ale ciepły i dziwnie jakoś tęskny. Ptactwo zajadłe świergo-

tało po sadach, zaś głosy ludzkie cichły, ciężko się ważyć w tem nagrzanem, wilgotnem powietrzu.

Długo czekali, bo dopiero kiej przedzwonili na mszę, zadudniały głucho drogi, a z pod sinych, rzadkich mgieł jęły się wytaczać szeregi wozów.

— Jadą z Woli!

— Jadą z Rzepek!

— Jadą z Dębicy!

— Jadą z Przyłęka!

Wrzeszczeli ze wszystkich stron, na wypródki biegnąc przed kościół, kaj już pierwsze wozy zajechały, a wkrótce wszystek plac ludźmi się zapchał i zaprzęgami. Chłopi świątecznie przyodziani, zeskakiwali z wasągów, rzucając pozdrowienia kobietom, nadchodzącym zewsząd, dzieci zaś jak zawdy wrzask podniosły, otaczając przybyłych.

I szli zaraz na mszę, bo już w kościele zahuczały organy.

A skoro ksiądz skończył, prawie cała wieś wysypała się za wrótnie cmentarza pod dzwonnice, gospodynie wystąpiły na przedzie, dzieuchy kręciły się na bokach, wiercąc ślepiami parobków, a komornice zbiły się osobno w kupę kiej kuropatki, nie śmiejąc cisnąć się na oczy Dobrodzieja, który wnet się ukazał, pozdrowił wszystkich i razem z Rochem, jął rozporządzać, który do jakiej chałupy ma jechać robić, bacząc jeno, by bogatszych do bogatszych kwaterować.

Tak ono w mig wszystko rozporządził, że nie

przeszło i pół godziny, a już rozdrapali chłopów, przed kościołem ostały jeno splekane komornice, nadarmo czekające, że i im któryś przypadnie, po wsi zaś rwetes się czynił: wystawiali ławy przed chałupy, duchem podając śniadania i częstując gorzałką na prędsze skumanie. Dziewki rade usługiwały, ledwie tykając jadła, gdyż większość była parobków i tak wystrojonych, jakby na zmwiny a nie do roboty zjechali.

Nie było czasu na rozgadki, tyle jeno mówili, z których są wsi i jak się wołają, nawet jedli mało wiele, wymawiając się wielce politycznie, jako jeszcze nie zarobili na sutsze jadło.

Wrychle też, pod przewodem kobiet, zaczęli wyjeżdżać w pola.

Jakby to uroczyste świętko uczyniło się na świecie.

Puste i zdrętwiałe pola ożyły, potrzęsły się głosy, ze wszystkich podwórz wytaczały się wozy, wszystkimi drózkami ciągnęły pługi, wszystkimi miedzami ludzie ruszali, a wszędy, skroś sadów i przez pola rwały się pokrzyki, leciały radosne pozdrowienia, konie rżały, turkotały rozeschłe koła, psy ujadały, zapamiętałe ganiając za żrebackami, a bujna, mocna radość przepętniała serca i po ziemiach się niesła — i na poletkach pod ziemniaki, na jęczmiennych rolach, na rżyskach, na zachwaszczonych ugorach stawali i wesolym pogwarem, szumnie i rozgłośnie, kiej do tańca.

Naraz przycichło wszystko, baty świsnęły, za-

szczękały orczyki, sprężyły się konie i rdzawe jeszcze pługi jęły się zwolna wpierać w ziemię i wywalać pierwsze skiby czarne i lśniące, a naród się prostował, nabierał dechu, zęgnął, potaczał oczyma po rolach, przyginał i pracy a trudu się imał.

Zgoła nabożna i święta cichość ogarnęła pola, jakby się rozpoczęło nabożeństwo w tym niezmiernym kościele. Naród w pokorze przywarł do zagonów, ścichnął i ze wzdychem serdecznym rzucał święte, rodne ziarna, posiewał trud na pełne jutro, matce ziemi oddawał się wszystkim i z dufnością.

Hej! ożyły znowu lipeckie pola, doczekały się gospodarzy tęskniące, a toć jak okiem sięgnął od borów chmurnych aż po wyżnie polnych granic, po wszystkich ziemiach w tem szaro-zielonawem, mgławem powietrzu, niby pod wodą, jaże roilo się od czerwonych wełniaków, pasiastych portek, białych kapot, koni przygiętych w pługach i wozów po miedzach.

Niby pszczelny rój obsiadł ziemię pachnącą i roilo się pracowicie w cichości bladego zwiesnowego dnia — że jeno skowronki rozgłośniej śpiewały, ważąc się gdziesik niedojrzane, wiaterek też przewiał niekiedy, zatargał drzewiny, rozwiął przyodziewy kobietom, przyglądził żyta i w bory uciekał z chychotem.

Długie godziny pracowali bez wytchnienia, tyle jeno odpoczywając, co tam ktoś grzbiet wy-

prostował, odzipnął i znowu się przykładał do zagona. Że nawet na południe z ról nie zjeżdżali, przysiedli jeno na miedzach pojeść z dwojaków i kościom dać folgę, ale skoro tylko konie przejadły, za pługi się imali, nie leniąc ni ociągając. Dopiero o samym zmierzchu zaczęli ściągać z pól.

Wnetki rozbłysły chaty i zawrzały gwarem a krętaniną, cała wieś stanęła w łunach ognia, co się z okien i drzwi wywartych dały na drogę w każdej chałupie zwijali się kiele obrządków i wieczerzy. Rwetes się podniósł, przekrzyki, rżenia koni, skrzypy wierzei, cielące beki, gęgoty gęsi, na noc spędzonych do zagród, dziecińskie wrzaski, że cała wieś huczała i trzęsa się tym dziwnie radosnym bełkotem.

Przycichło dopiero, kiej gospodynie do mich zapraszały, tak sielnie honorując chłopów, że sadzały ich na pierwszych miejscach, podtykając co najlepsze, nie żałowały bowiem ni mięsa, ni gorzałki...

We wszystkich chałupach wieczerzali, wszędy przez wywarte okna i drzwi widne były głowy wkrąg zebrane i gęby ruchające, skrzybot łyżek się rozchodził, a smaki stoniny przysmażonej wiały po drogach aż w nozdrzach wierciło.

Tylko jeden Rocho nikaj nie przysiadł na dłużej chodził od domu do domu, siał dobrem słowem, poredzał i szedł dalej, do drugich, jako ten gospodarz zapobiegliwy i o wszystkim jednako

baczący, a tak samo jak cała wieś pełen wesela i może barzej jeszcze przejęty radością.

Nawet u Hanki czuć było to dzisiejsze świątko, bo choć pomocy nie potrzebowała, to by drugim ulżyć, zaprosiła do siebie na kwaterę dwóch Rzepczaków, które robiły u Weroniki i Gołębowej.

Tych se wybrała, że to Rzepczaki za szlachtę się miały.

Juści co w Lipcach przekpiwali się zawdy z takiej szlachty i za psi pazur ich nie mieli, gorzej niżli na miejskich łachmytków i prefesyan-tów powstając; ale skoro weszli do chałupy, Hanka zaraz spostrzegła, że to inszy gatunek, znaczniejszy.

Chłopy były drobne i chuderławne, z miejska w czarne kapoty odziane, ale sielnie miniaste; wą-siska im sterczały kiej wiechy konopne i oczyma toczyli górnje, jednako rozmowni byli, a obejście mieli delikatne i mowę zgoła pańską. Obyczajny był naród, bo tak wszycko grzecznie chwalili, a każdej poredzili tem słowem zabasować, że ko-biety jaże urastały z kóntentności...

Sutszą też wieczerzę kazała Hanka narządzić i podać im na stole, pokrytym czystą płachtą.

Sielnie ich obserwowwała, przykazując wszystkim uważanie, że prawie na palcach kiele nich cho-dziły, z oczu odgadując potrzeby, Jagna zaś, jakby całkiem głowę straciła, wystroiła się kieby na od-pust i siedziała zapatrzona w młodszego niby w obraz.

— Ma on swoje dwórki, na bosc ani spoj-
rzy — szepnęła Jagustynka, jaże Jaguś w ognjach
stańta i na swoją stronę uciekła.

Rochu wszedł był właśnie, za stołkiem się roz-
glądając.

— Temu się najbarzej zdumieją nasze chłopcy,
co ludzie z Rzepek zjechali Lipcom pomagać! —
rzekł cicho.

— Nie o swoją sprawę pobilił się w lesie,
to nikt z nas zawziętości nie żywi — odpowie-
dział starszy.

— Bo zawdy bywa, że kiej się dwóch za łby
bierze, trzeci korzysta!

— Prawda, Rochu, ale niech-no dwóch się
zgodnie zmówi w przyjacielstwo, to ten trzeci
może niezgorzej oberwać po łbie — co?

— Mądrze mówicie, panie Rzepecki, mądrze...

— A co dzisiaj Lipcom dolega, jutro może
przyjść na Rzepki.

— I na każdą wieś, panie Rzepecki, jeśli mia-
sto za sobą obstawać i pospólnie się bronić, kły-
żnią się, dzielą i przez złościę wydają wrogowi.
Mądre i przyjacielskie sąsiady to jak te płoty
a ściany bronne: świnia się bez nie nie przeciśnie
i zagona nie spyska...

— Wie się już o tem, Rochu, między nami,
jeno chłopcy jeszcze tego nie miarkują i stąd bieda
idzie...

— I na to już pora przychodzi, panie Rze-
pecki: mądrzeją...

Wytoczyli się wnet po wieczerzy na ganek, kaj już Pietrek przygrywał na skrzypicy dziewczynom, co się były zleciały posłuchać.

Wieczór szedł cichy i ciepły, mgły białemi kożuchami zsiadały się na łęgach, czajki kwiliły z mokradeł i młyn po swojemu turkotał, a czasem drzewa zaszumiały. Niebo było wysokie, ale zawalone buremi chmurzyskami, że jeno na obrzeżach zwałów przecierały się miesięczne brzaski, a miejscami, z wyrw głębokich, kieby w studniach, gwiazdy bystro świeciły.

Wieś huczała kiej ul przed wyrojem. Do późna jarzyły się wszystkie okna, do późna też w opłotkach i po drogach wrzały przyciszone szepty i śmiechy buchały wesołe; dziewczki szczerzyły zęby do kawalerów i rade się z niemi wodziły nad stawem, starsze zaś, zasiadłszy z gospodarzami na progach, ugwarzały się godnie, zażywając chłodu i odpocznienia.

A nazajutrz, ledwie się niebo zarumieniło zorzami, jeszcze w świtowych, przyziemnych sinościach, zaczęli się zrywać ze śpiku i sposobić do pracy.

Słońce wzeszło pięknie, że świat, kieby tem srebrem, szronami potrząśnięty, w ogniach stanął cały, w skrzeniach mokrawych i w chłodnym a rzeźwym poranku. Ptactwo uderzyło w krzyk ogromny, zaszumiały drzewa, zabełtały wody, podniosły się ludzkie głosy i wiat, otrząsając krze, roznosił po wsi terkoty, wołania, ryki, dzieu-

szyne śpiewki co kajś zatrzepotały i cały ten rwetes i krętanię wychodzących na robotę.

Na łągach mgły jeszcze leżały białe kiej śniegi, jeno na wyższych rolach porzedły i słonecznemi biczami pocięte i spędzone, dymiły już kiej z trybularzów i ku czystemu niebu dały się strzępiastem przedziwem; w szronach leżały jeszcze pola, kuląc się w dośpiku i nabrzmiewając niby paki, a naród zwolna wpierał się wszystkimi stronami w orosiałe, senne zagony, wtapiał się w przesłoneczniane tumany i przywierał do poletek w cichości — bo od ziem, od drzew, z sinych dalekości, od wód błyskających krętowinami, od mgieł i od nieba, wynoszącego rozgorzały krąg słońca — wszystkim światem, taka wiosna waliła i bił taki czad mocy i upojenia, że jaże w piersiach zapierało, jaże dusza się trzęsła w takiej przenajświętszej radości, co to jeno łzami skapuje cichemi, wzdychem się wypowie albo kłękaniem przed tym zwiesnowym cudem i w najlichszej trawce widomym.

To i mnogi ów naród obzierał się długo dokoła, żegnał pobożnie, pacierze szeptał i w cichości za robotę się brał, że kiej przedzwaniiali na mszę, już wszyscy byli na swoich miejscach.

Mgły rychło się rozwiały i pola stanęły na słonecznej jaśni, że jak okiem sięgał po lipeckich ziemiach, pociętych pasami zielonych ozimin, wszędy czerwieniały wełniaki, orały pługi, wlekły

się brony, wodzone przez dziewczki, gmerały się rzędy kobiet, sadzących ziemniaki, a gęsto, po czarnych i długich zagonach chodziły chłopcy przepasane płachtami, pochyleni żdziebko i nabożnym, sypkim rzutem ręki rozsiewali ziarna w spulchnione, czekające role...

Tak zaś wszyscy pracowali gorliwie, głów nawet nie podnosząc, iż ani spostrzegli Dobrodzieja, którego zaraz po mszy jawił się przy swoim parobku, orzącym nade drogą, a potem ku zdumieniu chodził po poletkach, pozdrawiał wesoło, częstował tabaką, komu i papierosa udzielił, tam rzucił jakieś słowo łaskawe, ówdzie dziecińskie głowy przyglądał i z dzieuchami zażartował, indziej zaś to wróble stado, na zasiany jęczmień spadłe, pecyną zgonił, a często pierwszą garść siewu krzyżem błogosławił, albo i sam rozrzucił, a wszędy do pośpiechu przynaglał, jakby i ekonom nie poredził lepiej.

I zaraz po obiedzie razem ze wszystkimi do roboty się stawił, objaśniając kobietom, że choć to dzisiaj wypadało świętego Marka, ale procesya odbędzie się dopiero w oktawę, trzeciego maja.

— Nie pora dzisiaj, szkoda czasu, bo chłopcy drugi raz nie przyjadą pomagać!

Tłómaczył, i sam też z pola nie zeszedł aż do samego końca; sutannę podkasał, kijem się wspierał, że to tęgie brzucho musiał dźwigać,

i chodził niestrudzenie, niekiedy jeno przysiadając po miedzach, by pot obetrzeć z łysiny a odziąć.

Radzi mu byli serdecznie, iż pod jego okiem robota jakby szła prędzej i lekciej, chłopcy zaś za honor sobie miały, co im sam Dobrodziej ekonomiczuje.

Słońce już czerwone i pełne nad bory się zwieszało, ziemie gasły, a dale jęły modrzeć, kiej pokończywszy co najpilniejsze roboty, zaczęli ściągać do wsi; śpieszyli się, bych jeszcze za widoku do dom zdążyć.

Wielu i za wieczrę dziękowało, przegryzając jeno co niebądź naprędce, a insi z pośpiechem brali miski wczas narządzone; konie już założone do wozów, rżały przed domami.

Ksiądz się znowu pokazał na wsi wraz z Rochem, obchodził wszystkich i każdemu chłopu z osobna raz jeszcze dziękował za pocziwą pomoc Lipczakom.

— Bo co dasz potrzebującemu, jakbyś samemu Jezusowi dawał! No, mówię wam, że choć nie skorzy jesteście dawać na Mszę, choć o potrzebach kościoła nie pamiętacie, choć już od roku wołam, że dach mi zacieka na plebanii, codzień modlić się za was będę, za waszą pocziwość Lipcom okazaną... — wołał ze łzami, całując chylące mu się po drodze głowy.

Właśnie byli kiele kowala, skręcali na drugą

stronę wsi, kiej im zastąpiły drogę zapłakane komornice, z Kozłową na przedzie.

— A to dopraszam się Dobrodzieja, szlim pytać: czy to nam chłopcy pomagać nie będą?

Zaczęła hardo, podniesionym głosem.

— Bo czekalim, że i na nas przyjdzie kolej, a oni już odjeżdżają...

— I my sieroty ostaniem przez żadnego wspomnienia... — wraz mówiły.

Książdz zafrasował się, srodze poczerwieniawszy.

— Cóż wam poradzę?... nie wystarczyło dla wszystkich... i tak całe dwa dni pocziwie pomagali... no, mówię... — bełkotał, latając po nich oczyma.

— Juści! pomagali, ale gospodarzom, bogaczom jeno... — zaszłochała Filipka.

— Nama jako zapowietrzonym nikto się nie pokwapił wspomódz...

— Nikogoj głowa nie zaboli o nas, sieroty...

— Żeby choć kilka pługów do ziemniaków, to i tego nie! — szeptały łzawo.

— Moiście... odjeżdżają już... no... zaradzi się jakoś... prawda, że i wam ciężko... i wasi mężowie z drugimi... no, mówię: że się zaradzi...

— A o czym to będziemy czekać tej pomocy?... a jak się jeszcze i tego ziemniaka nie wsadzi, to już ino postroneczka szukać! — zawiedła Gulbasowa.

— No, mówię, że się zaradzi... Dam wam swo-

ich koni, choćby na cały dzień, jeno mi ich nie zgońcie... młynarza też uproszę, wójta, Boryny może dadzą...

— Może! Czekał tatka latka, jaż kobyłę wilcy zjedzą! Chodźta kobiety, nie skamlajta po próżnicy!... żebyśta nie potrzebowały, toby wama Dobrodziej pomogli... La gospodarzy jest wszystko, a ty, biedota, kamienie gryż i łzami popijaj! Owczarz jeno stoi o barany, bo je strzyże, a z czegoż to nas oskubie, cheba z tych wszy! — wywierała pysk Kozłowa, jaże ksiądz zatkał uszy i poszedł.

Zbiły się w kupkę i rzewnemi łzami płakały, w głos wyrzekając, a Rocho utulał je, jak umiał, obiecując pocziwie pomoc jaką wyjednać. Odwiódł gdziesik pod płot, bo już zaczęli się rozjeżdżać na wszystkie strony, drogi zaczerniały od koni a ludzi, zaturkotały wozy i ze wszystkich progów leciały gorące słowa dziękczynień.

— Niech wama Bóg zapłaci!

— Bywajcie zdrowi!

— Odpłacim się jeszcze w sposobną porę!

— A zawdy w niedzielę zajeżdżajcie do nas, kiej do krewniaków!

— Ojców pozdrówcie! A kobiety nam swoje przywieźcie!

— W potrzebie się któren znajdzie, z całej duszy pomogę!

— Ostałta z Bogiem i niech wama plonuje,
ludzie kochane! — krzykali, czapami trzając
do się i rękoma wymachując.

Dziewczyny i co ino było dzieci szły przy
wozach, odprowadzając ich za wieś. Największą
kupą tłoczyli się na topolowej, gdyż tamtędy
aż z trzech wsi jechali. Wozy toczyły się wolno,
rozmawiali wesoło, buchając częstym śmiechem
i baraszkując.

Mrok się już sypał, zorze gasły, jeno wody
kajś niekaj gorzały czerwono, mgły się zwijały
na łągach i wieczorna, zwiesnowa cichość przędła
się po ziemiach. Żaby jęły gdziesik daleko a zgo-
dnie rechotać...

Doprowadzili się do rozstajów i tam żegnali
się wśród śmiechów i krzykań, ale nim jeszcze
konie ruszyły z kopyta, kiej któraś z dziewczyn
zaśpiewała za niemi:

•Dasz Jasiu, na zapowiedzie!
Słuchaj ino, tatuś jedzie,
Dudni na moście —
da dana!
Dudni na moście!•

A chłopaki im na to, odwracając się z wo-
zów:

«Teraz Maryś, takie ziąby —
Zskrzytwałyby dziewosłąby;

Dam w wielkim poście...

da dana!

Dam w wielkim poście!...»

Dzwoniły młode głosy po rosie i we wszystkich
świat się niesły radosne.

VII.

Chłopy wracają!

Piorunem ta wieść runęła i kiej płomień roz-
niesła się po Lipcach!

Prawda-li to? I kiedy? I jak?...

Nikto jeszcze nie wiedział.

To jeno pewne było, że stójka z gminy, któ-
ren jeszcze przed wschodem leciał do wójta z ja-
kimś papierem, rzekł o tem Kłębowej, wypęda-
jącej właśnie gęsi na staw, ta się w ten mig rzu-
ciła z nowiną do sąsiadów, zaś Balcerkówny roz-
krzyczały od siebie najbliższym chałupom, że nie
wyszło i »Zdrowaś«, a już całe Lipce zerwały się
na nogi, trzęsąc radosną wrzawą, aż się zakotło-
wało w izbach.

A rano było jeszcze, tyle co się świt przetaił
i majowy, wczesny dzień wstawał, jeno że jakiś
poczerniały i mokry; deszcz mżył kiej przez gę-
ste sito i pluskał cichusko po rozkwitających sa-
dach.

— Chłopy wracają! Chłopy wracają! — rwał

się krzyk nad wszystką wsią, przez sady leciał hukliwie, z każdej chałupy bił kiej dzwon rado-sny, z każdego serca buchał płomieniem i z każdej gardzieli się wydzierał.

Dzień dopiero co wstał, a wieś już wrzała kiejby na odpuszcie; dzieci wylaływały z krzykiem na drogi, trzaskały drzwi, kobiety odziewały się na progach, już wypatrując tęskliwie wskroś drzewin rozkwitłych i szarugi przysłaniającej dalekości.

— Wszystkie wracają! Gospodarze, parobcy, chłopaki, wszystkie! Już idą! Już wyszli z lasa, już są na topolowej! — wołali na przemiany, i ze wszystkich progów dały się krzyki, a co gorętsze wybiegały kiej oszalałe; gdzie już płacz się rozlegał i tętenty biegnących naprzeciw...

Jeno trepy klapały i błoto się otwierało, tak wyrrywali za kościół na topolową — ale na długiej, zadeszczonej drodze jeno mętne kałuże stały i siwiły się koleiny, głęboko wyrżnięte.

Ni żywej duszy nie wypatrzył pod zczerniałemi od pluchy topolami.

Choć srodze zawiedzeni, bez namysłu i w dyrdy rzucili się na drugi koniec wsi, za młyn, na drogę od Woli, bo i tamtędy mogli powracać.

Hale cóż, kiej i tamój było pusto! Deszcz zacinał, przysłaniając szarą kurzawą szeroki, wyboisty gościniec; gliniaste wody rowami waliły, w brózdach burzyła się woda, i drogą też szoro-

wały strugi spienione, a rozkwitłe ciernie, brzeżące zielonawe pole, skulały zziębłe kwiaty.

— Wrony kołują górą, to plucha przejdzie! — rzekła któraś, próżno wypatrując.

Posunęli się jeszcze żdziebko, gdyż od spalonego folwarku ktosik zamajaczył na drodze i ku nim się zbliżał.

Dziad to był ślepy i wszystkim znany; pies, którego go wiódł na sznurku, zaszczekał zajadle i jął się ku nim rwać, ślepiec zaś nasłuchiwał pilnie, kij gotując ku obronie, ale dosłyszawszy rozmowy, przyciszył pieska, i pochwaliwszy Boga, rzekł wesoło:

— Miarkuję, co to Lipeckie ludzie... hę? I coś sporo narodu...

Dziewczyny go obstały i nużę rozpowiadać jedna przez drugą.

— Sroki me opadły i wszystkie naraz skrzeczą! — mruknął, nasłuchując uważnie na wsze strony, gdyż cisnęły się zblizka.

Kupą już wracali, dziad w pośrodku włókł się, huśtający na kulach i nogach pokręconych, wypierał naprzód ogromną, ślepą twarz.

Poliki miał czerwone i spaśne, oczy bielmem zasnutę, brwie siwe i krzaczaste, nochal kiej trąbę, a brzucho niezgorzej wzdęte.

Cierpliwie słuchał, aż wymiarkowawszy, przewał im trajkoty:

— Z temem i śpieszył do wsi. Niechrzczony jeden powiedział mi w sekrecie, co Lipczaki dzi-

siaj wracają z kreminatu! Wczoraj mi rzekł, myśle sobie, jutro do dnia skoczę i pierwszy dam znać. Jakże, szukać takiej wsi jak Lipce! A które to wpodłe drepcą? — bo nie poredzę po samym głosie rozeznąć!

— Marysia Balcerkówna!... Nastka Gołębiów!... Ulisia Sołtysowa!... Kłębowa Kasia!... Sikorzanka Hanusia! — wołały wszystkie.

— Ho! ho! sam-ci to kwiat pannowy wyszedł! Widzi mi się, co wam było pilno do parobków, a dziadem musita się kontentować!... he?

— A nie prawda! po ojców wyszlim, — zawrzeszczały.

— Loboga, dyć ślepy jezdem, ale nie głuchy! — aż baranicę głębiej nacisnął.

— Powiedziały we wsi, że już idą, tośmy wyliciały naprzeciwi!

— A tu nikaj nikogo!

— Jeszczek za wcześnie; dobrze, by na południe zdążyli gospodarze, bo chłopaki to może i do wieczora nie ściągną...

— Jakże, razem ich puszcza, to i razem przyjdą!

— A może się w mieście zabawią?... mało to tam pannów?... cóż to im za niewola do waju się śpieszyć?... he! he! — przekomarzał się śmiejący.

— A niech się zabawią! nikto za nimi nie płacze!

— Juści, w mieście nie brakuje tych, co

w mamki poszły, albo w piecach u Żydów palą... takie będą im rade — szepnęła chmurnie Nastusia.

— Którętn mieskie wycieruchy przekłada, o takiego żadna nie stoi!

— Dawnoście, dziadku, w Lipcach nie byli? — zagadnęła któraś.

— A dawno, coś na jesieni! Zimowałem se u miłosiernych ludzi, we dworze-m przesiedział zły czas.

— Może we Wólce? u naszego? co?

— A we Wólce! Ja ta zawdy za panbrat z dziedzicami i z dworskiemi pieskami: znają me i nie ukrzywdzą! Dały mi ciepły przypiecek, warzy ile wlażło, tom bez cały czas powrósla kręcił i Boga chwalił. Człek się wyporządził i pieskowi też nie gorzej boki wydobrażył! Ho! ho! dziedzic mądry: z dziadami trzyma i wie, że torbę i wszy za darmo miał będzie... he! he! — aż brzuchem trząsł i łypał powiekami od śmiechu, a wciąż rajcował.

— A dał Pan Jezus zwiesnę, sprzykrzyły mi się pokoje i dworskie przypochlebstwa, zacniło mi się za chałupami i tym światem szerokim... Hej, deszczyk-ci to siepie kiej czyste złoto, ciepły i rześisty, i rodzący, jaże świat pachnie młodą trawą... Kaj to lecita? Dzieuchy?!

Dostyszał naraz, że poniesły się z miejsca, ostawiając go przed młynem.

— Dzieuchy!

Ale żadna już nie odkrzyknęła: dojrzały kobiety,

ciągnące nad stawem ku wójtowej chałupie, i do nich śmigały.

Z pół wsi już się tam zbierało, by się coś rzetelnego dowiedzieć.

Wójt snadź wstał niedawno, bo jeno w portkach siedział na progu, owijając onucami nogi, a o buty krzyczał na żonę.

Przypadały do niego z wrzaskiem, zadyszane, obłocone, które jeszcze nie myte ni czesane, a wszystkie ledwie zipiące z niecierpliwości.

Dał się im wyrajcować, buty co ino sadłem wysmarowane naciągnął, umył się w sieni, i poczesując kudły w otwartem oknie, rzucił drwiąco:

— Pilno wama do chłopów, co? Nie bójta się, wracają dzisiaj z pewnością. Matka, daj-no papier, co go to stójka przyniósł... za obrazem leży.

Obracał go w garściach, aż trzepnąwszy weń palcami, rzekł:

— Wyraźnie stoi o tem jak wół... »Tak jak krześcijany wsi Lipeć, gminy Tymów, ujezda...« — a czytają se same! Wójt wama mówi, co wracają, to prawda być musi!

Rzucił im papier, któren szedł z rąk do rąk, i chociaż żadna nie wymiarkowała ni literki, że to był urzędowy, przypinały się do niego, wlepiając oczy z jakąś trwożną radością, kiejby w obraz, aż dostał się Hance, która wzięwszy przez zapaskę, oddała z powrotem.

— Kumie, czy to wszystkie wracają? — spytała lękliwie.

— Napisane co wracają, to wracają!

— Razem brali całą wieś, to i razem puszcza! — ozwała się któraś.

— Wstąpcie, kumo, przemięklicie żdziebko! — zapraszała wójtowa, ale Hanka nie chciała, naciągnęła zapaskę na czoło i pierwsza ruszyła z nawrotem.

Wolniuśko jeno szła, ledwie dychająca z radości a strachu zarazem.

»Juści co i Antka wróca, juści!« — pomyślała, wspierając się naraz o płot, bo tak ją w dołku ścisnęło, że omal nie padła. Długo łapała powietrze zgorączkowanymi wargami... Nie, niedobrze się jeszcze czuła, dziwnie słabo. »Wróci Antek, wróci!« — radość ją rozpierała do krzyku, a jednocześnie jęły ją przenikać strachy jakieś, niepewności, obawy jeszcze zgoła ciemne.

Coraz wolniej szła i ciężej, usuwając się pod płoty, bo całą drogą waliły kobiety, leciały szumnie, ze śmiechami, rozwrzeszczane i jaśniejące radością, a nie bacząc na pluchę, kupiły się pod chałupami, to nad stawem i rajcowały zawzięcie.

Dopędziła ją Jagustynka.

— Juści że wiecie! no, to dopiero nowina. Czekalim na nią co dnia, a kiej przyszła, zwała me kiej pałą w ciemę. Od wójta idziecie?

— Przytwardził i nawet z papieru o tem przeczytał.

— Przeczytał, to juści że pewne! Chwała ci, Panie, powrócą chudziaki, powrócą gospodarze! — szeptała gorąco, rozwodząc ręce.

Łzy posypały się jej z wyblakłych oczu, aż Hanka się zdumiała.

— Myślałach, że zapomstujecie, a wy w bek no, no!...

— Co wy?! w taką porę bych pomstowała! Człowiek jeno z biedy da czasem folgę ozorowi, ale w sercu co inszego siedzi, że czy chce czy nie chce, a z drugimi radować się musi, albo i smucić... Nie poredzi żyć z osobną, nie...

Przechodziły koło kuźni: młoty biły hukliwie, ogień buchał czerwony z ogniska, a kowal obręcz naciągał na koło pod ścianą. Spostrzegłszy Hankę, wyprostował się i wparł oczy w jej rozgorączkowaną twarz.

— A co?... doczekały się Lipce święta!... wracają pono niektóre.

— Wszystkie wracają, wójt o tem czytał! — poprawiła go Jagustynka.

— Wszystkie?... zbójów przecież tak zaraz nie wypuszczą, nie...

Hance aż się w głowie zakotłowało i serce dziw nie pękło z bólu, ale zdzierżyła uderzenie i, odchodząc, rzekła mu ze straszną nienawiścią:

— By ci ten psi ozór przyrósł do podniebienia!

Przyśpieszyła kroku, uciekając od jego śmiechu, co jakby klami chwycił za serce.

Dopiero z ganku obejrzała się na świat.

— Mażę się i mażę... ciężko będzie z pługiem wyjechać na rolę.

Udawała spokój.

— Ranny deszcz i starej baby taniec niedługo trwają.

— Trza będzie tymczasem sadzić ameryki pod motyczkę.

— Kobiet ino patrzeć, spóźniły się bez tę nowinę, ale przyjdą... byłam u nich z wieczora, wszystkie się obiecały na odrobek.

W izbie już ogień buzował; ciepło było i jaśniej niżli na dworze. Jóźka skrobała ziemniaki, a dzieciak wrzeszczał w niebogłosy mimo zabawiań starszych dzieci. Hanka, przyklękawszy przed kołyską, jęła go karmić.

— Józia, niech Pietrek narządzi deski, gnój będzie wywoził od Florki na te zagony kiele Paczesiowego żyta. Nim plucha przejdzie, parę fur wywiezie... co się ma węszać po próznicy!

— Przy was to nikto z leniem się nie stowarzyszy.

— Bo i sama kulasów nie żałuję! — powstała, chowając piersi.

— Hale, adybym na śmierć zapomniała, przeciek to od południa świątko! Proboszcz procesyę zapowiadał, odłożoną ze św. Marka na oktawę...

— Przeciek to ino w krzyżowe dni bywają procesye!..

— Z ambony zapowiadał na dzisiaj, to musi,

co i bez krzyżowych dni można chodzić do figur i święcić granice.

— Chłopaki będą brały dzisiaj na pokładankę po kopcach! — zaśmiała się Józka do wchodzącego Witka.

— Idą już, idą. Bieżyjcie z niemi, a zarządźcie co potrza. Ja ostanę w chałupie, obrządę i śniadanie zgotuję. Józka z Witkiem będą donosili ziemniaki na pole! — zarządzała Hanka, wyzierając na komornice, które pookręcane w płachty i zapaski, że ledwie im było oczy widać, z koszykami na ręku i motyczkami, schodziły się pod ścianę, otrzepując trepy o przyciesie.

Powiedła je zaraz Jagustynka przez przełaz, nad polną drogę, kaj tuż przy brogu leżały czarne, przesiąknięte wodą zagony.

Stały wnet do roboty, po dwie na zagonie, głowami do siebie — dziobały motyczkami dołki, a wraziwszy weń ziemniak, przygarniały go ziemią, okopując zarazem w poprzeczne rządki.

Cztery robiły, stara była jeno na przyprzążkę, do poganiania.

Cóż, kiej robota szła niesporo!... ręce grabiały z zimna i w brózdach było mokro, w trepy nabierało się wody, a szmaty na nic się marały w błocie, bo deszcz, choć ciepły i coraz drobniejszy, mżył ciągiem, rozpryskując się po skibach, a trzepiąc po sadach, co zwiesiły okwiecone gałęzie nad drogę i z jakąś lubością nastawiały się na pluchę.

Ale już szło na odmianę: kokoty piały, niebo się stronami podnosiło niezgorzej przetarte, ja-skółki jęły śmigać powietrzem kiejby na zwiady, a zaś wrony uciekały z kalenic i niesły się ci-chuśko a nízko nad polami.

Baby gmerały, przygięte do zagonów, podobne do kłębów szmat przemoczonych, poredzając, wolniuśko robiąc, a z długimi odpoczynkami, że to na odrobek przyszły, aż dopiero stara, obsadzająca grochem piechotą nadbróździa, zaczęła w głos, rozglądając się dokoła:

— Niewiela dzisiaj gospodyń w polu, ni na ogrodach.

— Chłopy wracają, to nie robota im w głowie!

— Pewnie, tłuste jadło narządzają i pierzyny grzeją...

— Prześmiewacie, a same jaże łysty do nich drygają! — rzekła Kozłowa.

— Nie wyprę się, co mi już Lipce obmierzły bez chłopów. Staram przeciek, ale prosto powiem, że choć to są juchy, łajdusy, świedlerze i zabi-jaki, a niech się jawi choćby i ta najgorsza pokraka, to zarno z nim raźniej, i weselej, i lekciej na świecie. Która co inszego powie, zełże jak pies.

— Wyczekały się na nich kobiety, kiej kania na deszcz! — westchnęła któraś.

— Nie jedna to czekanie ciężko przypłaci, a dzieuchy najprzódziej...

— Że i trzy kwartały nie miną, a dobrodziej nie nadaży...

— Stare a bają trzy po trzy: dyć na to Pan Jezus stworzył kobietę! nie grzech mieć dziecko! — podniosła głos przekornie Grzeli z krzywą gębą kobieta.

— A wy ciągiem swoje: zawdy za bękartami stoicie!

— A zawdy, jaże do samej śmierci każdemu do oczu stanę i rzekę: bękart czy nie — zarówno ludzkie nasienie, prawo ma na świecie jedno, i jednako je Pan Jezus szacuje, wedle zasług jeno a grzechów...

Zakrzyczały ją, wyśmiewając wzgardliwie. Zabiła ręce i pokiwała głową.

— Szczyć boże na robotę! jakże idzie? — krzyknęła Hanka z przełazu.

— Bóg zapłać! dobrze, ino mokro.

— Nie brakuje ziemniaków?

Przysiadła nieco na żerdce.

— Donoszą ile potrza; jeno mi się widzi, co za grubo krajane...

— Za grubo, dyć ino na pół, przeciek u młynarza co drobniejsze ziemniaki całe sadzą. Rocho powiedział, że takie są dwa razy plenniejsze.

— Musi miemiecka to moda, bo jak Lipce Lipcami, zawdy się ziemniaki krajalo na tyła, chyła oczków miały — kwękała sprzeczwie Gulbasowa.

— Moiście, przeciek dzisiejsi ludzie nie głupsi wczorajszych...

— Hale, tera jajo chce być mędrsze od kury i stadu przewodzić...

— Rzekliście! Ale po prawdzie, co poniektóre, choć lata mają, rozumu nie nabyły! — zakończyła Hanka, cofając się z przełazu.

— Zadufana w sobie, jakby już na całej gospodarce Borynów siedziała — mruknęła Kozłowa, obzierając się za nią.

— Poniechajcie jej: szczere złoto nie kobieta! Nie wiada, czyby się znalazła od niej lepsza i mądrzejsza. Co dnia z nią siedzę, a oczy i rozumie nie mam. Nacierzpiiała się ona i przeszła krzyże, że niech Bóg broni...

— Czekaj ją jeszcze nie jedno... Jagna w chałupie, i skoro Antek wróci, cudeńka się tu zaczną i breweryje, będzie czego słuchać...

— Że Jagna z wójtem się sprzegła, cosik mi o tem bąknęli — prawda to?

Zaśmiały się z Filipki, że pyta, o czym już wróble świergocą.

— Nie rozpuszczajta ozorów: i wiatery czasem słucha i roznosi kaj nie potrzeba! — zgromiła Jagustynka.

Przygięły się do roli, dziabki migały, szczękając niekiedy o kamienie, a one rajcowały zawzięcie, całą wieś obgadując.

Zaś Hanka szła od przełazu chyłkiem pod wiśniami, bo ją chwytaly za głowę obwisłe i prze-

moczone gałęzie, jakby nabite zbieletem już pąkowie i listeczkami.

Poszła w podwórze przeglądać gospodarstwo.

Od samych świąt prawie się nie wychylała z domu, że to pogorszyło się jej po wywodzie. Dzisiejsza nowina zerwała ją z łóżka i trzymała na nogach, że choć się chwiała na każdym kroku, zaglądała po kątach złac się coraz barzej.

A to krowy były jakoś osowiałe i do pół boków w gnoju, prosiaki coś za mało przyrosły, nawet gęsi wydawały się dziwnie niemrawe, jakby zamorzone.

— Adybyś choć wiechciem wytarł wałacha! — wsiadła na Pietrka, wyjeżdżającego do gnoju, ale parobek cosik mruknął złego i pojechał.

W stodole nowa zgryzota w kupie ziemniaków, leżących na klepisku, pyskał se w najlepsze Jagusin wieprzek, zaś kury grzebały w pośladzie, którego dawno miał być zniesiony na górę. Skrzyzczała za to Józkę i do Witkowych kudłów skoczyła, ledwie się chłopak wyslizgnął i uciekł, a dziewczyna bekiem i skargą się zaniesła.

— Haruję ciągiem kiej koń, a wy krzyczycie. Jagnie co się całe dnie wałkoni, to przepuszczacie!

— No, cicho głupia, cicho! Sama widzisz, co się tu wyrabia...

— Mogłam to wszyćkiemu uradzić? co?

— No, cicho! Nieśta ziemniaki, bo zbraknie kobietom!

Dała już spokój krzykom: »Prawda, dziewczyna wszystkiemu nie uradzi, a najemnik!... Boże się zmiłuj. Od rana już zachodu wyglądają. Dorabiać się w najemników to jakby wilki zgodził do owiec wodzenia. Przez sumienia są ludzie«.

Rozmyślała z goryczą, wywierając całą złość na wieprzaku, jaże z kwikiem pognął, że go to i łapa jeszcze po swojemu za ucho odprowadzał...

Do stajni potem zajrzała, ale jakby po nową zgryzotę — ano klacz obgryzała pusty żłób, a źrebak utyłany kiej świnia, słomę wyciągał z podściółki.

— Kubie-by serce pękło, kiejby cię takim zobaczył — szepnęła, zakładając im za drabkę siano i głaszcząc po mięciuchnych a ciepłych chrapach.

Ale już nie poszła dalej: ogarnęło ją naraz zniechęcenie i taki płacz chycił za gardziel, że wsparłszy się o barłóg Pietrkowy, zaryczała, sama nie wiedząc la czego.

Tak zbrakło jej sił, że opadła w sobie, kiej ten kamień ciężki. Już nie mogła uredzić doli, mój Jezu, nie mogła, a toć poczuła się taka opuszczona na świecie jako to drzewo, rosnące na wywieisku, samotne i na każdą złą przygodę wystawione! Ani wyżalić się przed kim! I ani końca przewidzieć złej doli! Nic, jeno ciągiem truć się zgryzotą i płakaniem... nic kromie udręki wiecznej i czekania na gorsze...

Źrebak lizał ją po twarzy, że bezwolnie przy-

tulała głowę do jego karku i zanosila się coraz boleśniej.

Cóż jej ta po gospodarce, po bogactwie, po ludzkim uważaniu, kiej la siebie nie miała ani jednej chwili szczęśliwości w całym życiu, nic zgoła! Skarzyła się tak żałośnie, jaże klacz zarżała ku niej, targając się na łańcuchu.

Zawlekła się do izby, i przysadziwszy do piersi rozkrzyczanego chłopaka, zapatrzyła się bezmyślnie w zapocone szyby, zbrózdzone ociekającymi kroplami.

Dziecko jakoś matyjasilo, skamląc i popłakując.

— Cicho, maluski, cicho!... wróci tatulo, przywiezie ci kuraska... wróci, synka na koń wsadzi... cicho maluski: A, a, a! kotki dwa! Szare bure obydwali... Wróci tatulo, wróci! — przyśpiewywała, huśtając go i chodząc po izbie.

— A może i wróci! — potwierdziła sobie, przystając nagle.

Płomień ją ogarnął, moc rozprężyła przygięte plecy, i taka radość wstąpiła w serce, że się już rwała do komory rznąć kawał szwininy la niego, że już po gorzałkę chciała posyłać la niego, nawet już ku skrzyni szła, by się przyodziać świętecznie la niego — ale nim to uczyniła, przypominki słów kowalowych spadły na obolałe serce, kiej jastrzębie ostremi pazurami, zmartwiała na miejscu, obzierając się jeno po izbie rozpalonym

wzrokiem, jakby za ratunkiem, nie wiedząc znów co myśleć, co poczynąć...

— A jak nie wróci! Jezu! Jezu! — jęknęła chwytając się za głowę.

Bała się tego mówić, a głos ten huczał w niej kiej w studni; gotował się, wrzał i wzbierał w piersiach krzykiem strachu.

Dzieci jęły się za łby wodzić i krzyczeć, wyciągnęła je za drzwi, zabierając się do narządzania śniadania, bo już Jóźka zaglądała do izby, wietrząc łakomie czy zgotowane.

Łzy ustać musiały i boleście przytaić się w duszy, bo jarzmo codziennego trudu w kark się wpijało, przypominając, że robota czekać nie może...

Uwijała się też jak mogła, choć nogi się pod nią plątały, i wszystko leciało z rąk. Jenó wzdychała żałośnie, łzę jaką puszczając niekiedy, a we świat zamglony tęsknie spoglądając...

— Czy to Jagusia nie wyjdzie do sadzenia? — wrzasnęła Jóźka przez okno.

Hanka odstawiła gar z barszczem i na drugą stronę pobiegła.

Stary leżał na bok, twarzą do okna, jakby patrząc na Jagnę, czeszącą długie, jasne włosy przed lusterkiem, na skrzyni ustawionem.

— Czy to dzisiaj święto, że do roboty nie wychodzicie?...

— Z rozplecionemi włosami nie poletę...

— Od świtania mogłaś je już dziesięć razy zapleść!

— Mogłam, ale nie zapletłam!

— Jagna, wy tak ze mną nie igrajcie!

— Bo co? Odprawicie mnie może, albo wytrącicie z zasług? — warknęła hardo, nie śpiesząc się z czesaniem: — nie u was siedzę i nie na waszej łasce!

— A ino kaj? co?

— U siebie jeźdem, byście sobie to baczyli...

— Niech ociec zamrą, to się pokaże, czy u siebie jesteś!

— Ale póki żyją, to ja waju mogę drzwi pokazać.

— Mnie! mnie! — skoczyła, jakby biczem podcięta.

— Przyczepiacie się ciągiem do mnie, kiej rzep do ogona! Marnego słowa wam nie mówię, a wy ino huru buru jak na tego łysego konia...

— Podziękuj Bogu, że gorszegoś nie oberwała! — rozczapierzyła się groźnie.

— Spróbójcie: inom jedna sierota, ku mojej obronie nikto nie stanie, ale uwidzicie, czyje ostatnie na wierzchu!

Odgarnęła włosy z twarzy, i srogie, pełne zawziętości oczy uderzyły kieby nożem, jaże Hanke z miejsca taka złość poniesła, iż jęła wytrząsać pięściami a krzyżeć, co ino ślina przyniesła.

— Grozisz! Zaczniј ino, zaczniј! Niewiniątko, sierota pokrzywdzona... Juści... Dobrze ludzie wiedzą, co wyrabiasz! w całej parafii wiedzą o twoich sprawkach. Nie raz cię już widzieli z wójtem

w karczmie, nie dwa! A wtedy, com ci po północku drzwi otwierała, wracałaś z pijatyki, z łajdactwa, pijana byłaś kiej świnia... Do czasu dzban wodę nosi, do czasu... Nie bój się, kto w głośności żyje, o tym cicho mówią! Skończy się twoje panowanie, że ni wójt, ni kowal cię nie obronią, ty... ty!...

Jaze się zakrztusiła z krzyków. 1

— Robię, co robię, a każdemu wara do mnie jak temu psu! — wrzasnęła nagle, odrzucając włosy na plecy, kiejby tę przygarść lnu najczystsze-

Rozjuszona już była i gotowa nawet do bitki, bo jaze się cała trzęsła; ręce jej latały kole bioder i tak srogo ciepła ślepiami, że w Hance opadło serce, zmiłkła i, trzasnąwszy jeno drzwiami, uciekła z izby.

Ale po tej kłótni ruchać się nie mogła, siadła z dzieckiem pod oknem, a Jóźka zajmowała się podawaniem śniadania.

Dopiero kiej się znowu porozchodzili do roboty, zebrała się jakoś w sobie i, poniechawszy robót, wybrała się do ojca, któren zachorzał już parę dni temu, ale z pół drogi zawróciła do chałupy.

Tak się w niej roztrzęsło, że ani sposób iść było.

A zaś potem choć przyszła nieco do sił, rękoma jeno robiła, bezwolnie prawie, a głównie myślała o Antku, we świat się zapatrując daleki...

Pogoda się też robiła, deszcz ustał, kapło jeno z dachów i z drzew, że to wiater jął otrząsać gałęzie, drogi siwiły się kałużami, świat stawał się coraz jaśniejszy.

Rachowali, co na przypołudnie słońce pokaże się niechybnie, bo już jaskółki latały górą; białe, przełoczone chmury szły po niebie stadami, a z pól ciepło buchało, i ptasi wrzask podnosił się w sadach, jakby ośnieżonych kwiatami. Zaś wieś galanto pogłośniała; kurzyło się ze wszystkich prawie kominów, smaczne jadła narządzali, radość wydzierła się z chałup i babie jazgoty niesły się od chałupy do chałupy, dzieuchy przyodziewały się świątecznie, wstęgi zaplatając w kosy, niejedna w dyrdy leciała po gorzałkę, bo Żyd ucieszony powrotem chłopów, dawał na bórę ile kto ino chciał, a co raz to ktosik wlaził na drabinę i z dachów przepatrywał pilnie wszystkie drogi, biegnące od miasta...

Tak się zajęły porządkami, że mało która szła w pole; nawet gęsi zapomniały powyganiać nad rowy, że gęgały wrzaskliwie w podwórzach, zaś dzieciśka, puszczone dzisiaj na wolę i nie przykarcane, wyprawiały po drogach takie breweryje, że niech Bóg broni! Starsze, z długachnemi tykami, zwijały się na topolowej, skrabiać się na drzewa i spychając wronie gniazda, że wystraszone ptaszyska kiej chmura sadzy, kołowały wysoko z żałosnem, jęklivem krakaniem; a znowuj drugie, mniejsze ganiały ślepego konia księżego, załozo-

nego do beczki na saniach, chcąc go napędzić z wyższego brzegu do stawu, jeno co koń mądrała nie dał się zażyć z mańki. Niekiedy, już nad samiutką krawędzią, przystawał jakby na złość, łeb spuszczał, głuchnął na wrzaski, cierpliwie się otrząsając z błota i grud, których mu nieszczędzili. Ale skoro poczuł, że mu na beczkę włożą i do uzdy już sięgają, rżał groźnie i ponosił, skrecając z nagła w największą kupę zbereźników, iż rozlatywali się z krzykiem. Dobre parę pacierzy tak się zabawiali, jaże go w końcu i zmanili, podtykając pod chrapy wiecheć zapalony, że konisko zestrachane rzuciło się w bok, akuratnie prosto na przywarte opłotki Borynowe. Wywalił wrótnie i tak się w nie zaplątał orczykami, że go dopadły zblizka i dalejże prać batami co ino wlażło.

Kulasy byłby sobie połamał w żerdkach; kieby nie Jagna, która, dosłyszawszy krzyki, kijem rozpędziła wisusów i wywiedła go na drogę, ale że koń wystraszony stracił wiatr, nie wiedząc w jaką stronę się obrócić, a chłopaczyska czały się za drzewami, powiedła go na plebanię.

Drózką między księżym ogrodem a Kłębami go poprowadziła, gdy właśnie bryczka organistów zajechała przed ich dom, stojący w głębi. Organiścina już była na siedzeniu, a Jasio całował się przed progiem z rodziną.

— Konia przywieźłam, bo dzieci go płoszyły... — zaczęła nieśmiało.

— Ojciec, krzyknij na Walka, niech go od-

bierze! Te, ryfo jedna, konia samego porzucasz, żeby nogi połamał, co? — gruchnęła na parobka.

Jasio, spostrzegłszy Jagnę, jeno śmignął oczyma po ojcach i rękę do niej wyciągnął.

— Zostańcie, Jaguś, z Bogiem.

— Do klasów to już?

Za serce ją cosik ścisnęło, jakby żal cichy.

— Na księdza go odwożę, moja Borynowo! — napuszała się dumnie.

— Na księdza!

Podniosła zdumione oczy na niego. Siadał właśnie na przednim siedzeniu, plecami do koni.

— Będę dłużej patrzeć na Lipce! — zawołał, ogarniając przytulającym spojrzeniem opleśniałe dachy ojcowej chałupy i te sady, lśniące rosami a kwiatami obwalone.

Konie ruszyły truchcikiem.

Jagna poszła w trop tuż za bryczką, Jasio krzyczał jeszcze cosik do sióstr, buczących pod domem, a patrzył jeno na nią jedną: w jej modre zwilgotniałe oczy, kieby ten dzień majowy bardzo cudne; na jej głowę jasną, oplecioną warkoczami, co jak grubachne postronki leżały potrójnie nad białem czołem, zwisając jeszcze półkoliście kiele uszu; na jej twarz białuchną i tak śliczną, iż do róży polnej podobną.

Ona zaś szła prawie bezwolnie, jakby urzeczona jego oczyma jarzącymi, wargi się jej trzęsły, że zębów zewrzeć nie mogła, serce lubo dy-

gotało, a oczy szły za nim pokornie, zgoła truchlejące z dziwnej słodkości...

Jakby ją sen zmorzył nagły i tym pachnącym kwiatem niepamięci zasypywał... Dopiero kiedy bryka skręciła ku topolowej, rozerwały się ich oczy, puściły te parzące ogniwa i rozprysnęły się tak doszczętnie, że uderzyła się spojrzeniem o pusty świat i przystanęła nagle.

Jasio machał czapką na pożegnanie. Wjeżdżali już w mrok topoli.

Rozglądała się dokoła, oczy trąc jakby ze snu wyrwana.

— Jezus, taki toby ślepiami do samego piekła zaprowadził...

Otrząsnęła się jakby z tych parzących spojrzeń Jasiowych.

— Organistów syn, a kiedy dziedziców się widzi... I księdzem ostatecznie, może jeszcze do Lipieckiego dadzą!...

Obejrzała się: bryka już zniknęła, turkot jeno dochodził i głosy pozdrowień, zamienianych z przechodzącymi.

— Taki mleczak, dzieciuch prawie, a niech spojrzysz, to jakby kto drugi wpół objął, że cię gotki bierą i w głowie się mąci...

Wzdrygnęła się, oblizując czerwone wargi, a przeciągając się prężąco, z lubością...

Chłód ją nagle przejął. Dopiero spostrzegła, że jest z gołą głową, boso i prawie w koszuli, bo tylko w jakiejś podartej chuścinie na ramio-

nach. Zczerwieniła się przywstydzona i jęła stonami przebierać się ku domowi.

— Chłopy wracają, wiecie to? — krzykały do niej dzieuchy z opłotków, to kobiety, to dzieci nawet, a wszystkie zadyszane i ledwie zipiące z radości.

— No to co? — rzekła którejś już prawie ze złością.

— Wracają!... mało to? — zdumiewały się jej oziębłości.

— Tyla z niemi co i przez nich! Głupie! — mruczała, przykro tknięta, że to każda kiej zwaryowana wyglądała swojego...

Zajrzała do matki. Jędrzych był jeno, pierwszy raz dopiero zwlókł się z barłogu, przetrącony kulas miał jeszcze spowity w szmaty, koszyk wyplatał na progu i pogwizdywał srokom łąącym po płotach.

— Wiesz to, Jaguś?... Wracają nasi!...

— Dyć już kiej te sroki cały świat to jedno rozpowiada!

— Wiesz, a Nastusia to prosto od rozumu odchodzi, że i Szymek wróci...

— Czemuż to? — Błysnęła ślepiami srogo, po matczynemu.

— I... nic... A to me znowuj kulas rozbolał... — zająkał strachliwie. — Cichoj, ścierwy — rzucił patykiem w sień na rozgdakane kwoki.

Niby to rozcierał nogę bolącą, a pokornie zaglądał w jej twarz dziwnie omroczoną.

— Kaj to matka?

— Na plebanię poszli... Jaguś, o Nastce to mi się ino tak wypsnęło...

— Głupi, myśli co o tem nikto nie wie! Pobierą się i tyła...

— A bo to matka pozwolenstwo dadzą, kiej Nastuś ma jeno morgę?

— Pytał się będzie, to nie pozwolą. Hale, lata już parob ma, to i rozum swój powinien mieć, bych wiedzieć co i jak...

— A ma, Jaguś, ma, i kiej się uweźmie i pójdzie udry na udry, to i matki nie posłucha, na złość się ożeni, swój gront odbierze i na swoim postawi.

— Pleć, kiej ci ciepło, pleć, bych cię jeno matka nie posłyszeli!

Markotność ją przejęła. Jakże! taka Nastka, a i to zabiega o chłopa, i to ma swoje radoście, a drugie dzieuchy to samo. Wściekną się chyba dzisiaj, boć do każdej ktosik powróci, do każdej.

— Prawda, dyć wszystkie powrócą... — Porwała ją nagle, niecierpliwa radość, że porzuciła wystraszonego Jędrzycha i skwapnie poniesła się do chałupy szykować i robić porządki na przyjęcie, jak i drugie, i czekać gorączkowo powracających, jak i cała wieś w tej chwili.

Zwijąła się tęgo, jaże przyspiewując z radości a z utęsknieniem i nie raz jeden wybiegała patrzeć na drogi, kaj i wszystkie wisały oczyma.

— Kogo to wyglądacie? — zagadnął ją ktosik niespodzianie.

Jakby ją kto przez ciemię zdzielił, zbladła, ręce jej opadły, kieby te skrzydła przetrącone, i serce zadygotało z żalości.

Prawda, na kogoż to czeka? przeciek nikomu do niej nie śpieszno, przeciek na wszystkim świecie sama jest, jako ten kołek!... »Tyle, co może Antek!...« — dodała trwoźnie. — »Antek!« — wyszeptowała cichuśko, serce jej wezbrało westchnieniem, i przypominki przewiały przez pamięć, kiej te mgły nikłe i kiej sen cudny, ale dawno już śniony. — »Może i wrócił!« — dumiała.

...Choć kował jeszcze wczoraj upewniał, że go z drugiemu z kreminału nie puszczą, że na długie lata tam pozostanie.

»A może go i puszczą!« — Przywtórzyła głósniej, jakby już wychodząc myślą i oczekiwaniem naprzeciw, ale bez radości, bez uniesienia i z jakąś przyczajoną w sercu trwożną niechęcią.

»A niech se wrócił! co mi tam z niego!« — ciepnęła się niecierpliwie.

Stary jął cosik bełkotać...

Zadem się odwróciła od niego z obmierzłości, nie podając jeść, choć wiedziała, że o to skamle po swojemu.

»Byś już raz zdechł!« — rozsrożyła się nagle, i aby go stracić z oczu, na ganek znowu poszła.

Kijanki trzepały nad stawem, i jakiś niekaj pod drzewami czerwieniły się kobiety pierące. Suchy,

leciutki wiaterek ledwie co tykał wierzb zielonych, że zatrzęchły się niekiedy. Słońce co ino miało się wyłupać z za białych chmur, że już polśniewały kałuże i po gładzi stawu tańczyły złotawe migoty. Deszczowe mgły już opadły, że z szarych, kamiennych płotów wynosiły się coraz bardziej na jaśnie powietrza rozkwitające sady, kieby te wielgachne snopy kwietne, wionące zapachami i pełne ptasich świegotów. Młyn turkotał ostro, a z kuźni rozlatywały się dźwiękliwe, przejmujące bicie młotów, zaś ludzkie głosy i cały ten rwetes przygotowań był jako to pszczelne brzęczenie wśród drzewin.

— »A może go i obaczę!« — dumiała, wystawiając twarz na wiaterek i na te rosy, skapujące z obsychających kwiatów i liści.

— Jaguś, nie wyjdziecie to do roboty? — wrzasnęła Józka z podwórza.

Ani jej do głowy przyszło się opierać: zabrała motyczkę i zaraz poszła do kobiet. Odpadła ją moc i chęć sprzeciwu, a nawet rada poddała się przykazowi, którego ją wyrывał z myślenia i niepewności. Przejmowała ją jeno dziwna tęsknota, że jaże łzy nabiegały do oczu, a dusza się kajściś rwała. Tak się przypięła do roboty że, komornice ostały daleko na zajdach, ale nie ustawała, nie zważając na Jagustynkowe przycinki, ni widząc babich ślepiów, co ją obiegały ciągiem, kieby te psy przyczajone do kąśliwego chwytu.

Tylko niekiedy prostowała się nagle, jako ta

grusza ociężała kwiatem prostuje się na miedzy pod tknięciem wiatru, i chwieje się ździebko, i patrzy po świecie tysiącami oczu, i płacze białym, wonnym okwiatem po rozchwianych, zielonych zbożach, i może zimy srogie spomina..

Jaguś o Antku myślała niekiedy, a częściej Jasiowe oczy jarzące i Jasiowe wargi czerwone stawały w pamięci, i Jasiowy głos luby odzywał się w sercu tak słodko, jaże smutki pierzchnęły, i pojaśniało w niej, że przygiąwszy się barzej nad zagonem, czepiła się całą mocą utęsknień tych wspominków. Naturę bowiem już taką miała, kieby te wiotkie trzmieliny czy chmiele dzikie, które zawdy czepić się muszą jakiej gałęzi lebo kolepnia wyniosłego owinąć — bych rosnać mogły i kwitnąć, i żyć — zaś oderwane podpory i sobie ostawione, na pastwę złej przygodzie łącno idą.

A komornice, naszeptawszy się o niej do syta, że to ciepło już się zrobiło galante, pozrzucały z głów płachty i zapaski, i wzięły rażniej pogwarzać, częściej się przeciągać, na południe tęskliwie wyglądając..

— Kozłowa, wyższaście — to obaczcie, czy chłopów nie widać na topolowej?

— Ani widu, ani słychu! — odrzekła, próżno się na palcach wspinając.

— Gdzieby zaś tak rychło!... nie zdążą przed mrokiem... karwas drogi..

— I pięć karczmów na rozjazdach! — zakpiła po swojemu Jagustynka.

— Chudziaki, biedota, kaj im tam karczmy będą w głowie!

— Wymizerowali się tylachna czasu, nacierz-pieli...

— Taka im była krzywda, że się w cieple wypali i najedli po grdykę...

— Juści, tyle tej dobroci zażyły, co te karmiki na pokrzywach z plewami.

— Dyc o suchym ziemnioku a lepiej na wolności — rzekła Grzeli kobieta.

— Dopiero to smaki taka wolność!... no, tyła z niej biednemu, że może sobie zdychać z głodu, kaj mu się spodoba, bo sztrafu za to płacić nie każą, ni go strażnik do kreminatu nie pojmie!...— wydziwiała.

— Prawda, moiściewy, prawda! ale co niewola to niewola!...

— A co groch ze sperką, to nie rosół na osikowym kołku! — przedrzeźniła Jagustynka, jaże wszystkie śmiechem gruchnęły.

Odcięła się cosik Filipka, ale mogła to utrzymać wtór z takim pyskaczem i ozornicą? Jagustynka nawydziwiała nad nią co ino wlażło i jęła cudenka wygadywać o młynarzu, jako na bóróg daje stęchłą kaszę, a za pieniądze też oszukuje na wadze. Zaś potem, już z Kozłową na spółkę używały na całej wsi, nie przepuszczając nawet Dobrodziejowi, a przewłócząc każdego złemi ozorami, kieby przez te ostre ciernie...

Grzelowa próbowała bronić niektórych, ale ją zakrzyczała Kozłowa:

— Wybyście radzi bronić nawet takich, co kościoly rozbijają...

— By wszyscy człowiek zarówno potrzebuje obrony! — szepnęła łagodnie.

— A już najbarzej Grzela przed waszą maglownicą...

— Nie wam przestrzegać poczciwości, któraście Bartka Kozła kobieta!... — rzekła twardo, prostując się wyniosłe.

Struchlały wszystkie, czekając, że skoczą sobie do kudłów, ale one jeno przewlekły po sobie srogimi ślepiami. Dobrze — co w samą porę Witek przyleciał zwoływać na obiad i kosze zbierać, że to świątkować mieli od południa.

Mówiły już mało wiele nawet przy obiedzie, którego Hanką kazała podać na ganku, bo słońce się już całkiem wykryło, cały świat się rozjaśnił a wszystkie dachy i drzewa kwitnące, kiej tym bieluchnym śniegiem przyprószone — pławiły się w przejrzystym, pachnącem powietrzu...

Dzień się roztoczył słoneczny i cichy, wiatr żdziebko przegarniał po drzewinach, ale tak mięciutko, kieby te ręce matczyne gładziły pieściwie dziecińskie gębusie.

Świątko też szczere stanęło, bo już od poobiedzia nikto w pole do roboty nie wyszedł, nawet bydło zegnali z pastwisk, że jeno poniektóra biedota swoje zamorzone karmicielki wywodziła na

postronkach, popaść kajś po miedzach lub nad rowami.

A kież słońce odtoczyło się na parę chłopa z południa, jeli się ludzie zbierać pod kościołem, wygrzewali się pod murami, przegwarzając z cicha jako ci ptakowie świergocący w klonach i lipach, co wyniosłym kręgiem jaże ku dachom kościoła sięgały gałęziami, ledwie przytrząśniętymi zielenią. Słońce przypiekało niezgorzej, jak to zwyczajnie bywa po rannym deszczu. Kobiety zestrojone świątecznie postawały kupami, a poniektóre wyglądały tęskliwie za mur, na topolową, zaś ślepy dziad siedział wraz z pieskiem we wrótniach smętarza i pobożne pieśnie wyciągał jakliwie, uszami strzygł na wsze strony i potrzasał miseczką do wchodzących.

Wyszedł rychło i Dobrodziej w komżę ubrany i stułę, z gołą głową, że mu jaże łysica błyskała w słońcu.

Pietrek Borynów krzyż ujął, bo Jambroż nie uradziłby lecieć tyła drogi, zaś wójt, sołtys i któraś z tęższych dzieuch wynieśli chorągwie, co się jęły zaraz rozwijać na wietrze, trzepać i błyskać kolorami. Michał organistów poniósł wodę święconą i kropidło, Jambroży rozdał brackim świece, a organista z książką w ręku stanął wpodle Dobrodzieja, któren dał znak, i ruszyli w cichości przez wieś okwieconą, nad stawem, jaże we wodzie cichej odbijała się cała procesya.

Sporo jeszcze kobiet i dzieci przylączało się

po drodze, zaś na ostatku młynarz z kowalem pobok księdza się dociskali.

A na samym końcu, za wszystkimi, wlekła się Agata, często pokaszłując, i ślepy dziad kolebał się na kulach, jeno że od mostu zawrócił i pono do karczmy pociągnął.

Dopiero za młynem zastawionym, bo i umączony młynarczyk przystał do kompanii, zapalili świece, ksiądz nadział czarną, rogatą czapeczkę, przeżegnał się i zaintonował: »Kto się w opiekę...«

Zawtórowali z całego serca jak kto umiał, i ruszyli wzdłuż rzeki, łąkami, kaj pełno było jeszcze kałuż, a miejscami tak grzązko, że po kostki zapadali. Osłaniając światło rękoma, rozwłóczyli się po wąskiej drożynie, kiej różaniec uwity z czerwonych, pasiastych wełniaków.

Rzeka migotała w słońcu i wila się pokrętnie wskroś łąk zielonych, nabitych kajś niekaj kępami żółtych i białych kwiatków.

Chorągwie wiały się nad głowami, niby te ptaki wielgachne żółto-czerwonemi skrzydłami, krzyż kołysał się na przedzie, a głosy rozspiewane roznosiły się zwolna w cichem, przejrzystem powietrzu, spadając na trawy, na kępy łożyn jasno zielonych, na cierniowe krze, całe w białościach kwiatów, kieby w tych gźlach przenajświętszych.

Woda pluskała o brzegi, gęsto upstrzone kaczeńcami, kieby do cichego wtóru pieśniom i oczom lecącym przed się, w dale jasnego nieba, w rzekę

rozmigotaną złotemi łuskami, w te wsie widniejące na wyżniach suchych, a ledwie znaczne w miodrawem powietrzu wstęgami sadów białło kwitnących.

Ksiądz szedł z asystą tuż za krzyżem i śpiewał wraz z drugimi.

— Coś dużo kaczek się podrywa! — szepnął, zezując na prawo.

— Przelotne, krzyżówki — odparł młynarz, patrząc za rzekę w niziny zarosłe żółtą, zeszłoroczną trzciną i olchami, skąd raz wraz podrywały się ciężko całe stada.

— I bociaków coś więcej niżli zeszłego roku.

— Mają co zreć na moich łąkach, to się z całego świata zwłóczą.

— A ja swojego straciłem, w same święta się gdzieś zapodział.

— Do stada się pewnie przyłączył, na przełocie.

— Co to jest w tych uwałowanych redlinach?

— Końskiego zęba wsadziłem całą morgę... trochę tu mokro, ale że mówią co na suchy rok idzie, to może się uda.

— Byle nie tak, jak mój zeszłoroczny: schylać się nie było po co.

— Kuropatkom się udał: sporo się ich tam wywiedło — żartował cicho.

— Juści, pan jadł kuropatwy, a moje siwki zębami dzwoniły o złób...

— Obrodzi się, to już księdzu dobrodziejowi z furkę jaką użyczę.

— Bóg zapłać, bo i koniczyna zeszłoroczna nie tęga; jeśli susze przyjdą, przepadnie! — wstchnął żałośnie i zaczął znowu śpiewać.

Dochodzili właśnie pierwszego kopca, który był tak pokryty krzami rozkwitłych tarnin, że wynosił się kiej biała kopa, nastroszona kwiatami rozbrzęczonemi pszczelnym rojem.

Otoczyli go kręgiem świateł rozchwianych, krzyż się wzniosł zatknięty w krzach, chorągwie się rozwinęły nisko pochylone, i ludzie przyklękli kołem, jakby przed ołtarzem, na którym w kwiatkach i pszczelnym brzęku, zwieszny objawił się majestat święty!...

Wraz też ksiądz odczytywał modlitwę od gradu i kropił wodą święconą wszystkie cztery strony świata: i drzewiny, i ziemię, i wody, i te głowy chylące się pokornie, cały ten świat rozdygotany cichą radością rostu, i mocy, i szczęścia, wszystko, co dołą swoją poczynąło i co martwe jest.

Naród zaszumiał nową pieśnią i podnosił się raźniej i weselniej.

Ruszyli dalej, biorąc się odrazu na lewo, wpoprzek łąk pod łagodne wzgórza. Dzieci jeno dłużej się zatrzymały, że to Gulbasiaki z Witkiem, wedle starego obyczaju, sprawiały na kopcu poniekórym chłopakom tęgą łaźnię, że podniósł się taki wrzask, jaże ksiądz im zdala wygrażał.

A za łąkami weszli na szeroki wygon grani-

czny, w gąszcz smukłych, jałowców, rosnących z kraja, jakby na straży pól rodnych. Wygon był szeroki a kręcił tędy i owędy kiej rzeka zieloną falą traw gęsto nabitych kwiatuszkami, że nawet w starych koleinach mrowiły się żółte mlecze i białe stokrotki. Kajś rozwalaty się wielkie kamionki, obrosłe w ciernie, że trzeba je było potem obchodzić, a gdzie znów stały samotnie dzikie grusze, całe we kwiatach i pszczelnym brzękiem rozśpiewane i tak bardzo cudne i święte jako te hostye, unoszące się nad polami, jaże się klękać chciało przed niemi a całować ziemię, co je na świat wydała.

A gdzie znowu brzoźka się pochylała przyodziana w bieluskie gźło i cała owionięta zielonemi, rozplecionemi warkoczami, a tak czysta i drżąca w sobie, kiej ta dziewczyna do pierwszej Komunii stająca.

Podnosili się zwolna na wyniosłość, obchodząc lipeckie pola od północy, wzdłuż młynarzowych ról, szumiących żytem.

Ksiądz szedł za krzyżem, zanim cisnęły się kupkami dziewczyny i co młodsze kobiety, zaś w końcu, w pojedynkę albo i po parze w rządku, wlekły się staruchy z Agatą, kusztującą daleko za wszystkiemi. Dzieci jeno plątały się na bokach, chroniąc się księżych oczu, bych śmieiej baraskować.

Aż wynieśli się na równię, kaj i cichość sta-
nęła większa, wiatер ustał zupełnie, chorągwie zwi-

sły, a naród się rozwlókł na staje, że jako te kwiaty widniały kobiety wśród zieleni, zaś płomyki świec drżały skrami, niby złotawe motyle.

Niebo wisało wysokie i czyste, tylko niegdzie leżała jakaś biała chmura, kieby owca na modrawych, nieobjętych polach, przez które niesło się ogromne, rozgorzałe słońce, zalewając świat ciepłem i blaskami.

Jeno pieśń się wzmogła: huknęli z całej mocy i tak rozgłośnie, jaże ptaki uciekały z drzew pobliskich; czasem kuropatka wystraszona furknęła z pod nóg, albo i zajaczek wyrывał się gdziesik z pod kotyry i gnał naoslep.

— Oziminy dobrze idą — szepnął ksiądz.

— Ba! wczoraj już piątkę w życie znalazłem.

— A któż to tak spaował?... połowa gnoju na skibach!

— Ziemniaki którejs komornicy, jakby w krowę przyorywała.

— Przecież brona wszystko wywlecze. Paskudziarze juchy!

— Dyc to parobek dobrodziejów przyorywał — wtrącił cicho kowal.

Dobrodziej się rzucił, ale zamilkł i, przyspieszając narodowi, chodził oczyma, po tym nieobjętym rozlewie pól rodnych, co pogarbione i miejscami ździebko wzdęte, jako te piersi matki karmiącej, zdały się dychać w słodkiem wzbieraniu, bych co ino przypadnie do rozwartego łona, po

żyć się mogło i przytulić, i o doli srogiej zapomnieć.

Hej! szeroko niesły się oczy, i daleko, i przestrono, że cała procesya zdała się jeno ciągiem mrówek wśród zbóż, a głosy ludzkie tyle ważyły nad polami, co te skowronkowe świergotania.

Słońce się przetaczało ku zachodowi, że już pożłociały zboża, okwiecone drzewa rzucały cienie, zaś Lipecki staw wybłyskiwał rozgorzałą szybą z obrzeży sadów, spienioną bielą kwiatów przytrząśniętych. Wieś leżała niżej, jakby we dnie miche wielgachnej a tak przysłoniona drzewami, że ino kajś niekaj dojrzał szarą stodołę; jeden kościół co się wynosił białemi murami ponad wszystko i złotym krzyżem na niebie świecił.

Zaś po prawej ręce idących rozlewały się równie, niby te nieprzejrzane wody szarozielone, z których wynosiły się wsie gęstemi kępami drzew okwieconych, krzyże przydrożne i drzewa samotnie rosące. Oczy się tam niesły jak ptaki, ale nie sięgnęły w kołującym locie innych granic, kromie tych borów czerniejących dokoła.

— Coś za cicho... aby deszcz w nocy nie przyszedł... — zaczął ksiądz.

— Nie będzie: wytarło się na dobre i chłód zawiewa.

— Rano lało, a teraz już wody ani znaku.

— Zwiesna przeciek, to w mig przesycha — wtrącił swoje kowal.

Dosięgli drugiego kopca, węglowego. Wielki

był kiej usypisko; powiedali, że pod nim leżą pobite na wojnie. Krzyż stał na nim nizki a struchlały całkiem, przystrojony w zeszlóroczne wianuszki a obraziki, ubrane firaneczkami, zaś z boku tuliła się wypróchniała, rosochata wierzba, okrywając jego rany młodem i pędami. Strasznie tu było jakoś i pusto, że nawet wróble nie gnieździły się w dziuplach, a chociaż naokół leżały rodzajne ziemie, kopiec był prawie nagi, odarte boki żółciły się piachami, że jeno rozchodniki, kiej te liszaje, czepiały się nigdzie, i sterczały suche badyłe dziewanny i szalejów łońskich.

Od moru odprawili nabożeństwo i przyśpieszając kroków, wzięli się jeszcze barzej na lewo, naskroś do topolowej drogi, mierząc pod sam las, jak wiodła wążka i wyjeżdżona mocno dróżka.

Już zwartą kupą ruszyli, tylko Agata ostała przy kopcu, kryjomo odarła szmatę z krzyża i, podążając zdala za procesyą, zagrzebywała ją strzępkami po miedzach la jakiegoś zabobonu.

Organista zaintonował litanie, ale ciągnęli ją ospale, że śpiewał ino kto niekto, w pojedynkę, bo kobiety rajcowały z cicha, rzucając jeno w potrzebnem miejscu wrzaskliwie: — »Módl się za nami« — zaś dzieciśka wyparły się na wyprzódki, i baraszkowały swawolnie, jaże Pietrek Borynów, obzierając się na proboszcza, mruczał, ześlony:

— Obwiesie juchy! zbereźniki!... bo jak pas spuszcze!

Ksiądz, znużony już sielnie, pot ocierał z ły-

sicy, a rozglądając się po sąsiednich rolach, pogadywał z wójtem:

— Ho, ho! tym już groch powschodził...

— A prawda!... wczesny być musi, rola doprawiona i idzie kiej bór.

— Ja siatem jeszcze na Palmową, a dopiero kły puszcza.

— Bo u dobrodzieja na tym dołku zimnica, a tu grunt cieplejszy.

— I jęczmiona już im powschodziły, a równe jakby siewnikiem posiane.

— Modliczaki dobre gospodarze, na dworską modę w polu robią.

— Tylko na naszych polach ani znaku jeszcze owsów i jęczmionów.

— Spóźnione wszystko, deszcze też przybiły, że nie prędko się ruszą.

— I spaprane, że niech Bóg broni! — westchnął ksiądz żałośnie.

— Darowanemu koniowi w zęby nie zaglądają — zaśmiał się kowal.

— Te, wisusy, uszy poobrywam, jak nie przestaniecie! — krzyknął proboszcz na chłopaków, śmigających kamieniami za stadkiem kuropatw, szorujących wpoprzek zagonów.

Przycichły zagnała rozmowy, chłopaki przywarły po brózdach, organista znów jął beczeć, kowal zawtórował, jaże w uszach zawierciało, a cieniurskie głosy kobiet podniosły się jęklwym chórem, że litania rozwiekła się nad polami, niby ten

ciąg ptaków zmęczonych długim lotem i już zwolna i coraz niżej opadających.

Parli się tak wśród pól zielonych, długim i rozśpiewanym zagonem, że ludzie, pracujący na modlickich polach, a nawet i na dalszych, podnosili się od roboty, czapy zdejmując, to przyklękając na zagonach, gdzie zaś bydło zaryczało, podnosząc ciężkie, rogate łby, a kajś znowu spłoszony żrebak odbiegł maci, w cały świat gnając.

Ze staje mieli jeszcze do trzeciego kopca i figury przy topolowej, gdy ktosik wrzasnął z całych sił:

— Chłopy jakieś z lasu wychodzą!

— A może to nasi?

— A nasi! nasi! — buchnęło z kupy, i kilkanaścioro rzuciło się naprzód.

— Stać! Nabożeństwo pierwsze — nakazał ostro ksiądz.

Juści że ostali, przedeptując z niecierpliwości. Zbili się jeno barzej w kupę stowarzyszając jak popadło, bo każdego dziw nie podrywało z miejsca, ale ksiądz nie puścił, przyśpieszał jednak kroku.

Wiater skądciś zawiął, że świece pogasły, choraągwie zatrzepały, i żyta, krze i ukwiecione drzewa jęły się kolebać, jakby kłaniając i do nóg się chyłąc procesyi. Ale naród, choć śpiewał coraz głośniej, w dyrdy już sunął i oczy wpierał w bór niedaleki, między drzewa przydrożne, kaj już wyraźnie bieleły się kapoty chłopskie.

— Nie pchajcie-że się, głupie: chłopcy wam nie uciekną! — zgromił ksiądz, bo mu już następowały na pięty, tłocząc się jedna przez drugą.

Hanka, co była szła w rzedzie z najpierwszemi gospodyniami, aż krzyknęła, dojrzwawszy kapoty. Wiedziała przeciek, jako tam Antka nie zobaczy, a mimo to zatrzęsła się radością, i pijana zgoła nadzieja rozsadzała jej duszę, że zesza na bok, w bródę i oczy wypatrywała...

Zaś Jagusia, idąca w podłe matki, porwała się z miejsca, bych lecieć; ognie ją przejęły i taki dygot, co zębów nie poradziła zewrzeć; a drugie kobiety też nie mniej się rwały ku tym wytęsknionym. Jeno poniektóre dzieuchy i chłopaki nie wstrzymały długo, bo naraz chlasnęły z kupy, kiej woda z cebra wstrząśniętego, i mimo wołań, pognały na przełaj do drogi, jaże im łysty bieleły.

Procesya rychło dosięgła krzyża Borynów, za którym tuż zaraz był kopiec, na skraju ziem lipeckich i dworskiego boru.

Chłopy już tam stały kupą w cieniu brzóz wielgachnych, stróżujących przy krzyżu; zdala już odkrywali głowy, i oczom kobiet pokazały się łube twarze mężów, ojców, braci a synów utęsknionych, twarze pochudłe, wymizerowane a pełne radości, pełne uśmiechów szczęścia.

— Płoszki! Sikory! Mateusz! Kłab! I Gulbas! I stary Grzela! I Filip! Mizeraki kochane! Biedota! Jezus Marya, Matko przenajświętsza! — rwały się wołania i pokrzyki a szepty gorące i już oczy

gorzały radością, już się ręce wyciągały, już tłumione płacze kwiliły i krzyk nabrzmiwał w gardzielach, już ponosiło wszystkich, ale ksiądz jednym gromkiem słowem powstrzymał i uciszył naród, a dowiódłszy pod krzyż, czytał spokojnie modlitwę »od ognia«; jeno, czytał wolno, bo niechcący a ciągiem obzierał się na strony i pocziwami oczyma chodził po twarzach wynędzniałych.

Wszyscy też przyklęknęli w półkole i wraz z żarliwą i dziękczynną modlitwą łzy płynęły z oczu, uwieszonych na Chrystusie przybitym. Dopiero kiej zakończył i wodą skropił głowy chyłące się do ziemi, zdjął rogatą czapeczkę i wesoło a w cały głos huknął;

— Niech będzie pochwalony! Jak się macie, ludzie kochane!

Juści co chórem odkrzyknęli, cisnąc się do niego kiej te owce do pasterza, a w ręcę całując, a za nogi obłapiając, a on ci każdego brał do serca, po głowach całował, po zbiedzonych twarzach głaskał, troskliwie pytał i z dobrem słowem odpuszczał, aż utrudzony siadł pod krzyżem, pot obcierając i te łzy pocziwe.

A naród skotłował się kiej ten wrzątek kipiący.

Buchnęła wrzawa, śmiechy, cmokania, płacze radosne, dziecińskie jazgoty, gorące słowa i szepoty, krzyki, co jak śpiew się wydierały z serc uszczęśliwionych, wołania tęsknic znagła zapomnianych; każda swojego na stronę odciągała i ka-

żden, kiej ten chojak, kolebał się w pośród krzy w kupie kobiet i dzieci, w radosnej wrzawie gwaru i płaczów... Dobrze że dwa pacierze trwały powitania i byłyby się przeciągnęły do nocy, aż ksiądz się spamiętał że pora i dał znak.

Ruszyli do ostatniego kopca, drogą wzdłuż lasu, niskimi zaroślami jałowców i sośnianej młodzi.

Ksiądz zaśpiewał: »Serdeczna matko«, a wszystkie, jak jeden człowiek zawtórowali wielkim głosem, aż bór zajęczał i echami oddawał, wesele bowiem przepełniało duszę, taką moc dając pierśom, że śpiew zrywał się kiej burza wiośniana i chlustał nad bory słupem rozognionych uniesień...

A że sporo narodu przybyło, to już zapchali całą drogę, szli także i borem między drzewami, szli i nad polami, że całe podlesie zaroilo się ludźmi a hukalo pieśnią niebosięzną.

Jeno co rychło, śpiew opadł kiej chmura, gdy już pierun ze siebie wypuści, że tylko ci ze samego przodka jeszcze nutę wyciągali, mnogim zaś zrobiło się pilno zgwarzać ze swojemi. Ciąg się też porwał i rozpierzchał na strony, chałupami szli, wielu dzieci pomniejsze na ręce wzięło, drugie a co młodsze parami szli, cosik se rozpowiadając, a insze już się w gąszcz wywodzili, od ludzkich oczu, zaś dzieuchy spłoniome kiej wiśnie, przywierały do swoich chłopaków, nie bacząc na nikogo. A kiej niekiej, snadź la ulżenia sobie

w kuntentnościach, śpiewem znów gruchali rozgłośnym, jaże wrony z gniazd wylały na pola, jaże świece gasły od pędu, a bór odhukiwał zwolna i belkotał kieby z tej głębokiej, nieprzejrzanej gardzieli.

To cichość się rozpościerała, że ino tupot nóg się rozlegał i pryskały w gąszczach rozognione śmiechy, ściszone słowa lub te pacierze staruch, mamrotały jęklowymi nawrotami.

Zachód już nadchodził, niebo się wyniosło, jakby wzdymając w rozzłoconą, szklaną banię, że jeno kilka chmur przesiąkniętych czerwienią mdało w sinych wysokościach, słońce zesunęło się na sam wrąb i nad borami zawisło, a wśród pni ogromnych, w zielonych podszyciach roztrzęsały się brzaski złotawe, zaś na polanach samotne drzewa zdały się żywym ogniem płonąć, rozgorzały wody, przytajone w gąszczach i cały bór jakby w ogniach stanął i w krwawych dymach, że tylko miejscami, kaj wyniosłe chojary stały zwartą gęstwą i kieby chłopcy wsparte o się ramionami, tam czarne mroki zalegały, a i to jeszcze prześwietlone niegdzie tym dżdżem słonecznym.

Bór pochylał się nad drogą i na pola zdał się patrzeć, wygrzewając w zachodzie czuby wielgachne, a stał tak cichusko, iż kucie dzięciołów trzaskało przenikliwie, kukulka gdziesik kukła zawzięcie, a z pól dochodziły ptasie świergotania.

Droga kręciła się miejscami samą krawędzią pól, że chłopcy, przestawali opowiadać i cisnąć się

nad brózdą przydrożną, szli pochyleni, obejmując oczyma te niwy zielone, kaj gęsto kwitnące drzewa gorzały w zachodzie, te długie zagony, co wlekły się ku nim pokornie, te, kiej wody ździebko rozkolebane pola ozimin, chylące się jakby pod nogi gospodarzom z chrzęstem radosnym. Żarli ci też ślepiami tę mać żywicielkę, że niejeden się żegnał, niejeden »Pochwalony« mówił, czapę zdejmując, a zaś wszystkim zarówno dusze klękały w niemej, gorącej czci przed tą świętą i utęsknioną.

Juści, co po tych pierwszych przywitaniach, nowe gwary się podniosły i nowe radoście rozpierały serca, jaże chciało się niejednemu huknąć po lesie, albo i przypaść do tych zagonów i zapłakać.

Tylko Hanka poczuła się jakby za całym światem. A toć tuż przed nią, i za nią, i wszędy, chłopcy szły szumno, a kiele każdego kobiety i dzieci tulą się radośnie, niby te krze wątle, a toć gwarzą, cieszą się, w oczy sobie zaglądają, cisną się do siebie, a ona jedna przemówić nie ma do kogo! Cały naród wre ukropem radości niepowstrzymanej, a ona choć idzie w pośrodku, tak się czuje opuszczona i nieszczęsna, jako to drzewo usychające w gąszczach, na którem nawet wrona gniazda nie uwije, ni żaden ptak nie przysiądzie. Nawet mało kto ją przywitał — jakże! każdemu było pilno do swoich... co im tam ona?... a ty-lachna ich wróciło... nawet Kozieł, że znowu będzie trzeba pilnować komory i chlewy zamykać...

nawet i te największe buntowniki: Grzela wójtów brat i Mateusz... Antka jeno nie puścili... może go już nigdy nie zobaczy...

Nie, nie mogła już wytrzymać, bo te rozmysły przygniatały ją kieby kamienie, że ledwie nogi zbierała, ale szła z głową podniesioną, harda na oko i pyszna jak zawdy. Kiej zaśpiewali, śpiewała z drugimi donośnie; kiej modlitwę ksiądz zaczynał, pierwsza powtarzała zbieletemi wargami, jeno w tych długich przerwach, gdy posłyszała wokoło ściszone od żarów szepty, wpierała ciężkie oczy w krzyż błyszczący i szła, strzegąc się jeno tych łez zdradzieckich, co jak złodzieje wymykały się niekiedy z pod rozpalonych powiek... Nie poważyła się nawet pytać o Antka — jeszcze bych się mogła wydać z męki przed ludźmi!... Nie, nie, tyle znieśła, to i więcej przemoże, przecierpi... udźwignie... Nakazywała sobie, czując zarazem, jak w niej łyzy piekące wzbierają, jak żal za gardziel dusi, mrokiem przesłaniają się oczy, i jak ta męka rośnie z minuty na minutę.

Nie samać jedna tak biadoliła nie, boć i Jagusia czuła się nie lepiej: szła ona z osobną, przemykając się lękliwie, kiej ta sarna spłoszona. I ją ponieśli radoście, że pobiegła naprzeciw i prawie pierwsza chłopów dopadła, a nikto do niej nie wyskoczył, nikto nie przytulił, i nie całował. Jeszcze zdala dojrzała Mateuszową głowę nad insze wyniesioną, więc ku niemu rzuciły się jej oczy rozgorzałe, ku niemu porwały ją nagle

dawno już zapomniane tęsknoty, że przepychała się przez ciżbę z wrzaskiem radosnym. Ale on jakby jej nie dojrzał... Nim go dosięgła, już matka wisiała mu na szyi, Nastusia wpół trzymała i młodsze dzieci wieszały się dokoła, zaś Tereska żołnierka, czerwona jak burak, rozbeczana, trzymała go za rękę, nie strzegąc się już oczu niczych.

Jakby ją kto wodą zimną oblał, że wypadła z kupy i w las pognąła, sama nie wiedząc co się z nią wyprawia. Jakże to, miała straszną ochotę poczuć się w gromadzie i ścisku, w tej przejmującej wrzawie powitań, chciała się cieszyć jak i drugie; przeciek, kiej wszystkie, miała serce pełne żarów i gotowe do uniesień i szlochów radosnych, a oto sama iść musi, zdala od ludzi, niby ten pies oparszywiały.

Rozdygotała się też ciężkim żalem, ledwie już łązy wstrzymując a wyrzekania, i wlekła się jako ta chmura posępna, co to leda chwila deszczem rzęśistym zapłacze.

Parę razy próbowała uciekać do dom, ale nie poredziła: żal jej było ostawiać procesyę, to i plątała się potem pomiędzy ludźmi, jak ten Łapa szukający w ciżbie swoich gospodarzy. Nie ciągnęło jej do matki ni do brata, któren przemysłnie zagubiał się w jałowcach i kole Nastusi kółował, a kto drugi też się z nią nie stowarzyszył, zajęty swojemi. Aż w końcu złość ją zatrzęsła,

że byłaby z lubością puściła kamieniem w całą kupę i w te rozradowane, śmiejące się gęby.

Szczęściem, że już wychodzili z boru.

Ostatni kopiec stał na rozdrożu, skąd jedna z dróg skręcała prosto ku młynowi.

Słońce już zachodziło i zimny wiatr powiał z nizin, ksiądz przyśpieszał nabożeństwo, że to i Walek czekał na niego z bryczką.

Śpiewali ta jeszcze coś niecoś, ale już wszystko szło na rzadki pytel, bo utrudzeni byli, zaś chłopcy rozpytywały z cicha o folwarek spalony we święta, którego rumowiska okopcone sterczały niedaleko, a przytem i na dworskich polach działy się ciekawości.

Dziedzic ano skakał po zagonach na swojej bułance za jakiemiś ludźmi, jakby rozmiarzającemi role długimi prętami, a zaś przy krzyżu, na rozwidleniu dróg i kole stogów spalonych widniały bryki żółto malowane.

— Co to może być? — zauważył ktosik.

— Juści co pole wymierzają, jeno że to nie omentry.

— Kupce pewnikiem, nie wyglądają na chłopów.

— Na Miemców patrzą.

— Pewnie: kapoty granatowe, faje w zębach i portki na cholewach.

— Rychtyk podobni do Olendrów z Grünbacha.

Szeptali, oczy wytrzeszczając ciekawie, ale ja-

kiś głuchy niepokój zaczął przejmować gromadę, że nawet nie spostrzegli, jak kowal wyniósł się cichaczem i prawie chyłkiem, brózdami, przebiegał się ku dziedzicowi.

— Podlaski folwarek kupują, czy co?

— Już we święta powiadali, co dziedzic ogląda się za kupcami.

— Ale niech ręka Boska broni od miemieckich somsiadów!

Poniechali rozważań, bo skończyło się nabożeństwo, i ksiądz wsiadał na bryczkę wraz z organistami.

Naród się rozbił na kupy i zwolna pociągnął do wsi, rozwlekli się po drodze, to miedzami szli gęsiego, jak ta komu bliżej było do chałupy.

Słońce już zaszło i mroczyło nad ziemią, na zielonkawem zaś niebie rozżarzały się zorze ogniaste. Z łąk za młynem ruszały się białe opary, rozwłócząc kieby przędzę na wszystkie niziny. W cichości, jaką się przyodziewał świat, jeno bociek klekotał gdziesik rozgłośnie.

Bo nawet głosy ludzkie pogasły i cała procesja wsiąkała zwolna w pola, że jeno niegdzie czerwieniał wełniak, lebo białe kapoty mgliły się w zapadających, modrawych cieniach.

A pokrótce wieś jęła się napęlniać i rozbrzmiewać, bo już wszystkimi stronami a gwarnie walili, każdy zaś chłop krzyżem świętym witał dawno niewidziane progi, a niejeden na ziem rymnął przed obrazami, w głos rycząc ze szczęścia.

Ponowiły się witania, a babie i dziecińskie jażgoty, a opowiadania, przerywane wybuchami gorących całunków i śmiechów.

Kobiety, rozgnione i jakby oszalałe z wrzasku, jęły usadzać swoich nieboraków przed michami, podtykając im jadło i niewoląc ze wszystkiego serca.

Że i krzywd zapomnieli, i pamięci bied i długich miesięcy rozłąki się zbyli, bo każdy z całego serca cieszył się powrotem i swojami, które raz po raz obłapiał i do serca przyciskał, a o różności wypytywał.

Kiedy zaś już sobie podjedli do sytu, ruszyli gospodarki oglądać i radować się dobytkiem, że choć już dobrze ściemniało, a łazili po obejściach i sadach, lewentarze poklepując, albo i tykając palcami obwisłe pod kwiatem gałęzie, kieby te kochane, dziecińskie główiny.

Że już i nie opowiedzieć jakim weselem rozgorzały Lipce.

Tylko u jednych Borynów było zgoła inaczej.

Dom ostał prawie pusty, Jagustynka poleciała do swoich, Józka też z Witkiem poniesła się kaj ludniej było i weselej, że jedna Hanka chodziła po ciemnej izbie, pohuśtując na ręku dziecko kwilące i już puszczając wodzę żalom i bolesnym, palącym łzom.

Jeno że i w tem nie ostała dzisiaj sama jedna, bo ano Jaguś tak samo ciskała się w mrocznem obejściu, rychtyk temi samemi smutkam

szarpana i tak samo tłukąc się, kiej ten ptak o klatkowe pręty.

Tak się już bowiem spleťło dziwnie.

Jagna przyleciała jeszcze przed drugimi, a chociaż mroczna była kiej noc i rozeźlona, rzuciła się do roboty, robiła co ino jej wpadło pod oczy, za wszystkich; wydoiła krowy, napoiła cielaka, nawet świniom żarcie poniesła, jaże Hanka zdumiała się, ledwie wierząc własnym oczom. A ona, nie bacząc na nikogo, pracowała, jakby się chcąc zarobić i tak umęczyć, by zapomnieć krzywdy jakiejś i zabić w sobie smutki a żale.

Ale cóż, choć ręce mdlały z utrudzenia i krzyż dziw nie pękał, łzy i tak ciągiem stały jej w oczach i często palącym sznurem ciekły po twarzy, a w duszy krzewił się coraz bujniejszy i sroższy smutek.

Zapłakane oczy nic nie widziały wpodłe siebie, nawet Pietrka, któren już od samego przyjsia na krok jej nie odstępował i, pomagając, zagadywał zcicha i rozżarzonemi ślepiami obejmował a przycierał się nieraz tak zbliżka, jaże bezwolnie się odsuwała. Aże przyszło do tego, że kiej w stodole nabierała w opałkę sieczki, chwycił ją wpół, do siasieka przypierał, mamrocząc co-sik i do jej warg chciwie sięgając...

Nie sprzeciwiła się, nie miarkując do czego idzie i dając się na jego wolę, jakby nawet rada temu, że ją jakaś moc pojena i ponosi, ale skoro ją rzucił na słomę i poczuła na twarzy jego wilgotne wargi, porwała się niby wicher i odrzu-

ciła go precz kiej ten wiecheć, jaże bęcnął na klepisko...

Słaszna złość ją zatrzęsła.

— Ty pokrako zapowietrzona!... ty świniarzu!... Poważ się jeszcze kiej mnie tknąć, to ci kulasy poprzetrącam!... Dam ja ci jamory, jaże się juchą oblejesz!... — krzyczała, rzucając się z grabiami.

Ale wnet zapomniła o wszystkim, i pokończywszy obrządki, do chałupy poszła.

W progu natknęła się na Hankę: zajrzały sobie w oczy, przeszkłone łzami a bólem ocieężałe, i śpiesznie się rozbiegły.

Z obu izb drzwi stały wywarte do sieni, i w obu już się paliły światła, że co chwila, jakby z niewytlomaczonego musu, spozierały zdala na siebie.

Zaś potem, narządzając wspólnie kolację, kręciły się z blizka siebie, ale żadna nie puściła pary, żadna i słowa nie powiedziała, jeno kryjomo, kiej złodzieje, chodziły za sobą ślepiami. Juści, dobrze wiedziały co każda dzisiaj cierpi, że często złe i mściwe oczy przyskakiwały do siebie, kiej noże ostre, a zaciśnięte nieme usta mówiły urągliwie:

— Dobrze ci tak! dobrze!

Ale przychodziły i takie chwile, że zaczynało im być siebie żal, że byłyby zagwarzyły przyjaźnie, że każda ino czekała zaczepki, by odrzeknąć pocziwem słowem, że nawet przystawały wpodłe, zezując ku sobie wyczekując, gdyż ustępowała zawziętość, przymierały zadawnione gniewy, a pospólna dola i opuszczenie kłoniły je ku sobie co-

raz bliżej... jeno co nie skłoniły, bo zawdy je co-sik powstrzymywało: to płacz dziecka, to wstyd jakiś, to nagłe ocknienie w pamięci krzywd, jaże i w końcu rozniosło je daleko, i zawziętość znowu w sercach zawrzała, złości sprężyły dusze i oczy poczęły się żgać błyskawicami nienawiści.

— Dobrze ci tak! dobrze! — syczały zcicha, prążąc się ślepiami, znowu gotowe do kłótni, do bitki nawet, bych całą złość wyrzucić na drugiej.

Na szczęście, do tego nie przyszło, bo Jagusia zaraz po kolacyi wyniesła się do matki.

Wieczór był ciemny, ale cichy i ciepły; gwiazdy jeno rzadka przebłyskiwały w płowych głębokościach; na moczarach leżały białe, grube kożuchy oparów, żaby zaczynały rehotąć, a niekiedy zabłakało się jęklive kwilenie czajek. Ziemię zaś otulały mroki, że jeno kajś wynosiły się na jaśnię nieba drzewa pospane, sady szarzały jakby wapnem skropione, a bijące zapachami niby z trybularzów rozżarzonych; wiśniowy kwiat pachniał, i bzy ledwie rozłtałe, pachniały zboża, wody i te ziemie przewilgocone, a każdy kwiat czuć było z osobna, i wszystkie razem wionęły upajającym słodkim zapachem, jaże w głowie się kręciło.

Wieś jeszcze nie spała, ciche pogwary trzęsły się od progów i przyźb, tonących w ciemnościach, zaś drogi przysłonione cieniami drzew, a jeno niegdzie porzniete świetlistemi pręgami, z okien bijącemi, mrowiły się od ludzi.

Jaguś niby to do matki zmierzała, a jęła krę-

cić nad stawem, kołować, przystając coraz częściej, bo prawie co krok natykała się na jakąś parę, mocno splecioną i cicho gwarzącą.

Spotkała i brata z Nastusią: trzymali się w pół całując zapamiętale.

Wlaza też niechcący na Marysię Balcerkównę z Wawrzkim: gdziesik pod płótem, w grubym cieniu stojali, przytuleni do siebie i o Bożym świecie niewiedzący.

Rozpoznała po głosach i drugie, że z każdego cienia nad wodą, z pod płotów, zewsząd roznosiły się szepty, dyszące słowa, upalne westchnienia, jakieś dygoty i szamotania. Cała wieś zdała się wrzeć ukropem miłowań i lubością, że nawet i te skrzaty ledwie odrosłe, a i to wodziły się z chłopakami, gząc się a przeganiając po drogach.

Obmierzło jej to nagle, że wzięła ich wymijając kierując się prosto do matki, ale przed domem spotkała się oblicznie z Mateuszem; nie spojrzał nawet na nią, mijając kiej to drzewo; wiódł się z Tereską, trzymając ją w pół i cosik jej prawiąc... Przeszli, a ona jeszcze słyszała ich głosy i przytłumione śmiechy.

Zawróciła nagle i już w dyrdy, jakby goniona przez wszystkie psy, uciekała do chałupy.

A wieczór cichy, wiośniany, pachnący, nabrzmiały radością powitań, przejęty świętą cichością szczęścia, płynął niepowstrzymanie.

Gdziesik w nocy, w rozpachnionych sadach czy na polu, fujarka zaświergotała tęskną nutą,

jakby do wtóru tym szeptom, i całunkom, i radościom.

Zaś na moczarach żaby zarehotały wielkim chórem, niekiedy jeno przerywanym, a drugie, we stawie przymglonym kiej oko zasypiające, odpowiadały im przeciągłym, sennem, coraz cichszem hukaniem... aż dzieci, baraszkujące po drogach, jęły się z niemi przemagać i krzyczeć, przekomarzając:

Reh! reh! reh!

Bocian zdechł!

Ja rada, ty rada, obie my rade!

Rade! rade! rade!...

.

VIII.

Dzień wstawał cudny, ciepły a jędrny, niby ten chłop dobrze wyspany, któren, ledwie przecznąwszy na równe nogi się zrywa i szepcąc pacierze, trąc oczy a ździebko poziewając, za robotą się rozgląda.

Słońce wschodziło pogodnie; czerwone i ogromne, zwolna wtaczało się na wysokie niebo, jakoby na to pole nieobjęte, kaj w sinych oprzędach mgieł leżały nieprzeliczone stada białych chmur.

I wiater się już wałęsał po świecie, kieby ten gospodarz, budzący wszystko na świtaniu; przegarniał zboża pomdłałe, dmuchał we mgły, że rozpierzchały się na wsze strony, targał obwisłemi gałęziami, kajś na rozstajach huknął, to chyłkiem przebrał się ku uśpionym jeszcze sdom i rymnął w gąszcze, że z wiśni posypał się ostatni okwiat i kiej śnieg trząśł się na ziemię, kiej łyzy na wody stawu padał.

Ziemia się budziła, ptaki zaśpiewały w gniazdach, drzewa też jęły szemrać niby tym pacie-

rzem pierwszym; kwiaty się otwierały, podnosząc do słońca ciężkie, zwilgocone i senne rzęsy, a lśniące rosy sypały się gradem perlistym.

Długi a luby dygot zatrząsł wszystkiem, co znowu się budziło do życia, zaś gdziesik z ziemie, ze dna wszelkiego stworzenia, buchnął niemy krzyk i jak głucha błyskawica przeleciał nad światem, jak kiedy człowieczą duszę w twardym śpiku zmora dusi, że targa się, stracha, zamiera, aże raptem oczy ozewrze na słoneczną światłość i krzykiem szczęsnego oniemienia dzień wita i to, że między żywemi jest jeszcze, niepomna jako to nowy dzień trudów a boleści, jak wczoraj było, jak z jutrem przyjdzie, jak zawdy będzie...

Więc i Lipce jęły się budzić i rażno zrywać na nogi; niejedna głowa rozczochrana wyzierała, wodząc zaspanemi oczyma po świecie; kajś już się myli przed chałupami, to po wodę do stawu wypadały rozdzielane jeszcze kobiety, ktosik drwa rąbał; wozy też wytaczano na drogę, dymy niekajś wykwiwały z kominów, a tu i owdzie roznosiły się krzyki na leniących się wstawać.

Rano było jeszcze, słońce ledwie co na parę chłopa wyniesło się nad wschodem i z boku, przez mroczone sady, bodło czerwonymi płomieniami, a już ruchano się wszędy galanto.

Wiater się kajścić zapodział, że w lubej ci chości wszystko się syciło rzeźwym, pachnącym porankiem, słońce grało we wodach i rosy skapywały z dachów sperlonemi sznurkami, jaskółki

smigały w czystym powietrzu, boćki leciały z gniazd na żer, kokoty piały po płotach, wytrzepując radośnie skrzydłami, a gęsi z gęgotliwym krzykiem wywodziły młode na staw zczzerwieniony. Bydło ryczało po oborach, zaś wszędy przed progami a w opłotkach doili pośpiesznie krowy i z każdego obejścia wyganiali inwentarze na drogi, że szedł kolebiąco, rycząc przeciągle a cochając się o płoty i drzewa, zaś owce z zadartemi łbami, pobekując, cisnęły się środkiem drogi w tumanie kurzu. Spędzali wszystko na plac przed kościołem, kaj paru starszych chłopaków na koniach, trzaskając batami a klnąc siarczyście, oganiało rozłazące się stado i wrzeszczało na opóźnionych.

A kiej ruszyli, wtlaczając się na topolowej, bo jaże pod lasem leżały wspólne pastwiska, przykryła ich kurzawa orosiąła i czerwono mieniąca się w słońcu, że jeno beki owiec i pieskowe szczekania rwały się z ciężkich tumanów, znacząc drogę kaj się podzieli.

Zaś pokrótce za niemi i gęsiarki wypędzały białe, rozgęgane stada, to ktosik cielną krowę wiódł na miedzę, albo konia spętanego prowadził za grzywę na ugory.

Ale i potem niewiele się przyciszyło, że to wieś jęła się szykować na jarmarek. Było to jakoś w tydzień po powrocie chłopów z kreminatu.

Wszystko już w Lipcach wracało zwolna do dawnego, jakoby po tej burzy srogiej, co szkód

narobiła niemałych, że naród, ochłonawszy z trwogi, wyrzekając a żaląc się na dołę, imał się po ździebku pracy wetujacej.

Juści, co nie szło jeszcze jak było iść powinno, chociaż chłopcy już ujęły rządy w swoje kwarde ręce, jeszczech się bowiem lenili niecoś poranić, do późna nieraz wylegując się pod pierzynami; jeszczech niejeden często gęsto do karczmy zaglądał, niby to nowin zasięgając w sprawie; jeszcze ten i ów pół dnia przewałęsał po wsi i przegadał z kumami, a zaś drugie spychali jeno co pilniejsze roboty, boć niełacno było po tylem próżnowaniu brać się na ostro — ale już co dnia przemieniało się na lepsze, co dnia puściej robiło się w karczmie i po drogach i co dnia gęsciej mus chytał za łby i przyginał do ziemi, do ciężkiej, znoonej pracy zaprzęgając.

Że zaś dzisiaj akuratnie wypadał jarmarek w Tymowie, to mało kto do roboty wychodził, szykując się na niego.

Przednowek wcześniej latoś zawitał i tak ciężki, jaże skwierczało po chałupach, więc co jeno kto miał jeszcze do przedania, śpiesznie wyprowadzał, zaś drugie szły la zgwarzenia się ze somsiady, la obaczenia świata i wypicia choćby tego kieliszka.

Każden miał swój frasunek, a kajże się to naród pocieszy, wyżali, skrzepi a nowin dowie, jeśli nie na jarmarku lebo na odpusćcie?..

Więc skoro powypędzano inwentarze na paszę,

zaczęli się zbierać, rychtować wozy, a wychodzić, kto piechty iść musiał.

Biedota ruszyła najpierwej, bo Filipka z płaczem pognała sześć starych gęsi, oderwanych od młodzi, ledwie co porosłej, że to chłop zachorzał po powrocie i do garnka nie było co wstawić.

Któryś też z komorników ciągnął za rogi jałowicę, co się była teraz na zwiesnę pognała... Że zaś bieda ma długie nogi a ostre pazury, to Grzela z krzywą gębą, choć na ośmiu morgach siedział, a dojną krowę poprowadził na powrósle, somsiad zaś jego, Józek Wachnik, maciorę z prosiętami popędzał.

Ratowały się chudziaki jak jeno mogły, bo już niejednego tak przypierało, że ostatnią koninę wywodził, jak to Gulbas musiał, sprocesowała go bowiem Balcerkowa za piętnaście rubli, które był kiedyś pożyczył na krowę i teraz gotowym wyrokiem groziła, że wśród płaczów całej rodziny a wyrzekań i gróźb, siadł nieborak na kasztanka i przedawać go pojechał.

Wozy się zwolna wytaczały jeden za drugim, boć i gospodarze wywozili co któren miał, gdyż wójt o podatki wołał i karami straszył, zaś gospodynie też się wybierały ze swoim dobrem, że często gęsto kokoszki gdakały z pod zapasek lub tęgi gęsiór zasyczał z wasągą, a drugie piechty idące, jajka niesły w chustach, to masło, kryjomo przed dziećmi zbierane, a poniektóre to i święteczne wełniaki lub zbędne płótna dźwigały na plecach

Bieda ano popędzała, a do żniw, do nowego, było jeszcze daleko.

Tak się wszystkim śpieszyło, że nawet msza odprawiała się dzisiaj znacznie wcześniej. Jenó parę kobiet klęczało przed ołtarzem, nie mogąc nadążyć za księdzem, bo ledwie odmówiły na Podniesienie, a już Jambroż gasił świece i kłuczami podzwaniał.

Tereska żołnierka, która z jakąś sprawą przyszła do proboszcza, trafiła rychtyk, kiej już wychodził na śniadanie. Nie śmiała go jużci zaczepić, więc jeno stanęła pod sztachetami, wypatrując kiej się na ganku pokaże. Nim się jednak zebrała przystąpić, siadł na bryczkę i przykazywał ostro ruszać do Tymowa.

Westchnęła żałośnie, długo patrząc na topolową, kaj kurz wisiał i szarą chmurą kładł się na pola; wozy turkotały coraz dalej, a ino czerwień kobiet, ciągnących gęsiego nad drogą, mignęła niekiedy między drzewami.

Lipce ścichły pokrótce, młyn nie turkotał, kuznia stała zamknięta i drogi do cna opustoszały, bo kto ostał, dłuwał cośik w obejściach i na ogrodach za chałupami.

Tereska, sielnie zfrasowana, wróciła do domu.

Mieszkała za kościołem, pobok Mateusza, w chałupinie o jednej izbie z półsionką, gdyż drugą przy działach brat oderznął i przeniósł na swój grunt, że kiej rozcięte wpoprzek żebra ster-

czały przepiłowane ściany i dach, przypierające do okopconego komina.

Dojrzała ją z proga Nastka, że to ino wązki sadek ich dzielił.

— No cóż? co ci wyczytał? — zawołała biegnąc ku niej.

Tereska z przełazu opowiadała co ją spotkało.

— A możeby organista przeczytał?... pisanę musi poredzić.

— Juści co poredzi, ale jak tu z gołemi rękoma iść do niego?

— Weź parę jajków.

— Matka wszystkie ponieśli do miasta; kacze ino zostały.

— Nie turbuj się: weźmie on i kacze.

— Poszłabym, a czegoś się boję! Bym to wiedziała co tu napisane! — Wyjęła z za gorsu list od męża, któren był jej wójt przywiózł wczoraj wieczorem z kancelaryi. — Co tam może stoić?

Nastka wzięła jej z rąk zaczerniony papier i przykucnąwszy pod przełazem, rozpostarła go na kolanach i znowu z niemałym trudem próbowała odczytywać. Tereska przysiadła na żerdce i wsparłszy brodę na pięściach, patrzyła z lękiem na te jakieś kreski, z których tyle jeno Nastka wysylabizowała, że pochwalony stało na początku.

— Nie rozbiere więcej, to darmo. Mateusz toby pewnikiem poredził.

— Nie, nie! — poczerwieniała strasznie i ci-
cho ją prosić: — Nie mów mu o liście, Nastuś,
nie powiadaj...

— Żeby drukowane, to na każdej książce prze-
czytam, litery znam dobrze i baczę, jaka która
jest, ale tutaj niczego złożyć nie poredzę: same
jakieś kulasy i wykrętasy, jakby muchę uwalaną
w czernidle puścił kto na papier.

— Nie powiesz, Nastuś, co?

— Dyc już ci wczoraj rzekłam, że nic mi do
waju. Wróci twój z wojska, to i tak wszystko
musi się wydać! — rzekła, powstając.

Tereska jakby się zachłysnęła płaczem, że ino
robiła gardłem, słowa nie mogąc wydobyć.

Nastka cosik zeżłona odeszła, kury zwołując
po drodze, a Tereska, zawiązawszy w węzelek
pięć jajek kaczych, powlekła się do organisty.

Ale nieletko jej być musiało, przystawała co
trocha i kryjąc się w cienie, z bojaźnią wpatry-
wała się w niezrozumiałe litery listu.

— A może go już puszczają?..

Trwoga chwyciła ją za gardło, nogi się ugi-
nały, serce się tak rozpaczliwie tłukło, że przyci-
skała się do drzew, zapłakanemi oczyma biegając
jakby za ratunkiem.

— A może ino o pieniądze piszel

Szła coraz wolniej; męzowy list tak jej ciężył
a parzył, co ciągiem przekładała go z za gorsu
do rąk i aż w róg chustki zawinęła.

U organistów jakby nikogo nie było: drzwi

stały powywierane do pustych izb, że tylko w jednej, kaj okno było przysłonięte spódnicą, ktosik chrapał rozgłośnie z pod pierzyny. Z nieśmiałością przesunęła się przez sień, rozglądając się po podwórzu, tylko dziewczka siedziała przed kuchnią z kierzanką między kolanami, masło wybijając i oganiała się gałęzią przed muchami.

— A kaj to pani?

— Na ogrodzie, zaraz ją tu posłyszycie...

Tereska pobok stanęła, miętosząc list w rękę i chustkę naciągając barzej na czoło, gdyż słońce wyłaziło z za budynków.

Z księżego podwórza, płotem jeno odgradzonego, roztrzęsały się wrzaskliwe głosy drobiu, kaczki trzepały się w kałużach, młode indyczki biadoliły kajścis pod płotem, zaś indory, gulgocząc, rozczapierzały skrzydła, podskakując zajadle ku prosiętom, wylegującym w błocie, gołębie podrywały się z przed stodoły, krążyły w powietrzu i spadały co trocha na czerwone dachy plebanii, kiej ta chmura śniegowa. Wilgotnawe a rzeźwe ciepło buchało z pól, sady rozkwitłe pławiły się w słońcu, jabłonie, obwalone kwiatem, wynosiły się z zieleni, kiej białe chmury, opylone zorzami; pszczoły z cichuśkim brzękiem leciały na pracę, kajś już i motyl zamigotał, kiej ten płatek kwiatowy, to stado wróbli z niemałym wrzaskiem spadało z drzew na płoty.

Teresce naraz łzy się puściły z oczu i ciurkiem pociekły.

— Organista jest w domu? — spytała, twarz odwracając.

— A kajby. Dobrodziej wyjechał, to się wyleguje, kiej ten wieprz.

— Dobrodziej pewnie na jarmark?

— Juści, byka mają kupować.

— A mało to już ma różnego dobra? co?

— Kto ma dosyć, to chciałby jeszczek więcej — mruknęła dziewczka.

Tereska zmilka, zrobiło się jej strasznie żałośnie, że to ludzie mają wszystkiego po grdykę, a ona ledwie się pożywi, głodując często.

— Gospodyni idą! — zawołała dziewczka, ruchając mocno koziełkiem w kierzance, jaże śmietana wypryskiwała wokoło.

— To twoja sprawka, próżniaku!... umyślnie puściłeś konie w koniczynę! — rozległ się w sadzie jazgotliwy głos organiściny. — Nie chciało ci się na ugór pędzić. Jezus, że to na nikogo się spuścić nie można! Ze dwa pręty koniczyny spasiono! Czekał, powiem zaraz, a wuj takie ci fryko sprawi, darmożjadzie jeden, że popamiętasz.

— Wygnałem na ugór, sam spętałem i na lince przywiązałem do kółka!

— Nie cygań. Wuj się z tobą rozmówi, no...

— Ja nie wygnałem, mówię ciotce.

— A kto? ksiądz może? — wrzeszczała urągliwie.

— Zgadła ciotka: ksiądz wypaś swojemi końmi — podniósł głos.

— Wściekł się!... przywrzuj pysk, żeby się nie rozniesło!

— Nie przywrę, w oczy mu powiem, bo wiedziałem. Ciotka na mnie krzyczy, a to ksiądz wypasł. Poszedłem do dnia po konie: gniady leżał, a klacz się pasła; były tam, gdzie je zostawiłem na noc. Dosyć zostawiły śladów, można sprawdzić, jeszcze gorące. Rozpętałem je i wsiadłem na gniadego, a tu widzę, że w naszej koniczynie jakieś konie. Świtało dopiero, dostałem się przegonem pod księży ogród, żeby im drogę zastąpić, wyłażę na dróżkę Kłębową, a tu proboszcz stoi z brewiarzem, rozgląda się dokoła i raz poraz popędza je batem coraz głębiej w koniczynę, to...

— Cicho, Michał! Słyszane to rzeczy, żeby sam ksiądz... Dawno już mówiłam, że to siano w przeszłym roku... cicho, tam jakaś kobieta stoi.

Potoczyła się naprzód śpiesznie, właśnie i organista krzyczał z pod pierzyny na Michała.

Tereska oddała jej węzełek z jajkami, a podejmując za nogi, prosiła nieśmiało o przeczytanie listu od męża.

Kazała jej zaczekać.

A dopiero w parę dobrych pacierzy zawołano ją do izby. Organista rozmamłany całkiem, w gaciach jeno, popijając kawę, jął czytać.

Słuchała z zamierającym sercem, bo właśnie mąż jej zapowiadał swój powrót na żniwa, razem z Kubą Jarczykiem z Wólki i z Grzelą Borynowym. List był pocziwy, troskał się o nią, wypy-

tywał o wszystko, co się dzieje w domu, przesyłał pozdrowienia znajomym i buchał radością powrotu, a w końcu Grzela dopisywał, prosząc, by zawiadomiła jego ojca o powrocie. Chudziaczek nie wiedział co się stało z Maciejem.

Zaś Tereskę te ciepłe, pocziwe słowa prażyły kiej baty i do ziemi przyginały. Mocowała się, bych nie poznali po niej, bych zdzierżyć spokojnie tę wieść straszną, ale zdradliwe łyzy same jakoś pociekły rozpalonemi paciorkami.

— Jak się to cieszy z powrotu chłopca! — szepnęła urągliwie organiścina.

Teresce jeszczech rzęsiwszy grad posypał się z oczu. Uciekła biedota, aby krzykiem nie wybuchnąć i długo się tuliła kajś w opłotkach.

— Co ja teraz pocznę, sierota? co? — wyrzekała z bezradną żałością.

Juści, chłop wróci, dowie się o wszystkim! Strach ją porwał, jako ten zły luty wicher. Jasiek był pocziwy, ale zawzięty jak wszystkie Płoszki: krzywdy nie przepuści, jeszcze go zabije! Jezus, ratuj, Jezus! Ani pomyślała o sobie. Popłakując a szarpiąc się w siebie, znalazła się u Borynów. Hanki nie było: pojechała do miasta jeszcze wczas rano; Jagna też u matki robiła, że w chałupie była jeno Jagustynka z Józką: płótno zmoczone rozpościerały w sadzie.

Powiedziała o Grzeli, chcąc się wynieść czemprędzej, ale stara odwiedła ją na bok i dziwnie dobrotliwie szepnęła:

— Tereska, opamiętaj się, miejże rozum, oзорów złych nie utniesz... Jasiek wróci, to się i tak dowie. Pomiarkuj, parobek na miesiąc, a mąż na całe życie! Dobrze ci radzę.

— Co wy powiedacie? co? — bełkotała niby nie rozumiejąc.

— Nie udawaj głupiej, wszyscy wiedzą o was, Mateusza odpraw póki czas, to Jasiek nie uwierzy, stęsknił się do ciebie, łącno wmówisz co ino zechcesz. Mateusz się znarowił do twojej pierzyny, ale przeciek nie przyrósł, wypędź go, póki czas. Nie bój się, Jasiek też nie ułamek... A kochanie przejdzie jako ten dzień wczorajszy, nie wstrzymasz choćbyś życiem płaciła; kochanie to jeno suta omasta przy niedzieli; jedz co dnia, a rychło ci zmierznie i odbekiwać będziesz. Kochanie płkanie, a ślub grób — powiadają. Może i prawda, jeno że ten grób z chłopem i dzieci-skami lepszy niżli wolność w pojedynkę. Nie bucz a ratuj się, póki pora. Jak cię twój bez to kochanie sponiewiera i z chałupy wygna, kaj to pójdziesz? We świat na zatracenie i pośmiewisko! Hale, pomieniał się stryjek za siekierkę kijek! Zlecisz z woza, to biegnij potem za rozworą z wywieszonym ozorem! Pod wiatr rychło dech stracisz i sił się wyzbędziesz i rychło cię odjadą! Głupia, kaźden chłop ma portki, Mateusz mu czy Kuba, kaźden jednako przysięga jak sięga, kaźden jak miód, pókiś mu miła. Pomiarkuj sobie i do

głowy weź coć mówię, wujnam ci przeciek i dobra la ciebie pragnę.

Ale Tereska już nie mogła wytrzymać, uciekła w pole i buchnąwszy gdziesik w żyto, tam dopiero popuściła żalom i płakaniom.

Darmo próbowała rozważać słowa starej, gdyż co chwila chwytał ją taki żal za Mateuszem, że z rykiem tłukła się po brózdzie, jako ten poraniony zwierz.

Dopiero jakieś niedalekie wrzaski podniosły ją na nogi.

Jakby przed wójtową chałupą rozlegała się sroga kłótnia.

Juści: to wójtowa z Kozłową przeżywały się od ostatnich.

Stojały naprzeciw siebie, płotami a drogą podzielone, w koszulach jeno i wełniakach, a ledwie już zipiąc ze złości, pomstowały ze wszystkiej mocy, pięściami do siebie wygrażając.

Wójt konie zakładał do wasąga, zagadując niekiedy do chłopca z Modlicy, siedzącego w ganku, któren jaże tupał z uciechy, pokrzykując judząco na kobiety.

Krzyki roznosiły się daleko, że kiej na dziwisko zbiegali się ludzie: sporo już ich stało na drodze, a z poza wszystkich płotów sąsiedzkich i węgłów wyściubiały się głowy.

Bo też kłóciły się, że niech Bóg broni! Wójtowa, cicha zazwyczaj i zgodliwa kobieta, jakby się dzisiaj wściekła, srożyła się coraz barzej, zaś

Kozłowa z rozmysłu nieco przycichała i nie przepuszczając niczego, żgała ją powoluśku, naśmiewchliwemi słowami.

— Jazgocz se, pani wójtowo, jazgocz, pieski cię nie przeszczekają! — wołała.

— A bo to pierwszy raz, a bo to drugi! Niema tygodnia, by mi co z chałupy nie zginęło! Kokoszki nieśne, kurczęta, kaczki, a nawet stara gęś, że już nie wypowiem tych szkód na ogrodzie i w sadzie! A bodajś się struła moją krzywdą! żeby cię pokręciło! żebyś stergła pode płótem...

— Ozdzieraj się, wrono, krzycz, to ci ulży, pani wójtowo...

— A tom dzisiaj! — zwróciła się do Tereski, wyłazącej na drogę — a tom rano pięć kawałków płótna wyniesła na bielnik. Zachodzę po śniadaniu, aby je zmoczyć. Brakuje jednego! Szukam! Jakby pod ziemię się zapadł! Dyć kamieniami przycisnęłam, a wiatru nie było! Płótno cieniutkie, paczesne, że kupne nie byłoby lepsze i zginęło!

— Kiej świni tłuszc ci ślepie zalewa, toś nie-dojrzała!...

— Boś mi płótno ukradła! — wrzasnęła.

— Ja ci ukradłam! Powtórz to jeszcze, powtórz!

— A ty złodzieju jeden! Przed całym światem zaświarczę. Przyznasz się, kiej cię w dybach do kreminału popędzą.

— Złodziejką me przezywa! Słyszyla ludzie! Do sądu podam, jak Bóg w niebie, wszyscy słyszeli. Ja ci ukradłam, masz świadki, ty torbo?..

Wójtowa, chyciwszy jakiś kołek, na drogę wypadła i docierając kiej pies rozwścieczony, jazgotała zajadle:

— Ja ci kijem przytwierdzę! ja ci zaświarczę! jak ci...

— Podejdz, pani wójtowo! Tknij me jeno, świńska kumo! tknij me, ty sobacza pokrako — zawrzeszczała, wybiegając naprzeciw.

Odepchnęła męża, którego ją powstrzymywał i rozkraczywszy się, pod boki się ujęła, krzycząc urągliwie:

— Bij me, bij, a kryminał cię nie minie, pani wójtowo!...

— Zawrzyj pysk, bym cię pierwej do kozy nie zapakował! — krzyknął wójt.

— Psy se wściekle zamykaj, boś od tego, babę swoją weź lepiej na postronek, bych się ludzi nie czepiała! — gruchnęła, nie mogąc już wytrzymać.

— Urzędnik do cię mówi, pomiarkuj się, kobieto! — zawołał groźnie.

— Gdziesik mi twój urząd — rozumiesz! Groził mi będzie, widzisz go, sameś może płótno wzion la jakiej kochanicy na koszulę. Gromadzkich pieniędzy już ci nie starczyło, boś je przechlał, pijanico. Nie bój się, wiedzą co wyrabiasz. Posiedzisz se i ty, panie urzędniku, posiedzisz!

Ale tego już było za wiele la obojga, że kiej wilki skoczyli na nią; pierwsza wójtowa chlasnęła ją kijem przez pysk i z dzikim kwikiem w kudły się wczepiła pazurami, zaś wójt jął prać pięściami kaj popadło.

Bartek w ten mig skoczył na pomoc swojej.

Zwarli się kiej psy w nierozplątaną kupę, że ani rozeznał czyje pięście młóca kieby cepami, czyje głowy się taczają i czyje są krzyki. Przywarli się do płota i przetoczyli się znowu na drogę, kiej snopy, wichurą zakręcone, aż w końcu, zmagając się coraz zajadlej, runęli na ziem, w piasek.

Kurz ich zakrył, iż jeno krzyki a pomstowania się rozlegały: tulali się po drodze, bijąc a wrzeszcząc w niebogłosy.

Czasem ktosik wyrывał się z kupy, czasem i wszystkie naraz podnosiły się na nogi, a chytając w garście, co popadło, znowu bili na siebie, za łby się wodząc, za ożydle, za szpondry.

Wrzask się rozniósł na całą wieś, wystrachane kury gdakały po sadach, psy jęły szczekać, baby podniosły lamentsy, tłocząc się dokoła bezradnie, aż dopiero nadbiegłe chłopcy rozerwali bijących.

Co tam było jeszcze przekleństw, płaczów, a wygrażeń, to i nie wypowiedzieć. Somsyadi porozlatali się zaraz, aby ich na świadków nie podano; ale rozpowiadali wszędy, niby pod sekretem, jak wójtowie srodze zbili Kozłów.

A nie wyszło i paru pacierzy, wójt z zapu-

chłym pyskiem, wraz z kobietą też niezgorzej zasinioną i podrapaną, pierwsi pojechali skargę podawać. Zaś dopiero w jaką godzinę ruszyli Kozłowie.

Stary Płoszka, nawet wielce chętnie, bo za darmo, zgodził się ich powieźć do miasta, byle się jeno po przyjacielsku przysłużyć wójtowi.

Jechali podawać skargę, więc jak się byli podnieśli z bitki, ni ździebka się nie ogarniając, tak ruszyli.

Umyślnie też przez wieś jechali stępa, by móżdżek rozpowiadać swoje krzywdy, a rany okazywać każdemu, kto jeno chciał patrzeć.

Kozioł miał łeb rozwalony do kości, jaże mu krew zalewała całą twarz, szyję i piersi, widne z pod porozrywanej koszuli. Nie wiele go już bolało, ale co trocha, za boki się chwytął i przeraźliwie wrzeszczał:

— Laboga, nie zdzierzę! Wszystkie ziobra mi przetrąci! Ratujta, ludzie, ratujta, bo pomrę!...

A Magda wtórowała lamentliwie:

— Kłonicą go prań! Cichoj, chudziaku! sponiewierał cię kiej psa, ale jest jeszcze sprawiedliwość i kara na zbójów, jest! Cichoj, mizeraku! dobrze ci on zapłaci! Na śmierć chciał go zabić, widzieli ludzie, ledwie go obronili, to zaświarczą w sądzie pocziwie! — darła się, raz po raz wybuchając strasznym rykiem, a tak była sponiewierana, że ledwie ją poznawali. Z gołym łbem jechała, włosy miała powyrywane wraz ze skórą,

naderwane uszy, oczy zakrwawione i całą twarz podartą pazurami, jakby ją kto pobronował, że choć wiedzieli co to za ziółko, a niejeden szczerze się litował.

— Żeby tak pobić ludzi, no!

— Wstyd i obraza boska, toć ledwie żywi jadą.

— Niezgorzej poszlachtowani, co? I rzeźnik lepiej nie poredzi... Ale panu wójtowi przeciek wszystko wolno, nie urzędnik to, nie figura? — dorzuczał urągliwie Płoszka, zwracając się do narodu.

Stropili się tem wielce, bo choć Kozły dawno już przejechali, wieś jeszcze długo nie mogła się uspokoić.

Tereska, która ze strachu schowała się w czas bitki, wylazła skądciś dopiero, kiej już obie strony pojechały do sądów.

Zajrzała zaraz do Kozłów, że to Bartek po ciotkiem jej wypadał z matczynej strony. W chałupie nie było nikogo, jeno na dworze, pod ścianą, siedziało tych troje dzieci, przywiezionych z Warszawy.

Tuliły się do siebie, łapczywie ogryzając ziemniaki niedogotowane, a broniąc się piskiem i łyżkami od prosiąt. A tak były zabiedzone, wychudłe i obrosłe brudem, jaże litość ją wzięła. Przeniesła je do sieni, a pozawierawszy drzwi, już w dyrdy poleciała z nowinami.

U Gołębiów jeno Nastka była.

Mateusz jeszcze przed śniadaniem poszedł był do Stacha, Bylicowego zięcia. Właśnie wraz z nim penetrował rozwaloną chałupę, czyby się nie dała podnieść. Bylica chodził za niemi, jękając niekiedy swoje.

Pan Jacek zaś siedział jak zawdy na progu, papierosa kurzył i pogwizdywał na gołębce, kołujące nad trześniami.

Słońce się już podnosiło ku południowi, ciepło było galante.

Nagrzane powietrze mieniło się nad polami, kiej woda, zboża i sady stały jakby w słońce zapatrzone, że jeno niekiedy z trześni Bylicowych spadał okwiat, chwiejąc się na trawach niby biały motyl.

Dochodziło południe, kiej Mateusz skończył oglądanie, a dziobiąc toporem jeszcze tu i owdzie po bokach, rzekł stanowczo:

— Zetlałe do cna, samo próchno, nic z tego nie postawi, to darmo...

— Dokupiłbym niecoś nowego, możeby... — szepnął błagalnie Stacho.

— Dokupcie na całą chałupę, z tego gnoju nie wybierze ni jednego bala.

— Bójcie się Boga!

— Dyc przyciesie jeszczeby wytrzymały, węgary jeno dać nowe... ściany teżby podporami wesprzeć... kłamrami ściągnąć... dyc... — jękał stary Bylica.

— Kiejście taki majster, to sobie stawiajcie,

ja z próchna nie poredzę — rzucił gniewnie, naciągając spencerek.

Nadeszła na to Weronka z dzieckiem na rękę i jęła wyrzekać:

— A cóż my teraz poczniemy, co?

— Ze dwa tysiące trzebaby na nową! — westchnął frasobliwie Stacho.

— Hale, cheba o jednej izbie ze sionką.

— Przeciech cośby drzewa dostał z naszego lasu... juści, żeby tylko chyla tyła... a resztę dokupię... juści... chwaciłoby... W urzędzie prosić...

— Dadzą to teraz, kiej bór w procesie!... przecieź nawet zbieraniny wzbronili. Poczekajcie z chałupą do końca sprawy! — radził Mateusz.

— Czekaj tatka latka, a kajże się to na zimę podziejem? kaj? — wybuchnęła Weronka i zapłakała żałośliwie.

Pomilkli. Mateusz zbierał swoje porządki cieielskie, Stacho drapał się w głowę, a Bylica nos wycierał za węglem, że w tej smutnej cichości jeno Weronczyn płacz chlpał.

Naraz pan Jacek się podniósł i głośno rzekł:

— Nie płaczcie, Weronka, drzewo się na chałupę znajdzie.

Ośłupieli, stając z rozdziawionemi gębami, aż dopiero Mateusz, pierwszy się pomiarkował i śmiechem gruchnął:

— Mądry obiecuje, a głupi się raduje! To głowy nie ma kaj przytulić, a chałupy będzie drugim rozdawał! — powiedział ostro, z podełba pa-

trząc na niego, ale pan Jacek już się nie ozwał, siadł znowu na progu, zakurzył papierosa i jak przódzi, skubiąc bródkę, po niebie wodził oczyma.

— Poczekajta ino, a niezadługo i cały folwarczek wama przyobieca.

Zaśmiał się Mateusz i rzuciwszy ramionami, poszedł.

Na lewo się wziął zaraz z miejsca, ścieżką, wiodącą pod stodolami.

Mało ludzi robiło dzisiaj na ogrodach, bo jeno jakiś niekaj czerwieniła kobieta, albo jakiś chłop naprawiał dach, to cosik majdrował we wrótniach stodół, powywieranych na pola.

Nie śpieszno było Mateuszowi, gdyż rad przystawał, poredzając z chłopami o wójtowej bitce, do dzieuch zęby szczyrzył i wesoło zagadywał, a gdzie znów babom tak trefnie przysolił, jaże śmiech zarehotał na ogrodach, że niejedna wzdychając, szła za nim oczyma.

Jakże, urodny był i wyrosły kiej dąb, a jakby król wszystkich we wsi parobków, bo i moczars po Antku Borynie pierwszy i tanecznik równy Stachowi Płoszce, a i mądrała. Że zaś przytem sprawny był do każdej roboty, bo i wóz zrobił i komin postawił, i chałupę wyrychtował, i na fleciku pięknie wygrywał, to chociaż prawie nie miał gruntu i grosz się go nie utrzymał, iż szczodry był la drugich, a niejedna matka radaby z nim przepiła choćby całego cielaka, bych go jeno na zięcia przysposobić, zaś niejedna dziewczyna już

go przypuszczała do podufałości, rachując, co potem prędzej zanieśie na zapowiedzie.

Ale na nic szły wszystkie zabiegi, z matkami pił, z córkami jamorował, a od ożenku wykręcał się kiej piskorz.

— Nie łącno wybrać, bo każda dobra, a jeszcze lepsze podrastają, poczekam... — powiedział swachom, rajającym mu różne dziewczuchy.

A zimną zmówił się był z Tereską i żył z nią prawie na oczach wszystkiej wsi, nie bacząc na gadania ni pogrozy.

— Wróci Jasiek, to mu ją oddam, jeszcze gorzałki postawi, żem mu kobiety pilnował — prześmiewał się z przyjaciół, jakoś wkrótce po powrocie, że to już przykrzyła mu się i zwolna od niej odstawał.

I teraz, na obiad idąc, dłuższą drogę wybrał, bych se po drodze pożartować z dzieuchami a uszczypnąć, którą się da.

I całkiem niespodzianie natknął się na Jagnę: pełła cosik na matczynym ogrodzie.

— Jagusia! — wykrzyknął radośnie.

Jagusia podniosła się i strzeliła nad zagonem kiej ta malwa wysmukła.

— Żeś to me dojrzał? Cie, jaki prędkie, już tydzień we wsi, a dopiero...

— Dyc jeszcze śliczniejsza! — szepnął z podziwem.

Ugięta była do kolan, z pod czerwonej chusty, pod brodą zawiązanej, modrzały ogromne, słodkie

oczy, białe zęby grały w wiśniowych wargach i cała gębusia zarumieniona kiej jabłuszko a śliczna, jaże się prosiła o całowanie. Ujęła się hardo pod bok i biła w niego skrzącemi ślepiami z taką mocą, że dreszcze go przeszły. Obejrzał się dookoła i bliżej podszedł.

— Od tygodnia cię szukam i wypatruję, po próżnicy.

— Cygań se psu, to ci może uwierzy. Co wieczór zęby suszy po opłotkach, co wieczór innej basuje, a teraz będzie mi co inszego wmawiał!

— Tak mię to Jaguś witasz? co? tak?...

— Jakże to mam inaczej? Może cię za kolana podjąć i dziękować, żeś se o mnie przypomniał?

— Baczę, jakeś to me łoni przyjmowała.

— Co było łoni, to nie teraz — odwróciła się, twarz kryjąc, a on się przysunął nagle, obejmując ją chciwemi rękoma.

Wyrwała mu się z gniewem.

— Poniechaj, bo mi Tereska ślepie wydrapie za ciebie!

— Jagusia! — ledwie jęknął.

— Do swojej żołnierki wróc se z jamorami... wysługuj się, póki tamten nie wróci. Odpasła cię w kreminalę, naszkodowała się na ciebie, to jej teraz odrabiaj! — chlastała kiej batem, a tak wzgardliwie, że Mateusz zapomniał języka w gębie.

Wstyd go przejął, poczerwieniał kiej burak, przygiął się i uciekł po prostu.

A Jagnę, choć powiedziała, co czuła i z czem

się już cały tydzień nosiła, żal teraz ogarnął: nie myślała, iż się ozgniewa i pójdzie sobie.

»Głupi, przeciech ja ino tak sobie powiedzia-
łam, przez złości! — myślała, markotnie patrząc
za nim. — I żeby się zaraz ozgniewać!« ...Ma-
teusz!

Ale nie usłyszał, śmigając przez sad, jakby
poszczuty.

— Zła osa, ścierwo! — mruczał, lecąc już pro-
sto do domu. Gniew nim miotał naprzemian z po-
dziwem. Jakże, zawdy była taka trusia, gęby oze-
wrzeć nie poredziła. Toć go sponiewierała kie-
psa! Wstyd nim zatrząsł, że obejrzał się, czy aby
kto nie słyszał jej pyskowania.

— Tereskę mu wypomina! Głupia!... co mu ta
żołnierka?... zabawa i tyła! A jak to ślepiami sy-
pnęła! jak to harno pod bok się ujęła! jak to bu-
chnęło od niej lubością!... Jezu i w pysk wziąć
od takiej nie wstyd, bele się jeno dostać do
miodu... — Cięgotki go wzięły, zwolnił kroku przed
chałupą.

— Ozgniewała się, żem o niej przepomniał...
Bogać com winowaty... i o Tereskę... — skrzywił
się jak po occie. Dosyć już miał tej płaksy, zbrzy-
dły mu te ciągłe kwiki. Nie ślubował przeciek,
bych się jej musiał trzymać, jak ten ogon krowy!
Ma przeciek chłopa! I ksiądz gotów go jeszcze
wypomnieć z ambony! Z taką to i człowiek fla-
czeje. Psiakrótką z temi babami! — srożył się
w sobie.

Obiad się dopiero dogotowywał, skrzyczał więc Nastkę za mitręzenie i zajrzał do Tereski. Właśnie krowę doła w sadzie; podniosła na niego oczy dziwnie smutne, ledwie co obeschle z płaczu.

— Czegoś to buczala?

Tłómaczyła się cicho, miłującemi oczyma ogarniając twarz jego.

— Wymionbyś lepiej pilnowała, strzykasz ano mlekiem na wełniak!

Kwardy był dzisiaj i przez dobroci, że łamała sobie głowę, co mu się stało? sprawując się już kiej trusia, gdyż za każdym odezwaniem złością pryskał i ślepiami toczył.

Niby to czegoś po sadzie szukał i kole domu, a głównie przyglądał się jej kryjomo, dziwując się coraz barzej:

— A gdzież to miałem oczy? Takie to cheralawe i wymiękle... Ni to z pierza, ni z mięsa! Gnat rozkwaszony. Cyganicha prosto. Ni postury, ni...

Prawda, jedno oczy to miała piękne, równe może Jagusiny, ogromne, jasne kiej niebo i czarnemi brwiami opięte, a ilekroć spotkał się z niemi, odwracał głowę i kłął z cicha:

— Wytrzeszcza ślepie niby cielak, kiej ogon podniesie!

Niecierpliwiło go to patczenie i w sroższy gniew wprowadzało.

— Na złość na cię nie spojrzę, ślepiaj se psu w ogon! Nie przeciągniesz me.

Razem jedli obiad, ale ni razu do niej się nie ozwał, ni nawet spojrzął w jej stronę. Nastce jeno przygadywał co trocha:

— Pies-by się nie chycił za taką kaszę: jak uwędzona!...

— Bogać ta, ździebko jeno przypalona i kiej cie w zęby kłuje.

— Nie przeciwiaj się! Muchami ją zmaściłaś, więcej ich niżli skwarków.

— Już mu muchy szkodzą! jaki przebierny! nie strujesz się!

Zaś przy kapuście wyrzekał na stare sadło.

— Mazią od woza omaścić, toż gorszeby nie było.

Poliz osi to obaczysz, ja ta nie probantka! — odpowiadała twardo.

Czepiał się bele czego i piekłował. Że Teresa cały czas się nie odzywała, to zaraz po obiedzie wziął się i do niej, dojrzał bowiem jej krowę, cochającą się o węgieł.

— Obrosła gnojem kiej skorupą: nie możecie to jej wycierać, co?

— Mokro w oborze, to się wała.

— Mokro! Są w lesie kolki, są; czekacie jeno, by wam kto nagrabił i do chałupy przyniósł. Dyć odparzy sobie kłęby w tym gnoju, zgnije! Tyla bab w chałupie, a porządku ani za grosz! — wrzeszczał, ale Teresa ustępowała mu pokornie, nie śmiejąc się już bronić, a jeno prosząc ślepiami o pomilowanie.

Cicha przecież była jak zawsze, uległa i pracowita, jak mrówka, nawet rada, że wziął nad nią górę i kwardo panuje. A właśnie on i bez to srożył się coraz barzej. Gniewały go jej kochające, lękliwe oczy, gniewał chód cichy, gniewała twarz pokorna, gniewało i to, że ciągiem plątała się kole niego. Miał już ochotę krzyknąć, by mu z oczu ustąpiła.

— Żeby to morówka wziena, psiakrew! — buchnął wreszcie i zabrawszy porządki ciesielskie, nawet nie wytchnąwszy przypołudnia, poszedł do Kłębów, kaj miał jakąś robotę przy chałupie.

Siedzieli tam jeszcze przy michach, na dworze. Zakurzył papierosa, siedząc pod ścianą.

Kłęby pogadywali o powrocie z wojska Grzei Borynowego.

— Wraca to już? — zapytał spokojnie.

— Nie wiecie to? Dyc razem z Jaśkiem Tereski i Jarczakiem z Woli.

— Na żniwa się obiecują. Tereska latała dzisiaj z listem do organisty, bych przeczytał. Powiadał mi o tem.

— To ci nowina! Jasiek powraca! — zawołał bezwolnie.

Zmilkli wszyscy, jeno ślipia obleciały po sobie, a kobiety się zczerwieniły, powstrzymując śmiech. Nie pomiarkował i jakby rad wieści powiedział spokojnie:

— Dobrze, co powraca; może przestaną obgadywać Tereskę.

Jaże łyżki zawisły nad michą, tak się zdumieli, a on, tocząc zuchwałemi ślepiami, dodał:

— Wiecie, jak jej nie szczędzą. Nic mi do niej, chociaż mi powinowata z ojcowej strony, ale żeby tak na mnie padło, dobrzebym pleciuchom gęby pozatykał: zapamiętaliby! A już kobiety la drugich najgorsze: niechby najbielsza, nie przepuszczą i błotem obwałą.

— Pewnie co tak, pewnie! — przywtórzyli, wbijając oczy w michę.

— Byliście już u Boryny? — zagadnął niepokojnie.

— Dyc zbieram się i zbieram, a co dnia cosik przeszkodzi.

— Za wszystkich cierpi, a nikto o nim nie pamięta.

— Zaglądałeś to do niego? co?

— Hale, pójdę sam, to powiedzą co do Jagny ciągnę.

— Ciel uważny, kiej dziewczka po przypadku — mruknęła stara Agata, siedząca pod płotem z miśeczką na kolanach.

— A bo mi już obmierzły szczekania.

— I wilk się statkuje, kiej mu kły spróchnieją — śmiał się Kłęb.

— Albo kiej się za barłogiem rozgląda — odpowiedział Mateusz.

— Ho, ho, to ino patrzeć, jak do której z wódką pošlesz — żartował Kłębiak.

— Właśnie, ciągiem już deliberuję, do którejby przepić.

— Prędko wybieraj, a w druchny me proś, Mateusz! — pisknęła Kasia, najstarsza.

— Cóż, kiej nie łącno: wszyckie zarówno wybrane i jedna w drugą najlepsze. Magdusia najbogatsza, ale już przez zębów i ze ślepiów jej cieknie; Ulisia, niby kwiat, jeno co ma jedno biedro grubsze i beczkę kapusty we wianie; Franka z przychowkiem; Marysia zbyt szczodra dla parobków; Jewka, choć ma całe sto złotych samą koprowiną, wałkoń, pod pierzyną ciągiem wyleguje. A wszyckieby tłusto jadły, słodko popijały i nic nie robiły. Czyste złoto takie dzieuchy! A zaś jeszcze drugie mają la mnie za krótkie pierzyny.

Gruchnęli śmiechem, jaże się gołębie porwały z dachów.

— Prawdę mówię. Przymierzałem u niejednej, ledwie mi do pół łyst sięgają, jakżebym to zimą wyspał? cheba w butach, co?...

Zgromiła go Kłębowa, iż zbereżeństwa gada przy dzieuchach.

— La śmiechu jeno mówię. Przeciek powiedają, co pocziwe żarty nie szkodzą i pod pierzyną.

Ale dziewczyny rozczapierzyły się kiej te jendyczki.

— Hale, jaki przebierny!... będzie się tu prze-

kpiwał ze wszystkich! Kiej ci w Lipcach mało, na drugich wsiach se szukaj! — jazgotały.

— Jest ich w Lipcach, jest: przeciek łącniej o dostałą pannę, niżli o całą złotówkę. Po dydku i już z ojcowym litkupem je sprzedają. Bych jeno kupce się nalazły! Tyle tego, jaże się wieś trzęsie od skrzeków pannowych, wszyćkie gotowe pod kozik, że co sobota w każdej chałupie już od świtania pucują się do czysta, kosy we wstęgi pletą i kokoszki po sadach gonia, bych je ponieść Żydowi na gorzałkę, a od samego południa jeno z za węglów patrzą, czy z której strony swaty nie ciągną. Widziałem, które i z dachów zapaskami powiewały, wrzeszcząc: »Do mnie, Maciusz, do mnie!« Zaś matki wtórzyły: »Do Kasi przódzi, Maciusiu, do Kasi! Syrek i mendel jajków przyłoż do wiana! Do Kasi!«

Rozповідаł uciesznje, jaże chłopakj kładły się ze śmiechu, jeno Kłębianki podniesły wrzask na niego, że stary krzyknął:

— Cichojta! skrzeczą, kiej te sroki na deszcz.

Nie zaraz się uspokoili, więc by przerwać te przekpinki, zapytał:

— Byłeś to, Mateusz, przy wójtowej wojnie?

— Nie. Mówili, co Kozłom sielnie się dostało.

— Że już lepiej nie można. Strach, jak wyglądali! Wójt se pozwolił, no!...

— Gromadzki chleb tak go roznosi, to i bryka.

— Głównie, co się nikogo nie boja. Któż to mu stanie nasprzeciw? Drugi za taką sztukę do-

brzeby zapłacił, ale jemu włos z głowy nie spadnie. Z urzędnikami się zna, to w powiecie mocen wszystko, co ino zechce...

— Bośta barany, że dacie takiemu przewodzić nad sobą! Poniewiera i wynosi się nad wszystkie, a oni go dziw po nogach nie całują!

— Sami go wybralim nad sobą, to i uważać musim.

— Kto go wsadził, ten i zesadzić może.

— Dyć nie krzycz, Mateusz: jeszcze się rozniesie.

— A doniesą mu, to będzie wiedział. Niech me ino zaczepi!

— Maciej chory, to kto mu inszy poredzi? Kaźden się waguje iść na pierwszego, bo kaźden ledwie swoim biedom wydoli — szepnął stary, podnosząc się z ławy.

Podnieśli się wraz i drudzy.

Kto po jadle legł odpoczywać, kto na drogę wychodził kości przeciągnąć i pasa odpuścić, a kto, jak dzieuchy, do stawu poszły myć garnki a chłodzić się i rajcować. Mateusz zabrał się zaraz do obciesywania podpór do chałupy, zaś Kłab fajkę zapalił i na progu przysiadł.

— Kto jeno o drugich stoi, tego bieda wydoi! — mruknął, pykając smacznie.

Słońce wisiało nad samą chałupą, przypołudnie zrobiło się nagrzane, ciepłem wiało od pól. Sady stały w cichości, między drzewinami mieniało się od słońca, okwiat cichusko słał się na trawy,

pszczoły brzęczały po jabłoniach, staw polśniewał wskroś gałęzi, nawet ptactwo pomilkło. Przepołudniowa, słodka senność siała się po świecie.

Że Kłęb, aby nie zadrzemać, powlókł się do dołu z ziemniakami.

Zaś potem cosik ostro pykał przygasłą fajkę i spluwał, odrzucając głową włosy, opadające mu na twarz.

— Obejrzałeś, co? — zapytała żona wychylając się ze sieni.

— Juści... żeby tak raz w dzień warzyć, starczyłoby ziemniaków do nowych!

— Hale, raz na dzień! Młode i zdrowe, to i żreć potrzebują.

— Nie dociągniem. Tyla narodu. Dziesięć gąb, a brzuchy mają kiej ćwiercie. Trza będzie cosik zaradzić.

— O jałówce myślisz, co? To ci zapowiadam, że sprzedać jej nie pozwolę. Rób se co chcesz, a bydłatka nie dam. Zapamiętaj sobie.

Zatrzepał rękoma, kiejby od osy uprzykrzonej i gdy odeszła jął znowu fajkę zapalać.

— Psiachmać baba... Potrzeba, to i jałówka nie ołtarz!

Słońce prażyło prosto w oczy, cienie były jeszcze maluskie, to się jeno odwrócił plecami i pykał coraz wolniej i rzadziej. Popuścił pasa, bo mu coś ziemniaki ciążyły, słońce przypiekało, gołębie gruchały we strzesze i cichuski szmer liści

tak rozbierał, że jął się kiwać i Żydy wozić po ścianie.

— Tomaszu! Tomaszu!

Ozwał oczy. Agata siedziała pobok, trwożnie poglądając.

— Ciężki macie przednówek — mówiła cicho. — Byście chcieli, to mam parę groszy, wygodziłabym waju. Na pochówek je ścibałam, ale kiejście w takiej potrzebie, pożyczę. Jałówki szkoda. Przy mnie się łoni ulęła... z mlecznego gatunku. Może mi Pan Jezus pozwoli dożyć, to mi z nowego oddacie. Wziąć od swojego w potrzebie nie wstyd i gospodarzowi, weźcie — wsunęła mu w rękę samemi złotówkami, cosik ze trzy ruble.

— Schowajcie sobie! Jakoś se poredzę.

— Weźcie, dyc jeszcze z pół rubla dołożę, weźcie — prosiła cichuśko.

— Bóg zapłać wama. Cie, jakaście to pocziwa!

— To już całe trzydzieści złotych bierzcie, do równa — supłała z węzelka, dodając po dziesiętce — bierzcie — skamlała powstrzymując łzy: dusza się jej darła, jakby każdy grosik pruć sobie z wnętrzości.

Pieniądze dziwnie kusząco lśniły w słońcu. Przymrużał oczy z lubości, grzebiąc między nimi: nowe były i czyste. Wzdychał ciężko, zmagając się ze straszną chęcią, jaże odwrócił się i szepnął:

— Schowajcie dobrze, a to podpatrzą i jeszcze wama ukradną.

Napraszała go jeszcze cichuśko, ale jeno tak,

ła zwyczaju, bo kiej się nie ozwał, jęła skwapnie zawijać i chować te swoje skarby.

— Czemuż to nie siedzicie u nas? — zagadnął po jakimś czasie.

— Jakże, robocie żadnej nie poredzę, nawet za gąskami nie wydam. Darmo to żreć będę, co?... Słabam, już z dnia na dzień końca czekam. Pewnie, co u krewniaków milejby pomrzeć, milej... choćby nawet w tej komorze po jałowce... juści, jeno gdzieżby wam taki kłopot i turbacye! Całe czterdzieści złotych mam na pochówek... bych to i ze Mszą było... po gospodarsku... co?... Pierzynę-bym dołożyła... Nie bójcie się, cichuśko wama usnę, ni się spodziejecie... pokrótce... — jąkała nieśmiało, z bijącym sercem oczekiwania, że ją przyjmie i powie: »Ostańcie!«

Ale się nie odezwał, jakby nie rozumiejąc tych skamlań, przeciągał się jeno, poziewał i jął się chyłkiem przebierać kole chałupy, ku stodółce, na siano...

— Gospodarz taki... juści... jakżeby... dziadówkam ino... — Łkała w sobie cichuśkim, żalnym skrzybotem, podnosząc wyplakane oczy ku niemu.

Powlekła się wolniuśko, kaszląc często i przysiadając co trocha nad stawem. Poszła znowu, jak co dnia, wypatrywać po wsi, kajby mogła pomrzeć po gospodarsku, przez oszukaństwa.

I wlekła się, szukać ludzi sprawiedliwych. Snuła się po wsi, jako ta nikła pajęczyna, co leci, nie wiedząc kaj się uczepli.

A naród się prześmiewał i la uciechy radził biedocie, że u krewniaków ostać powinna, zaś Kłębom, niby to z przyjacielsstwa, też mówili:

— Powinowata przeciech, grosz swój ma na pochówek i długo wama w chałupie nie zagości... Kajże się to podzieje?

Wszystko to przyszło do głowy Kłębowej, gdy mąż opowiedział jej o dzisiejszem z Agatą. Spać się już położyli, a kiej dzieci jęły chrapać, zaczęła go cicho namawiać:

— Miejsce się znajdzie... w sionce może położyć... gęsi się wygna pod szopę... bełe czym się przeżywi... długo nie pociągnie... na pochówek ma... Ludzie-by nie gadali... a pierzyny nie potrzeba-by oddawać... juści, na drodze tego nie znajdzie — tłómaczyła gorąco.

Ale Kłęb jeno zachrapał w odpowiedzi. I dopiero nazajutrz rano rzekł:

— Żeby Jagata była całkiem bez grosza, przyjąłbym, trudno, dopust Boży, ale tak, powiedzą co la tych paru złotych dobrość świarczymy. Przeciech już pyskują, co la nas poszła na żebry... Nie można.

Kłębowa, że słuchała się we wszystkim męża, to ino westchnęła żałośnie za pierzyną i poszła przynaglać dziewczyny do pośpiechu.

Kapustę mieli ano dzisiaj sadzić.

Dzień zrobił się był jak i wczorajszy, śliczny, słoneczny i prawdziwie majowy. Wiaterek jeno przyszedł baraszkujący i swywolił po polach, że zboża

chlustały po zagonach kiej wody rozkołysane. Sady się chwiały z poszumem, gęsto trzęsąc okwiatem, a pełne, ciężkie kiście bzów i czeremchy rozwiewały zapachem. Powietrze szło rzeźwe, przejęte ziemią i kwiatami. Z pod leśnych pastwisk śpiewy się niesły z wiatrem. W kuźni dzwoniły młoty. Od samego rana pełno już było na drogach gwarów i ludzi. Kobiety ciągnęły na kapuśniska, dźwigając w przetakach i koszach rozsadę, a rozpowiadając w głos o wczorajszym jarmarku i wójtowej sprawie.

Że pokrótce, jeszcze nim rosa obeschła, na czarnych kapuśniskach, pociętych jeno brózdami, pełnemi wody, polśniewającej w słońcu, zaroilo się od czerwieni.

Kłębowa z córkami też tam pociągnęła, zaś Kłęb z Mateuszem i chłopakami wzięli się do podpierania chałupy.

Ale skoro słońce zaczęło przypiekać, stary zdał robotę na synów i, wywoławszy Balcerka, poszli odwiedzać Borynę.

— Piękny czas, kumie — rzekł Kłęb, przyjmując tabakę.

— Galanty. Byle jeno za długo nie przypiekało.

— Stronami przechodzą deszcze, toż i nas nie ominą.

— Robactwo jaże się roi na drzewach, na suszę się ma.

— A jarzyny spóźnione, mogłoby przypalić.

Może Pan Jezus nie dopuści. . Cóż ta na jarmarku? dowiedzieliście się co o koniu?

— I... dałem starszemu trzy ruble, przyobiecał.

— Że to przezpieczności niema żadnej!... człowiek pod strachem cięgiem żyje, jak ten zając, a nikt nie poradzi.

— A wójt kiej malowany — szepnął ostrożnie Balcerek.

— Trza będzie pomyśleć o nowym — rzucił Kłab.

Balcerek spojrzał na niego, ale stary dodał gorąco:

— Już wstyd przez niego na wieś idzie. Słyszeliście o wczorajszym?

— I... bitka każdemu przytrafić się może, zwyczajnie... Drugie miarkuję: byśmy za te jego rządy nie dopłacili.

— Sam się nie rozporządza: dyć i kasyer pilnuje, i pisarz, i urząd...

— Psy mięsa pilnują! Warują, a w końcu ty, chłopie dopłać bo nie dopilnowali.

— Bogać ta inaczej! Wiecie ta co nowego?

Balcerek jeno splunął i ręką machnął; nie chciał gadać, chłop był mrukliwy i przez babę zahukany, to i barzej strzegący języka.

Doszli też do Borynów.

Józka skrobała ziemniaki na ganku.

— Idźcie, ojciec ta sami leżą. Hanusia na kapuśniku, a Jagna robi u matki.

W izbie pusto było, przez otwarte okno za-

glądały kiście bzów i słońce siało się przez zieleń.

Stary siedział na łóżku. Wychudły był, siwa broda jeżyła mu się na żółtej twarzy kiej szczeć, głowę miał jeszcze obwiązaną, ruchał cosik sinemi wargami.

Pochwalili Boga, nie odrzekł, ni się poruszył.

— Nie poznajecie to nas? — ozwał się Kłęb, za rękę go biorąc.

Jakby nic nie wiedział, nasłuchiwał niby tego świegotania jaskółek, lepiących gniazda pod strzechą, lebo tego szmeru gałęzi, szorujących po ścianach i w okno niekiedy zagląających.

— Macieju! — rzekł znów Kłęb, wstrząsając nim zdziebko.

Chory drgnął, oczy mu się zatrzęsły, obejrzał się na nich.

— Słyszycie? dyć Kłęb jestem, a to Balcerek, wasz kum; poznajecie, co?

Czekali, patrząc mu w oczy.

— Sam tu, chłopy! Do mnie! Bij psubratów! bij! — krzyknął z nagłą ogromnym głosem, podniósł ręce, jakby w obronie i zwałił się na wznak.

Józka wpadła na krzyk i jęła mu głowę obwalać mokremi szmatami, ale on już leżał cichy, a w szeroko otwartych oczach lśnił jakiś strach śmiertelny.

Wyszli pokrótce, sfrasowani i pełni zgrozy.

— Trup ci tam leży, a nie żywy człowiek! — rzekł Kłęb, odwracając oczy na chałupę.

Józka znowu skrobała ziemniaki na ganku, dzieci bawiły się pod ścianą, a w sadzie spacerował Witkowy bociek, zaś wiatер przysłańiał gałęziami okno wywarte.

Szli czas jakiś w milczeniu zgrozy, jakby z grobu wyszli.

— Każdemu przyjdzie na to, każdemu — szepnął łzawo Kłęb.

— A każdemu... wola Boża... cóż, nie poredzi... Hale, mógł jeszcze pożyc jaką porę, żeby nie ten las...

— Pewnie. Zginał, a drugie się z tego pożywią — westchnął.

— Raz kozie śmierć... mało się to naharował?

— I nama też może niezadługo przyjdzie za nim iść.

Patrzeli kwardo we świat, w pola rozkołysane, na bory widne, jak na dłoni, na role zieleniące, na ten dzień jasny, ciepły i zwiesnowy i dusze im kamieniały w rezygnacyi a poddaniu się woli Bożej.

— Nie zmienić tego człowiekowi, coć mu przeznaczone, nie...

I z tem się rozeszli.

Zaś drudzy, tegoż jeszcze dnia i następnych, poczęli nawiedzać chorego, jeno co tak samo nikogo nie poznawał, że w końcu zaprzestali.

— Jemu tylko pacierze o prędkie skonanie potrzebne — powiedział ksiądz.

A że kaźden miał dosyć swoich turbacyi a bied

to i nie dziwota, co wrychle zapomnieli o nim, zaś jeśli zdarzyło się komu spomnieć, to jakby o nieboszczyku.

Co prawda, to i leżał se chudziaszek w takim opuszczeniu, kiedy już do grobu złożony i trawą porosły.

Komuż ta był w pamięci?

Bywało nieraz, iż całe dni leżał bez kropli wody, możeby i pomarł prosto z głodu, gdyby nie Witkowe, dobre serce, któren porywał co się jeno dało i niósł gospodarzowi, a nawet krowy często poddają kryjomo i mlekiem go poił. Chory bowiem przejmował go dziwnie frasobliwą troską, aż raz ośmielił się zapytać parobka.

— Pietrek, prawda to, że kto przez spowiedzi zamrze, do piekła idzie?

— Prawda. Przeciek ksiądz zawdy tak mówią w kościele.

— To i gospodarz-by do piekieł poszli? — przeżegnał się trwożnie...

— Taki człowiek, jak i drugie.

— Hale! gospodarz taki człowiek jak i drugie! hale!

— Głupiś, kiej głąb kapuściany — zaperzył się Pfetrek, długo mu tłómacząc, ale Witek nie uwierzył: swoje on wiedział i zgola drugie.

Tak ano przechodziły dnie w Borynowej chałupie...

Zaś na wsi kotłowało się kiej w garnku.

Wójtowa bitka to sprawiła, obie bowiem

strony szukały świadków, przeciągając naród na swoją stronę.

Chociaż to jeno z Kozłami była sprawa, ale wójt nie zaspiał i tego zabiegał. Górę też wziął zaraz z miejsca, bo więcej niżli połowa wsi za nim się opowiedziała. Znali go jak zły szeląg, ale wójtem był przeciech, mógł w niejednem poredzić, ale i mógł dobrze sadła zalać za skórę, to i namową, przypochlebstwem a gorzałką przysposobił sobie świadków, jakich mu było potrzeba.

Kozioł leżał ciężko chory i księdza z Panem Jezusem sprowadzali do niego. Powiedali ta różnie o tej chorobie, bąkając w sekrecie, co jeno udaje, by wójt jeszcze lepiej beknął na sądach. Ale Bóg wie, jak to tam było. Wiedziano jeno dobrze, że sama Kozłowa całe dni latała po ludziach, pomstując a wyrzekając. Opowiadała, co już sprzedała maciorę z prosiętami na lekovanie męża i prawie co dnia wylatywała umyślnie przed wójtów, krzycząc w niebogłosy, jako już Bartek umiera, Boga i ludzi sprawiedliwych wzywając na świarczenie i poratunek.

Biedota jeno i co tkliwsze kobiety stanęły po ich stronie, a nawet jeden z pomniejszych gospodarzy, Kobus, że to człowiek był niespokojny i swarliwy. Ale reszta ni słuchać nie chciała, w żywe oczy się wypierając, jakoby co niebądź widzieli, zaś niejen radził jeszczek, by z wójtem nie zadzierali, bo niczego nie wskórają.

Nowe z tego wychodziły historye, że to Kobus

miał ozór niepowściągliwy, łącno się z pięściami ponosił, a baby też w słowach nie przebierały.

Więc jeno wrzaski z tego szły i gniewy, bo cóż? mogli to poredzić gospodarzom i wójtowi?

Nawet już Żyd się z nich prześmiewał i na bórg dawać nie chciał.

A nie przeszedł i tydzień, dość już wszystkie miały tej sprawy i tych jazgotów lamentliwych, że już słuchać przestali.

Aż tu nowa pomoc im przysła i we wsi znowu się zakotłowało.

Oto Płoszka zmówił się z młynarzem i wraz otwarcie a głośno stanęli po stronie Kozłów...

Juści, szło im akuratnie o nich, co o ten śnieg łoński — swoje w tem mieli zamysły i la siebie jakieś wygody rychtowali.

Płoszka był chłop sielnie ambitny, skryty, a we swój rozum i bogactwa dufający, zaś młynarz wiadomo, co la grosza dałby się powiesić, kutwa i zdzierus.

Wojna się też wnet zawiązała między stronami cicha i zawzięta, boć przy ludziach, w oczy, swiarczyli sobie przyjacielstwo, witali jak i przódzi, a nawet nieraz i do karczmy pod ręce się wiedli.

Co mądrzejsi wnet się pomiarkowali, jako tej spółce nie o sprawiedliwość chodzi, nie o krzywdy Kozłów, a o coś inszego, może i o wójtowstwo.

— Pożywił się jeden, niech się ta pożywią i drugi! — powiadali starzy, kiwając głowami.

I tak czas schodził, że męt we wsi był coraz większy.

Aż tu któregoś dnia gruchnęło po chałupach:

— Niemcy w karczmie popasają!

— Na Podlasie pewnikiem ciągną — rzekł ktoś domyślnie.

— Niech jadą z Bogiem!... co wama do nich? — przekładał drugi.

Ale jakaś niespokojna, trwożna ciekawość owładnęła ludźmi. Przez sady krzykali se tę nowinę, w opłotkach stawali gadać o niej, a insze zaś już do karczmy się przebierały na przewiady.

Jakoż prawdę rzekli, pięć bryk stało na podjeździe, a wszystkie na żelaznych osiach, na żółto i niebiesko malowane, budami płóciennymi nakryte, z pod których wyzierały kobiety i różny sprzęt gospodarski, zaś w karczmie przed szynkwasem, z dziesięciu Niemców popijało.

A tęgie były juchy, rozrosłe i brodate, w granatowe kapoty przyodziane, ze srebrnymi łańcuchami na spaśnych brzuchach, a pyski, to jaże się im świeciły od dobrego jadła. Szwargotali cosik ze Żydem.

Chłopy całą kupą stawali pębok, o wódkę krzycząc, a patrząc i nasłuchując uważnie, ale trudno było wymiarkować choćby i jedno słowo. Dopiero Mateusz, który z Żydami poredził szwargotać, tak cosik do nich zaszprechował, jaże karczmarz odwrócił się zdziwiony. Niemcy łysnęli jeno po sobie ślepiami, a nie odrzekli, zaś potem

i Grzela, wójtów brat, powiedział im jakieś niemieckie słowo. Zadami się wykręciły do chłopów, rechocąc między sobą, jakoby te świnię nad korytem.

— To ino prać po tych świńskich pyskach! — rzekł rozniewany Mateusz.

— Kijem-by potrze zmacać boki, a wnetby przemówiły.

A Adam Kłębiak szepnął z zapalczywością:

— Pchnę w kałdun tego z brzegu, zwali me, to pierzta na odlew.

Powstrzymali go, bo i Niemcy, jakby poczuwszy groźby, wzięli antał z piwem i prędko się wynieśli z karczmy.

— Te pludry, nie tak śpieszno, portki pogubita!

— Świńskie pociotki! — krzyczeli za nimi chłopaki.

Ale zaraz po ich wyjeździe, Żyd wyznał przed parobkami, jako Niemcy już prawie kupiły Podlesie, że już pojechali rozmierzać kolonię, że całe piętnaście familii osiadzie na folwarku.

— My się dusim na zagonach, a Niemcy będą na włókach rozwalali.

— To podkup ich a nie daj! Rusz rozumem, kiej się masz za mądrałę!... — wykrzykiwał na Grzelę Stacho Płoszka.

— Psiakrew z taką sprawą! — zaklął Mateusz, bijąc pięścią w szynkwę. — Jak się usadzą na Podlesiu, to i ciężko będzie w Lipcach wytrzy-

mać — zapewniał, że to bywały był we świecie a Niemców znał dobrze.

Nie wierzyli mu zrazu, ale mimo to, cała wieś się zakłopotala; jęli medytować i rozważać: coby z takiego somsiedztwa mogło wypaść złego la Lipiec?

A tu co dnia pastuchy i przechodzący donosili, jako na Podlesiu grunta już rozmierzają, kamienie zwożą i studnię kopią.

Że niejeden przez ciekawość pociągał za młyn ku Woli, a własnymi oczyma sprawdzał, że prawdę powiadali.

Ale, jak stoją rzeczy, nie sposób się było dowiedzieć.

Przypierali kowala, bo z Niemcami się już zwąchał i konie im podkuwał, ale wykręcał się i ni to, ni owo nie powiedział.

Dopiero Grzela, wójtów brat, poszedł na prze wiady i prawdę wyłożył.

Było zaś tak: dziedzic był winien jednemu Niemcowi piętnaście tysięcy rubli. Oddać nie miał, a ten mu w długu chciał wziąć Podlesie i resztę gotowym groszem dopłacić. Dziedzic się niby godził, a za kupcami posyłał, bo Niemiec dawał jeno po sześćdziesiąt rubli za morgę. Dziedzic zwłóczy jak może.

— Ale zgodzić się musi! We dworze pełno Żydów, każdy o swoje krzyczy! Powiadał mi borowy, co już krowy zajęte za podatek. Skądże to weźmie zapłacić? Wszystko na pniu przedane!

Lasu przeciek teraz, dopóki z nami w procesie, ciąć mu nie pozwolą. Nie poredzi sobie inaczej i sprzedać musi choćby za bele co — twierdził Grzela.

— Taka ziemia, po sto rubli za morgę nie za dużo.

— Kupujcie, przeda i jeszcze waju w rękę pocałuje.

— Hale, drogi grosz, jak go braknie!

— Miemcy se użyją, a ty, chłopie, ślinę łykaj!

Pogadywali, wzdychając żałośnie. Markotność ich rozbierała. Juści, żal było takiej ziemi, bo to przyległa i rodna. Każdemu-by się przydało kilka morgów, każdemu. Dyć się już cisnęli na swoich zagonach kiej mrówki, dyć ledwie się już przeżywali ode żniw do żniw. Taki kawał wybranej ziemi, w sam raz la synów i zięciów. Nową wieś-by wystawili i łąki mieliby niezgorsze i woda pobok... Ale cóż, nie poredzi! Miemcy siędą, będą się panoszyć, a ty, człowieku, zdychaj.

— Kaj się to wszystko podzieje? — wzdychali starzy, patrząc na młódź, gżącą się wieczorami po drogach, a było tego, było, jaże się ściany rozpierały! A za cóż to miał kto grunta kupować, kiej ledwie na życie starczyło?

Głowili się niemało, nawet do księdza szli po radę. Nie poredził: z pustego nie naleje.

— Kto nie ma grosza, nie umacza nosa. Biednemu zawdy wiater w oczy!...

Ale i wyrzekania a biadolenia też nic nie pomogły.

A jakby na dobitkę, upały szły coraz większe. Maj dopiero się miał ku końcowi, a przypiekało kieby w lipcu. Dnie wstawały ciche i duszne, słońce od samego wschodu wynosiło się rozpalone na czyste niebo i tak przypiekało, że już po wyżniach i na piaskach jarzyny mdlały pożółkłe, trawy do cna wypalało po ugorach, strugi wysychały, ziemniaki zaś, choć zrazu niezgorzej ruszyły, ledwie okrywały ziemię chudemi łącinami. Oziminy jeno nie ucierpiały wiele, wykłoszone, pięknie wyrosłe, szły jeszcze galantem w górę, jaże chałupy się skryły i jakby do ziemi przypcupnęły, dachami jeno widne nad tym borem kłosiszym.

Noce też były duszne i tak nagrzane, że już po sadach sypiali, gdyż trudno było w chałupach wytrzymać.

Zaś przez te gorąca, przez kłopoty i żałości, przez Płoszkowe judzenie na wójta, przez przednówek cięższy latoś, niżli po inne roki, dość, że w Lipcach nastał czas dziwnie swarliwy i niespokojny.

Chodzili rozdygotani w sobie, upatrując jeno, kogoby żgnąć tem bołącym słowem, albo i za orzydłę chycić. Każdy rad stawał przeciw drugiemu, że jakby piekło zrobiło się we wsi. Co dnia bowiem, już od świtania, trzęsło się od kłótni a wyzwisk, bo co dnia przychodziło coś no-

wego: a to Kobusowie się pobili, jaże ksiądz musiał godzić i napominać, a to Balcerkowa z Gulbasem kudłów sobie nastrzępili o prosiaka, którego marchew spyskał, to Płoszkowa pożarła się ze sołtysem o przemienienie gąsiąt; to o dzieci szły kłótnie, to o szkody somsiedzkie, to o bele co, bych się jeno przyczepiać a kłyżnić, a wrzeszczeć i wyzywać ze wszystkiej mocy — że jakby zaraz na wieś padła, tyle powstawało swarów, bijatyk i procesów.

Nawet Jambroży prześmiewał się przed obcemi:

— Niezgorszy przednowek latoś dał mi Pan Jezus! Umarlaków niema, nikto się nie lęgnie, nikto nie żeni, a mnie dzień w dzień ktosik gorzałkę stawia, honoruje, a na świadki prosi. Żeby tak parę roków jeszcze się kłócili, a na nicby się człowiek rozpił..

Juści co się źle działo w Lipcach.

Ale cheba co w chałupie dominikowej działo się najgorzej.

Szymek powrócił z drugimi, Jędrzych wyzdrowiał, bieda im nie doskwierała jak indziej, to powinno było iść wszystko po dawnemu. Bogać ta poszło, kiej chłopaki odmówiły matce posłuchu! Stawiali się hardo, kłócili ząb za ząb, bić się nie pozwolili, a żadnych robót kobiecych jak przódzi, ani tknęli.

— Dziewkę se przyjmijcie, albo i sami róbcie — powiedali twardo.

Paczesiowa miała żelazne ręce i duszę nieustęp-

liwą — jakże! tyle lat wszystkiem rządziła, tyle lat nikt nie śmiał się jej przeciw, ni wpoprzek stawać. A tu kto stawał? kto się przeciw niej wazył? — własne dzieci!

— Jezus miłosierny! — wołała w zapamiętaniu i złości, przy leda okazji chwytając za kij na synów, chciała ich przemódz i zmusić do posłuchu. Nie dali się, zacięli się jak i matka i poszli na udry. To powstawały prawie co dnia takie wrzaski a gonitwy kole chałupy, jaże ludzie się zbiegali uspokajać.

Nawet ksiądz, snać przez nią podmówiony, wzywał ich do się, a do zgody i posłuszeństwa napominał. Wysłuchali cierpliwie, w ręce go ucałowali, a za nogi jak przystało z pokorą podjęli, ale się nie przemienili.

— Nie dzieciom, wiemy co nama robić. Niech matka pierwsza ustąpi! — tłómaczyli się przed ludźmi. — Cała wieś się z nas prześmiewała...

A Dominikowa jaże pożółkła ze złości a zmartwienia, bo w żaden sposób zmódz się nie dawali, a przytem, miasto w kościele przesiadywać i po kumach jak przódzi, musiała teraz robić kole gospodarstwa. Jagusię ciągiem przyzywała do pomocy. Ale i córka nie szczędziła jej zgryzot i wstydu. Paczesiowa trzymała wójtową stronę nawet swiarczyła przeciwko Kozłom, gdyż była przy bitce i opatrywała wójtów.

Pieter też często wieczorami zaglądał do niej,

niby to na poredy, a głównie bych Jagusie wywołać i prowadzić się z nią na ogrody.

Na wsi się nic nie ukryje, dobrze wiedzą, z czego się kurzy i kaj, to i zgorszenie z tych grzesznych jamorów rośło coraz barzej i dobrzy ludzie już nieraz ostrzegali starą.

Mogła ta zapobiedz, kiej Jagna mimo prośb i błagań robiła jakby na złość. Wołała bowiem grzech najcięższy i obmowy ludzkie, niżli przesiadywanie w tej obmierzłej chałupie mężowej. Złe ją porwało i niesło, a nikt nie był mocen powstrzymać.

Hance to nawet szło na rękę i nawet często o tem rozpowiadała przed ludźmi.

— Niech się zabawia, póki wójtowi nie wzbrownią tracić gromadzkie. Dyć jej niczego nie żałuje i zwozi z miasta co ino może, we złoto-by ją oprowił. Niech se używają i końca patrzą. Co mi tam do nich!

Juści, mało to ją własnych zmartwień żarło! Nie żałowała pieniędzy la adwokata, a jeszcze nie wiada było, kiej się Antkowa sprawa odbędzie i co go czeka? A on tam chudziaczek schnął w kreminalu i Bożego zmiłowania wyglądał. W chałupie też się zwolna rozprzęgało. Mogła ta dopilnować wszystkiego? Parobek się rozzuchwalał coraz barzej, snadź przez kowala podmawiany, że tak robił, jak mu się podobało, a nieraz, kiej do miasta pojechała, cały dzień się przewalał po

wsi. Groziła mu potem, że niech jeno Antek powróci, a z nim się często porachuje.

— Wróci! Jeszcze na to nie przyszło, bych zbójów puszczali! — odkrzykiwał zuchwale.

Jaże cierpła z gniewu, bićby jeno ten pysk niepocziwy, ale poredzi mu to? Jeszcze ją spowiewiera, a ktoż to się za nią upomni, kto wesprze? Trza było wszystko znieść i w sobie schować na później, do sposobnej pory, bo jeszcze pójdzie i wszystko na jej ręce spadnie; już i tak ledwie mogła wydolić robocie. Zapadała przeto na zdrowiu, coraz więcej. Jakże, i żelazo w końcu rdza przeżre i kamień jeno do czasu wytrzyma, a nie dopiero słaba kobieta!

Któregoś dnia pod koniec maja, ksiądz z organistą pojechali na odpust, zaś Jambroży tak się spił z Niemcami, które często zaglądały do karczmy, że nie było komu przedzwonić na Anioł Pański, ni kościoła otworzyć.

Zebrali się przeto odprawiać nabożeństwo pod cmentarz, kaj pobok bramy, stojała mała kapliczka z figurą Matki Boskiej. Każdego maja, przysstrajały ją dziewczyny w papierowe wstęgi a korony wyłacane i polnem kwieciem obrzucały, broniąc od zupełnej ruiny, gdyż kapliczka była odwieczna, spękana i w gruz się sypiąca, że nawet ptaki już się w niej nie gnieździły, a jeno niekiedy, w czas słót jesiennych, pastuch jaki schronienia szukał. Smętarne drzewa, lipy staruchy, brzozy wysmukłe

i te pogięte krzyże osłaniały ją nieco od burz zimowych i wichrów.

Zeszło się sporo narodu i jak się naprędcę dało, przybrali kapliczkę w zielen a kwiaty, ktosik śmieci wygarnął, ktosik żółtym piaskiem wysypał, że nawtykawszy w ziemię u stóp figury, świeczek i lampek zapalonych, wraz jęli klękać nabożnie.

Kowal przyklęknął na przedzie, przed progiem, zarzuconym tulipami a głogiem różowym i pierwszy zaczął śpiewać.

Było już dobrze po słońcu, mroczyło, niebo na zachodzie paliło się jeszcze we złocie całe i bledziuską zielenią przytrząśnięte, czas był cichy, obwisłe warkocze brzóz jakby się łały ku ziemi, zboża stanęły przygięte, kieby zasłuchane w dźwiękliwy bełkot rzeczki i w to cichuśkie strzykanie koników polnych.

Ostatnie stada do obór ściągaly; od wsi, z pól, z miedz już niedojrzanych, buchały niekiedy jazgotliwe śpiewki pastusze i długie, przeciągłe poryki. Zaś naród śpiewał, wpatrzony w jasną twarz Matki, co wyciągała błogosławiące ręce nad wszystkim światem:

»Dobranoc, woina lilija,
Dobranoc!«

Zapach młodych brzóz powiał ze smętarza i wraz też słowiki jęły jakby próbować gardzieli, wyciągać rwaną nutą, wzbierać mocą, jaże w końcu buchnęły złote, spienione strugi, jaże polały się te

trele perliste, te kłaskania cudne i te lube, rzewliwe zawodzenia, zaś niedaleko, ze zbóż, ozwały się też pana Jackowe skrzypice, przywtarzając ludziom tak słodko, cichusko a przejmująco, jakby to te żytnie, rdzawe kłosa dzwoniły o się, to złote niebo, lebo przyschła ziemia taką pieśnią zagrała majową.

I już wraz śpiewali wszystkie, i naród, i ptaszki, i skrzypice, a kiej na to oczymgnienie ustawali, kiej słowiki tak się zaniesły, aże cichło, a struny jakby tchu nabierały, wtedy nieprzeliczony żabi chór podnosił rehotliwe głosy i grał zgodliwym skrzekiem i nukaniem przeciągłem.

I tak już szło naprzemiany.

Długo się owo nabożeństwo ciągnęło, jaże kowal zaczął przyśpieszać, wydierał się mocno, nad drugimi górując, a często wołał za siebie.

— Pośpieszajta się, ludzie... — że to opóźniali się z nutą niektóre.

A nawet raz huknął na Maciusia Kłębowego:

— Nie drzyj się, jucho, boś nie za bydłem.

Że zgodliwie już poszło i głosy podrywały się razem, kiej te stada gołębie i krążąco, zwolna unosiły się ku niebu ciemniejącemu.

•Dobranoc, wonna lilija!

Dobranoc!

Niepokałana Maryja!

Dobranoc!•

Mrok już zgęstniał i noc ciepła i cicha świat

otulała, zasie na niebie występowały gwiazdy rosą roziskrzoną, kiej się zaczęli rozchodzić.

Dzieuchy, w pół się pobrawszy, zawodziły po drogach.

Hanka powracała jeno z dzieckiem na rękę i srodze czegoś zadumana, gdy przysunął się kowal i wpodłe szedł.

Nie ozwała się; dopiero przed domem, widząc, iż nie ostaje, rzekła:

— Wstąpicie to, Michał?

— Przysiedę w ganku i powiem co wam — szepnął cicho.

Ścierpła nieco, szykując się jakąś nową biedę posłyszeć.

— Byliście pono u Antka? — pierwszy zaczął.

— Byłam, ale mnie do niego nie puścili.

— Tegom się i bojał.

— Mówcie co wiecie! — mróz ją przeszedł.

— Co ja ta wiem?... tyła jeno co mi się udało ze starszego wyciągnąć.

— A co? — wparła się w słupek i dziecko mocniej przycisnęła do siebie.

— Powiedział, że Antka przed sprawą nie wypuszczą.

— La czego! — ledwie wyjąkała, dygot ją trząsł i łamał. — Dyć... przeciek adwokat mówił, co może puszczą.

— Hale, żeby im uciekł! Tak przez niczego nie puszczą! Wiecie, przyszedłem dzisiaj do was całkiem po przyjacielsku. Co tam pomiędzy nami

było, to było; obaczycie kiedyś, że byłem praw... Nie wierzyliście mi... wasza wola... ale teraz wysłuchajcie co rzeknę, a jak księdzu na spowiedzi tak prawdę powiem... Z Antkiem jest źle! z pewnością ciężko go zasądzą, może na dziesięć lat. Słyszycie to?...

— Słyszę, ale nic a nic nie wierzę — uspokoiła się nagle.

— Każdy nie wierzy, póki nie przymierzy; prawdę wam rzekłem.

— Zawdy taką mówicie — zaśmiała się wzgardliwie.

Ciepnał się i jął gorąco upewniać, jako teraz z prostego przyjaćielstwa przyszedł, bych poredzić. Słuchała, chodząc oczyma po obejściu, już się parę razy podnosiła niecierpliwie: krowy ano niewydojone porykiwały w oborze, gęsi były niezapędzone na noc i żreback gonil się w opłotkach z Łapą, a chłopaki rajcowały w stodole. Nie wierzyła mu juści ani słóweczka. »Niech się wygada, może się wyda z czem przyszedł« — myślała, trzymając się na baczności.

— Cóż poredzić? co? — odpowiadała byle coś rzec.

— A rada-by się znalazła — powiedział ciszej jeszcze.

Odwróciła się do niego.

— Dać wykup, to go puszcza jeszcze przed sprawą, a potem to już se poredzi, choćby i do tej Hameryki... nie zgonia...

— Jezus, Marya! Do Hameryki! — krzyknęła bezwolnie.

— Cichocie, jak pod przysięgą mówię, tak dziedzic radził. »Niech ucieka — powiada: — najmniej dziesięć lat... zmarnuje się chłop...« Wczoraj mi mówił.

— Uciekać ze wsi... od gruntu... od dzieci... Jezu... — to ino zrozumiała.

— Dajcie jeno wykup, a resztę to już Antek postanowi, dajcie...

— Skądże to wezmę?... Mój Boże, w tyli świat... od wszystkiego.

— Pięćset rubli chcą! Przeciek macie te ojcowe... weźcie je na wykup... policzym się później... byle jeno ratować...

Skoczyła na równe nogi.

— Jako ten pies, ciągiem jedno szczekacie! — chciała odejść.

— Ciepicie się jak głupia — rozgniewał się. — Tak se ino powiedziałem... Hale, będzie się tu honorować o bele słowo, a tam chłop w kreminalu zgnije. Powiem mu, jak to zabiegacie, by mu ulżyć.

Przysiadła znowu, nie wiedząc już co myśleć.

Opowiadał szeroko o tej Jameryce, o ludziach znajomych, które tam pojechały, że listy piszą, a nawet pieniądze przysyłają la swoich. Jak tam dobrze, jaką wolę ma każdy, jakie bogactwa zbierają. Antek mógłby zaraz uciekać: zna Żyda, którego już niejednego wyprowadził. Mało to już takich uciekło! Zaś Hanka mogłaby jechać potem

la niepoznaki. Grzela wróci z wojska, to spłaciłby z ojcowizny, a nie, kupiec się też rychło znajdzie.

— Poradźcie się księdza, obaczycie co wama przytwierdzi moje słowa. Poznacie, żem prawy i ze szczerego serca namawiam, nie la swojej wygody. Jenó przed nikim ani pary z gęby, bych się strażnicy nie zmiarkowali, zaś wtedy i za ty-siące go nie puszczą, a jeszcze w kajdany za-kują — zakończył poważnie.

— Skąd wziąć na wykup! tylachna pieniędzy! — jęknęła.

— Znam kogoś z Modlicy, ktoby dał na do-bry procent... znam i drugih... pieniądze by się znalazły... Moja w tem głowa... pomógłbym.

I długo jeszcze radził a namawiał.

— Rozważcie, trza rychło postanowić.

Odszedł cicho, że ani spostrzegła, kiej się za-podział w nocy.

Późno już było, w chałupie spali, tylko Witek siedział pod ścianą, jakby stróżując gospodyni, na wsi też wszyscy legli, nawet psy nie poszczeki-wały, woda jeno bulgotała i ptaki zawodziły w sa-dach. Księżyc się wtoczył na niebo i szedł srebr-nym sierpem przez te straszne, mroczne wysoko-ści. Białe i nizkie mgły pokrywały łąki, zaś nad żytami wisiał płowy tuman kwietnej kurzawy; staw polśniewał wskroś drzew, kieby tafla lodowa. A że dzwoniło w uszach od tej cichości a słowicznych kłasków i zawodzeń.

Hanka siedziała wciąż na jednym miejscu, jakby przykuta.

— Jezu, uciekać ze wsi, od gruntu, od wszystkiego! — myślała jedno w kółko.

Groza ją przejęła, rosnąc z minuty na minutę, a serce ściskając strasznym żalem i przerażeniem.

Łapa zaczął wyć na podwórzu, słowiki ścichły, zawiał wiat, że zakolebały się cienie i jękliwy, smutny szum przeleciał.

— Kubową duszę obaczył! — szepnął Witek, żegnając się strachliwie.

— Głupiś! — skarciła go, spać wypędzając.

— Kiej przychodzi, do koni zagłąda, obroku im dosypuje... bo to raz?...

Nie słuchała już, cichość znowu spadła na świat, słowiki zaśpiewały, a ona siedziała kieby zmartwiała, powtarzając niekiedy z męką i strachem:

— W cały świat uciekać! Na zawsze! Jezu miłosierny! Na zawsze...

IX.

Jeszcze były po świątkach umajenia chałup do cna nie przewiedły, kiej któregoś dnia rankiem najnieszpodzianieź zjawił się Rocho.

Jeno co dopiero po mszy i długiej rozmowie z księdzem pokazał się na wsi. Niewiela ludzi kręciło się w obejściach, że to pora była osypywania ziemniaków, lecz skoro się roznieśło, jako Rocho idzie przez wieś, wnet-ci ten i ów na drogę śpieszył witać dawno niewidzianego.

A on zaś szedł, jak zawdy na kiju się wspierając, wolniuśko, z podniesioną głową, w tej-ci samej kapocie szarej, i tak samo z różańcami na szyi; wiater mu rozgarniał siwe włosy, a chuda twarz jaśniała dziwną dobrocią i weselem.

Wodził oczyma po chałupach i sadach, prześmiejując się radośnie do wszyćkiego, witał się z każdym z osobna, że nawet dzieciom, co się były do niego garnęły, główiny przyglądał pocziwie, zaś do kobiet pierwszy zagadywał, tak był rad, że wszystko zastaje po dawnemu.

— W Częstochowie byłem na odpuscie — odpowiadał, gdy napierali ciekawie, kaj się to zadziewał przez tyle czasu.

Ale tak się szczerze cieszyli z jego powrotu, że zaraz po drodze jęli mu rozpowiadać lipeckie nowiny, a ktosik już i rady jakiejś zasięgał, zaś drugi chciał się wyźalić, odwodząc go na stronę i supląc przed nim turbacze, kiejby ten grosz na ostatnią potrzebę schowany.

— Do cna ustaleń, dzień jaki odpocznę — tłumaczył się zbywająco.

Na prześcigi jęli go zapraszać do swoich chałup.

— Na tymczasem zakwateruję się u Macieja, jużem to Hance przyobiecał; a przyjmie mnie kto potem, do tego przystanę na dłużej.

I żwawo ruszył do Borynów.

Juści, co Hanka przyjęła go radośnie i z całego serca ugaszczać chciała, ale skoro jeno złożył torby i odzipnął nieco, do starego się wybrał.

— A obaczcie ich, leżą w sadzie, że to gorąc w chałupie. Mleka wama bez ten czas uwarzę a możebyście i jajków zjedli? co?

Ale Rocho już był w sadzie i chyłkiem przebiegał się pod gałęziami do chorego, którego leżał w półkoszku, wymoszczonym pierzyną, i kożuchem przyokryty. Łapa, zwinięty w kłębek, warował mu przy nogach, a Witków bociek gajdał się pocieszenie między drzewami, kiejby na straży.

Sad był stary i mroczny; rozrosłe drzewiny tak przysłaniały niebo, że dołem, na murawach jeno niekajś gmerały się słoneczne pręgi, podobne złotym pająkom.

Maciej w znak leżał. Rozruchane gałęzie z cichym poszumem chwiały się nad nim płachtą cieniów, że jeno czasem, kiedy ją wiatr ozdał, słońce chlustało mu w oczy, i coraz kawał modrego nieba się odsłaniał.

Rocho przysiadł.

Drzewa szumiały, czasem pies warknął na mu-
chy, a niekiedy roświegotane jaskółki śmignęły
wskroś pni czarnych na pola zielone i rozkołysane.

Chory naraz zwrócił się do niego.

— Poznajecie mnie, Macieju, co? Poznajecie?

Borynie leciutki przyśmiejch wionął po twarzy, oczy się zatrzepały, i jął ruchać sinemi wargami, ale głosu nie dobył.

— Jak Pan Jezus przemieni, to możecie jeszcze wyzdrowieć.

Snadź rozumiał, gdyż potrząsł głową i, jakby niechętnie, odwrócił się od niego. Zapatrzył się znowu w rozkołysane gałęzie i w te słoneczne bryzgi, zalewające mu oczy raz po raz.

Rocho jeno westchnął, przeżegnał go i odszedł.

— Prawda, co ojcu jakby już lepiej? — pytała Hanka.

Długo coś miarkował, aż rzekł cichym, ważnym głosem:

— Toć i lampa przed zagaśnięciem żywszym płomieniem wystrzeli, na ostatku. Mnie się zdaje, co Maciej już dochodzi... Aż mi nawet dziwno, że jeszcze żyje: przecież na wiór wysechł...

— Dyc jeść nic nie chce, nawet mleka nie zawsze popije.

— Musicie być gotowe, że lada dzień skończy.

— Pewnie że tak, mój Boże, pewnie. To samo wczoraj mówił Jambroży, a nawet radził, żeby już nie czekać i trumnę obstalować.

— Każcie zrobić, nie będzie długo czekała, nie... Jak duszy pilno ze świata, niczem jej nie powstrzyma, nawet płakaniem, boby już poniektóre całe wieki ostawały między nami — mówił smutnie, zabierając się do mleka, które mu narządziła, i popijając zwolna, wypytywał co się tu we wsi działo.

Powtarzała, co już był słyszał po drodze od drugich, i o swoich kłopotach jęła się skwapnie a szeroko rozwodzić.

— Kaj to Jóźka? — przerwał jej niecierpliwie.

— W polu, ziemniaki osypuje z komornicami i Jagustynką, zaś Pietrek pojechał do lasu: zwozi Stachowi drzewo na chałupę.

— Buduje się to?

— Przeciek pan Jacek dał mu dziesięć chojarów.

— Dał mu? Powiadali mi coś o tem, ale nie uwierzyłem.

— Bo to i nie do wiary! Zrazu nikto nie powierzył. Obiecał, ale przeciech nie jeden obiecuje. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość — powiedają. A pan Jacek dał Stachowi list i kazał mu z nim iść do dziedzica. Nawet Weronka się przeciwiała, by szedł, bo, powiada co będzie buty dał na darmo?... jeszcze się z niego wyśmieją, że zawierzył głupiemu... Ale Stacho się uparł i poszedł. I powiada, że może w pacierz po oddaniu listu, dziedzic go kazał zawołać na pokoje, poczęstował gorzałką i rzekł: »Przyjeżdżaj z wozami, to ci borowy wycechuje dziesięć sztuk budulcu...« Dał mu Kłęb koni, dał sołtys, dałam i ja Pietrka. Dziedzic już na nich czekał w porębie i zaraz sam wybrał co najśmiglejsze z tych, co to je zimą cięli la Żydów. No i zwożą, bo dobrze trzydzieści wozów będzie z gałęziami. Stacho galantą chałupę se wyszykuje! Nie potraza mówić, jak panu Jackowi dziękował i przepraszał, bo, po prawdzie, wszyscy go mieli za dziadaka i za głupawego, że to nie wiada z czego żyje i pod figurami to we zbożach grywa na skrzypicy, a czasem tak bele co i nie do składu powie, jako ten niespełna rozumu... A on taki pan, że mu sam dziedzic posłuszny!... Ktoby to przódzi dał wiarę?...

— Nie patrzcie na człowieka, jeno na jego uczynki.

— Ale dać tylachna drzewa, które, jak Ma-

teusz rachuje, warto z tysiąc złotych, i to jeno za Bóg zapłać, tego jeszcze nie bywało!

— Powiedali, co za to starą chałupę bierze w dożywocie...

— Hale, tyle warta co ten trep rozłupany! Jużewa nawet myśleli, czy w tej dobroci niema jakiego podejścia, jaże Weronka dobrodzieja się redziła. Skrzyczał ją, że głupia.

— Bo i prawda. Dają — to brać i Bogu za łaskę dziękować.

— Przeciek człowiek niezwykajny brać darmo-chy i jeszcze od dziedziców! Słyszane to rzeczy! Jakże, kiej to chto chłopu dał co z dobroci? Żeby po najmniejszą porędę iść, a i to na ręce patrzą, zaś w urzędzie się przez grosza nie pokaż, bo ci jutro przyjąć każą, albo za niedzielę... Przez tę Antkową sprawę dobrze poznałam, jakie to jest urządzenie na świecie, i niemało już pieniędzy wyniesłam...

— Dobrze, coście mi Antka wspomnieli. Wstępowałam do miasta.

— Toście go może widzieli?

— Nie było czasu.

— Jeździłam niedawno, nie puścili me do niego. Bóg wie, kiej go obaczę.

— Może i prędzej niżli miarkujecie — rzekł z uśmiechem.

— Jezus, co wy powiadacie!

— Prawdę! W głównym urzędzie powiedzieli mi, że Antka mogą przed sprawą puścić na wolę,

jeśli kto poręczy za nim, co nie ucieknie, albo da w zastaw sądowi pięćset rubli.

— Rychtyk podobnie i kowal mówił! — jęła zaraz opowiadać jego rady co do słowa.

— Rada dobra, ale że to Michałowa, nieprzepieczna: ma on tu coś w tem, ma... Ze sprzeda-
niem się nie śpieszyć: z gruntu wyjeżdża się w ogiery,
a powraca rakiem, na czworakach... Co inszego
trzeba wynaleźć... Możeby kto poręczył?... prze-
wiedzieć się potra między ludźmi... Juści, żeby
pieniądze były...

— Możeby się i znalazły — szepnęła ciszej. —
Mam cosik gotowego grosza, jeno zrachować nie
poredziłam, ale możeby chwaciło...

— Pokażcie, to razem przeliczmy.

Zniknęła gdziesik w obejściu, a powróciwszy
po jakimś pacierzu, przywarła drzwi na zasuwę
i położyła mu węzełek na kolana.

Były w nim papierowe pieniądze, były i sre-
brne, a nawet było parę złotych i sześć biczów
korali.

— To po matce, dał je Jagnie, a potem snadź
odebrał — szepnęła, przykucając przed ławą, na
której Rocho rozliczał.

— Czterysta trzydzieści dwa ruble i pięć zło-
tych! Od Macieja, co?

— Tak... juści... dał mi po świętach... — jąkała,
czerwieniąc się.

— Na zastaw nie starczy, ale moglibyście co
sprzedać z inwentarza!

— Juści, mogłabym sprzedać maciorę... krowę jałową teżby można, zbędna, Żyd już o nią przepytował... to parę korczyków zboża...

— A widzicie, ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka. Bez niczyjej pomocy Antka wykupimy. Wie to kto o waszych pieniądzach?

— Ociec mi dali na ratowanie Antka, przykazując, abym ni komu ni słówkiem nie pisała. Wama pierwszemu się zawierzam. Jakby Michał..

— Nie rozgłoszę, bądźcie spokojni. Jak powiadomią, że pora, pojedę z wami po Antka. Uładzi się jakoś na dobre, uładzi, moi kochani — szeptał, całując ją w głowę, bo mu się do nóg rzuciła z podzięką.

— Rodzony ociec lepszyby nie był — wołała z płaczem.

— Wróci chłop, Panu Bogu podziękujecie. Gdzie to Jagusia?

— Dyć jeszcze do dnia pojechała do miasta z matką i z wójtem. Powiadały co do rejenta, stara pono gront przepisuje na córkę.

— Wszystko Jagnie? a chłopaki?

— Przez złość do nich, że to chcą działów. Piekło tam u nich, a to dzień nie mija przez kłótni, zaś wójt broni Dominikowej, opiekunem był nad sierotami jeszcze po śmierci Dominika.

— A ja myślałem, że co inszego, bo to mi różnie opowiadali.

— To świętą prawdę mówili. Jagną się ano opiekują, ale tak, co mi wstyd rozpowiadać po-

drobnie. Stary jeszcze rzezi, a ta jak suka... Nie powtarzałabym po kim, ale samam ich w sadzie zdybała, no...

— Dajcie mi gdzie wypocząć — przerwał jej, powstając z ławy.

Chciała mu słać Józine łóżko, ale wolał iść do stodoły.

— Pieniądze dobrze schowajcie — ostrzegł ją jeszcze i poszedł.

Aż dopiero po południu się pokazał, zjadł obiad i na wieś się wybierał, kiej Hanka z wielką nieśmiałością się odezwała:

— Byście mi to, Rochu, ołtarz pomogli przy-
stroić...

— Prawda, jutro Boże Ciało. Gdzież to go stawiacie?

— Gdzie i co rok, przed gankiem. Pietrka ino patrzeć z lasu, przywiezie gaci jodłowej i świerczaków, zaś Jagustynkę z Józką zarno po obiedzie pchnęłam po ziela na wianki.

— A świece, lichtarze macie to już?

— Jambroży przyobiecał przynieść z kościoła wczesnym rankiem.

— U kogoż to jeszcze będą stawiali ołtarze?

— Po naszej stronie u Wójta, zaś po tamtej u Młynarza i przed Płoszkami.

— Pomogę wam, wstąpię jeno do pana Jacka i przed zmierzchem przyjdę.

— Każcie Weronce, by zaraz zrana przyszła pomagać!

— Kiwnął głową i poszedł już prosto do Stachowej rudery.

Pan Jacek siedział na progu jak zawdy, papierosa palił, bródkę skubał i przewłóczył oczyma po rozkołysanych zbożach i za ptakami patrzył.

Zaś przed chałupą i pod trześniami leżało już parę tęgich chojarów i kupy wierzchołów i gałęzi, stary Bylica kole nich łaził, wymierzał toporzykiem, gdzie jaki sęk odciupnął siekierą i ciągiem mruczał:

— I tyś przyszedł na nasze podwórko... juści... galantyś widzę... Bóg ci zapłać... zaraz cię Mateusz do ostrego kantu wyrychtuje... na przyciesie zdątnyś... sucho miał będziesz, nie bój się...

— Jakby do żywej osoby mówi — szepnął zdziwiony Rocho.

— Siadajcie. Z radości w głowie mu się pomieszało, całe dnie tak przesiaduje przy drzewie. Słuchajcie-no.

— A i ty wystąpiłeś się, chudziaczko, w boru, to se teraz odpoczniesz... juści, nikto cię już nie ruszy!... — gadał stary, gładząc miłosnemi rękoma żółtą, złuszczoną korę sosny.

Polażł do najgrubszej, zwalonej na drózkę, kucał przed przekrojem i, patrząc z lubością na żółte, nabrzmiałe żywicą słoje, mamrotał:

— Tylachnaś, a dali ci radę! co? Żydyby cię do miasta wywieźły, a tak Pan Jezus pozwolił, co u swoich ostaniesz, u gospodarzy, obrazy na

tobie powiesz, ksiądz cie wodą święconą skropi, juści... co?...

Pan Jacek jeno prześmiewał się z tego nieznacznie i pogadawszy cosik z Rochem, wziął skrzypki pod pachę i miedzami ruszył ku borom.

Rocho zaś potem u Weronki siedział, wysłuchując różności.

Na świecie miało się już pod wieczór, upał przechodził, a nawet już od łąk przewiewały chłodnawe ciągi, wiatery też niezgorzej jął dmuchać od samego południa, że żytnie pola, rdzawe od młodych kłosów, toczyły się skłębione kiej wody, raz po raz zakolebały się gwałtownie, zakręciły wirami i chlustały ku drogom i miedzom, jakby już ino, ino, wylać się miały, ale jeno tłukły płowemi grzywami o ziemię i poddawały się w tył, kiej stado żrebców, dęba stojących. Wiatery z różnych stron parł na nie i miotał kiejby la zabawy, że wzburzone znowu hulały po zagonach pełne gurb płowych, zielonych zatok, rdzawych smug, i chrzęstu, i trzepotów. Skowronki wydzwaniały wysoko, czasem stado wron przeciągnęło, ważąc się na wietrze i spadając odpoczywać na rozkołysanych drzewinach. Słońce już czerwieniało, opuszczając się coraz niżej, i po całym świecie, po polach rozkołysanych i po sadach trzepoczących się, niby stada na uwięzi, rozlewał się zwolna czerwony brask kończącego się dnia.

Zaś z powodu jutrzejszego święta, ludzie wcześniej schodzili z pól, kobiety wzięły wianki przed

chałupami, dzieci zносиły naręcza tataraku, przed Płoszkami i młynarzem stożyły się brzeziny i świerki, które wkopywali, kaj miały się stawiać ołtarze, gdzie już i dzieuchy mały ściany, drogę też miejscami równali, zasypując wyboiska, któraś też jeszcze prała nad stawem, że ino kijanka trzaskała i gęsi strachliwie gęgały.

Rocho właśnie zbierał się wyjść od Weronki, kiej na topolowej, we srogiej kurzawie ukazał się ktosik pędzący na koniu. Wstrzymywały go nieco wozy ze Stachowem drzewem, że polem chciał objeżdżać.

— Tel konia ochwacisz, kaj ci tak pilno! — krzyczeli.

Wyminął ich jakoś i pognał do wsi z całych sił, jaże koniowi zagrała wątroba.

— Hej! Adam, poczekaj-no! — wołał Rocho.

Kłębiak wstrzymał się nieco i jął krzyczeć z całych sił:

— A to nie wiecie, jakieś zabite leżą w boru! Jezus, zatkało me całkiem. Konia pasłem na smugu, i jużesmy z Gulbasiakiem jechali do dom, aż tu przed Borynowym krzyżem koń się rzucił w bok, jażem bęcnął na ziem. Patrzę: ki lichu strachnęło konia? a tu jakieś ludzie w jałowcach leżą... Wołałim, a oni nic, leżą kieby pomarłe...

— Głupi, będzie tu cudeńka rozpowiadał! — zawrzeszczeli.

— Obaczcie sami: leżą tam! Gulbasiak też wi-

dział, jeno co ze strachu w las pognął do kormornic, które susz zbierały. Nieżywe leżą.

— W imię Ojca i Syna, to jedźże wójta po wiadomości!

— Wójt jeszcze z miasta nie przyjechali — rzekł ktosik.

— To sołtysowi dać znać!... kole kowala drogę poprawia z chłopakami!.. — wołali za nim, bo już ostrym galopem się puścił.

Juści co po wsi w ten mig się rozgłosiło o pomordowanych, wrzask się czynił zgrozy pełen, i bieganina, ludzie jaże się żegnali z przerażenia. A nim słońce zaszło, z pół wsi wyległo na drogi. Ktoś dobrodzieja uwiadomił, że wyszedł przed plebanię rozpytywać, kupą już tam szli niemałą, rając z cicha, młodszy puścili się nieco naprzód topolową, a wszyscy z wielką niecierpliwością czekali na sołtysa, którego wozem pojechał, zabierając ze sobą Kłęba i parobków.

Długo czekali, bo dopiero o zmierzchu powrócił, ale ku niemałemu zdumieniu, wójtowemi końmi i bryką. Zły był jakiś, bo srodze kłął i podcinał szkapy, ani myśląc przystawać przed ciżbą, ale ktoś konie za uzdy chycił, że musiał przystanąć i rzekł:

— Juchy te chłopaki, wymyśliły sobie co niebądź la zabawy. Żadnych zabitych nie było w lesie, ludzie se jakieś spały pod krzakami. Złapię Kłębiaka, to ja mu dam strachania. Spotkałem po

drodze wójta i zabrałem się z nim, to cała historia. Wio! maluśkie!

— A cóż to wójt chory, że leży kiej baran? — pytał kto, zaglądając do wasąga.

— Śpik go zmorzył i tyla! — śmignął konie i już kłusem ruszył.

— Ścierwy te wisusy, żeby taką rzecz wymyślić!

— Gulbasiaka to sprawka, on pierwszy do psich figlów!

— Rzemieniemby ich złoić, co mają ludzi trwożyć po próżności!

Wyrzekali z oburzeniem, rozchodząc się zwolna po chałupach.

Jeszcze gdzieś niegdzie stojali kupkami nad stawem zczzerwienionym od zórz, gdy się pokazały komornice z ciężkimi brzemionami drzewa na plecach. Kozłowa szła na przedzie, jaże wpół zgięta pod ciężarem, i dojrzawszy ludzi, wsparła się brzemieniem o drzewo.

— Sołtys waju dobrze ocyganił! — powiedziała, ledwie zapiąc z utrudzenia. — Zabitych w lesie nie było, to prawda, ale może co gorszego.

I skoro zebrało się więcej ludzi, zwabionych jej głosem, puściła ozór:

— Wracalim podleśną drogą ku krzyżowi, aż tu Gulbasiak leci naprzeciw i krzyczy zestrachany: »Pod jałowcami jakieś zabite leżą!« Zabite to zabite, myślę, ale warto zawdy obejrzeć. Poszliśmy..

widzim zdala, prawda leżą jakieś ludzie, kieby nie-
żywe... jeno im kulasy sterczą z pod jałowców.
Filipka me ciąga, by uciekać... Grzelowa już pa-
cierz trzepie, i mnie też mróz po plecach chodził,
alem się przeżegnała, podchodzę bliżej... patrzę...
a to pan wójt leży przez kapoty, a pobok Jagu-
sia Borynowa... i śpią se w najlepsze. Spili się
w mieście, gorąc był, to se chcieli wypocząć w chłó-
dzie i pojamorować. Jaże buchała od nich go-
rzałka! Nie budziłam: niech świadki przyjdą, niech
cała wieś obaczy co się wyprawia! Wstyd mówić,
jak była rozdzielana, jaże Filipka z litości przyo-
kryła ją zapaską. Czysta sodoma. Stara jestem,
a jeszcze o takim zgorszeniu nie słyszałam. Soł-
tys zaraz przyjechał i budził, Jagna w pola ucie-
kła, zaś pana wójta ledwie na wóz wdygowali,
spity był kiej świnia!

— Jezus, tego jeszcze w Lipcach niebywało —
jęknęła któraś.

— Żeby to parobek z dziewczką, ale to gospo-
darz, ociec dzieciom i wójt!

— A Boryna ze śmiercią się mocuje, wody
mu nie ma kto podać, a ta...

— Jabym ją ze wsi wyświeciła! jabym ścierwę
różgami pod kościołem siekła! — zaczęła znowu
wrzeszczeć Kozłowa.

— Zgorszenie samo krzyczy; co tu dodawać? —
uspokajały ją kobiety, załamując ręce.

— A kaj Dominikowa?

— Z rozmysłem ją w mieście ostawili, bych nie przeszkadzała...

— Jezu, strach pomyśleć co się wyprawia teraz na świecie!

— Taki grzech, takie zgorszenie, dyć wstyd na całą wieś padnie!

— Jagna się ta o sławy nie boja, jutro gotowa to samo robić.

Wyrzekali po chałupach, załamując ręce, że już z tej zgrozy i oburzenia co miętsze kobiety płakały, spodziewając się kary srogiej od Boga na wszystkich ludzi. Cała wieś się trzęsła od gadań i lamentów.

Tylko jedne chłopaki, co się były zeszły na most, wzięły Gulbasiaka rozpytywać podrobno i prześmiewały się z całej historyi.

— To ci kokot z wójta, no! to chwat! — śmiał się Wachnik Adam.

— Odpokutuje jeszcze za te jamory: kobieta łeb mu obedrze!

— I z pół roku nie przypuści do siebie.

— Po Jagusi to i nie śpieszno mu będzie do swojej.

— Psiachmać, la Jagny każdy by się ważył na wszystko...

— Jeszczeby! kobieta kiej łania, że niewiada, czy nałazłby śliczniejszą w jakim dworze: ledwie spojrzy na człowieka, a już ciągotki biorą.

— Miód nie kobieta, nie dziwno mi też, co Antek Boryna...

— Dajta spokój, chłopaki! Gulbasiak łże jedno, Kozłowa drugie, a baby przez zazdrość jeszcze dokładają, zaś po prawdzie to niewiadomo jak było... Na niejedną pyskują, choć najpocziwsza — zaczął mówić Mateusz jakimś smutnym i wielce strapionym głosem, ale nie skończył, gdyż się zjawił między nimi Grzela, wójtów brat.

— Cóż? Pietr śpią jeszcze? — pytali ciekawsi.

— Brat mój rodzony, ale kto tak robi, psem mi jest od dzisiaj! Ale ta ścierwa wszystkiemu winowała! — wybuchnął wściekłością.

— A nieprawda! — wrzasnął naraz Pietrek, parobek Borynów, przedzierając się z pięściami do Grzeli: — któren tak szczeka, łże jak pies!

Zdumieli się tą niespodzianą obroną, a on wytrząchając pięściami, krzyczał:

— Wójt jeno winien! To ona mu korale zwoziła? ona go do karczmy ciągała? ona po całych nocach w sadzie warowała, co? Dobrze wiem, jak przyniewalał i kusił! A może i jakich kropli jej zadał, by mu się nie oparła!

— Obrońca zapowietrzony! nie ciep się tak, bo obertelek zgubisz!

— Dowie się, co ją bronisz, to ci zasługi podniesie.

— Albo jakie portki po Macieju ochfiaruje!

Aż się pokładali ze śmiechów i przekpiwań.

— Chłop za nią nie stanie się upomnieć, ani kto drugi, to ja bronit będę... A będę, psiakrew,

i niech jeszcze usłyszę złe słowo, pięści nie po-
żałuję... Pyskacze juchy, kieby się to przytra-
fiło z którego siostrą albo kobietą, toby mordy
stulili!

— Zawrzyj i ty pysk, parobie jeden! nie twoja
sprawa, pilnuj se końskich ogonów! — gruchnął
na niego Stacho Płoszka.

— I bacz, byś czego przódzi nie oberwał! —
dodał Wachnik.

— A od gospodarzy ci zasie, kołtunie jeden! —
dorzucił jeszcze któryś na odchodne.

— Gospodarze parszywe, dziedzice ścierwy! Ja
służę, ale kryjomo ćwiartek nie wynoszę do Żyda,
ni z komory niczegój nie porywam! Jeszcze me
nie znacie! — krzyczał za odchodzącemi śpiesznie,
bo nijako się im zrobiło, że nie odzywając się
już na jego wrzaski, porozchodzili się po cha-
łupach.

Wieczór się już zrobił, jeno że jakiś wietrzny
i dziwnie jasny, dawno bowiem było po zachodzie,
a na niebie jeszcze leżały szerokie zatoki zórz
krwawych, kieby mrowiska porozrywane, i wzbie-
rały zwolna wielgachne chmurzyska. Jakiś niepo-
kój rozwiewał się nad światem, wiatер pohukiwał
wysoko, że tylko co najwyższe drzewa szarpały
się wierzchołkami, ptaki jakieś z wrzaskiem prze-
ciągały niedojrzane, gęsi też niewiada czemu krzy-
czały po obejściach, a psy ujadły kiej wściekle,
wybiegając aż na pola. Zaś w chałupach też było
podobnie, bo po kolacyi nikto w izbach nie ostał,

ni na progach siadał, jak zwyczajnie: wszyscy do sąsiadów szli, kupiąc się przed opłotkami a z cicha poredzając.

Wieś była kiej wymarła, nie rozlegały się śmiechy ni śpiewki, jak zawdy w ciepły wieczór, bo wszystkie szeptem raili, strzegąc się dzieci i dzieuch, i wszystkich przejmowało jednakie oburzenie i zgroza.

U Hanki też się zebrało na ganku parę kum: przyleciały się nad nią użalać i co nowego o Jagnie dowiedzieć. Poczynały z różnych stron, ale Hanka odrzekła smutnie:

— Wstyd to i obraza Boska, ale i niemałe nieszczęście.

— Pewnie, a jutro cała parafia będzie o tem wiedziała.

— I zaraz powiedzą, że co najgorsze, to w Lipcach się staje.

— I na wszystkie lipeckie kobiety wstyd padnie.

— Bo wszyćkie takie święte, że niechby je kto tak przyniewalał, to samo-by zrobiły! — zaszdyżła Jagustynka.

— Cicho-cie, nie pora na prześmiechy! — zgromiła ją Hanka wyniośle i już ani słowem się nie ozwała.

Jeszcze ją dusił wstyd, ale gniew, co ją zrazu chycił na Jagnę, już się kajś zapodział, że skoro kumy się porozchodziły, zajrzała na drugą stronę, niby to do Macieja, ale dojrzawszy Jagusię, spiącą

w ubraniu, przywarła drzwi, i po omacku rozebrała ją starannie.

— Niech Bóg broni takiej doli! — myślała potem z dziwną litością, i jeszcze parę razy tego wieczora zaglądała do niej.

Jagustynka musiała cosik zmiarkować, bo rzekła, jakby niechący.

— Jagna bez grzechu nie jest, ale wójt najwinniejszy.

— Prawda, i jemu powinni zapłacić za wszystko, jemu! — przytwardzała tak zajadle Hanka, że Pietrek spojrzał na nią dziękczynnie.

I dobrze utrafiły, bo do późna w noc, stary Płoszka i Kozły latały po wsi, podburzając ludzi przeciw niemu. Płoszka nawet do chałup zachodził i niby to żartami gadał:

— Udał się nam wójt, w całym powiecie nie najdzie większego chwata!

A że jakoś niebardzo mu basowali, do karczmy pociągnął. Było już tam kilku pomniejszych gospodarzy, postawił im gorzałki raz i drugi, aż kiej się podcięli, swoje jął wykładać:

— Wójt nam się sprawia? co?

— Nie pierwszyczna mu przecież! — rzucił ostrożnie Kobus.

— Trzymam o nim swoje i nie puszcę z gęby, trzymam! — mruczał podpiły żdziebko Sikora, wspierając się ciężko na szynkwasie.

— Trzymaj se i co drugiego w zębach: nikto ci nie wydziera! — buchnął Płoszka, i już cicho

jął podjudzać na wójta, prawiąc, jaki to zły przykład la ludzi daje, jaki wstyd przez niego, i różne różności.

— Trzymam i o tobie swoje, jeno ci nie powiem — mruczał znowu Sikora.

— Zwalić go z urzędu to jedyna rada, zaraz mu trąba zmięknie! — prawił, stawiając nową kwaterekę. — Posadziłem go na wójtostwie, to mocnim i zesadzić! To, co dzisiaj zrobił, wstyd la całej wsi, aleć gorsze robił: z dziedzicem zawdy trzymał na szkodę gromady, szkołę chce w Lipcach stawiać, Miemców na Podlesie to on pono dziedzicowi naraił. A hula ciągiem, pije, stodołę sobie postawił, konia przykupił, mięso co tydzień jada i herbatę pija — za czyje to pieniądze? co? Juści nie za swoje, jeno za gromadzkie...

— To trzymam, co świntuch jest wójt, ale i tybyś swojego ryja chciał wsadzić do koryta! — przerwał mu mamrot Sikory.

— Spił się i bele co powiada.

— Swoje trzymam, że cię na wójta nie wybierzem!

Odsunęli się od niego i cosik długo w noc uredzali.

Zaś nazajutrz jeszcze rozgłośniej jęli rozgadywać całą historię, bo ksiądz zabronił stawiania ołtarza przed wójtem, jak to co rok bywało. Juści, co się wszystkiego dowiedział i zaraz rano kazał wołać Dominikową, która była dopiero

o północku wróciła, i taki był zły, że organistę zwymyślał a Jambroża cybuchem przekropił.

Ów dzień Bożego Ciała przyszedł był jak i poprzednie, wielce pogodny, jeno dziwnie duszący i cichy; najmniejszy powiew nie przewiewał nad ziemią, słońce zarno od wschodu jęło prażyć nie-
miłosiernie, że w rozpalonem i suchem powietrzu liście mdały powiędłe i zboża się kłoniły bezwładnie, piasek parzył w nogi kiej zarzewie, zaś ze ścian ściekały, żywice, żarem wytopione.

Folgował se Pan Jezus i prażył coraz mocniej, ale naród jakby na to nie baczył, gdyż już od samego świtania rejwach się czynił na wsi i sroga krętanina: szykowali się do kościoła, a dziewczyny, które miały nosić feretrony i sypać kwiatem przed dobrodziejem na procesyi, biegały kiej oparzone jedno do drugich, przymierzać stroiki, a czesać się i cudeńka wygadywać między sobą, zaś starsi na gwałt stroili ołtarze; stawiali u młynarzów, przed plebanią zamiast u wójta, i przed Borynami, że Hanka wraz z domownikami już od świtu pomagała Rochowi.

Skończyli też prawie pierwsi, a tak pięknie przybrali, jaże się ludzie zdumiali, powiedając, co nawet piękniejszy od młynarzowego.

I prawdę rzekli: przed gankiem stanęła kieby kapliczka, wpleciona z brzozowych gałęzi a zieleni, wykryli ją całą wełniakami, że jaże grało w oczach od kolorów, zaś w pośrodku, na podwyższeniu, stanął ołtarz, przykryty bielušką i cienką

plachtą i zastawiony świecami a kwiatami w doinkach, które Jóźka oblepiła w strzyżki ze złotego papieru.

Wielki obraz Matki Boskiej wisiał nad ołtarzem, a pobok zawiesili mniejsze, ile się jeno zmieściło. Zaś la większej przyozdoby, nad samym ołtarzem przyczepili klatkę z kosem, którego Nastusia przyniesła: ptak się wydzierał po swojemu, że mu to Witek z cicha przygwizdywał.

A całe opłotki od drogi wysadzone były świerczyną, naprzemian z brzózkami, żółtym piaskiem grubo wysypane i zarzucone tatarakiem.

Jóźka zносиła całe naręcze modraków, ostrózek, wyczki polnej i przystrajała ściany kapliczki; opięła też niemi obrazy, lichtarze i co ino było można, że nawet ziemię przed ołtarzem potrzęsnęła kwiatami; nie darowała i chałupie, gdyż całe ściany i okna ginęły pod zielenią, zaś w snopki dachu nawtykała tataraków.

A przykładali się do roboty wszyscy zarówno, kromie jednej Jagusi, która wymknąwszy się z chałupy wczesnym rankiem, już się nie pokazała.

Wprawdzie skończyli pierwsi, ale już słońce wynosiło się nad wieś i coraz więcej turkotało wozów, z drugich wsi jadących.

Jęli się więc śpiesznie szykować do kościoła.

Witek jeno ostał na straży w opłotkach, bo chmara dzieci cisnęła się oglądać ołtarz i przygwizdywać kosowi, że gałęzią odganiał, a nie mo-

gąc poredzić, puszczał na nich swojego boćka, któren snadź przyuczony, wysuwał się czająco i groził ostrym dziobem w bosc nogi, jaże z wrzaskiem rozpierzchali się co chwila.

Sygnaturka akuratnie się ozwała, kiej cały dom wyszedł. Jóźka biegła przodem, w bieli cała, w trzewikach zasznurowanych czerwonymi tasiemkami, z książką w ręku.

— Witek, jak ci się widzę? co? — pytała, obracając się przed nim na pięcie.

— Galanto, kiej ta biała gaska! — odrzekł z podziwem.

— Tyla się na tem rozumiesz, co twój boćek. Hanka pedzieli, co żadna we wsi tak się nie przystroi — trzepała, obciągając przykrótkie obleczenie.

— Ciel!... a kolana ci się czerwienią przez kieckę, niby gęsi z pod pierza.

— Głupiś! Łapie w ogon se zajrzyj! Hale, boćka schowaj: ksiądz przyjdzie z procesją i jeszcze go obaczy i pozna — przestrzegała ciszej.

— Prawda, że śwarna i przystrojona, a i gospodyni też się rozczapierza, kiej ten indor! — szeptał, wyglądając za niemi na drogę, ale wspomniawszy przestrożę, zaciągnął boćka do dołu po ziemniakach, zaś la obrony przed dziećmi, Łapie przykazał warować przed ołtarzem, a sam polecał do Macieja, leżącego w sadzie, jak co dnia.

Na wsi już całkiem ścichło, wszystkie wozy

przejechały i ludzie przeszli, drogi opustoszały, jeno niekajś w opłotkach bawiły się dzieci, psy wylegały się w słońcu i jaskółki śmigwały nad stawem w rozpalonem powietrzu, zaś w kościele zaraz po sygnaturce rozpoczęło się nabożeństwo, dobrodziej wyszedł ze sumą i organy zagrały, ale snadź wnet po kazaniu uderzyły wszystkie dzwony, i huknęli takim śpiewaniem, jaże gołębie porwały się z dachów, i naród jął się wywalać wielkimi drzwiami, a nad niem wychodziły choraągwie pochylone, światła gorejące i obrazy niesione przez dziewczyny w biel przybrane, zaś w końcu wynosił się czerwony baldach, a pod nim ksiądz ze złocistą monstrancyą w ręku wolniuśko zstępował ze schodów.

A kiej się jako tako ustawili do procesyi, czyniąc wskroś ciżby długą ulicę, obrzeżoną zapalonemi świecami, dobrodziej znowuj zaśpiewał:

•U drzwi Twoich stoję, Panie!...

A wszystek naród odgruchnął mu w jeden ogromny, niebosiężny głos:

•Czekam na Twe zmiłowanie...•

I śpiewając, ruszyli cisnąć się we wrótniach smętarza i przepychając, gdyż zjazd był ogromny, cała parafia się stawiła, a nawet wszystkie dwory, że dziedzice prowadziły dobrodzieja i jeszcze w asyście szli pobok ze światłem, zaś baldach

niesły gospodarze, jeno jakby na złość Lipczakom, same obce, z drugih wsi.

Cała procesya wywaliła się z cieniów smętatarza na plac, jaże biały i wrzący od spieki, słońce lunęło w oczy, żywym ogniem prażąc, że już się wolno posuwali wśród bicia dzwonów, śpiewów, w pachnących dymach trybularza i w kłębach kurzawy, jaka się wnet podniosła, wśród światel i tego kwiecia, sypanego pod nogi dobrodzieja...

Powiedli się do pierwszego z prawej strony ołtarza, do Borynów; droga się w mig zapchała, jaże płoty trzeszczały, i niejeden we staw zleciał z wysokiego brzegu, i przydrożne drzewa się trzęsły od naporu. Walili ciężką, rozśpiewaną ciżbą głów, kiejby tą rzeką mieniącą się od farb, zaś środkiem, niby łódź na fali, płynął czerwony baldach i chwiały się chorągwie, obrazy i święte figury całe w tiulach a kwiatach.

Parli się w tłoku wielkim, głowa przy głowie, ledwie już dysząc z żaru i ciasnoty, ale śpiewając z całego serca, całą mocą, wszystkimi gardzielami, że zdało się jakoby wraz z niemi świat cały śpiewał chwałę Panu — jakoby te lipy wyniosłe, te czarne olchy, te rozgorzałe w słońcu wody, te śmigłe brzoźki, te sady nizkie, i pola zielone, i dalekości okiem nieobjęte, i chałupy, i wszystko, co ino było, dokładało swój wtór serdeczny, nabrzmiały radością, że pieśń ogromna rozlewała się skłębionym grzmotem w rozżarzo-

nem powietrzu i ku blademu niebu, do słońca się podnosiła.

Aż liście trzęsły się od głosów i ostatnie kwiaty z drzew leciały.

Przed Borynami ksiądz odczytał pierwszą Ewangelię i, odpocząwszy ździebko, powiódł naród do Młynarzowego ołtarza.

Upał się był jeszcze podniósł, że już zgoła wytrzymać było nie sposób, i kurz zapierał gardziele, słońce zbierało, i po jasnem niebie jęły się zaciągać białawe, długie smugi, a rozprażone powietrze trzęsło się i mieniło w oczach, kiej wrzątek — na burzę się zbierało.

Już z dobrą godzinę ciągnęła się procesya, i choć już ustawiali ze spieki, a choć i sam proboszcz spotniały był i czerwony kiej burak, ale obchodzili zwolna, posobnie, wszystkie ołtarze, przed każdym wysłuchując Ewangelie i śpiewając nowe pieśni.

A czasami, kiej naród, ździebko ustawszy, milknął, że ino tupot nóg się rozlegał, w onej cichości nagłej skowronki było słyhać na polach, kukulka gđziesik kukała zawzięcie i jaskółki świegotały pod strzechami, zaś dzwony bimbały bezustannie; biły zwolna a długim, mocnym i gorącym głosem.

I chociaż naród znowuj śpiewał, chociaż chłopcy nie żałowały gardzieli, kobiety wydzierały się cieniuską nutą, dzieci piskały po swojemu, a małe dzwonki jazgotały, i od ciężkiego tupotu dudniała

wyschła ziemia — a głosy dzwonów wynosiły się nad wszystkim, śpiewały czysto i górnio, śpiewały niebosięźnie jakimś złocistym, głębokim głosem, przejętym radością i weselem, a tak krzepko i rozgłośnie, jakby kto walił młotami we słońce, iż wszystek świat zdał się kolebać i rozdzwaniać.

Zaś kiej skończyli przed ołtarzami, to jeszcze długo trwało nabożeństwo w kościele, długo huczały organy i rozlegały się śpiewania.

A ledwie co wysypali się przed kościół, bych nieco ochłodzić pod drzewami, grosz jaki dziadom wysupłać i zmówić się ze znajomkami, kiej pociemniało znagła, daleki grzmot zahuczał, i suchy, palący wiatер zakręcił, że drzewa się zatargały, i kurz się podniósł na drogach.

Ludzie z bliższych wsi jęli na gwałt wyjeżdżać.

Ale zrazu ino drobny deszcz przekropił, gorący i rzadki, że jeszcze parniej się stało i duszniej, zaś słońce paliło niemiłosierniej, a żaby nukały ciszej i sennie, jeno co jakoś pomroczało, dale się przyćmiły, zahuczały znowu grzmoty, i na posiniałym wschodzie jęły migotać blade, krótkie błyskawice.

Burza szła od wschodniej strony, kieby sierpem nadciągały ciężkie, granatowe płachty chmur, opite deszczem czy gradem, krótki a hukliwy wiatер wyrывał się przodem, świszcząc po czubach drzew i szarpiąc zbożami, ptactwo z wrzaskiem uciekało pod dachy, nawet psy gnały do chałup,

bydło wrywało z pól, a po drogach już się kręciły słupy kurzawy, zaś grzmoty rozlegały się coraz bliżej.

A nie wyszło i dwóch pacierzy, kiej słońce jęło się zatapiać w rudych, paskudnych tumanach i przeświecało kiejby z za szyby przepalonej, grzmoty już zahurkotały nad wsią, i uderzył taki wichur, że dziw drzew nie powyrywał, jaże gałęzie i snopki z dachów w cały świat porwał, a pierwsze pioruny trzasnęły gdziesik w bory, całe niebo w mig posiniało niby wątroba, słońce zgasło, zawyły wichry i pioruny jęły bić jeden za drugim, grzmoty zatrzęsły ziemią i ognie błyskawic ozdierały schmurzone niebo, oczy wyżerając blaskami.

Domy dygotały od huków, a wszelkie stworzenie przyczało się w strachu.

Na szczęście, że burza przewaliła się stronami, pioruny biły gdziesik daleko, wichura przeszła, nie poczyniwszy szkód, niebo zaczęło się już wyjaśniać, gdy przed nieszporemi lunął rzęśisty deszcz, i poszła taka nawałnica, że w mig położyła zboża, rzeka wezbrała a ze wszystkich rowów, miedz i bródz waliła spieniona woda.

Uspokoilo się dopiero pod sam wieczór, deszcz przeszedł i na zachód słońce się wykryło z za chmur czerwoną i promienistą kulą...

Lipce ożyły znowu, ludzie jęli wywierać drzwi i wylazić na świat i dychać z lubością ochłodzonym powietrzem, pachniało wszycko po deszczu,

a już najbarzej młode brzoźki i te mięty po ogródkach; przemiękła ziemia jakby się rozpałała w słońcu; gorzały kałuże po drogach, błyszcząły liście i trawy, pałyły się spienione wody, spływające z radosnym bełkotem do stawu.

Leciuchny wiaterek przegarniał pochylone zboża, i rzeźwość mocna i weselna biła od borów i pól i przenikała duszę, że już dzieci z wraskiem brodziły po rowach i roztokach, ptaki ćwierkały w gąszczach, psy ujadały, księżę perliczki dały się na płotach, a wszystkie opłotki, drogi, chałupy i obejścia zadzwoniły przekrzykami i rozmowami, nawet już tam kajś kole młyna zawiodła któraś pieśneczkę:

Deszczyk rosi, zrosi me, zrosi me —
Moja Maryś, nocuj me, nocuj me!

Zaś od pola, wraz z rykiem stad spędzanych, dały się jazgotliwe, prędkie śpiewki pasterek:

Powiedziałeś, że mnie weźmiesz,
Skoro żytko, jarkę zeźniesz;
A tyś zeżon i owiesek —
Teraz szczekasz kieby piesek —
Oj dana, da dana!...

Zaczęły też wyjeżdżać wozy ludzi, którzy ostali, przeczekując burzę, ale wiewa gospodarzy ze sąsiedzkich wsi pozostało w gościnie u Lipczaków: byli to ci, co tak pocziwie zjechali pomagać kobietom. Bogatsi ugaszczali ich po domach, nie żałując jadła ni napitków, zaś biedniejsze powiedły

swoich dobrodziejów na poczęstunek do Żyda, bo zawdy rażniej w kupie i w karczmie weselej.

Chłopaki sprowadziły muzykę, że już od nie-sporów roznosiło się z karczmy zawodzenie skrzypków, dudlenie basów i brzękliwy warkot bę-benka.

A i drudzy też gęsto pociągali na zabawę, gdyż od tyła czasu, bo od samych zapust, nie zbierali się na żadną ochotę.

Narodu się naszło co niemiara, miejsc zbrakło że sporo musiało się kurentować siedzeniem na belkach, leżących pod karczmą, jeno co czas był piękny i na niebie świeciły złote roztoki, to się gęsto kwaterowali pod ścianą, krzykając na Żyda, by im napitki wynosił.

Że prawie sama młodź przepełniała karczmę i zaraz też z miejsca poszli oberkiem, jaże ściany i dyle pojękiwały, a przewodził tanom ku niema-łemu podziwu, Szymek Dominikowej z Nastusią. Darmo go młodszy, Jędrzych, odwodził, cicho mo-lestując, ale nie poredził, bo parobek się sielnie rozochocił i słuchać nie chciał, gorzałkę pił i do picia Nastkę i kamratów swoich przyniewalał zaś co urznąła muzyka, dziesiątki rzucał grajkom, Nastkę wpół ujmował i z całej mocy wrzeszczał:

— Jeno ostro chłopcy, z kopyta, po naszemu!

I nosił się po izbie kiej ten rozhukany żrebiec, pokrzykując srogo i biją siarczyście obcasami.

— Wiechcie, jucha, z butów powytrzącha! — szeptał Jambroży, robiąc łakomie grdyką ku pi-

jącym pobok. — A wali kulasami kiej cepem: jeszcze mu się rozlecą! — dodał głośniejsz, bliżej się podsuwając.

— Baczcie ino, żebyście sami czego nie stracili — mruknął Mateusz, stojący ze swojemi kameratami.

— Gorzałkibym się z wami napił na zgodę — rzekł, śmiejąc, się Jambroży.

— Naści, szkła jeno nie zechlaj, pijanico! — podał mu pełny kieliszek i odwrócił się plecami, bo Grzela, wójtów brat, zaczął im cosik rać z cicha, że wsparci o szynkwasy słuchali uważnie, nie bacząc na tany, ni na stojącą przed niemi gorzałkę. Sześciu ich było zebranych, wszystkie najprzedniejsze we wsi parobki, same rodowe, gospodarskie syny, radzili pilno, ale że wrzask się robił coraz większy i ciasnota, to przenieśli się do żydowskiej stancyi, gdyż alkierz zajmowali gospodarze ze swojemi gośćmi.

Izba była ciasna, zapchana rozbabranemi betami, w których spały Żydzięta, iż ledwie się pomieścili przy stole. Jedna łojówka kopciła się w mosiężnym świeczniku, wiszącym u pułapu. Grzela puścił flaszkę w kolejkę, przepili raz i drugi, ale jakoś nikt nie zaczynał z czem przyszli: jaże Mateusz rzucił drwiąco:

— Zaczynaj, Grzela, to kiej wrony na deszczu tak siedzita!

Nie zdążył Grzela zacząć, gdy wszedł kowal i witał się, szukając kajby przysiąść.

— Smolipysk jucha, zawdy tam wszędzie, kaj go nie posialil — buchnął Mateusz. — W twoje ręce, Michał! — dodał zaraz, tłumiąc gniew.

Kował wypił i, nadrabiając miną, ozwał się żartobliwie:

— Niełasym cudzych sekretów, a uic tu widzę po mnie...

— Rzekłeś! Dobrze wama z Miemcami w piątki na sperce z kawą, to jeszcze lepiej będzie dzisiaj, we święto...

— Powiadasz Płoszka bele co, jakbyś się napił... — odburknął.

— Powiedam co wiadomo, że co dnia z niemi hańdrylicysz.

— Kto mi robotę daje, temu robię, nie przebieram.

— Robotę! co inszego ty z niemi obrabiasz — rzekł ciszej Wachnik.

— Jaks i z dziedzicem nasz las obrabiał — dodał groźnie Pryczek.

— Widzi mi się, co na sąd trafiłem... cie! jak to wszystko wiedzą.

— Dajta mu spokój, robi swoje bez nas, to i my weźmy się do swojego przez niego — powiedział Grzela, patrząc mu ostro w ślepie rozbiegane.

— Kiejby was strażnik dojrzał przez okna, pomyślałby co się zmawiacie na kogo! — niby to drwił, ale wargi mu się ze złości trzęsły.

— Może i tak, jeno nie na ciebie: zamałaś figurę, Michał.

Nacisnął czapkę i wyszedł, trzaskając drzwiami,

— Przewąchał cosik i na zwiady przyleciał.

— Gotów teraz iść słuchać pod okno.

— O sobie jeszcze co takiego usłyszysz, że mu się odechce.

— Cicho!ta-no chłopcy! — zaczął Grzela uroczyście. — Mówilem już wama, co Podlesie nie przedane jeszcze Miemcom, ale leda już dzień mogą pojechać do aktu, a nawet mówili, co na przyszły czwartek.

— Dyc wiemy, i trzeba na to zaradzić! — zawołał niecierpliwie Mateusz.

— Radź, Grzela: na książce umiesz, gazetę czytujesz — to ci łatwiej.

— Bo jak Miemce kupią i zasiądą o miedzę, to będzie jak w Górkach: powietrza prosto zbraknie do dychania w Lipcach i z torbami pójdziemy, albo do Hameryki.

— A ojce jeno się we łby skrobia, wzdychają i zaradzić nie poredzą.

— I z gospodarek nam nie ustąpią! — rzucali jeden po drugim.

— Wielka rzecz Miemcy! siedziały takuško w Liszkach, a nasi ich wykupili co do jednego, że zaś w Górkach było inaczej, to same chłopcy winowate: piły, procesowały się ciągiem, i torby se wygrały.

— To i z Podlesia możem wykupić i przegnać! — wołał Jędrrek Boryna, stryjeczny Antka.

— Łacno mówić: teraz niema za co kupić, chociaż tylko po sześćdziesiąt rubli morgę sprzedają, a potem to znajdziesz z jakie tysiąc złotych za to samo?...

— Żeby ojce wydzieliły każdemu co jego, a prędejby poredził.

— Bo pewnie, juści! Zarazbym wiedział co robić! — zawrzeszczeli.

— O głupie, głupie! To starzy z całego ledwie się przeżywią, a wy na działach chcecie nabijać pieniędzy! — przerwał im Grzela.

Zmilkli naraz, bo juści taką prawdę rzekł, jakby obuchem zwałił w ciemię.

— Bieda nie z tego, że ojcowie nie chcą wam popuścić gospodarek, — mówił dalej — a jeno z tego, że Lipce mają ziemi za mało, że narodu ciągiem przybywa, gdyż co starczyło za działków la trojga, musi się teraz rozdzielać la dzieściorga.

— Święta prawda! Juści że tak! Juści! — szeptali sfrasowani.

— To kupić Podlesie i podzielić! — wyrwał się któryś.

— Kupiłbyś wieś, jeno pieniądze gdzieś! — mruknął Mateusz.

— Czekaјta jeno, może się i na to znajdzie jaka rada.

Mateusz się naraz zerwał, buchnął pięścią w stół i zakrzyczał:

— A czekajcie i róbcie sobie co chcecie, mnie już dosyć i jak się ozgniewam, to rzucę wieś i do miasta pójdę, tam lepiej ludzie żyją.

— Twoja wola, ale drudzy muszą tutaj ostać i jakoś sobie radzić.

— A bo już wytrzymać nie mogę, jaże dyabli człowieka bierą: ciasnota wszędy, że chałupy dziw się nie rozwalają, tyła w nich siedzi, bieda jaże piszczy, a tu pobok leży ziemia wolna i prosi się, by ją wziąć... a nie ugryziesz, choćbyś zdychał z głodu, niema jej kupić za co i pożyczyć niema od kogo. Żeby to wściórności z takim urzędzeniem!

Grzela opowiedział, jak to jest indziej, po drugich krajach.

Słuchali, wzdychając żałośnie, a Mateusz mu przerwał:

— Cóż nama z tego, że drugie dobrze mają! Pokaż głodnemu miskę pełną i schowaj, niech się nachla patrzeniem! Dobrze mają: kaj indziej to jest opieka nad narodem, nie tak, jak u nas, gdzie kaźden chłop rośnie se jako ta dziczka w czystem polu, że czy zmarnieje, czy też wyrośnie — co to kogo swędzi?... bele jeno podatki płacił, w rekruty szedł i urzędowi się nie przeciwiał! Mierzi mi się już takie życie i do grdyki idzie...

Grzela wysłuchawszy cierpliwie, zaczął znowu swoje:

— Jest tylko jeden sposób, żeby Podlesie było nasze.

Przysunęli się jeszcze bliżej, bych i słowa nie stracić, gdy naraz taki wrzask wstrząsnął całą karczmą, jaże szyby zabrzęczały, i muzyka grać przestała. Poleciał tam któryś na przewiady i opowiadał potem ze śmiechem co się stało: Dominikowa narobiła takiego piekła, przyleciała bowiem z kijem po synów, chciała ich bić i siłą do domu zabierać, jeno co się oparli, matkę z karczmy wypędzili, a teraz Szymek jął pić na umor, zaś Jędrzych pijany do cna ryczy w kominie.

Nie pytali o więcej, gdyż Grzeła zaczął wykładać swój sposób, który był taki: z dziedzicem się pogodzić i w zamian morgi lasu zażądać po cztery morgi pola na Podlesiu!

Zdumieli się wielce i strasznie rozradowali taką możliwością, a Grzeła jeszcze powiadał, co tak samo się ugodziła jedna wieś koło Płocka, o czym był wyczytał w gazecie.

— Dobra nasza, chłopcy! Żydzie, gorzałki! — krzyknął Płoszka we drzwi.

— Za trzy morgi boru rychtyk-by nam wypadło dwanaście pola!

— A nam z dziesięć, cała gospodarka!

— I niechby dodał coniebądz krzaków na opał.

— A za paśniki mógłby dać choć po mor-dze łąki.

— I nieco budulcu na chałupy! — wołali jeden przez drugiego.

— Jeszcze trochę, a będziecie chcieli, żeby wam dodał po koniu z wozem i po krowie, co? — przekpiwał Mateusz.

— Cichocie-no!... trzeba teraz namawiać, aby się gospodarze zebrali, poszli do dziedzica i przełożyli czego chcą: może się i zgodzi.

Mateusz mu przerwał:

— Jak nie ma noża na gardle, to się nie zgodzi: jemu zaraz potrzeba pieniędzy, i Miemcy je dadzą, choćby jutro, niech się tylko zgodzi... A nim się nasi wydrapią po łbach, nim się naradzą, nim się na jedno zgodzą, nim baby przeciągną na swoją stronę, to miesiące przejdą, dziedzic ziemię przeda, i plecy wypnie: będzie miał o czym czekać jak wypadnie sprawa z borem. Grzelowy sposób jest mądry, jeno widzi mi się, trza go innym końcem stawiać do pionu.

— To gadajże, Mateusz, radź!

— Nie gadać, nie naradzać się, a trza zrobić tak samo jak z borem.

— Czasem tak można, a czasem nie! — mruknął Grzela.

— A ja ci mówię, że można, w inny żdziebko sposób, a to samo wyjdzie... Do Miemców iść całą gromadą, i spokojnie im zapowiedzieć, abych się nie ważyły kupować Podlesia...

— A takie są głupie, że zaraz się nas ulękną i posłuchają!

— To też im się zapowie, że jeśli nie posłuchają i kupią, to nie pozwolim im siać, nie pozwolim się budować, nie damy krokiem się ruszyć za pola. Zobaczycie, czy się nie ulękną! Wykurzymy ich kiej lisów z jamy.

— A juści, niby to se nie poredzą!... jak Bóg w niebie, tak nas znowu za te pogrozy wsadzą do kreminału! — wybuchnął Grzela.

— Zapakują, to i puszczą, wiekować tam nie będziemy, ale kiej nas wypuszczą, to la Miemców będzie jeszcze gorzej... głupie one nie są i przódzi dobrze rozważą, czy im wojna z nami pójdzie na zdrowie... Dziedzic też będzie inaczej śpiewał, jak mu kupców rozpędzimy, zaś nie...

Ale już Grzela nie mógł wytrzymać, zerwał się od stołu i zaczął z całych sił odwozić od tych zuchwałych zamysłów. Przekładał, jakie to z tego wynikną procesy, nowe straty la wszystkich, nowe marnacyje, że gotowi powsadzać ich za te ciągłe bunty na parę lat do kryminału... że to wszystko da się zrobić spokojnie ze samym dziedzicem... Zaklinał na wszystko i błagał, by nowego nieszczęścia nie ściągali na naród. Prawił ze dwa pacierze i jaże poczerwieniał, jaże całował ich posobnie, molestując i prosząc, bych poniechali, ale wszystko to było na darmo, kiejby groch rzucał na ścianę, że w końcu Mateusz rzekł:

— Prawisz, kiej w kościele, jakbyś z książki wyczytywał, a nam czego inszego potra!

Wraz też wszyscy zaczęli mówić, zrywać się, tłuc pięściami w stół, a wrzeszczeć z wielkiej radości:

— Dobra nasza, na Miemców iść, rozegnać pludraków! Mateusz mądrze radzi, jego słuchamy, a któren się boja, niech pod pierzynę się chował

Ani sposób już było do nich mówić, tak ich ponosiło.

Żyd w te pore przyniósł flachę, wysłuchał i ścierając na stole porozlewaną gorzałkę, powiedział nieśmiało:

— Mateusz ma kiepele: mądrą radę daje.

— Cie! Jankiel też na Miemców, no! — zakrzyczeli zdumieni.

— Bo ja wolę trzymać ze swojemi, biedy się użyje, jak i wszystkie, ale jakoś z pomocą Boską żyć można... Ale gdzie przychodzą Niemcy, to już tam nietylko biedny Żydek się nie pożywi, tam pies nie ma co jeść... Niech one zdechną, niech ich ta... tfy... choroba wytłucze!...

— Żyd i trzyma z narodem! Słyszeliście co? Dziwowali się coraz barzej.

— Ja jestem Żyd, ale mnie w boru nie znaleźli, ja się tutaj urodziłem, jak i wy, mój dziadek i mój ojciec też... to z kim ja mam trzymać?... co?... Czy to ja nie swój?... Przecież jak wam będzie lepiej, to i mnie będzie lepiej!... Jak wy będziecie gospodarze, to ja będę z wami handlował!... Jak mój dziadek z waszemi, no nie?... A coście mądrze o Niemcach myśleli, to ja całą

butelkę araku postawię!... Wasze zdrowie, gospodarze podlaskie! — zawołał, przepijając do Grzeli.

Pili gęsto, i taka radość niemi owładnęła, że dziw Żyda nie całowali po brodzie, usadzili go między sobą i wszystko znowu rozpowiedzieli, radząc się go we wszystkim. Nawet Grzela się rozchmurzył i przystał znowu do nich, bych go nie posądzili o co złego.

Narada już niedługo trwała, bo Mateusz się podniósł i wołał:

— Do karczmy, chłopcy, nogi wyprostować, dosyć na dzisiaj!...

Hurmą tam poszli, a Mateusz odbił zaraz ja kiemuś Tereskę i puścił się z nią w tany, a za nim drugie zaczęły dziewczki z kątów wyciągać, na muzykantów krzykać i w tany iść, kiej wicher.

Juści co zaraz rzęsiściej gruchnęła muzyka, bo grajki wiedziały, że z Mateuszem nie przelewki, że płaci, ale i bić gotowy.

Roztańcowała się karczma na dobre, z czubów już się galancie kurzyło, że wrzaski, muzyka, tupoty a siarczyste pokrzyki jakby wrzątkiem przepełniały izbę i na świat się rozlewały przez powywierane drzwi a okna, zaś pod ścianami na dworze też szła niezgorsza zabawa, brząkały kieliszki, gospodarze często do się przepijali, a raili coraz głośniej i coraz bełkotliwiej.

Noc już się zrobiła, gwiazdy bystro zaświeciły, szumiały cicho drzewiny, a z mokradeł ro-

znosiły się żabie rehotania i huczały niekiedy głosy bąków, po sadach słowiki zawodziły, ciepło było i pachnąco. Używali se ludzie wywczasu na świeżem, chłodnem powietrzu, a raz po raz, jakaś para, trzymając się wpół, wysuwała się z karczmy i w cieniu szła... Zaś pod ścianą było już coraz głośniejsze, gadali wszyscy razem, że trudno się było połapać.

— ...a co jeno wieprzka wypuściłam, że jeszcze i ryja nie zdążył wsadzić w ziemniaki, a ta do mnie z pyskiem...

— Wypędzić ją ze wsi!... Wypędzić!...

— Baczę, co tak samo z jedną zrobili za moich młodych lat!... Przed kościołem do krwi ukarali, krowami wywieźli za kopce, i był spokój...

— Żydzie, całą kwaterkę krzepkiej!

— Odebrała mleko mojej siwuli, odebrała!...

— Obrac nowego, to każdy tak samo poradzi...

— Wyrwać złe, póki większego korzenia nie zapuści...

— Pleć zboże, póki chwasty nie zagłuszą...

— Przepijcie-no do mnie, a cosik waju rzeknę...

— Byka bierz za rogi, a nie popuszczaj, jaże się zwali...

— Dwa morgi a jedna — trzy morgi; trzy morgi a jedna — cztery morgi.

— Pij, bracie, to i rodzone nie zrobiłyby pocziwiej...

Rwały się z mroków postrzępione rozmowy, że ani rozeznał kto mówił i do kogo; tylko jeden

grubachny głos Jambroża górował wyraźnie nad drugimi w różnych miejscach, przechodził bowiem ciągiem od kupy do kupy, to do karczmy zaglądał, i wszędy wygarniając po kusztyczku, pijany już był całkiem, sielnie się potaczał, ale chycił przy szynkwasio któregoś za orzydle i jął go płaczliwie molestować:

— Ochrciłem cię, Wojtek, i twojej kobiecie tak dzwoniłem, jaże mi kulasy popuchły: postaw kieliszek, bracie! A postawisz całą półkwatrkę, przedzwonię jej na wieczne odpoczywanie i drugą babę ci naraję... młodą jędrną kiej rzepa! Postaw, bracie, półkwatrkę...

Młodzież hulała zawzięcie, że cała izba wypełniła się wrzaskiem a wiewającemi kieckami i kapotami, już piesneczki przyśpiewywali przed muzyką i tańcowali coraz zapamiętalej, że nawet starsze kobiety wytrząsały się, piskliwie pokrzykując, a Jagustynka, przedarłszy się do środka, ujęła się wpół i, bijąc nogami o podłogę, wyśpiewywała chrzypliwie:

 Nie boję się wilka, choćby było kilka!...

 Nie boję się chłopca, choćby było kopa!...

X.

Owóz te dnię od Bożęgo Ciała do Niedzieli nie przeszły letko Mateuszowi, Grzeli, ni ich kamratom; Mateusz bowiem przerwał roboty przy Stachowej chałupie, zaś drudzy też poniechali swoich zajęć, a ino całe te dnię i wieczory chodzili po chałupach w pojedynkę i podjudzali naród przeciwko Miemcom, nawołując do przepędzenia ich z Podlesia.

Karczmarz ze swojej strony też nie żałował namów, a jak było potrza na upartych, to i poczęstunków albo borgowań, ale szło kiej po grudzie; starsi drapali się jeno po łbach, wzdychali ciężko i, nie wążąc się na żadną stronę, oglądali się na drugich i na kobiety, które, jak jedna, ani słuchać nie chciały o wyprawie na Miemców.

- Hale! co im do łbów strzeliło! Mało to już marnacyi przez bór?... jeszcze jednego nie odsiedziały i nowe biedy chcą na wieś sprowadzić! — wołały, a Sołtysowa, cicha zazwyczaj, jaże pomiećło chyciła na Grzełę.

— Jak będziesz niewolił do nowego buntu, to cię strażnikom wydam! Nygusy ścierwy, robić się im nie chce, to-by ino spacerowały! — rozwrzeszczała się przed chałupą.

Zaś Balcerkowa gruchnęła na Mateusza:

— Psy na was spuszcze, próżniaki! Wrzątku naszykuję!

I wszystkie progiem zaległy przeciwko namowom, głuche na tłumaczenia i prośby, że ani sposobu było im trafić do rozumu; zawrzeszczały każdego, a niejedna już i płaczem lamentliwym buchała.

— Nie dam mojemu iść! Kapoty się uwiesze, i choćby mi kulasy obcięli, a nie puszcze!... Dosyć my się już nabiedowały!...

— Ażeby was, głąby jedne, siarczyste pieruny rozniesły! — kłął Mateusz. — To kiej sroki na deszcz, krzyczą i krzyczą. Dyć to ciele prędzej zrozumie ludzką mowę, niżli kobieta mądre słowo! — wyrzekał, głęboko zniechęcony.

— Daj spokój, Grzela, nie trafisz z niemi do rozumu: trzaby każdą sprać, albo żebych twoja była, to cię wtedy może posłucha — żalił się smutnie.

— Takie już są, że przez moc nie przerobisz: inszym trza sposobem z niemi; oto nie przeciwiac się, przytakiwać, a po maluśku na swoją stronę pociągać.

Tłumaczył tak Grzela, nie odstępując sprawy, bo chociaż sam był jej zrazu przeciwny, ale skoro

rozważył, że inaczej nie można, całą duszą się jej oddał.

Chłop był kwardy i nieustępliwy, a na co się jeno zaważył, dopiąć musiał, żeby tam nie wiem co przeszkadzało; to i teraz na nic nie zważał: zawierali mu drzwi przed nosem — oknami gadał; kobiety mu wygrażały — nie gniewał się, przyświarczał jeszcze, a kaj było potrza — basował, zaś niejedną o dzieci zagadywał i porządki wychwalał, aż w końcu powiedział swoje, a nie udało się — szedł dalej. Całe dwa dni pełno go było na wsi, w chałupach, po ogrodach, w pola nawet szedł i, zagadując o tem i owem ludzi, swoje im prawił, zaś tym, którzy nie miarkowali odrazu, kijaszkiem rysował po ziemi Podleskie pola, pokazywał działę i cierpliwie tłumaczył korzyści każdego. Ale mimo tych zabiegów, na darmo byłyby te wszystkie zachody, gdyby nie pomoc Rochowa. Jakoś w sobotę po południu, zmiarkowawszy, że wsi nie poruszają, wyzwali Rocha za stodoły Borynowe i zwierzyli się przed nim: bójali się, że będzie im przeciwny.

Ale Rocho pomyślał krótko i powiada:

— Sposób to zbójcki, ale że na inny już niema czasu, pomogę wam z chęcią.

I zaraz poszedł na ogrody do proboszcza siedzącego przy parobku koszącym koniczynę, którym potem rozpowiadał, jako zrazu dobrodziej się ozgniewał na Rocha, krzyczał zatykał uszy i słuchać nawet nie chciał, lecz potem siedli obaj na

miedzy i długo se cosik uradzali. Snadź Rocho go przekonał, gdyż o zmierzchu, kiej ludzie zaczęli ściągać z pól, proboszcz poszedł na wieś, i niby to chłodu zażywał, a zaglądał w obejścia, pytał o różności, a głównie z kobietami się zmawiał i w końcu każdemu z osobna a cicho powiedział:

— Chłopaki dobrze chcą. Trzeba się śpieszyć, póki jeszcze czas. Zrobicie swoje, to ja już pojedę do dziedzica i będę go namawiał.

I tyle dokazał, że kobiety się już nie przeciwiły, zaś gospodarze zaczęli wywodzić, iż skoro ksiądz zachęca, to wartoby tak zrobić.

Jeszcze się cały wieczór naradzali, ale już raniem w niedzielę byli wszyscy zdecydowani na jedno.

Mieli iść po nieszporach i z Rochem na czele, że to mógł się rozmówić z Miemcami po ichnemu.

Właśnie to był Rocho teraz przyobiegał chłopakom; odeszli, pohukując z radością; on siedział na Borynowym ganku, przesuważąc ziarna różańca i cosik medytując.

Wcześniej jeszcze było, dopiero co miski sprzątnęli po śniadaniu, że zapach żuru i okrasz wiercił nozdrza, a Pietrek przeciągał się po jadle.

Czas się robił ciepły a nieupałny, jaskółki niby kule przecinały powietrze. Słońce podnosiło się dopiero z za chałupy, iż w cieniach polśniewały jeszcze osuszone, ciężkie trawy i z pól zawiewał chłód, pachnący zbożami.

W chałupie cicho było, jak zazwyczaj w nie-

dziele, kobiety zwijały się kole porządków, dzieci, obsiadłszy miszkę przed gankiem, pojadały z wolna, broniąc się łyżkami i piskiem przed Łapą, któren na gwałt rwał się do spółki, maciora stękała pod ścianą na słońcu, tak ją waliły łbami prosięta, dobierając się do mleka, to bociek rozganiał kury i gajdał się za żrebakiem, baraszkującym w podwórzu, niekiedy drzewa zaszumiały i sad się rozkolebał, zaś polem rozchodził się jeno brzęk pszczoł, idących na robotę, i dzwonięcia skowronków.

I na wsi zaległa niedzielna cichość, że tylko niekiedy słyhać było głosy, kura któraś zwoływała, to dziesik nad stawem, ze śmiechami a chłupotem pucowały się chłopaki, abo kaczki zakwakały.

Drogi leżały puste i rozmigotane w słońcu, mało kto przechodził, jeno niekaj na progach czekały się dziewczyny i ktosik z cicha grał na fujarce.

Rocho przebierał różaniec, czasem nasłuchiwał a głównie myślał o Jagusi, słyszał ją kręcącą się po izbie, czasem stawiała za nim, niekiedy szła w podwórze, a wracając, spuszczała przed nim oczy, i krwawy rumieniec oblewał jej twarz wymizerowaną, że zrobiło mu się żal.

— Jaguś! — szepnął dobrotliwie, podnosząc na nią oczy.

Przystanęła z zapartym oddechem, czekając co

powie, ale on, jakby nie wiedząc co rzec, zamru-
czał jeno co niebądź i zamilkł.

Na swoją stronę znowu odeszła, przysiadła
w wywartym oknie i, wsparłszy się o futrynę, pa-
trzyła żalosnemi oczyma we świat rozstłoneczniony,
na te chmurki białe, co kiej gęsi błakały się po
niebie jasnem, i ciężkie westchnienia rwały się jej
z piersi, a niekiedy łzy kapały z zaczerwienionych
oczu i płynęły wolno po wychudzonej, mizernej
twarzy. Juści, mało to przeszła przez te dnie?
Dyc cała wieś szczuła na nią, kieby na psa par-
szywego; kobiety, odwracały się plecami, kiej
przechodziła, a poniektóre spluwały za nią, przy-
jaciółki jej nie spostrzegały, chłopcy śmiały się
wzgardliwie, a nawet wczoraj, najmłodszy Gulba-
siak śmignął za nią błotem i zakrzyczał:

— Wójtowa kochanica!

O to jakby ją noże przeszły i wstyd dziw-
nie zadusił!

Mój Boże, a bo to była winowata?... spoił ją
przeciek, że o Bożym świecie nie wiedziała... mo-
gła się to przeciwieć?... a teraz wszyscy na nią,
teraz cała wieś ucieka, kiej od zapowietrzonej,
a nikto w obronie nie stanie.

Gdzież to teraz pójdzie? Drzwi przed nią po-
zawierają i jeszcze psami szczuć gotowi!... Na-
wet do matki nie ma iść po co: prawie ją wy-
gnała mimo próśb i płaczów... że gdyby nie Hanka,
jużby co złego sobie zrobiła... Juści, jedna An-

tkowa zaopiekowała się nią pocziwie, nie cofając ręki pomocnej i jeszcze broniąc przed ludźmi...

A bo i nie winowała, nie, wójt winien, że ją skusił i przyniewolił do grzechu, a już najbardziej winien wszystkiemu ten stary zbuk! Pomyślała naraz o mężu. »Całe życie mi zawiązał! Panną byłabym, to nie daliby mnie ukrzywdzić, nie... I cóżem to za nim użyła? Ni życia, ni świata!«

Rozmyślała gorączkowo, żałując się w niej kajść zapodziewały, a wstawał natomiast srogi gniew i tak ją rozpręzał, że zaczęła biegać po izbie. »Pewnie, co wszystko złe przez niego... i z Antkiem-by tego nie było... i wójt-by się nie ważył... i... — skarżyła się. — Żyłaby se spokojnie, jak przodzi, jak żyją wszystkie... Zły go postawił na drodze i matkę skusił morgami, a teraz musi cierpieć... musi... ażeby cię robaki roztoczyły!«

Wybuchnęła, zaciskając mściwie pięście, i dojrawszy przez szczytowe okno wasąg z chorym pod drzewami, pobiegła tam gwałtownie i nachylając się nad nim, zasyczała nienawistnie:

— Abyś zdechł jak najprędzej, ty stary psie!...

Chory wytrzeszczył na nią oczy i cosik zamamrotał, ale już odleciała: ulżyło jej galancie, miała się już na kim odbijać za swoje krzywdy!

Kowal stał na ganku, gdy przechodziła z powrotem, ale udawał, że jej nie spostrzega. Zagał głośniejsze do Rocha:

— Mateusz rozpowiada, jako ich powiedziecie na Miemców...

— Prosili, to pójdę z niemi do sąsiadów — powiedział z naciskiem.

— Nowe dybki sobie szykują. Rozwydrzyły się chłopcy na dziedzicu i myślą, że jak znowu pójdą hurmą, z kijami a krzykiem, to Niemcy się ulęką i Podlesia nie kupią.

Ledwie się hamował ze złości.

— A może się i wyrzekną kupna, kto wie?...

— A juści! gronta porozmierzali, wszystkie famielie już się sprowadziły, studnie kopią, kamień na fundamenta zwożą...

— Wiem dobrze, że u rejenta jeszcze aktu nie podpisali.

— Mnie się przysięgali, jako już po wszystkim.

— Mówię co wiem, i gdyby dziedzic znalazł lepszych kupców...

— To przeciek Lipce nie kupią, nikt groszem nie śmierdzi...

— Grzela tu jakoś kalkuluje, i zdaje mi się...

— Grzela! — przerwał gwałtownie — Grzela się pcha na pierwszego, a głupi, naród bałamuci i do złego jeno prowadzi...

— Zobaczymy, jak to wyjdzie, zobaczymy! — mówił Rocho, uśmiechając się nieco, gdyż kowal jaże wyrывał se wąsy ze złości;

— Jacek z kancelaryi! — zawołał, spostrzegając stójkę w opłotkach.

— Dla »Anny Maćwiejówny Boryna« papier

z kancelaryi! — recytował Jacek, wyciągając jakąś kopertę z torby.

Hanka przybiegła i niespokojnie obracała papier, nie wiedząc co z nim począć:

— Przeczytam, — rzekł Rocho.

Kowal chciał mu zajrzeć przez ramię, ale Rocho zamknął prędko list i rzekł najspokojniej:

— Sąd was zawiadamia, Hanka, że możecie się z Antkiem widywać raz na tydzień.

Hanka, opatrzywszy stójkę, wróciła do izby, zaś Rocho dopiero po odejściu kowala, poszedł za nią, wołając radośnie:

— Co innego stoi napisane w papierze, nie chciałem tylko powiedzieć przy kowalu! Sąd powiadamia, byście przywieźli pięćset rubli zastawu, albo poręczenie, to Antka zaraz wypuszcza... Co to wam?..

Nie odrzekła, głos jej odebrało, stanęła jak wryta, rumieńce pokryły twarz, potem zbladła kiej ściana, oczy się przyćmiły łzami, rozwiedła ręce i z ciężkiem westchnieniem, jak długa, rymnęła na twarz przez obrazami.

Rocho się wyniósł cichuśko, siedział na ganku i czytając jeszcze ten papier, uśmiechał się zarówno rozradowany, zaś po jakimś czasie znowu zajrzał do izby.

Hanka klęczała na środku, modląc się całą duszą, że dziw się jej serce nie rozpękło z radości i z onego żaru dziękczynień; krótkie, rwane westchnienia i szeptu gorące zdały się całą izbę wy-

pełniać błyskami, biły kiej słupy, serdecznego ognia pod stopy Częstochowskiej, żywą krwią spływały. Umierała prawie ze szczęścia, łzy ciekły strumieniami, a wraz z niemi ściekała pamięć wszystkich bólów dawnych, pamięć krzywd wszelkich.

Podniosła się wreszcie i, ocierając łzy, powiedziała Rochowi:

— Jużem teraz gotowa na nowe, bo choćby przyszło najgorsze, to już takie złe nie będzie.

Aż się zdziwił, tak nagle się przemieniła: oczy się zaiskrzyły, krew zagrała na bladych polikach, prostowała się, jakby jej z dziesięć lat ubyło.

— Uwińcie się ze sprzedażą, zróbcie co potrzeba pieniędzy, i pojedziemy po Antka, choćby jutro albo we wtorek.

— Antek wraca! Antek wraca! — powtarzała bezwolnie.

— Nie rozpowiadajcie! Powróci, to się i tak dowiedzą, zaś potem trzeba mówić, co go puścili przez zastawu: kowal nie będzie się was czepiał.

Nauczał cicho. Obiecała uroczyście, tylko jednej Jóźce zawierzając tajemnicę, jeno co ledwie już zdzierżała tę straszną radość; chodziła kiej opita, całowała cięgiem dzieci, gadała do żrebaka, gadała do maciory, przedrzeżniała się z boćkiem, a Łapie, któren chodził za nią ze skamleniem i w oczy zaglądał, jakby cosik miarkując, szepnęła w same ucho niby człowiekowi:

— Cicho, głupi, gospodarz przeciek wracają!

I śmiała się, popłakując naprzemian, Maciejowi długo o tem rozповідаła, jaże oczy trzeszczyły wystrachane i cosik mamtał językiem. Zabaczyła już o całym świecie, że Józka musiała przypominać, iż czas już się szykować do kościoła. Hej, ponosiło ją szczęście, ponosiło, że chciało się jej śpiewać, chciało się lecieć we świat i krzykać zbożom, co się do nóg kłaniały ze chrzestem, drzewinom, ziemi wszytkiej.

— Gospodarz wracają! Antek wróci!

Jaże z onej radości Jagnę jęła zapraszać, bych razem poszły ale Jagna nie chciała, wołała pozostać.

Nikto jej o Antku nie powiedział, ale domyśliła się łącno wszystkiego z półsłówek i z tego, co Hanka wyprawiała. Poniesła i ją ta wiadomość i rozkołysała jakąś radosną, cichą nadzieją, że nie bacząc na nic, poleciała do matki.

Nie w porę przyszła, trafiając akuratnie na srogą kłótnię.

Szymek bowiem zaraz po śniadaniu zasiadł pod oknem z papierosem w zębach, strzykał śliną na izbę, długo medytował, długo się ważył, spoglądając na brata, aż w końcu rzekł:

— A to, matko, dajcie mi pieniędzy, bo na zapowiedzie muszę zanieść. Książd pedział, bych przed niesporami przyjść na pacierze.

— Z kimże się to żenisz? — spytała z urągłym prześmiechem.

— Z Nastusią Gołębianką.

Nie odezwała się, krzątając się pilnie kole garnków i komina. Jędrrek podkładał drewno i, choć się ogień buzował, dmuchał w niego ze strachu, zaś Szymek, przeczekawszy z pacierz, ozwał się znowu, jeno jakoś pewniej:

— Całe pięć rubli mi dacie, bo i zmówiny trza wyprowadzić...

— Posyłałeś tu już z wódką, co? — pytała tak samo.

— Chodził Kłęb z Płoszką.

— I przyjęła cię, co? — aż się jej broda trzęsła ze śmiechu.

— Jakże!... przyjęła juści.

— Trafiło się ślepej kurze ziarno: jeszczeby nie, taka wywłoka!

Szymek się zmarszczył, ale czekał co powie więcej.

— Przynieś wody ze stawu, a ty, Jędrrek, wieprzka wypuść, bo kwiczy...

Zrobili to prawie bezwolnie, a kiej znowu Szymek rozparł się na ławce i młodszy jął majdrować cosik pod blachą, stara rozkazała twardym głosem:

— Szymek, picie zanieś jałowce!

— Wynieście se sami, za dziewczkę służył wama nie będę! — burknął hardo, rozpierając się na ławie jeszcze szerzej.

— Słyszałeś?!... nie doprowadzaj me do złości przy świętej niedzieli...

— Wyście też słyszeli, com rzekł: dajcie pieniądze, a żywo!...

— Nie dam i żenić ci się nie przyzwolę! — buchnęła.

— I przez waszego przyzwolenstwa się obędę!

— Szymek, pomiarkuj się i ze mną nie zadzieraj!

Pochylił się naraz przed nią i pokornie podjął za nogi.

— Dyć was proszę, matko, dyć skamle, jak ten pies!...

Łzy mu zalały gardło.

Jędrak też ryknął i dalejże matkę całować po rękę, obłapiać za nogi a molestować wraz z bratem.

Odgarnęła ich od siebie ze złością.

— Ani mi się waż przeciwić, bo cię wygonię na cztery wiatry!... — krzyknęła, wytrząchając pięściami.

Ale Szymek już się nie ulęknął, matczyne słowa śmignęły go kiej biczem, że zakipiał, wyprostował się hardo, i rodowa Paczesiów zawziętość buchnęła mu do głowy; postąpił na izbę i rzekł strasznie spokojnie, bodąc ją rozgorzałemi ślepiami.

— Dawajcie pieniądze a prędko!... czekał już, ni prosił nie będę!...

— Nie dam! — wrzasnęła rozjuszona, oglądając się za czem do ręki.

— To sam se je znajdę!

Skoczył do skrzynki, kiej ryś, jednym szarpnięciem oderwał wieko i zaczął z niej wywalać na podłogę obleczenia. Rzuciła się z wrzaskiem do obrony, próbowała go tylko zrazu odciągnąć, ale że ani na krok nie ustępował, wczepiła mu rękę w kudły, a drugą zaczęła bić po twarzy i głowie, kopać w zajdy i krzyczeć w niebogłosy. Oganiał się jeszcze, kiej od muchy uprzykrzonej, nie przestając szukać pieniędzy, jaże dostawszy gdziesik w słabiznę, otrząchnął się z taką złością, że padła na izbę jak długa, ale w ten mig się zerwała i, chyciwszy pogrzebacz, runęła znowu na niego. Nie chciał tej bitki z matką, to się jeno obraniał jeszcze jak mógł, usiłując jej odebrać żelazo. Wrzask nappełnił izbę. Jędreka, zanosząc się od płaczu, biegał dookoła nich i skamlał żałośliwie:

— Matulu, laboga!... Matulu!...

Jagna, wszedłszy właśnie na to, rzuciła się ich rozbrajać, ale na darmo, bo co Szymek się uchylił i w bok uskoczył, matka dopadała go znowu, kiej ta suka rozjuszona, i prała kaj popadło, że już rozwścieczony z bólu, oddawać zaczął. Zczepili się, kiej psy i, taczając się po izbie, tłukli się o ściany i sprzęty ze strasznym wrzaskiem.

Ludzie już zaczęli nadbiegać ze wszystkich stron, próbując rozdzielić — cóż kiej przypięła się do niego, niby pijawka, i biła z oszalałą zapamiętałością.

Aż trzasnął ją pięścią między oczy, chycił za

boki i rzucił kiej ocipką na izbę; potoczyła się i niby kloc całym ciężarem padła na rozpaloną blachę, pomiędzy gary pełne wrzątku, komin się rozwalił, i wszystko się zapadło..

Juści co zaraz ją wywlekli z rumowiska, ale chociaż była strasznie poparzona, nie bacząc na ból, ni na tłące się kiecki, porywała się jeszcze do niego.

— Wynoś mi się, wyrodku przeklęty!... Wy-
noś się!... — ryczała nieprzytomnie.

Musieli przez moc gasić ogień na niej i przy-
trzymywać, bych chociaż twarz spaloną obwalić
zmoczonymi szmatami, alić i tak się wydzierać.

— Żebych cię moje oczy więcej nie widziały...
żebych cię...

Szymek zaś, ledwie już dychający, zbity i okrwawiony, jeno patrzył na matkę wytrzeszczonymi ślepiami, strach go ułapił za gardziel, trząsł się cały, słowa nie mogąc wykrztusić, ni wiedząc, co się dzieje.

A ledwie się niecoś uspokoiło, gdy naraz stara wyrwała się kobietom z rąk, skoczyła za komin do drąga z obleczeniem, i zdrzierając z niego Szymkowe rzeczy, jęła je wyrzucać przez okno do sadu...

— Precz z moich oczu! Nic tu twojego, moje
wszytko, ani jednego zagonu ci nie dam, ani
łyżki strawy, choćbyś zdychał z głodu! — wrze-
szczała ostatkami sił i, zmożona wreszcie przez
srogie boleście, padła z rozdzierającymi jękami.

Poniesli ją na łóżko.

Ludzi się naszło, że zapchali izbę, w sieniach się już gnietli, a i przez okno wtykali głowy.

Jagna już głowę traciła, nie wiedząc co poczynać, bo stara już prosto ryczała z bólu... Jakże, toć całą twarz i szyję miała wrzątkiem oblane, ręce popieczone, włosy spalone i oczy, że ledwie widziała.

Szymek siadł w sadku pod ścianą chałupy, brodę wsparł na pięściach i jakby zastygł, okrwawiony, w siniakach cały i w tych krzepnących już soplach krwi na twarzy, nasłuchiwał jeno matczynych jęków.

Mateusz przyleciał wkrótce i ciągnąc go za rękę, rzekł:

— Chodź do mnie. Nic tu teraz po tobie...

— Nie pódę! Gront mój po ojcach, to na swoim останę, nie ustąpię! — gadał z ponurą zaciętością, bezwolnie chytając się pazurami za węgiel.

Nie pomogły prośby, ni molestowania, z miejsca się nie ruszył i zaprzestał odpowiadać.

Mateusz przysiadł pobok, nie wiedząc co z nim począć, zaś Jędrrek, zebrawszy właśnie powyrzucane kapoty, portki i koszule, związał je w płachtę i położył przed bratem nieśmiało.

— Pódę z tobą, Szymek, we świat, pódę! — skamlał, rzewliwie popłakując.

— Psiachmać!... pedziałem, nie ruszę się stąd, to się nie ruszę!... — wrzasnął, tłukąc pięściami w ściane, jaże Jędrzych przykucnął ze strachu.

Zmilkli, gdyż nowe, straszne jęki rozległy się w izbie: to Jambroź opatrywał chorą, obłożył poparzone miejsca młodem, niesolonem masłem, przykrył jakimiś liśćmi, na które znów nawalił zsiadłego mleka i wszystko owinął w mokre szmaty. Przykazawszy Jagusi, by co pacierz zlewała zimną wodą, poleciał śpiesznie do kościoła, gdyż sygnaturka zadzwoniła.

Czas już było na sumę, ludzie walili całą drogą, wozy turkotały, i sporo znajomych zaglądało po drodze do chorej, jaże Jagna drzwi musiała zawrzeć przed ciekawemi, tyle co jedna Sikorzyna z nią pozostała.

Wkrótce i uspokoiło się całkiem. Dominikowa ucichła, od kościoła roznosiło się ciche, brzęczące granie organów, i głosy śpiewań tchnęły wskroś sadów rozelkanym, pieściwym trzepotem.

Słońce galanto przypiekało, w przypołudniowej cichości drzewa stanęły bez ruchu, jeno niekiedy zatrzęsa się jaka gałązka i zamrowiły się cienie, ptactwo pomilkło, zaś czasami ruszyły zboża, i dzwoniąc cichuśkim chrzęstem, zagrały płowemi grzywami.

Chłopaki wciąż siedzieli pod chałupą. Mateusz z cicha prawił, Szymek kiwał jeno głową, zaś Jędrzych, leżąc przed niemi, wpatrywał się w dym Mateuszowego papierosa, co jakby niebieską pajęczyną wynosił się ponad strzechę.

Jagna wyszła z wiadrem po wodę do stawu. Wtedy Mateusz się podniósł, przyobiecując

przyjść jeszcze po obiedzie, do kościoła zamierzał iść, ale dojrawszy, iż Jagusia siedzi nad wodą, przystąpił do niej.

Wiadro stało nabrane, nogi trzymała we wodzie.

— Jagusia!... — szepnął cicho, przystając pobok, pod olszą.

Spuściła prędko wełniak na kolana i spojrzała na niego, ale miała tak przeplakane oczy i żalości a smutku pełne, że mu się serce zatłukło.

— Co ci to, Jaguś? choraś?...

Drzewa się zakolebały bez szumu, sypiąc na jej jasną głowę ulewę migotliwych brzasków i cieniów, kieby ten deszcz zielono-złoty.

— Ni... jeno mi nie drujko na świecie, nie...— odwróciła oczy.

— Bym ci co pomógł, zaradził... — rzekł serdecznie.

— Hale? uciekłeś wtedy na ogrodach i już się nie pokazał...

— Boś me skrzywdziła!... Śmiałem to? Jaguś!... — pokorny już był i dobry.

— Aleć potem wołałam za tobą, nie usłuchałeś...

— Wołałaś to, Jaguś? naprawdę?!

— Rzekłam!... Wydrzećbym się mogła, a niktoby się nie pokwapił!... Kto ta stoi o sieroty?... Skrzywdzić to każdy gotowy i sponiewierać!...

Łuna oblała jej twarz, odwiodła głowę i w za-

kłopotaniu jęła rozgarniać wodę nogami. Mateusz też się cosik zamedytował.

Cichość się znowu przedła; granie organów sączyło się kojącą, cichuszką smugą, staw polśniewał i koliste gurby roztaczały się od nóg Jagusinowych, kiej węże pręgowate, cienie się mrowiły po nadbrzeżnej gładzi, zaś pomiędzy niemi zaczęły już latać spojrzenia i wiązać się między sobą...

Mateusza coraz silniej ciągnęło do niej, że wzięłby ją był na ręce kiej to dzieciątko, i z nieopowiedzianą dobrością przyhołubił a uspokajał...

— Myślałam, coś mi nieprzyjazny... — ozwała się cichusko.

— Nigdy ci krzyw nie był... nie baczysz to?...

— Hale, może łoni, kiedyś... a teraz ta jak drudzy... jak... — szepnęła niebacznie.

Ruciło nim nagłe przypomnienie, wstał w nim gniew i zazdrość.

— Boś... boś...

Nie, nie poredził wyrzucić ze siebie, co go dusiło, pohamował się jeszcze, że jeno krótko i twardo powiedział:

— Ostaj z Bogiem!...

Musiał uciekać, aby jej wójta niewypomnieć.

— Uciekasz, a cóżem ci to znowu za krzywdę zrobiła?...

Wylękła była i rozżalona.

— Nie... nie... jeno... — mówił prędko, zaglą-

dając w jej modre, przepłakane oczy, a żal, tkliwość i gniew nim miotają — jeno przepędź tę pokrakę od siebie, przepędź, Jaguś!... — prosił gwałtownie.

— A bom go to przyciągała? a bo go to trzymam! — krzyknęła gniewnie.

Mateusz stanął niepewny i wielce skłopotany.

Płacz ją chwycił, łzy jak groch sypnęły się po rozognionej twarzy.

— Taką krzywdę mi zrobił... tak me spoił... a nikto się za mną nie upomni... nikto się ulituje, a wszyscy na mnie bij zabij! Cóżem to winowata?... co? — skarżyła się z boleścią.

— Ja mu ścierwie odpłacę! — wybuchnął podnosząc pięście.

— Odpłać, Mateusz! Odpłać, a ja już ci... — przywodziła zawzięcie.

Już się nie odezwał, jeno poleciał ku kościołowi.

Długo jeszcze siedziała nad stawem, rozmyślając o Mateuszu, że może się za nią ujmie, a krzywdzić nie pozwoli.

— A może i Antek — przyszło jej naraz do głowy.

Powróciła do domu, pełna cichych i radosnych przeczuć.

Dzwony zaczęły bić, naród wychodził z kościoła, zaroily się wnet drogi a rozgłośniały turkotami wozów i rozmowami, śmiechy dzwoniły w powietrzu, szli całemi kupami, postając niekiedy

przed opłotkami, tylko przed chałupą Dominikowej ludzie jakoś cichli, spoglądali na siebie i przechodzili z zasepionemi twarzami; nawet nikt nie zajrzał do chorej.

Wnet ci rozgwarzyła się cała wieś, rozgwarzyły się izby a sienie i progi; po sadach też było głośno i rojno, gdyż zasiadano do obiadów pod drzewami, w cieniach a chłodzie, że wszędy było widać jedzących, skrzybot łyżek, szczęk mich, a zapachy jadła i skamłania piesków roznosiły się w skwarnej ciszy.

Tylko u Dominikowej było głucho i pusto: nikt się nie pokwapił z odwiedzinami. Stara pojękiwała w gorączce, Jaguś, nie mogła już wysiedzieć, stawała w progu, to wychodziła aż na drogę, to znowu długie czasy patrzała tęsknie przez okno, zaś Szymek, jak i przódzi, siedział pod chałupą, tyle co jeden Jędrzek głowy nie stracił i wziął się po drugiej stronie domu do gotowania strawy.

Dopiero w jakiś czas po obiedzie zajrzała do nich Hanka, jeno że jakaś była dziwna, rozpytywała o wszystko, turbowwała się wielce o chorą, a ukradkiem, przyczajonemi oczyma chodziła za Jagną, wzdychając frasobliwie.

Pokrótkce i Mateusz przyleciał do Szymka.

— Pójdiesz z nami do Miemców? — pytał.

— Gront mój po ojcu nie ustąpię z miejsca — gadał swoje chłopak.

— Nastusia czeka na ciebie, przeciek macie ponieść na zapowiedzie.

— Nie pódę nikaj... gront mój po ojcach...

— Głupie oślisko! nikto cię za ogon nie ciąga... a siedź se choćby do jutra! — rozgniewał się, a że akuratnie Jagna odprowadzała Hankę w opłotki, przyłączył się do niej, nawet nie spojrzawszy na tamtą.

Poszli razem drogą nad stawem.

— Rocho przyszli już z kościoła? — zagadał.

— Przyszli; już tam i sporo chłopów czeka.

Obejrzał się. Jagna patrzyła za nimi, więc odwracając się śpiesznie, zapytał cicho, nie patrząc w oczy:

— Prawda to, że ksiądz z ambony kogoś wypominał?...

— Słyszałeś, a jeszcze za język ciągniesz.

— Przyszedłem już po kazaniu, powiedali mi o tem, ale myślałem, co jeno cyganią tak la śmiechu.

— I nie jedną wypominał... jaże pięściami wytrząchał... Przykarcać głośno i na drugie kamieniami frygać to każdy sprawny... jeno złemu przeszkodzić niema komu — zmartwiona była głęboko i zła. — Ale wójta to ni słowem nie tknął, a on tu zawinił najbarzej — dodała ciszej.

Mateusz zaklął siarczyście i chociaż chciał jeszcze o coś pytać, zbrakło mu odwagi. Szli w milczeniu. Hanka czuła się głęboko dotkniętą całą sprawą. »Juści, że Jagna grzeszyła, juści, że trzeba

ją było skarcić, ale żeby ją zaraz wypominać z ambony prawie po imieniu... tego już za wiele... Borynową była żoną, nie jakąś latawicą...» — myślała rozżalona. Co pomiędzy nimi było, to ich sprawa, a drugim wara od tego.

— Magdy ni młynarzowych dziewczek to nie wypomina: wiadomo przeciek co wyrabiają! A na dwórki z Woli też nie wygraża pięściami, zaś o dziedzicze z Głuchowa choć cały świat wie, jak się tłucze z parobkami, głosu nie podniesie! — mówiła w najgłębszem oburzeniu.

— To prawda, i Tereskę wypominał? co? — ledwie dosłyszała pytanie.

— Obiedwie wypominał; wszyscy pomiarkowali o kim gada.

— Ktoś go musiał na nią podmówić — zaledwie zdzierzył wzburzenie.

— Powiadali, że to Dominikowej robota, albo i Balcerkowej; jedna się mści na tobie za Szymka i Nastkę, zaś druga chciałaby cię odciągnąć do swojej Marysi.

— To tam raki zimują! Że mi to nawet do głowy nie przyszło...

— Chłopy zawsze to jeno widzą, co mają na oczach, jak wół, widne.

— Na darmo się trzudzi Balcerkowa, na darmo!... jeszcze co oberwać może od Tereski... A na złość Dominikowej, Szymek musi się ożenić z Nastką: już ja tego dopilnuję! Ścierwy, baby!

— One swoje sprawy robią, a bez to niewinne cierpią — rzekła smutnie.

— I tak jedni na drugich nastają, że już ciężko we wsi wytrzymać.

— Jak Maciej był, to i miał kto załagodzić, mieli się słuchać kogo.

— Juści, wójt tromba, głowy do niczego nie ma i wyprawia takie historye, że posłuchu mieć nie może w narodzie. Żeby choć Antek wrócił!...

— Wróci niezadługo, wróci! Ale kto go to posłucha? — oczy jej rozbłysły.

— Jużemy o tem z Grzelą i chłopakami radzili, że jak powróci, to już my razem zrobimy we wsi porządek. Obaczycie!

— Byłby czas: dyć wszystko się rozwodzi, jak te koła bez luśni.

Doszli wraz do chałupy; na ganku siedziała już gromada.

Mieli ruszyć w kilkunastu gospodarzy i co przedniejszych parobków, chociaż zrazu cała wieś napierała się iść, jak wtedy na bór.

Zebrałi się oczekując z niecierpliwością na resztę.

— Wójt także powinien z nami iść! — zauważył któryś, ostrugując kij.

— Do powiatu wezwał go naczelnik; pisarz mówił, co po to, aby zwołać zebranie i uchwalić szkołę w Lipcach i Modlicy.

— Niech zwołują: przeciek nie uchwalim! — zaśmiał się Kłęb.

— Byłby zaraz z tego nowy podatek z morga, jak w Dołach.

— Pewnie; ale skoro naczelnik przykaże, to usłuchać musimy — zauważył sołtys.

— Cóż on tu ma nam do rozkazywania? Niech se strażnikom przykazuje, by wespół ze złodziejami nie kradli.

— Zuchwale se poczynasz, Grzela! — ostrzegął sołtys. — Już niejednego ozór dalej powiodł, niżli mu się chciało.

— Mówił będę, bo nasze prawo znam i naczelstwa się nie bojam, jeno wam, ciemnym baranom, łydy dygoczą przed bele łachmytkiem z urzędu.

Wrzeszczał, że stropili się taką zuchwałością, i niejednemu skóra ścierpła ze strachu; Kłęb podjął:

— Po prawdzie, taka szkoła nam na nic... Mój Jadam całe dwa roki chodził do Woli, nauczycielowi dowoziłem po korczyku ziemniaków, kobieta też masła i jajków dała mu na święta, a z tego wyszło, co na książce do nabożeństwa przeczytać nie potrafi, zaś po ruskiemu też ani me, ani be... Młodsze, co się bez zimę uczyły u Rocha, to nawet pisane rozbieją i na pańskich książkach przeczytać poredzą...

— To Rocha ugodzić i niechby dalej nauczał; dzieciom szkoła barzej jest potrzebna niżli buty — wtrącił znów Grzela.

Na to sołtys wsunął się w gromadę i zaczął mówić półgłosem:

— Rocho byłby najlepszy, to wiem... i moich chłopaków wyuczył... ale nie można. Urząd musiał już coś przewąchać i ma na niego oko... Starszy me spotkał w kancelaryi i sielnie wypytywał o niego... Nie rzekłem mu wiele, że zeżlił się na mnie i jął wpierać, jako on dobrze wie, co Rocho dzieci naucza i książki polskie a gazety rozdaje ludziom... Trza go ostrzedz, by się miał na baczności.

— Zła sprawa! Dobry człowiek, pobożny, ale przez niego może spaść na wieś bieda... trza co-sik zaradzić... a prędko — wykladał stary Płoszka.

— Ze strachu tobyście go i wydali... co? — szepnął zjadliwie Grzela.

— Jakby naród buntował przeciw urzędowi, a na szkodę wszystkim, to każdyby zrobił to samo. Młodyś, ale ja dobrze baczę, co się działo w tę wojnę panów, jak za bele co chłopów krajali batami. Nie nasza to sprawa.

— Wójtem chcecie zostać, a głupiecie kiej but dziurawy! — dorzucił mu Grzela.

Przerwali, bo Rocho wyszedł z izby, powiódł oczyma po ludziach, przeżegnał się i zawołał:

— Pora już! chodźmy w imię Boże!

Przodem ruszył, a za nim chłopcy wywalili się na środek drogi, zaś z tyłu pociągnęło nieco kobiet i dzieci.

Skwar też już przeszedł, przedzwanieli właśnie na nieszpór, słońce przetaczało się ku lasom, niebo wisało pogodne i jasne, zaś skraje były tak przej-

rzyste, że nawet dalsze wsie wynosiły się przed oczyma kieby na dłoni, a w zieleni borów okiem mógł rozeznąć żółte pnie sosen, białe gzła brzózek i szare, wielgachne dęby.

Kobiety zostały za młynem, a chłopci szli wolno pod wzgórze. Kurz się wzbił za nimi, że jeno niekiedy zabielała jakaś kapota.

Szli w milczeniu. Twarze były surowe, miny zadzierzyste, a oczy wynosiły się hardo, nieustępliwie.

Zaś la ochoty bili niekiedy o ziem dębowemi lagami, a czasem to i ktoś w garście pluł, i prężył się, kieby do skoku.

W godnym porządku ciągnęli, jakby za procesyą, bo jeżeli któremu wyrwało się jakie słowo, wnet ścichał pod karcącemi spojrzeniami: nie pora była na rajcowanie, każdy się stulał w sobie i krzepą wzbierał.

Na kopcach granicznych pod krzyżem przysiedli żdziebko odpocząć, ale i teraz nikt się nie odezwał; bładzili jeno cichemi oczyma po świecie. Lipeckie chałupy ledwie widać było z za sadów, złota bania na kościelnej wieży błyszcząca w słońcu, pola się zieleniły jak okiem sięgnąć, na pastwiskach pod lasem gmerały się rozsypane stada, dym niebieską strugą wynosił się pod borem z jakiegoś ogniska, i śpiewania dziecięce dzwoniły, a granie fujarek roznosiło się po całej ziemi, strojnej we zwiesnę, w radość, w dziwny spokój, że niejednemu wezbrało serce cichym żalem i obawą,

niejeden westchnął ciężko i trwożnie zerkał na Podlesie...

— Chodźmy, nie o plewy przecież idzie! — przynaglał Rocho, dobrze miarkując, że się ociągać poczynają.

Skręcili prosto do zabudowań folwarcznych, starą zachwaszczoną drogą, że kiejby kwietna wstęga leżała wskroś zbóż zielonych; nędzne żyta niebieszczały od modraków, spóźnione owsy żółciły się całe od ognich, pszenice wymiękłe a przypalone czerwieniały od maków, zaś ziemniaki ledwie co wschodziły. Opuszczenie było widne na każdym kroku i niedbalstwo.

— Prosto żydoska gospodarka, jaże patrzeć boli! — mruknął któryś.

— Najgorszy parobek, a jeszcze lepiej w gronie cie robi!

— Bo drugi, choćby i dziedzic, a nawet tej świętej ziemi nie poszanuje!

— Doi ją i doi kiej głodną krowę, to i nie dziwota, co zjałowiała.

Wyszli na ugory. Okopcone i zrujnowane zręby budynków wznosiły się już niedaleko, spalony sad poczerniałymi szkieletami drzew, wyciągających się boleśnie ku niebu, otaczał czworaki dworskie o zapadłych dachach i sterczących kominach, zaś pod ścianami, w chudych cieniach pomartwiałych gałęzi widać było gromadę ludzi. Miemcy to byli. Antał piwa stał na kamieniach, ktosik w progu przygrywał na fleciku, a oni siedzieli porozwalani

na ławkach i trawie, w koszulach jeno, z fajami w zębach, i pili z glinianych garnczków; dzieci baraszkowały kole domu, a pobok pasły się tęgie krowy i konie.

Musieli dojrzeć idących, gdyż jęli się zrywać, przysłaniać oczy garściami, a patrzeć ku nim i co-sik wrzeszczeć, ale jakiś stary Szwab zaszwargotał ostro, że wnet przysiedli na miejsca spokojnie, pociągając z kuflów; flecik zagwizdał nutą jeszcze słodsza, skowronki dzwoniły prawie nad głowami, a ze zbóż sypało się gęste, niemilknące strzykanie świerszczów i kajś niekajś głos przepiórki się wyrywał.

A chociaż spieczona ziemia dudniała pod chłopami, a podkówki szczękały o kamienie coraz bliżej, Niemcy się ani poruszyli, jakby nic nie słysząc, a jeno lubując się piwskim i tą słodkością, jaką tchnęło powietrze przedwieczera.

A chłopcy już dochodziły, coraz ciężej szli jeno i wolniej, powstrzymując sapania i kije zaciskając; serca się zatłukły, gorący dygot warem oblewał krzyże, gardziele zasychały, ale grzbiety się prężyły i ślepie rozgorzałe hardo wżerały się w Miemców, a z twarzy, kieby zastygłych, biła surowa zawziętość i nieustępliwa moc.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł Rocho po niemiecku, przystając, a za nim, półkołem stanęła gromada, ciesząc się i przywierając ramionami.

Niemcy chórem odpowiedzieli, nie ruszając się

z miejsc. Jenó ten stary, ze siwą brodą, podniósł się i pobladły wodził oczyma po ciżbie.

— Ze sprawą przyśliśmy do was — zaczął Rocho.

— To siadajcie, gospodarze, z Lipiec widzę jesteście, to pogadamy po sąsiedzku! Johan, Fryc, ławek dla sąsiadów.

— Bóg zapłać, sprawa krótka, to postoiśmy.

— Nie musi być krótka, kiedyście całą wsią przyszli! — zawołał po polsku.

— Bo wszystkich zarówno obchodzi.

— Jeszcze trzy razy tyle ostało w domu! — powiedział z naciskiem Grzela.

— Bardzośmy wam radzi, a kiedyście przyszli pierwsi, to może piwa się z nami napijecie... na sąsiedzką zgodę... Należcie-no, chłopcy...

— Wychlaj se sam! Jaki szczodry! Nie na piwo przyślim! — zakrzyczeli gorętsi.

Rocho ich przyciszył oczyma, a stary Niemiec rzekł kwardo:

— No, to słuchamy!

Cichość padła, sapanie a krótkie przydechy się rozległy, Lipczaki barzej się zwarły, dreszcz przejął wszystkich, a Niemcy też stanęli, jak jeden, wynieśli się naprzeciw zwartą kupą i jęli złemi ślepiami wpierać w chłopów, za brody targać, nabzdyczać a cosik z cicha mamrotać.

Kobiety trwożnie wyglądały oknami, dzieci kryły się po sieniach, zaś jakieś wielgachne, rude psy warczały pod ścianami, a oni z dobre »Zdro-

waś« stojali tak naprzeciw w głębokiej cichości, kieby to stado baranów, co już ślepiami krwawo toczy, przebiera kopytami, grzbiety pręży, łby przygina i leda chwila runie na się rogami, aż Rocho przerwał.

— Przyslim od całej wsi po to — mówił po polsku, głośno i wyraźnie — by was prosić po dobroci, żebyście nie kupowali Podlesia...

— Tak! Juści! Po to! — przywódtórzyli za nim, trzaskając kijami.

Tamci zrazu ośłupieli.

— Co on gada? Czego chce? Nie rozumiemy! — bełkotali, uszom nie wierząc.

Więc im Rocho raz jeszcze i po niemiecku powtórzył, a ledwie skończył, Mateusz ciepnął za-palczywie:

— I byście se, pludry, poszły do wszystkich dyabłów!

Skoczyli naraz, jakby ukropem polani, wrzask buchnął, kłębiąc się a szwargocąc zajadle, trzając kulasami, tupiąc ze złością, że już niejeden z pięściami dał się ku chłopom i wygrażał, ale stali nieporuszeni, jak mur, paląc srogimi oczyma, ręce się im jeno trzęsły, a zęby zacinały.

— Czyście wy wszyscy powaryowali? — wołał stary, podnosząc ręce. — Wzbraniacie nam kupować ziemię! Dlaczego? Z jakiego prawa?...

Znowu mu Rocho wyłożył wszystko spokojnie, szeroko i jak się patrzy, ale Niemiec, poczerwieniawszy ze złości, wrzasnął:

— Ziemia jest tego, kto za nią płaci!

— Tak wygląda po waszemu, ale po naszymu jest inaczej, że powinna być tego, komu jest potrzebna — powiedział uroczyście!

— A to w jaki sposób, za darmo może, po zbójceku? — kpił urągliwie.

— Za te dziesięć palców, duża płata! — odpowiedział tak samo Rocho.

— Głupie gadanie! Co tu będziemy czas tracił na żarty, Podlesie kupiliśmy, jest nasze i zostanie, a komu się to nie podoba, niech idzie z Bogiem i omija nas z daleka. No, czego jeszcze czekacie?...

— Czego? By wam powiedzieć: wara od naszej ziemi! — buchnął Grzela.

— Wynoście się sami, póki was gonić nie zaczniem.

— Póki jeszcze prosimy po sąsiedzku! — wołali drudzy.

— Grozicie. Do sądu podamy! Znajdziemy na was sposób, nie odsiedzieliście jeszcze za las, to wam przyłożą i razem odrobicie! — drwił stary, ale już się trząsł ze złości, a i drugie ledwie się hamowały.

— Wszarze przekłete!

— Zbójce! Psy śmierdzące! — wrzeszczeli po swojemu, wijąc się w kupie, kiej przydeptane gądziny.

— Cicho, psiekrwie, kiej naród do was mówił — zaklął Mateusz, jeno, że się nie ulękli,

krzycząc coraz głośniej i całą kupą się przysuwając.

Rocho, bojąc się bitki, ogarniał chłopów, przyciszał i do spokoju niewolił, ale mu się wyrwali, krzycząc jeden przez drugiego.

— Zdzielże który w łeb pierwszego z brzegu.

— Juchy im żdziebko wypuścić!

— Damy się to, chłopcy? z całego narodu się wytrząsają!

— I na swoim nie postawimy? Wołali drudzy, zachęcając się a cisnąć coraz bliżej i groźniej, aż Mateusz odgarnął Rocha na stronę i wysunął się przed Niemców, kiej wilk, błyskając zębami.

— Słuchajta, Miemcy! — ryknął, wyciągając pięście. — Mówiliśmy do was po ludzku, pocziwie, a wy grozicie kreminalem i przekpiwacie się z nas! Dobra, ale teraz zagramy z wami inaczej! Nie chceta zgody, to wama zapowiadamy przed Bogiem i ludźmi, jak pod przysięgą, że na Podlesiu nie wysiedzicie! Przyszlim z pokojem, a wy chceta wojny! Dobra, kiej wojna to wojna! Mata za sobą sądy, mata urzędy, mata pieniądze, a my jeno te gołe pięście... Obaczymy, czyje będzie górą! A jeszcze to wam dołożę, byście zapamiętali... jako ogień ima się słomy, ale zeżre i mrowańce, a chyta się i zboża choćby na pniu... bydło też pada na paśnikach... zaś żaden człowiek nie uciecze od złej przygody... Spamiętajta, co rzekłem: wojna w dzień, i w nocy, i na każdym miejscu...

— Wojna! Wojna! i tak nam, Panie Boże, dopomóż — huknęli wraz.

Niemcy skoczyli do drągów, leżących pod ścianą, kilku wyniesło fuzye, to za kamienie chwyciło, kobiety podniosły wrzask.

— Niechno który strzeli, a wszystkie wsie tu zlecą.

— Zastrzelisz, pludro, jednego, to cię drudzy kijami zatłuką, jak psa parszywego.

— Nie zaczynajcie, Szwaby, bo z chłopami nie zdzierżyta.

— A waszego mięsa i głodny pies nie tknie.

— Tknij me, pludro jedna, tknij! — grozili zuchwale i wyzywająco.

Stali już zbliżka, ślepiami się jeno bodąc, przestępując z nogi na nogę, trzaskając kijami a wrzeszcząc zajadle, że wymysły i pogrozy latały nad głowami, kiej kamienie, już się wyciągały pazury i niejeden aż dygotał z gotowości, gdy Rocho ogarnął swoich i odwiódł w tył, chłopcy rade nie-rade odwracały się półbokiem i czujnie, pilnując zajdów, odchodzili, temci szydlawiej za się krzykając.

— Ostajta z Bogiem, świńskie pomioty!

— I czekajcie, aż wam czerwony kogut zapieje!

— Zajrzymy tu potańcować z waszemi pannami!

Jaże ich Rocho musiał przyciszyć, tak srodze gębowali.

Zmierzch się już kładł na ziemiach, słońce zaśzło, chłodny wiatер przegarniał zboża, że kłoniły się, dzwoniąc kłosami, wilgotniały trawy od rosiwych, głosy piszczałek i dziecińskie wrzaski roznosiły się od wsi, żabie rechoty grały na bagniskach, i szedł już światem cichy i pachnący wieczór.

Chłopi wracali wolno, rozpięte kapoty powiewały, niby białe skrzydła; szli gwarnie, przystając co chwila, któryś już śpiewał, jaże bory oddawały, jensi gwizdali z uciechy, to gwarząc, obejmowali gorącemi ślepiami podlaskie ziemie.

— Gronty łacno podzielne! — rzekł stary Kłab.

— Juści, gospodarki możnaby wykrajać, kiej plastry miodu, jedna w drugą, i każda z łąką i paśnikiem.

— Byle jeno Miemcy ustąpiły! — westchnął sołtys.

— Nie turbujcie się, już my w tem, że ustąpią — zapewniał Mateusz.

— Wziąłbym tę ziemię z kraju, przy drodze — szepnął Pryczek Adam.

— A mnieby się widziały w pośrodku, te z figurą — rzekł inszy parobek.

— Jabym się dał o te od Woli.

— Cie, żeby tak dostać na ogrodach po foli-warkul

— Jaki mądrala, najlepszeby chciał!

— Wystarczy la wszystkich po kawale — uspakajał Grzela, bo już byli się sprzeczać zaczęli.

— Jeżeli dziedzic się zgodzi, a odda wam Podlesie, to niemała praca was czeka, niemały trud — ozwał się Rocho.

— Wydolim! wydolim wszystkiemu — wołali radośnie.

— Owa! nie straszna praca na swoim!

— Nawet wszystkim dziedzicowym ziemiom byśmy poradzili.

— Niech jeno dadzą, a obaczycie.

— Człowiekbych się wparł w ziemię, kiej drzewo, i niech mu kto poredzi niech poprobuje wyrwać!

Rozgwarzali się między sobą, coraz prędzej idąc, bo już od wsi zaciemniała gromada kobiet, biegnących naprzeciw.

XI.

Już tak dniało, że caluśki świat pokrył się był sinawą modrością, kiej śliwa dojrzała, gdy Hanka zajechała przed chałupę, jeszcze leżącą we śpiku, ale na ostry turkot bryki dzieci wypadły z wrzaskiem i Łapa jął szczekać radośnie i wyskakiwać przed końmi.

— A kaj Antek? — krzyczała z proga Józka, nadziewając przez głowę wełniak.

— Za trzy dni dopiero go puszczą, ale powróci już niechybnie — odpowiadała spokojnie, całując dzieci, a rozdając im kukiełki.

Witek też wyleciał ze stajni, a za nim żreback, któren ze drżeniem jął się dobierać do klaczy, Pietrek wyciągał z wasąga sprawunki.

— Koszą to? — pytała, siadając zaraz w progu, by dać piersi najmłodszemu.

— W pięciu zaczęli wczoraj w południe, Filip, Rafał i Kōbus za odrobek, a Kłębów Jadań i Mateusz przynajęci.

— Mateusz Gołąb, cie?...

— Juści, mnie też było dziwno, ale sam chciałem, powieść, jako nie chce do cna zgarbacieć przy ciosołce, to musi se grzbiet wyprostować przy kosie.

Jagna wywarła okna po swojej stronie i na świat wyrzała.

— Śpią to jeszcze ociec?

— W sadzie leżą, nie wnosili go na noc, bo w izbie strasznie gorąco.

— Jakże tam z matką?

— Po dawnemu, choć może i ździebko lepiej, Jambroż lekują, przychodził wczoraj i owczarz z Woli, okadził ją, maście jakieś dał i pedział, co do dziewięciu niedziel będą zdrowi, byle jeno na światło nie wychodzili.

— To pono najlepsze na oparzelinę! — odrzekła, zaczęła, dając dziecku z drugiej piersi, wypitywała skwapliwie o wczorajsze nowiny, jeno krótko to trwało, bo biały dzień się już robił, zoroze zrumieniły niebo i zagrały brzaskami w powietrzu, rosy skapywały z drzew, ptaki zaświergotały po gniazdach i na wsi już się kajś niekaj rozlegały beki owiec i porykiwania stad, wypędzanych na pastwiska, zaś ktosik zaczął naklepywać kosę, że cieniuśki, ostry brząk rozdzwaniał się przenikliwie.

Hanka, co jeno rozdziawszy się z drogi, pobiegła do Boryny, leżał w półkoszku pod drzewami, przykryty pierzyną i spał.

— Wiecie! — zaszeptała, targając go za rękę —

Antek za trzy dni powróci. Odstawili go do gubernii, Rocho pojechał za nim z pieniędzmi, zapłaci tam okup i razem już powrócą!

Stary siadł raptem, przecierał oczy i jakby słuchał, ale wnet się zwałił w pościel i zaciągnąwszy pierzynę na głowę, jakby zasnął znowu.

Nie było z nim co gadać i akuratnie kosiarze wchodzili w opłotki.

— Kole kapuśnisków położyłim wczoraj łąkę — objaśniał Filip.

— A idźcie dzisiaj za rzekę, przy kopcach, Jóźka pokaże wama.

— To ta na Kaczym dołku, karwas tego galanty.

— I trawa po pas, jak bór, nie taka, jak wczorajsza.

— Taka to kiepska, co?

— Juści, wyschła prawie, jakby szczotkę kosił.

— Rosa obeschnie, to możnaby ją już dzisiaj przetrząsnąć.

Poszli zaraz, jeno Mateusz, zapalający coś długo papierosa u Jagusi, ruszył na ostatku i jeszcze się łakomie zasię oglądał, kiej ten kot, odegnany od mleka.

I z drugich domów jęli też gęsto wychodzić na kośbę.

Słońce właśnie co ino się pokazywało, ogromne i rozczzerwienione, dzień robił się ciepły, na spiekotę znowuj się miało.

Kosiarze ruszyli gęsiego, wyprzedzani przez

Józkę, wlekącą tykę, kto pacierz mruczał, kto się jeszcze przeciągał i ślepie tarł ze śpiku, a kto rzucał niekiedy jakieś zbędne słowo, przeszli za młyn; na łągach leżały niskie, rzadkie mgły, kępy olch widziały się, kiej krze dymiące, rzeka prze-błyskiwała niekiedy z pod sinych przesłon, oroszone trawy stały pochylone, czajki już kwiliły kajś niekaj, a żarzące się od wschodu powietrze pachniało wilgotnem kwieciem.

Józka, dowiodłszy ich do kopców, odmierzyła ojcową łąkę i zatknąwszy na granicy tykę, poleciała z powrotem.

Pozrucali spęcerki, podwinęli portki do kolan, rozstawili się pobok i, wparłszy drzewce w ziemię, jęli raz po razie gładzić kosy osetkami.

— Sielna trawa, jak kozuch, niejednen dobrze się zapoci — rzekł Mateusz, stając na pierwszego i próbując rozmachu.

— Wysoka i gęsta, nabierą se siana, no! — rzekł drugi, stając obok.

— Byle ino pogodnie sprzątnęli — rzekł trzeci, rozglądając się po niebie.

— »Skoro człowiek łąkę kosi, leda baba deszcz uprosi« — zaśmiał się czwarty.

— Prawda to była po inne roki, ale nie la-toś! — zaczynał, Mateusz.

Przeżegnali się wraz, Mateusz przyciągnął pasa, rozkraczył się nieco, przygiął bary, w garście splunął, nabrał dechu i szerokim rozmachem spuścił kosę, tnąc już raz za razem, a za nim drudzy,

ostawając nieco na skos, by se nóg nie podciąć, czynili toż samo, wcinając się posobnie w omgloną łąkę i chlaszcząc równym, spokojnym rzutem kos, zimne ostrza jeno łyskały ze świstem i trawy kładły się ciężko, osypując ich rosą, kieby temi łzami.

Wiater jął ździebko przegarniać trawy i czajki coraz jękliwiej krzyczały nad niemi, czasem kurapatki furknęły z pod nóg, ale oni, kołyszając się z prawej strony na lewą, cięli niestrudzenie, wpierając się w łąkę piędź za piędzią, tylko niekiedy przystawał któryś kosę naostrzyć, lebo grzbiet wyprostować i znowu siekł zawzięcie, ostawiając za sobą coraz dłuższe pokosy i wgniecione ślady nóg.

Zaś nim słońce wyniosło się nad wieś, już całe łąki jaże jęczały pod kosami, wszędy kosili, wszędy błyskały sine ostrza, roznosiły się zgrzytliwe ostrzenia i wszędy bił mocny zapach traw więdniętych.

Pogoda była jakby wybrana na sianokosy, bo chociaż stara powiadka mówi: »Zaczynij sianokosy, zapłaczą wnet niebiosy«, ale latoś stało się jakby naprzekór. Miasto deszczów przyszyła susza.

Dnie wstawały oblane rosami a rozpalone, kiej człowiek w gorączce i kładły się we wieczory, zionące spiekotą, że już wysychały studnie i rzeczki, zboża żółkły, okopowizny wędły, robactwo rzuciło się na drzewa, owoc oblatywał, krowy ostawiały mleko, że to głodne wracały z wypalonych

pastwisk, gdyż dziedzic jeno tym pozwalał paść w porębach, które zapłaciły po pięć rubli z ogona.

Juści co nie wszyscy mogli wywalić tyle gotowego grosza.

Ale i bez te różności przednowek stawał się coraz cięższy, zwłaszcza la komorników i drugiej biedoty.

Rachowali jeno, co na św. Jan muszą przyjść deszcze i wszystko w polach jeszcze się poprawi, nawet już na tę intencję na mszę dawali, nic jednak nie pomogło, susza wciąż trwała.

Do garnków u niejednego nie było co wstawić, ale za to nie brakowało swarów ni kłótni i wyrzekań. Może jeszcze nigdy, jak jeno zapamiętali najstarsi, nie było w Lipcach tyle spraw różnych, a to o sądy za las się kłopotali, a to wójtowe sprawy kłyżniły ciągiem ludzi między sobą, a to Dominikowej spory ze synem, a to Miemcy, a to pomniejsze, sąsiedzkie spory, tyle tego było, że prawie zapominali o biedzie, żyjąc, kieby w tym kotle, w ciągłych plotach i swarach.

Nie dziwota też, że skoro nadeszły sianokosy, odetchnęli, biedota się wnet rozbiegła po dworach za zarobkiem, a gospodarze, zatykając uszy na wszelkie nowiny, do kos przypięli się z radością.

Nie zapomnieli jeno o Miemcach, bo co dnia ktosik leciał na Podlesie wypatrywać, co oni tam robią.

Siedzieli jeszcze, przestali jeno kopać studnie i zwozić kamień na fundamenta, zaś kowal któ-

regoś dnia powiedział, że Miemcy zaskarżyli dziedzica o pieniądze, a Lipce o gwałt.

Chłopy naśmiały się z tego do woli.

Właśnie dzisiaj na łąkach w czasie obiadu szeroko o tem rozprawiano.

Południe przyszło upalne, słońce stanęło nad głowami, rozpalone do białości, niebo wisiało białawym od pożogi tumanem, żar buchał, kiej z pieca strasznego, najśłabszy wiaterek nie przewiał, liście zwisły pomdłałe, zamilkło ptactwo, cienie leżały chude i krótkie, niewiele chroniąc od spieki, duszno było, jeno od pokosów bił ostry zapach traw rozprażonych, zboża, sady i domy stały, jakby ogarnięte białymi płomieniami; wszystko zdawało się roztopiać w rozżarzonem powietrzu, trzęsącem się, kieby ten war na wolnym ogniu, nawet rzeka płynęła wolniej, bez szmeru, wody błyszczały roztopionem szkliwem, a tak przejrzyste, że każdy kiełb widniał pod włóknistą powierzchnią, każdy kamyk na dnie piaszczystem i każdy rak, gmerzący się w prześwietlonych cieniach brzegów, cichość wlekła się nad ziemią słoneczną, usypiającą przędzą, jedne muchy, co brzęczały koło ludzi.

Kosiarze siedzieli nad samą rzeką, pod kępą olch wyniosłych, wyjadając z dwojaków. Mateuszowi przyniosła jeść Nastka, wyrobnikom zaś Hanka z Jagustynką, przysiadły na trawie w słońcu i nakrywając chustami głowy, słuchały ciekawie.

— Ja od początku zawdy mówiłem jedno, że

nie dziś, to jutro Niemcy się wynieść muszą! — mówił Mateusz, wyskrzybując garnczek.

— Książd tak samo utwierdza! — przytórzyła Hanka.

— A tak będzie, jak się spodoba dziedzicowi — warknął kłótliwie Kopus, rozciągając się pod drzewem.

— Jakże, to nie zlekli się waszych wrzasków i nie uciekli — wtrąciła się po swojemu Jagustynka, ale któryś rzekł:

— Kował powiedział wczoraj, jako dziedzic pogodzi się z nami.

— Jeno mi dziwno, że Michał teraz ze wsią trzyma.

— Węszy on w tem jakąś dobrą sztuczkę la siebie — syknęła stara.

— I młynarz też się pono wstawiał we dworze za wsią.

— Wszystkie za nami, dobrodzieje juchy — mówił Mateusz. — Powiem wam, la czego naszą stronę trzymają: kowalowi dziedzic obiecał dobrą oberchapkę za zgodę z Lipcami, młynarz się zleknał, że Niemcy mogą postawić wiatrak na górcie koło figury, zaś karczmarz też pomaga narodowi ze strachu o siebie, dobrze on wie, że kaj Miemce siadą, tam się już żaden Żydek nie pożywi.

— To i dziedzic boją się chłopów, kiej o zgodę zapobiega?...

— A zgadliście, matko, ten się najwięcej boją, zarno waju wyłoż .

Przerwał Mateusz, gdyż od wsi pokazał się Witek pędzący.

— Gospodyni, a to prędko chodźcie! — wrzeszczał już zdala.

— Co się stało? ogień czy co? — zerwała się trwożnie.

— A to... to gospodarz czegoś krzyczał!

Poleciała co tchu, nie rozumiejąc zgoła, co się tam stało.

A oto co było. Maciej już od samego rana był jakiś dziwny, matyjaszył, mamrotał ciągiem, zrywał się z pościeli, to szukał czegoś koło siebie, że Hanka, odchodząc na łąki, przykazała Józce pilniejsze na niego baczenie. Dziewczyna często zaglądała do niego, leżał spokojnie, aż dopiero w czasie obiadu zaczął wrzeszczeć w niebogłosy.

Gdy Hanka przyleciała, jeszcze siedział na literkach i wołał:

— Kajście mi buty zapodzieli! — dawajcie prędeej.

— Zaraz przyniesą z komory, zaraz... — uspakajała wylekła, gdyż wydawał się całkiem przytomny i groźnie toczył oczami.

— Zaspałem, psiachmać — przeziwnął szeroko. — Już biały dzień, a wy śpita. Kuba niech brony szykuje, siac pojedziem — rozkazywał.

Stali przed nim, nie wiedząc, co począć, gdy naraz przechylił się i leciał bezwładnie na ziemię.

— Nie bój się, Hanuś... zemgliło me... Antek

w polu, co? W polu? — powtarzał, kiej go znowu ułożyli na pierzynie.

— Juści... od świtania... — jąkała, bojąc się przeciwić.

Rozglądał się bystro i ciągiem gadał, ale co jedno słowo rzekł do rzeczy, to dziesięć całkiem płonych i znowu jął się gdziesik wyrywać, chciał się ubierać i o buty wołał, to chwytął się za głowę i tak przeraźliwie jęczał, jaże się na drogi rozchodziło. Hanka, rozumiejąc, jako na koniec już mu przychodzi, kazała go przenieść do chałupy i przed wieczorem posłała po księdza.

Przyszedł wkrótce z Panem Jezusem, ale go jeno świętymi Olejami namaścił.

— Więcej mu już nie potrzeba, lada godzina uśnie... — powiedział.

Na odwieczór naszło się narodu, bo zdawał się konać, że Hanka już mu gromnicę wtykała, ale się jakoś uspokoił i zasnął.

Zaś nazajutrz było tak samo, poznawał ludzi, rozmawiał przytomnie, to całe godziny leżał, kiej trup. Siedziała przy nim kowalowa nieodstępnie, a Jagustynka chciała go okadzać.

— Dajcie spokój, jeszcze ogień zaproszycie.

Burknął niespodzianie, a gdy w południe przyleciał kowal i zaglądał mu w przywarte oczy, to ozwał się znowu z dziwnym prześmiechem:

— Nie frasuj się, Michał... już teraz wam dojdę... niezadługo dojdę...

Odwrocił się do ściany i więcej nic nie po-

wiedział, ale że widać było, jako słabnie i coraz barzej zapada, to go już pilnowali, a głównie Jagusia, z którą też wyprawiały się jakieś dziwności.

Przestała raptem dbać o matkę, zdając ją całkiem na Jędrka i kamieniem zaległa przy mężu.

— Sama ich przypilnuje, to moje prawo! — rzekła Hance i Magdzie z taką mocą, iż się nie przeciwily, ile co każda dosyć miała swojej roboty.

I już się nie ruszyła z chałupy, jakiś głuchy strach trzymał ją, kieby na uwięzi, że nie porzuciła odbieżyć chorego, jak przódzi.

A cała wieś była na łąkach, sianokosy szły nieprzerwanie, od samego świtania, skoro jeno pierwsze zorze niebo zrumieniły, cały naród tam ciągnął, zaś rzędy chłopów, rozdzielanych do koszuli, kiej te siodłate bociany, obsiadły łęgi, ostrzyły żelejzca i błyskając kosami, całe dnie siekły zapamiętałe, całe dnie też jeno słyszać było brzęki kos nakuwanych i przyśpiewki dzieuch grabiących.

Zielone, puszyste równie łąk roily się od ludzi a pobrzęków i gwarów, migotały pasiaste portki, czerwone wełniaki, niby makowe kwiaty, płonęły w słońcu, piesneczki się rozlegały hukliwie, dzwoniły kosy, buchały śmiechy wesołe i wszędy szła ochotna, siarczysta robota, a pod kaźden wieczór, kiej zczerwienione słońce kłoniło się nad bory i powietrze zawrzało krzykiem ptactwa, kiej wszystkie zboża i trawy jaże się trzęsły od mu-

zyki świerszczów, a moczary zagrały żabimi rechotami, kiej buchnęły zapachy, jakby cała ziemia była trybularzem, toczyły się po drogach ciężkie, opasłe wozy ze sianem, wracali ze śpiewami kosiarze, a na pożółkłych, zdeptanych wycinkach rozsiadały się gęsto kopice i stogi, kiej te kumy podufały, przysiadając do cichej pogwary, a między niemi bródziły boćki, czajki kołowały z żałosnem kwileniem i białe mgły wpęłzały od bagnisk.

Przez otwarte okna Borynowej chałupy wiskały się te wszystkie głosy ludzi i pól, weselne głosy życia i trudu wraz z kadzielnemi woniami zbóż i łąk i słońca, jeno Jagusia była głucha na wszystko.

W izbie cicho było i martwo, przez krze, osłaniające od żarów, siał się zielonawy, senny mrok, brzęczały muchy i Łapa, warujący przy gospodarzu, ziewnął niekiedy i szedł się połasić do Jagny, siedzącej całe godziny bez ruchu i myśli, zgoła do słupa podobnej.

Maciej już nie mówił, nie jęczał, leżał spokojnie i tylko ciągiem włóczył oczyma; te jasne ślepie, błyszczące, kiej szklane gały, chodziły za nią z takim uporem i tak nawskroś przewiercały, kiej zimne noże.

Napróżno się odwracała, napróżno chciała zapomnieć, patrzyły z każdego kąta, w powietrzu się unosiły i świeciły jednako strasznie i tak ciągnące nieprzeparcie, że dawała się na ich wolę, patrząc w nie, kieby w przepaście nieprzejrzane.

A niekiedy, jakby wyrrywając się ze strasznego snu, błagała żałośnie:

— Dyć tak nie patrzcie, bo mi duszę wywleciecie, nie patrzcie!

Musiał dosłyszeć, gdyż drżał nieco, twarz mu się kurczyła w jakimś niemym krzyku, oczy patrzyły jeszcze straszniej i po sinych policzkach toczyły się ciężkimi kroplami łzy.

Uciekała wtedy na świat, strach ją wyganiał.

Patrzyła z za drzew na łąki, pełne narodu i radosnej wrzawy.

I odchodziła z płaczem.

Szła do matki, ale ledwie głowę wetknęła do ciemnej izby, ledwie ją owiał zapach leków, cofała się pośpiesznie.

I znowu płakała.

To wychodziła za dom i niesła się tęskliwemi oczyma po świecie szerokim. I płakała wtedy jeszcze żalniej, smutniej i boleśniej, jako ta ptaszka z połamanemi skrzydłami, ostawiona przez stado, skarżyła się rzewliwie.

I tak bez przemian szły dni za dniami, Hanka wciąż była zajęta sianokosami narówni z całą wsią, dopiero trzeciego dnia została w domu od rana.

— Sobota, to już dzisiaj Antek wróci z pewnością! — rzekła radośnie, szykując dom na przyjęcie męża.

Południe już przeszło, a jego jeszcze nie było,

Hanka wyglądała za kościół, aż na topolową szta patrzeć, ale pusto tam było i cicho.

Ludzie śpieszniej zaczęli zwozić siano, gdyż miało się na odmianę, kokoty piałły, słońce barzej dopiekało, stronami wisały ciężkie gradowe chmury i wiatier zrywał się kołujący.

Wyglądali burzy z ulewą, a jeno spadł krótki, chociaż rześisty deszcz, w mig wypity przez spieczoną ziemię, że tyle było z niego pociechy, co się odświeżyło powietrze.

Ale wieczór przyszedł nieco chłodniejszy, pachniało sianem i ziemią przemoczoną, po drogach leżały gęste mroki, księżyc jeszcze nie wschodził, niebo wisało ciemne i jeno zrzadka poprzebijane gwiazdami, wskroś sadów błyskały światła chałup i kiej świętojańskie robaczki, mrowiły się we stawie, kolacye jedli wszędy przed progami, ktosik grał na fujarce i śmiechy rozdzwaniały się kajś niekaj, ptaki już zaczynały śpiewać i pola przemówiły cichem strzykaniem koników i głosami przepiórek i derkaczów.

U Borynów tak samo jedli przed chałupą, pod oknem gwarno było i ludno, bo Hanka, że to skończyli kosić, zaprosiła wszystkich, występując ze sutą kolacyą, pachniała jajecznicą ze szczypior-kiem, rażno skrzygotały łyżki, a skrzekliwy głos Jagustynki rozlegał się co chwila, niecąc wybuchy śmiechu, Hanka dokładała co trochę z garów, zapraszając, bych se nie żałowali, ale całą duszą na-

słuchiwała każdego głosu z drogi, a co chwila biegła wyglądać w opłotki.

Ani śladu Antka, natknęła się tylko raz na Tereskę, przywartą do płota i jakby na kogoś czekającą.

Mateusz, nie mogąc się dogadać z Jagusią, mrukliwą dzisiaj i niechętną, jął się ze złości spierać z Pietrkiem, gdy Jędrrek przyleciał po siostrę, że matka ją wzywa.

Wkrótce rozeszli się wszyscy, tylko jeden Mateusz coś długo się ociągał, że dopiero w dobry pacierz poszedł.

Po chwili i Hanka wyszła, na darmo wypatrując w ciemnościach, kiej ją doszedł z nad stawu jego warkliwy, gniewny głos:

— Czego za mną łazis, jak ten pies... nie ucieknę ci... już dosyć nas miały na ozorach... — i coś tam jeszcze przykrzejszego, a w odpowiedzi posypały się rozszlochane słowa i rzęsisty płacz.

Ale Hanke to nie wzruszyło, czekała na męża, to co ją tam mogły obchodzić cudze sprawy? Jagustynka robiła wieczorne porządki, a że dziecko zaczęło coś matyjasić, wzięła je na ręce i pohusztując, zajrzała do chorego.

— Antka ino co patrzeć! — zakrzyczała od proga.

Boryna leżał zapatrzony w lampkę, dymiącą nad kominem.

— Dzisiaj go puścili, Rocho czeka na niego — powtarzała mu w same uszy, stróżując radosnemi

oczami jego żrenic, czy pomiarkował, ale śnać i ta nowina nie przedarła się do mózgu, gdyż ani się poruszył, ni spojrzał na nią.

— Może już do wsi wchodzi... może już... — myślała, wybiegając co chwila przed dom, a tak była pewna jego powrotu i tak roztrzęsiona oczekiwaniem, że przytomność traciła, wybuchała śmiechem z leda powodu, rozprawiała ze sobą i potaczała się, kiej pijana. Ciemnościom powiadała o swoich nadziejach, nawet bydłatom się zwierzyła przy udoju, bych wiedziały, jako ich gospodarz wracają.

I czekała z minuty na minutę, ale już ostatkami sił i cierpliwości.

Noc się już czyniła, wieś kładła się spać, Jagusia, powróciwszy od matki, zaraz przyległa w pościel, cały dom wkrótce zasnął, a Hanka jeszcze późno w noc warowała przed domem, jaże wybita ze sił i srodze splakana, pogasiwszy światła, też się położyła.

Wszystek świat pogrążał się w głębokiej cisłości odpoczywania.

Na wsi gasły światła jedno po drugim, jak oczy, snem przywierane.

Księżyc się wtoczył na granatowe, wysokie niebo, gwiazdnym migotem przesiane i wznosił się coraz wyżej, leciał, kiej ptak, wlekący wskroś pustek srebrzyste skrzydła, chmury spały kajś niekaj, pozwijane w puszyste białawe kłęby.

Zaś na ziemiach wszelkie stworzenie, uznojące,

legło w cichy i słodki sen, jeno ptak jakiś tu i owdzie śpiewał rzęsiste piosneczki, jeno wody szemrały cosik jakby przez sen, a drzewiny, pływające się w księżycowych brzaskach, zadrgały niekiedy, jakby się im dzień marzył, czasem pies warknął, albo przelatujący lelek zatrzepał skrzydłami, a nízkie opary jęły zwolna i troskliwie przysłaniać pola, kieby tę mieć utrudzoną.

Z pod ledwie rozeznanych ścian i ze sadów rozchodziły się ciche dychania, ludzie spali na powietrzu, powierzając się z dufnością nocy.

I w Borynowej izbie leżała senna cichość, świerszcz jeno strzykał pod kominem i Jagusine oddechy trzepały się, kiej skrzydła motyle.

Noc musiała być już późna, pierwsze kury zaczęły pisać, gdy naraz Boryna poruszył się na łóżku, jakby przecykając, wraz też i księżyc uderzył w szyby i chlusnął, oblewając mu twarz srebrzystym wrzątkiem światła,

Przysiadł na łóżku i kiwając głową a robiąc usilnie grdyką, chciał cosik powiedzieć, ale mu jeno zabulgotało w gardzieli.

Siedział tak dość długo, rozglądając się nieprzytomnie, a niekiedy gmerząc palcami we świetle, jakby chcąc zebrać w garście ową rozmigotaną rzekę księżycowych brzasków, bijącą mu w oczy.

— Dnieje... pora... — zamamrotał wreszcie, stając na podłodze.

Wyjrzał oknem i jakby się budził z ciężkiego

snu, zdało mu się, że to już duży dzień, że zasnął, a jakieś pilne roboty czekają na niego...

— Pora wstawać, pora... — powtarzał, żegnając się wielokroć razy i zaczynając pacierz, rozglądał się zarazem za odzieniem, po buty sięgał, kaj zwykły były stoic, ale nie znalazłszy niczego pod ręką, zapomniał o wszystkim i błędził bezradnie rękoma dokoła siebie, pacierz mu się rwał, iż jeno niektóre słowa mamlął bezdźwięcznie.

Skołtuniły mu się naraz w mózgu wspominki jakichś robót, to sprawy dawne, to jakby odgłosy tego, co się dokoła niego działo przez cały czas choroby, przesiąkało to w niego w strzępach ni-
kłych, w bładych przypomnieniach, w ruchach zartartych, jak skiby na rżyskach i budziło się teraz nagle, kłębiło w mózgu i na świat parło, że por-
rywał się co chwila za jakimś majakiem, lecz nim się go uczepił, już mu się rozłaził w pamięci, jako te zgniłe przedze i dusza mu się chwiała, kiej płomień, nie mający się czem podsyć.

Tyle jeno teraz wiedział, co się może śnić o pierwszej zwieśnię drzewom poschniętym, że pora im przecknąć z drętwicy zimowej, pora nabrane chlusty wypuścić ze siebie, pora zaszumieć z wichrami weselną pieśń życia, a nie wiedzą, że płone są ich śnienia i próżne poczynania...

Zaczem cokolwiek robił, czynił, jako ten koń po latach chodzenia w kieracie czyni na wolności, że ciągiem się jeno w kółko obraca z przywyku.

Maciej otworzył okno i wyjrzał na świat, zaj-

rzał do komory i po długim namyśle pogrzebał w kominie, zaś potem, jak stał, bosy i w koszuli, poszedł na dwór.

Drzwi były wywarte, całą sień zalewało księżycowe światło, przed progiem spał Łapa, zwinięty w kłębek, ale na szelest kroków przebudził się, zawarczał i poznawszy swojego, poszedł za nim.

Maciej przystanął przed domem i skrobiąc się w ucho, ciężko się głowił, jakie go to pilne roboty czekają?...

Pies radośnie skakał mu do piersi, pogłodził go po dawnemu, rozglądając się frasobliwie po świecie.

Widno było, jak w dzień, księżyc wynosił się już nad chałupą, że modry cień zesuwał się z białych ścian, wody stawu polśniewały, kiej lustra, wieś leżała w głębokim milczeniu, jedne ptaszy-ska, co się wydzierały zapamiętałe po gąszczach.

Znagła przypomniało mu się cosik, bo poszedł śpieszno w podwórze, drzwi wszystkie stały otwarte, chłopaki chrapały pod ścianami stodoły, zajrzał do stajni, poklepując konie, jaże zarżały, potem do krów wsadził głowę, leżały rzędem, że ino im zady widniały we świetle; to z pod szopy zachciał wóz wyciągnąć, już nawet porwał za wystający dyszel, ale dojrzawszy błyszczący pług pod chlewami, do niego pośpieszył i nie doszedłszy, całkiem zapomniał.

Stał w pośrodku podwórza, obracając się na

wszystkie strony, bo mu się wydało, że skądś wołają.

Żóraw studzienny wynosił się tuż przed nim, cień długi kładąc.

— Czego to? — pytał, nasłuchując odpowiedzi.

Sad, porznięty światłami, jakby zastąpił mu drogę, srebrzące się liście szemrały cosik cichusko.

— Kto me woła? — myślał, dotykając się drzew.

Łapa, chodzący wciąż przy nim, zaskomlał cosik, że przystanął, westchnął głęboko i rzekł wesoło:

— Prawda, piesku, pora siać...

Ale w mig i o tem przepomniał; rozsypywało mu się wszystko w pamięci, kiej suchy piasek w garściach, jeno że wciąż nowe wspominki popychały go znów gdzieś naprzód; motał się w one złudy, jak to wrzecziono w nić, uciekającą wiecznie, a ciągiem na jednym miejscu.

— Juści... pora siać... — powiedział znowu i ruszył rażnie kole szopy opłotkami, wiedzącymi na pole, natknął się na bróg ów nieszczęsny, spalony jeszcze zimą i już postawiony teraz na nowo.

Chciał go zrazu wyminąć, lecz nagle odskończył, rozwidniło mu się na mgnienie, błyskawicą rzucił się wstecz czasu, wyrwał z płota kołek i ujawszy go oburącz, kiej widły i z nasrożoną twarzą, rzucił się na słupy, gotowy bić i zabijać, lecz nim uderzył cobądz, wypuścił kołek bezradnie.

Za brogiem, od samej drogi a pobok ziemniaków, ciągnął się długi szmat podorówki, przystanął przed nim, wodząc zdumionemi oczyma.

Księżyc już był w pół nieba, ziemie pławiły się w przymglonych brzaskach i leżały operlone rosami, jakby zastuchane w milczeniu.

Nieprzenikniona cichość biła z pól, zamglone dale łączyły ziemię z niebem, z łąk pełzały białawe tumany i wlekły się nad zbożami, kiej przędze, obtulając je, niby ciepłym, wilgotnym kożuchem.

Wyroste, zielonawe ściany żyta pochylały się nad miedzę pod ciężarem kłosów, zwisających, kieby te rdzawe dzioby piskląt, pszenice szły już w słup, stały hardo, lśniąc czarniawymi piórami, zaś owsy i jęczmiona, ledwie rozkrzewione, zieleśniały, kiej łąki, w płowych przesłonach mgieł i światła.

Drugie kury już piały, noc była późna, pola pogrążone w głęboki sen odpoczywania, jakby dychały niekiedy cichuśkim chrzęstem i jakimś echem dziennych zabiegów i trosk — jak dychać, kiej przyleganie wpośród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przyklęknął na zagonie i jął w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnąwszy tyła, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać...

Przychylił się pod ciężarem i zwolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię na zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony

zerwał się z pod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna, zapałrzony przed się, w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho, niby widmo, błogosławiące każdej grudce ziemi, każdemu źdźbłu i siał — siał wciąż, siał nieustrudzenie.

Potykał się o skiby, plątał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno że nic o tem nie wiedział i nic nie czuł, kromie tej potrzeby głuchej a nieprzepartej, bych siać.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki a krze kolczaste, zawracał.

Odchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zginęła cała wieś, a obejmowało płowe, nieprzejrzane morze pól, ginął w nich, kiej ptak zabłąkany, lub kiej dusza, odlatująca ze ziemie — i znowu się wyłaniał bliżej domów, w krąg ptasich świergotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę trudów człowieczych, jakby wynoszony z nawrotem na krawędź żyjącego świata przez chrzęstliwą falę zbóż...

— Puszczaj, Kuba, brony a letko! — wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, bych odpocząć i kości rozciągnąć i znowu się brał do tej płonej

pracy, do tego trudu na nic, do tych zbędnych zabiegów.

A potem, kiej już noc ździebko zmętniała, gwiazdy zbladły i kury zaczynały pisać przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i zapomniawszy nabierać ziemi, pustą garścią siał — jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, wszystkie dni przeżyte, wszystek żywot człowieczy, który był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu.

I w oną żywota jego porę ostatnią cosik dziwnego zaczęło się dziać: niebo poszarzało, kiej zgrzebna płachta, księżyc zaszedł, wszelkie światłości pogasły, że cały świat oślepl nagle i zatonał w burych skołtunionych topielach, a coś zgoła niepojętego jakby wstało gdziesik i szło ciężkimi krokami wskroś mroków, że ziemia zdała się kolebać.

Przeciągły, złowróżbny szum powiał od borów.

Zatrzęsły się drzewa samotne, deszcz poschniętych liści zaszemrał po kłosach, zakotłosały się zboża i trawy, a z niskich, rozdygotanych pól podniósł się cichy, trwożny, jękliwy głos:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Zielone pióra jęczmion trzęsły się, jakby w płachu i gorącymi całunkami przylegały do jego nóg utrudzonych.

— Gospodarzu! zdały się skamleć żyta, zastępujące mu drogę i trzęsły rosistym gradem łez.

Jakieś ptaki zakrzyczały żałośnie. Wiatr załkał mu nad głową. Mgły owijały go w mokrą przędzę, a głosy wciąż rosły, olbrzymiały, ze wszystkich stron były jękliwie, nieprzerwanie:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Dosłyszał wreszcie, że, rozglądając się, wołał cicho:

— Dyć jestem, czego? co?...

Przygłuchło naraz dokoła, dopiero, kiedy znowu ruszył posiewać ocieężała już i pustą dłonią, ziemia przemówiła w jeden chór ogromny:

— Ostańcie! Ostańcie z nami! Ostańcie!...

Przystanął zdumiony, zdało mu się, że wszystko ruszyło naprzeciw, pełzały trawy, płynęły rozkołysane zboża, opasywały go zagony, cały świat się podnosił i walił na niego, że strach go porwał, chciał krzyczeć, ale głosu już nie wydobył ze ściśniętej gardzieli, chciał uciekać, zabrakło mu sił i ziemia chwyciła za nogi, plątały go zboża, przytrzymywały brzozy, łapały twarde skiby, wygrażały drzewa, zastępujące drogę, rwały osty, raniły kamienie, gonił zły wiatr, błakała noc i te głosy, bijące całym światem:

— Ostańcie! Ostańcie!

Zmartwiał naraz, wszystko przycichło i stanęło w miejscu, błyskawica otworzyła mu oczy z pomroki śmiertelnej, niebo się rozwarło przed nim, a tam w jasnościach oślepiających Bóg Ociec, siedzący na tronie ze snopów, wyciąga ku niemu ręce i rzeczy dobrotliwie:

— Pódzi-że, duszko człowiecza do mnie. Pó-
dzi-że, utrudzony parobku...

Zachwiał się Boryna, roztworzył ręce, jak w czas
podniesienia:

— Panie Boże, zapłać! — odrzekł i runął na
twarz przed tym majestatem przenajświętszym.

Padł i pomarł, w onej łaski pańskiej godzinie.

.

Świt się nad nim uczynił, a Łapa wył długo
i żałośnie.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

School of Liberal Arts and Sciences
St. Hyacinth Seminary
Granby, Massachusetts

